

PLANTACJE
POLSKIE

GRZEGORZ ŁYŚ

ISLE DE MADAGASCAR
OV. DE S. LAURENT.

BZIK KOŁONIALNY

II Rzeczypospolitej
przypadki zamorskie

DLACZEGO POLSKA
MUSI MIEĆ
KOŁONIE ZAMORSKIE?

w
ab
two

Grzegorz Łyś

BZIK KOLONIALNY
II Rzeczypospolitej przypadki zamorskie



Copyright © Grzegorz Łyś 2023

Wydanie I

Warszawa 2023

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Copyright

Rozdział I. Stanica na Wężowej Górze

Rozdział II. Planeta białych ludzi

Rozdział III. Niech żyje król Sobieski!

Rozdział IV. Za chlebem bez flagi

Rozdział V. Kolonie według potrzeb

Rozdział VI. Ukajali, rzeka przeklęta

Rozdział VII. Angola dla bogaczy

Rozdział VIII. Tajniki czarnej duszy

Rozdział IX. Generał w białym kasku

Rozdział X. Wilki w owczej skórze

Rozdział XI. Wyspa dnia jutrzejszego

Zdjęcia

Bibliografia

Przypisy

Strona redakcyjna

Rozdział I. Stanica na Wężowej Górze

Pierwszej gwiazdki w Batoli nie trzeba było, jak to w tropikach, długo wypatrywać. Tarcza słońca dotknęła horyzontu, a już po chwili zapadła za nim, jakby pochłonęła ją dżungla. Dom na wzgórzu i plantację otoczyły nieprzeniknione ciemności. Nad afrykańską ziemią, podobną do garnka napełnionego po brzegi czernią, zabłyśły tysiące gwiazd, jasnych i bliskich jak na wyciągnięcie ręki. Na wigilijną wieczerę dotarli owego roku, anno 1935, do Batoli, jednej z trzech pierwszych polskich plantacji w Liberii, dwaj goście aż z Monrowii – Stefan Paprzycki, delegat Ligi Morskiej i Kolonialnej (LMiK) w stolicy kraju, i Tadeusz Brudziński, doradca ekonomiczny rządu liberyjskiego. Z sąsiedztwa – dzień drogi w hamaku niesionym przez tragarzy – przybył plantator i kupiec Edward Januszewski. Ponadto zasiedli do stołu entomolog profesor Jan Hirschler ze Lwowa z małżonką Zofią, doktorem biologii, którzy prowadzili badania naukowe w Batoli, oraz gospodarze: Stanisław Szabłowski i Kamil Giżycki, podróżnik i pisarz. Wszyscy w białych, starannie wyprasowanych ubraniach, wyświeżeni, mężczyźni sumiennie ogoleni. Prosił o to już kilka dni wcześniej Giżycki, „aby w ten sposób nie tylko podnieść wobec czarnych znaczenie święta, ale także podnieść godność białego człowieka, gdyż dla tego nie ma nic gorszego jak zafrykanizowanie się, co się zaczyna od zapuszczania brody, a kończy konkubinatem w dżungli”¹. O godność tę Polacy, jako *sahibowie* dopiero co upieczeni, pochodzący z kraju, który – jak pisano w szkolnych podręcznikach – „jeszcze” nie miał kolonii, choć usilnie się o to starał, musieli dbać szczególnie.

Tęgi sum, który miał być głównym daniem wigilijnym, złowiony zbyt wcześnie, nie dotrwał niestety do tego wieczoru. Biesiadnicy musieli zadowolić się sardynkami z puszki i polską szynką konserwową. Tym zwawiej i częściej trącano się kielichami. Niełatwo jednak przychodziło uwolnić się od egzotycznej rzeczywistości i powrócić duchem do dalekiej, okrytej śniegiem ojczyzny. Z dżungli dobiegały podobne do donośnego skrzypienia butów wrzaski małp, pohukiwania nocnych ptaków, odgłosy jakichś tajemniczych nocnych wydarzeń naznaczonych przemocą i zbrodnią. Ciągnęło z tropikalnego gąszczu wilgotne, jakby piwniczne powietrze – woń przedwiecznej zgnilizny nieodłącznej od wszechobecnej tu śmierci i nieustająco odradzającego się życia. „Wtem zaszeleściło gwałtownie w koronach drzew, [...]

porywisty wiatr *harmatan*, lecący od jeziora Czad, przeleciał z furją przez okolicę i o mało nie zgasił jedynej lampy naftowej palącej się na wigilijnym stole”². Dbały o humory gości Giżycki, wyczuwając ich dziwny niepokój, zaintonował kolędę, którą wszyscy w lot podchwycili, i skinął na czarnego boya, by napełnił kieliszki. Wkrótce zrobiło się swojsko i miło, a zebranim z każdą chwilą przybywało fantazji. Ktoś rzucił, by święto Narodzenia Pańskiego uczcić salwą honorową. Goście i gospodarze uzbrojeni w karabiny stanęli przed domem i nie żałując amunicji, strzelali raz za razem w rozgwieżdżone niebo. Odpalono też zgromadzone na wieczór sylwestrowy czerwone rakiety, służące zwykle do wzywania pomocy – co chwila „wzlatywał w niebo czerwony snop światła, który się w setki ogni rozbijał i spadał świecącym deszczem na drzewa i krzaki, plantacje i bagna”³.

Fajerwerki, które z ukontentowaniem podziwiali robotnicy plantacyjni i mieszkańcy okolicznych wsi, zapowiadały zbliżanie się nowego roku – wiele oznak wskazywało, że może on się okazać niezwykle pomyślny dla Polski i doniosły dla Liberii, a nawet całej zachodniej Afryki. Po latach próżnych starań pojawiła się oto nadzieja, że Polacy twardo staną na zamorskim, afrykańskim gruncie i wkrótce awansują do wybranego grona potęg kolonialnych. Z podręczników szkolnych można by usunąć wreszcie ów kłopotliwy fragment, w którym trzeba było przyznać, że Polska pomimo swej rangi mocarstwa kolonii „jeszcze” nie posiada. Przełom w tej kwestii miał się dokonać w wyniku zasadniczego umocnienia nawiązanych wiosną poprzedniego roku szczególnych relacji z jednym z dwóch – Etiopia wciąż jeszcze broniła się dzielnie przed inwazją wojsk Mussoliniego – niepodległych krajów afrykańskich. Liberią właśnie.

W umowie podpisanej w Monrowii w kwietniu 1934 roku – skądinąd dość osobliwej, bo zawartej między LMiK a rządem liberyjskim, czyli między organizacją społeczną a władzami innego państwa – Liberia udzielała stronie polskiej wielu wyjątkowych przywilejów – takich jak na przykład prawo do prowadzenia handlu w głębi kraju, co innym cudzoziemcom było zabronione. Pieczę nad finansami i stanem sanitarnym kraju sprawować mieli doradcy z Polski. Liberia zobowiązała się ponadto między innymi uzgadniać z polskim przedstawicielstwem wszelkie swe kroki na forum Ligi Narodów oraz projekty umów z państwami trzecimi. W warszawskich i lwowskich kawiarniach przekonywano się wzajemnie, że specjalne stosunki z Monrowią rzeczywiście zaowocują w niedługim czasie przyjęciem przez Polskę protektoratu nad Liberią. Redakcja krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Co-

dziennego” posunęła się jeszcze o krok dalej, pisząc brawurowo w komentarzu do jednego z reportaży z Afryki: „Liberię można już omal uważać za polską kolonię”⁴. Zdanie to – według zapewnień polskiego MSZ wybryk lekkomyślnego dziennikarza – odnotowano z irytacją i niedowierzaniem nie tylko w Monrowii, lecz także w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku.

Droga do celu zdradzonego przez „IKC” okazała się jednak nadszpedzanie mozolna. Ściśle mówiąc, w ciągu dwóch lat, jakie upłynęły od wigilijnej wieczerzy 1935 roku w Batoli, nie posunięto się w dziele podporządkowania Liberii ani o krok. A potrzeba posiadania kolonii stawała się z roku na rok w Polsce coraz bardziej paląca.

W Niedzielę Palmową 1938 roku obywatele naszego kraju mieli dzięki Lidze Morskiej i Kolonialnej niepowtarzalną okazję, aby oprócz święcenia palm publicznie zmanifestować pragnienie pozyskania posiadłości zamorskich. Na parę dni przed Świątami Wielkanocnymi konkretnym poparciem cieszył się zwłaszcza podnoszony od lat przez LMiK postulat dostępu do tańszych surowców z własnych plantacji zamorskich, dzięki czemu spadłyby niezawodnie ceny ananasów, pomarańczy, rodzynek czy kakao. Wkrótce, jak się spodziewano, sprawa ta zostanie rozstrzygnięta zgodnie z wolą naszego społeczeństwa, wyrażoną podczas trwających już niemal tydzień Dni Kolonialnych. Miały one pokazać Europie i światu, że kolonie nam się należą jak mało komu.

W tym szczególnym tygodniu, jak Polska szeroka i długa, wielkomiejskie gmachy, kamienice i zwykłe domy na przedmieściach aktywiści kolonialni i lokalne władze udekorowali flagami narodowymi oraz sztandarami LMiK. Na murach pojawiły się niezliczone plakaty, a na placach wielkie transparenty z napisem – „Żądamy dla Polski kolonij”. Na ulice miast i miasteczek spadł z samolotów deszcz miliona ulotek, w których domagano się dostępu do surowców i terenów dla ekspansji narodowej. W zakładach pracy, fabrykach, biurach, w szkołach, urzędach gromadzono się na apelach kolonialnych. Kolonii żądali na masówkach górnicy i włókieniarki, inteligenci i włościanie. Entuzjazm tych ostatnich przejawiał się nieraz we wzruszających odruchach, kiedy to „siedzący na zapadłej wsi małorolny gospodarz krzyżykiem tylko podpisywał uchwaloną rezolucję, kładąc w ten swój niezgrabny krzyżyk całą mocną wiarę w celowość haseł i postulatów”⁵.

Ukoronowaniem tej wielkiej kampanii miała być właśnie pełna imprez i atrakcji Niedziela Palmowa. Rano przez Warszawę przejechał korowód kilkudziesięciu ude-

korowanych egzotycznymi rekwizytami samochodów, a ulicami innych miast i miejscowości przeszły barwne pochody. Publiczność podziwiała zwłaszcza wozy konne strojne w tropikalną roślinność, wiozące towary kolonialne, takie jak kauчук, bawełna, kawa oraz owoce południowe. W Radomiu harcerze uformowali malowniczą karawanę kupców arabskich. W Toruniu sensację wzbudził kolonialny oddział wojskowy w przewiewnych mundurach i kaskach tropikalnych, wystawiony przez pomorską LMiK.

Główny punkt programu dnia stanowiło zgromadzenie obywatelskie w Warszawie, podczas którego krzepko i konkretnie przemówił prezes Ligi, generał Stanisław Kwaśniewski:

Brak nam bogactw naturalnych, bez których nie mogą się obyć państwa przodujące w rodzinie narodów, a Polska do takich państw zalicza się w pierwszym rzędzie. Brak nam najpotrzebniejszych surowców, których dostarczyć nam mogą tylko tereny zamorskie, tylko kolonie zarządzane i eksploatowane przez Polaków. Społeczeństwo nasze dusi się w terytorialnych granicach Państwa, nie mogąc dostarczyć pracy i zabezpieczyć bytu rzeszom dzielnych synów Ojczyzny, rozporządzających energią, która za wszelką cenę musi być zachowana i wyzyskana dla kraju. W tym celu musimy jak najprędzej szeroko otworzyć nasze okno na świat, to znaczy wyzyskać w całej pełni nasz dostęp do morza i przez tę drogę morską skierować zastępy rodaków, skierować potężne moce polskiej pracy, tężyzny, energii, przedsiębiorczości ku polskim terenom kolonialnym⁶.

Wśród niemilkających oklasków generał wzywał: „Gdy staje się zbyt duszno, trzeba otworzyć okno, którym jest nasz dostęp do morza, trzeba szeroko otworzyć okno, jakim jest Gdynia”⁷. Na hasła te Warszawa zareagowała bardzo żywo. Wielu uczestników zgromadzenia doznało głębokiego wstrząsu wewnętrznego, który się dokonał pod wpływem entuzjazmu zebrania, entuzjazmu wywołanego rzeczowym, mocnym przemówieniem⁸. Największą w Warszawie salę, udekorowaną zielenią i flagami o barwach narodowych, po brzegi wypełniał tłum słuchaczy. Jakkolwiek nie sposób nie zauważyć, że była to sala – a właściwie hala – znanego Cyrku Braci Staniewskich przy ulicy Ordynackiej.

W wydawnictwach Ligi przekonywano, że Dni Kolonialne zgromadziły miliony uczestników. W rzeczywistości były to raczej setki tysięcy. W Toruniu w niedzielnych imprezach i uroczystościach wzięło udział dwadzieścia tysięcy osób, w Poznaniu, gdzie żądano kolonii z największym chyba przekonaniem, liczbę manifestujących oszacowano na czterdzieści tysięcy. Niemniej jednak owe Dni Kolonialne –

pierwsze i ostatnie zorganizowane z tak wielkim rozmachem – z pewnością były godnym uwagi osiągnięciem Ligi i środowiska działaczy kolonialnych. Kiedy w 1928 roku dążenie do zdobycia kolonii wpisano do programu założonej zaraz po odzyskaniu niepodległości Ligi Morskiej i Rzecznej, zasilonej dopiero co organizującą się garstką pionierów polskiego kolonializmu, te dążenia wydawały się niedorzeczne. Po dziesięciu latach LMiK była już jedną z najliczniejszych organizacji w II RP, cieszącą się niezawodnym wsparciem władz i wielką popularnością. Plany kolonialne przyciągały myśli i uczucia niemałej liczby obywateli, w tym zwłaszcza półmilionowej i rosnącej z roku na rok rzeszy członków Ligi. A przynajmniej tych spośród nich, których wiara w Polskę mocarstwową była szczerą i żarliwą. W szczególności młodzież upatrywała w Lidze swej przyszłości i szans na spełnienie marzeń o szerokim świecie i ekscytującym życiu w polskich koloniach. Pionierzy kolonialni, podróżnicy i autorzy piszący o zamorskich lądach i ludach, otrzymywali setki podobnych do siebie listów:

Chciałbym podróżować, zwiedzić świat cały, a wiem doskonale, czym się to wszystko skończy! Ukończę szkołę średnią, może i uniwersytet, i otrzymam posadę w Warszawie lub w jakimś Pińsku za 300 złotych miesięcznie. Gdybym był jeszcze bogaty! Ale rodzice moi są niezamożni, naprawdę nie mam żadnej nadziei na spełnienie tych najgorętszych marzeń moich. Niech Pan poradzi, co mam robić⁹.

Inny przyszły kolonizator mógł pochwalić się konkretnymi już planami dotyczącymi dalekiej Angoli: „Chciałbym wybudować w Lobito wielki piękny pałac, gdzie przybywający koloniści mogliby znaleźć chwilowy przytułek, opiekę i radę. Mam przed sobą jeszcze sporo lat nauki, lecz uczyć się będę zawsze z myślą o dalekiej Angoli. Niech mi Pan poradzi, w jakim kierunku mam się kształcić, czego się uczyć, by nauki te znalazły najlepsze zastosowanie w Afryce”¹⁰. Do wyjazdu w tropiki skłaniały wielu także inne, od wieków aktualne powody. „Zdradziła mnie kobieta, nie mam w Polsce co robić – chcę w świat” – zwierzał się jeden z amatorów przygód kolonialnych. Inny kandydat otwarcie wyjaśniał: „Nie zdam matury jak amen w pacierzu. Więc co? Wyjechałbym”¹¹.

Rosnących szeregów zwolenników kolonizacji nie odstraszały przeróżne przykrości i okropieństwa nieodłącznie związane z wyprawą w tropiki, których zresztą propaganda LMiK wcale nie skrywała. Tak więc podczas obchodów Dni Morza w porcie gdyńskim w 1936 roku „W cichy szmer orkiestry wpadł hałaśliwy śpiew

czarnych dzikusów płynących na egzotycznej wyspie palmowej, na której przy ognisku torturowano białego jeńca przywiązanego do pnia drzewa. Kwadrat basenu zaroił się od stworów dziwacznych, krokodyli, krabów, smoków i dzikich ludów”¹². Artystyczna wizja mąk zadawanych przez przedstawicieli ludności afrykańskiej, prawdę mówiąc, była raczej odległa od XX-wiecznych realiów życia w koloniach i młodzi Polacy interesujący się egzotycznym światem prawdopodobnie o tym wiedzieli. Uwięzienie przez wrogich tubylców, a nawet symboliczne przypięcie boków przedstawiać się mogło zresztą jako stosunkowo mniejszy dyskomfort w porównaniu z wbiciem na pal czy rozerwaniem na strzepy przez „towarzystwo” siczowe, co z taką finezją ukazywał Henryk Sienkiewicz.

Poprzednie generacje żywiły swą imaginację rycerskimi przygodami na kresach, poematem *Mohort* Wincentego Pola, a w szczególności Trylogią. W drugiej dekadzie niepodległości pojawiła się alternatywa, niemniej zresztą romantyczna, w postaci „idei kolonialnej”. Szymona Mohorta, na wpół legendarnego XVIII-wiecznego bohatera, który kilkadziesiąt z ponad stu podobno lat swego życia spędził, broniąc granic Rzeczypospolitej na Dzikich Polach jako rotmistrz chorągwi królewskiej¹³, zaczął rugować z wyobraźni i marzeń młodszego zwłaszcza pokolenia mniej może szlachetny, skromny i pobożny, lecz bardziej przedsiębiorczy i większą obdarzony fantazją Maurycy Beniowski, cesarz Madagaskaru. Godne uwagi, że do zwrotu z ukraińskich stepów ku krainom dalekiego południa przyczynił się w niemałym stopniu sam Sienkiewicz, strażnik kresowych legend i orędownik sarmackiej tradycji.

Pan, „który nadto patrzy na świat przez rurę od barszczu”¹⁴, jak o nim szydęrczo mówili i pisali krytycy, obejrzał jednak przez ów osobliwy przyrząd optyczny nie mały kawał świata. W grudniu 1890 roku wybrał się w długą podróż do Afryki i dotarł aż do Zanzibaru, skąd wyruszył w głąb lądu na myśliwskie safari wzdłuż rzeki Kigami. Jej brzegi spowijały

...upięcia ljanów, poprzerzucane z drzewa na drzewo, zwieszające się – i tuż nad wodą, i dalej, w głębi – tworzą pozór kotar nad drzwiami mrocznych świątyń leśnych, [...] głąb całkiem jest zakryta dla oka; wszędy spokój, milczenie; wody ocembrowane murem drzew – dziwne, prawie mistyczne zacisze! Pograżony w niem człowiek mniema, że wdziera się w jakąś tajemnicę i że kogoś obraża. Wszelka nadprzyrodzona istota wydałaby się tu rzeczywistą, tak jak w obrazach Boecklina. [...] Gdzieniegdzie z drzew kapią kwiaty i tuż nad zwierciadłem wodnym leżą w cieniu płatki krwawe lub różowe. W miejscach, gdzie lasu nie podszywa zbita gęstwina krzaków, widać grunt czarny

i wilgotny, podobny do ziemi używanej w cieplarniach; wyżej nad nim wisi leciuchna koronkowa zasłona paproci, jeszcze wyżej pnie pookręcane jakby okrętowymi linami i wreszcie jedna wielka kopała liści zielonych, czerwonych, złotych, wielkich i małych, o kształtach wachlarzów, mieczy, piór, ostrzów od włóczni¹⁵.

Planując podróż do Afryki, zamierzał Sienkiewicz wraz ze swym towarzyszem, młodym hrabią Janem Józefem Tyszkiewiczem, dotrzeć aż do podnóży odległego o miesiąc marszu od stolicy kolonii Bagamoyo masywu Kilimandżaro. Safari trwało jednak znacznie krócej i zakończyło się niefortunnie. Pewnego wieczoru, na szczęście już blisko wybrzeża oceanu, pisarz miał atak febry, czyli malarii z gorączką grubo ponad 39 stopni – „stało się teraz dla mnie jasnym, że dostałem tego rodzaju złej febry, której dwa ataki można przeżyć, ale trzeci zabija zawsze”¹⁶. Następnego dnia po koszmarnym pochodzie przez bagna, pieszo i bosy w palącym słońcu, chory pisarz dowlókl się do zbawczej misji katolickiej w Bagamoyo, skąd przedostał się na Zanzibar. Na pachnącej goździkami wyspie przez ponad dwa tygodnie leczył się we francuskim szpitalu i szczęśliwie powrócił do Europy. Trzeci atak nie nadszedł. Tak oto polska literatura wzbogaciła się o opublikowane w poczytnych *Listach z Afryki* pierwsze bezspornie wysokiej próby opisy tropikalnej dżungli, a także „czarnoskórych typów ludzkich”. Na krajowców patrzył Sienkiewicz okiem dbałego gospodarza, szacującego wartość swej służby domowej lub folwarcznej albo żywego inwentarza. Nie mógł się nachwalić zwłaszcza przewodników i tragarzy zatrudnionych na czas safari: „nie wyobrażam sobie, żeby gdziekolwiek na świecie można znaleźć ludzi łatwiejszych do prowadzenia, wrażliwszych na każde słowo i chętniejszych. Jestem przekonany, że podróżnik, który by złożył swą karawanę na przykład z egipskich Arabów, byłby zmuszony co dzień uciekać się do pomocy kija, a kto wie, czy i nie do rewolweru. Tymczasem z naszymi ludźmi nie potrzebowaliśmy prawie głosu podnosić”. Podziwiał fizyczną okazałość ludu Suahili, torsy, jakich rzeźbiarz na próżno szukałby w Europie, i grające pod skórą, połyskujące od potu mięśnie tragarzy przypominających posągi gladiatorów wykute z brunatnego marmuru. Chwalił klasyczne ramiona kobiet i ich plecy silnie osadzone w szerokich biodrach, ale z dezaprobatą wspominał, że „pojęcia afrykańskie o piękności biustu są wprost przeciwne europejskim – wszystkie zaś biusty są piękne na sposób afrykański”.

Tak oto przyszły noblista wniósł do polszczyzny język z dzisiejszego punktu widzenia jawnie rasistowski oraz spopularyzował na ziemiach polskich „kolonialny” pogląd na świat, mało u nas wcześniej znany. Lecz nasza myśl kolonialna – dla mocarstw, a nawet pomniejszych krajów europejskich był to okres afrykańskiej i azjatyckiej gorączki towarzyszącej rozdieraniu reszty jeszcze niepodzielonego świata – z przyczyn obiektywnych, to jest z powodu braku państwa polskiego, wciąż jeszcze leżała odłogiem.

Afrykańskie swe wrażenia i przemyślenia spożytkował Sienkiewicz z wielkim powodzeniem raz jeszcze dwadzieścia lat później. W 1910 roku zaczęły się ukazywać w „Kurierze Warszawskim” kolejne odcinki *W pustyni i w puszczy*. Powieść przygodowa dla młodzieży okazała się światowym bestsellerem, w Polsce zaś stała się dla paru pokoleń niezastąpionym źródłem wiedzy i wyobrażeń o Czarnym Lądzie, koloniach i ludach kolorowych. To właśnie na jej kartach znajdujemy pierwszy – w dziele przeznaczonym dla najszerszej publiczności – przebłysk rodzimej koncepcji kolonialnej. Kiedy po uśmierzeniu konfliktu między wrogimi sobie Samburu a Wahima, plemieniem Kalego, Staś Tarkowski przemierza sawannę, dochodzi do przekonania, że „gdyby chciał, mógłby w tych okolicach zostać królem nad wszystkimi ludami, jak Beniowski na Madagaskarze. I przez głowę przeleciała mu myśl, czyby nie dobrze było wrócić tu kiedy, podbić wielki obszar kraju, ucywilizować Murzynów, założyć w tych stronach nową Polskę albo nawet ruszyć kiedyś na czele czarnych wyćwiczonych zastępów do starej”¹⁷.

Jak przekonywał Pierre Paul Leroy-Beaulieu, znany ekonomista francuski, profesor College de France, „narody, które nie kolonizują, przeznaczone są na wymarcie, a przynajmniej na wstąpienie do grona najmniej licznych i najmniejszych na kuli ziemskiej”¹⁸. Ta złowróżbna myśl należała do ulubionych cytatów naszych pionierów kolonialnych, służąc do straszenia i mobilizowania zarówno zwykłych współobywateli, jak i władz różnych szczebli. „Jest to kwestja, która ma w sobie Hamletowskie »być albo nie być«, sprawa, od której zależy, czy będziemy wielkim narodem, mocarstwem państwem, czy zadusimy się w naszych dzisiejszych ciasnych granicach, jest to czyn, który musimy urzeczywistnić, bo zmusza nas do tego po prostu nasze prawo do życia”¹⁹ – dowodził prezes założonego w 1928 roku Związku Pionierów Kolonialnych, wcześniej pierwszy konsul polski w Kurytybie, Kazimierz Głuchowski.

W pierwszych latach niepodległości podnoszona wytrwale przez orędowników narodowej ekspansji kwestia kolonialna była głównie przedmiotem żartów i drwiących felietonów w gazetach. Czasem też – scysji politycznych. W czerwcu 1921 roku podczas dyskusji nad reformą rolną poseł Smoła z klubu lewicowej partii chłopskiej PSL „Wyzwolenie” oburzał się, że premier i ministrowie przyjmują delegatów z francuskiego ministerstwa rolnictwa, którzy mają werbować chłopów na Madagaskar albo do innych miejsc w Afryce, pełnych żółtej febry i różnych chorób. I, co gorsza, mówią z nimi o tym, „żeby tam chłopów wywozić jak bydło na wymarcie i wymordowanie przez żółtą febrę, żeby tylko mająteczki pozostały, żeby owych bolszewików, którzy mają głód na ziemię, ubyło [...]. Nie mam za to dość słów potępienia w imieniu całego ludu, że takie rzeczy się dzieją”²⁰. Minister rolnictwa Józef Raczyński tłumaczył w odpowiedzi, że delegat francuski, botanik, agronom i badacz Afryki profesor Jean Dybowski – który, choć urodzony i wychowany we Francji, z ducha pozostał Polakiem – już podczas konferencji wersalskiej popierał myśl, by część kolonii zabranych Niemcom Francja odstąpiła Polsce. Francuzi mogliby jego zdaniem odstąpić Polakom pewne terytorium, które polscy rzeczoznawcy uznaliby za odpowiednie, i zezwoliliby na wyłączną kolonizację przez osadnictwo polskie wraz ze zgodą na rządy autonomiczne i polskich urzędników. „Zwróciłem jego uwagę, że po pierwsze, żyje jeszcze w narodzie naszym tragedia San Domingo, po wtóre, że Polska jest w stadium koncentracji elementu narodowego, a nie jego rozpraszania”²¹ – podkreślił z godnością minister i zaręczył, że przybysz z Francji chciał tylko wiedzieć, czy Polska byłaby gotowa wystąpić o takie terytorium do rządu francuskiego.

Piętnaście lat później – być może trauma San Domingo, czyli dramat polskich legionistów na Haiti²², wydawała się już mniej dotkliwa – inicjatywę Dybowskiego uważano za lekkomyślnie zaprzepaszczonej okazji oraz dowód, że uzyskanie kolonii lub zamorskich terenów o podobnym statusie jest całkowicie możliwe. „Kiedy w okresie konferencji pokojowej znaleźli się ludzie składający naszej delegacji memorjały z żądaniem tytułem spadku po Niemcach części ich kolonji, [...] ludzie »poważni« uważali ich za warjatów, a memorjały poszły do kosza”²³ – przypominali z goryczą prekursorzy kolonializmu. „Ale wszak mrzonką była jeszcze nie tak dawno niepodległość Polski, a dziś mrzonka ta przyoblekła się w ciało” – wywodził Głuchowski. „Wszak marzeniem był dostęp do morza, a dziś z dnia na dzień stajemy coraz bardziej krzepką stopą nad Bałtykiem, naprawiając błędy Ojców!”²⁴.

W połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku o tym, że kolonie są Polsce potrzebne, a tak naprawdę konieczne, przekonana była niemała już część społeczeństwa. Słabym punktem idei kolonialno-mocarstwowej pozostawała wciąż jednak jej realizacja.

Przez wieki Rzeczpospolita, choć w czasach świetności sięgała od morza do morza, wydawała się przypisana do ziemi – bezkresnego lądu euroazjatyckiego. Stefan Żeromski, orędownik Polski otwartej ku morzu, w pierwszych latach niepodległości pisał z gniewem: „...zwracanie się twarzą, piersiami, natężeniem pasji i wszystkich sił do walki i zmaganie się jedynie ze Wschodem znowu toczy nasz organizm i nasze jestestwo. Wolimy leżeć przez błota białoruskie ku starym dzikim polom, ażeby tam w spotkaniu z odwiecznym antagonistą, z rozpasanym nomadą, topić siły w błotach i rozpraszać je po obcym polu...”²⁵. Lecz historyczny zwrot już się dokonywał. W lipcu 1920 roku, gdy „rozpasany nomada” pod wodzą Tuchaczewskiego parł właśnie na Warszawę, rząd zatwierdził plany budowy portu i miasta na torfowiskach i łąkach w Pradolinie Kaszubskiej. W 1939 roku Gdynia z dziesięcioma milionami przeładunków rocznie była największym portem na Bałtyku i jednym z najnowocześniejszych w Europie, a polska flota handlowa osiągnęła łączną pojemność ponad stu dwudziestu tysięcy BRT (czyli ton brutto pojemności). Przedsięwzięcia morskie wszelkiego rodzaju cieszyły się ogromną popularnością wśród obywateli II RP, a wśród młodzieży budziły entuzjazm. W niedługim czasie, w ciągu dwudziestu międzywojennych lat, Bałtyk zawładnął wyobraźnią Polaków tak bardzo, że publicyści niemieccy pisali z przekąsem o polskiej mistyce dostępu do morza.

Powodzenie planów i inwestycji morskich bardzo podbudowało pionierów kolonialnych, pokazując, że społeczeństwo nasze chce i potrafi sprostać nowym całkiem wyzwaniom. Wprost prosiło się, by dostęp do morza zagospodarować z większym jeszcze pożytkiem i w ślad za polityką morską obmyślić i wcielić w życie politykę „zamorską”, czyli w praktyce tak naprawdę kolonialną. Przez lata przybywało relacji zza mórza i reportaży z ekscytujących tropików, ale także najrozmaitszego rodzaju publicystyki oraz rozpraw ekonomicznych i geopolitycznych dowodzących niezbicie, że Polska kolonie mieć musi.

Ponure przepowiednie Leroya-Beaulieu na polskim gruncie – być może do czasu – nie znajdowały zastosowania. Polakom ani się śniło wymierać. Przeciwnie, zdawało się, że im bardziej kolonii nie było, tym szybciej zwiększał się przyrost natu-

ralny. Już na przełomie XIX i XX wieku przedstawiał się on imponująco, ale wtedy niemal w całości pochłaniała go emigracja. Przed 1914 rokiem z ziem polskich emigrowało w niektórych latach około trzystu tysięcy ludzi, z czego dwieście tysięcy do Stanów Zjednoczonych, trzydzieści–czterdzieści tysięcy do Ameryki Południowej, prawie trzydzieści tysięcy do krajów europejskich i kilkanaście tysięcy do Rosji, między innymi na Syberię²⁶. Po wojnie kraje przyjmujące imigrantów zaczęły stopniowo zamykać swoje granice. Jeszcze przed wybuchem wielkiego kryzysu ustanawiano najróżniejsze restrykcje, ograniczenia czy kwoty imigracyjne – masowa emigracja do Stanów Zjednoczonych niemal ustała po wprowadzeniu w życie *The Immigration Act of 1924*. Od chwili odzyskania niepodległości do połowy lat trzydziestych wyjechało „bezpowrotnie” do krajów zamorskich już tylko pięćset tysięcy emigrantów²⁷. O taką samą niemal liczbę obywateli, czterysta–pięćset tysięcy, powiększała się – rok do roku – ludność kraju. Trzy czwarte owego żywiołowego procesu wyrażającego się wskaźnikiem przyrostu naturalnego 12,3/tysiąc mieszkańców (Włochy 10/tysiąc, Niemcy 3,1/tysiąc)²⁸ przypadało na wieś. Była to katastrofa społeczna i ekonomiczna na niebywałą skalę. Szacowano, że dla pięciu–ośmiu milionów mieszkańców wsi²⁹ – zwanych czasem nietaktownie „ludźmi zbędnymi” – nie ma pracy w rolnictwie ani szans na inne stałe źródła dochodów. Byli wśród nich bezrolni i rodziny gospodarujące na gospodarstwach karłowatych lub bardzo małych, do pięciu hektarów (ponad pięćdziesiąt procent wszystkich „ludzi zbędnych”). Wielu z nich żyło w skrajnym ubóstwie, na granicy egzystencji biologicznej. Całej tej biedocie wiejskiej i miejskiej – w miastach według szacunków były trzy miliony bezrobotnych – brakowało niestety wyobraźni, by zimowymi wieczorami, gdy nie starczało na naftę do lampy, marzyć o przygodach i życiu w dobrobycie w dzikich krajach.

Oprócz małorolnych i bezrolnych nad Wisłą i Niemnem żyła jeszcze jedna zbiorowość ludzi z punktu widzenia polityków prawicy i sporej części ludności „zbędnych” – ponad trzy i pół miliona (w 1939 roku) polskich Żydów. Co gorsza – jak tłumaczyli Polakom działacze Narodowej Demokracji – co najmniej od 1912 roku, gdy Roman Dmowski przegrał wybory do carskiej Dumy głosami wyborców żydowskich – byli to obywatele nie tylko zbędni, lecz także zdaniem endeków fundamentalnie wręcz szkodliwi. Według radykalnej prasy endeckiej sama obecność większej liczby Żydów w granicach odrodzonego państwa uszczuplała z takim trudem wywalczoną niepodległość. Myśl tę rozwinął ze swadą na przykład warszawski dra-

maturg i endecki publicysta Ignacy Grabowski, uświadamiając w 1918 roku subskrybentów Naszej Biblioteczki Ludowej w broszurze *Dla Żydów – Palestyna*, że Polska wyzwolona spod władzy zaborców wymaga teraz „wyzwolenia” od Żydów – „wewnętrznych wrogów, na wpół ukrytej choroby, raka, który pochłania nasze wysiłki gospodarcze i intelektualne”. Jedynym rozwiązaniem problemu owego „wewnętrznego zaborcy” było jego zdaniem „wysyłanie Żydów do Palestyny” i dalej, do Azji Mniejszej czy Afryki³⁰. Liberii akurat jako miejsca, gdzie można by wyprowadzić uciążliwych współobywateli żydowskich, nie wskazywał. Wkrótce jednak pojawiło się odpowiednie ku temu miejsce – francuski naonczas Madagaskar.

Wizja rozwiązania polskich problemów ludnościowych i gospodarczych wypracowana przez działaczy kolonialnych była jasna i pociągająco prosta: trzeba żądać do skutku zamorskiego terytorium o odpowiednim klimacie, kolonii, kondominium lub mandatu Ligi Narodów, w ostateczności terenu w granicach innego państwa lub czyjejs kolonii z autonomiczną administracją i swobodą dla wszelkiej działalności narodowej. Na takiej ziemi osadzić należy zwartymi gromadami nieugiętych polskich chłopów, którzy zachowując wiarę, kulturę i łączność z Macierzą, dostarczaliby Polsce po godziwych cenach zamorskie płody rolne i kupowali wyroby polskich fabryk. Oprócz tego konieczne było pozyskanie kolonii „plantacyjnej”. A szerzej „gospodarczej”, w której Polacy wystąpić mieli w roli plantatorów, kupców i przemysłowców nadzorujących pracę ludności miejscowej. Byłaby ona źródłem surowców i produktów kolonialnych dla kraju, kupowanych taniej, bo bez udziału zagranicznych firm handlowych i armatorów. Znacznie wspomogłoby to krajowy przemysł, zwiększając jego konkurencyjność. To z kolei, spekulowano, przybliżyłoby perspektywę dynamicznej industrializacji kraju, dzięki której „ludzie zbędni” znaleźliby wreszcie pracę. Niestety, mimo ponawianych i coraz bardziej stanowczych żądań żadna konkretna oferta przydzielenia Polsce kolonii – czy to „osadniczej”, czy to „plantacyjnej” do LMiK przez cały okres jej działalności nie wpłynęła, a podejmowane próby ekspansji na własną rękę spaliły na panewce. Pod koniec lat trzydziestych coraz mocniejsze było jednak przekonanie, że nadchodzi czas globalnego przełomu – także gdy idzie o kwestie kolonialne. W trakcie swego przemówienia podczas Dni Kolonialnych prezes Ligi scharakteryzował zwięźle i wyraziście ówczesny stan świata: „toczą się walki, które zdecydują o losach ludzkości i zapewnią przodujące miejsce państwom gotowym do rzucenia na szalę rozstrzygnięć międzynarodowych całej swej mocy i woli wywalczenia tego, co im się słusznie należy.

Takim właśnie najbardziej słusznym prawem Polski i nieodzowną dla niej koniecznością jest posiadanie własnych kolonij³¹.

Rozdział II. Planeta białych ludzi

Kiedy senegalscy strzelcy dowodzeni przez kapitana Marchanda wkraczali do Faszody, unosiły się nad nimi niezliczone, nawet jak na Afrykę, chmary komarów. Francuscy oficerowie rozglądali się dokoła z niedowierzaniem: ruiny starego fortu, kilka lepianek, parę palm³²... Osada nad Białym Nilem wydawała się najnędnym miejscem na świecie – i od początku świata zapomnianym. Ale to był właśnie cel ich trwającej już półtora roku wyprawy znad Atlantyku do serca Czarnego Lądu. Faszoda podlegała władzy mahdystów z Chartumu, lecz na co dzień rządziły w niej komary i stada krokodyli. Z map środkowej Afryki, na których białe plamy zaczęły się szybciej wypełniać dopiero od niespełna pół wieku, wynikało jednak jasno, że to w okolicach Faszody prędej czy później skrzyżują się sprzeczne interesy dwóch europejskich potęg. Francja swe rozległe kolonie w Afryce Północnej, Zachodniej i Równikowej zamierzała połączyć poprzez terytorium zaprzyjaźnionej Abisynii cesarza Menelika z Morzem Czerwonym. Anglicy zaś śnili o nieprzerwanym pasie posiadłości brytyjskich – od Egiptu po Przylądek Dobrej Nadziei – i budowie kolei, dzięki której można by dojechać z Kairu do Kapsztadu w warunkach godnych dżentelmena. Wobec takiej niepokojącej perspektywy rząd w Paryżu obmyślił plany awanturniczej wyprawy nad Biały Nil. Miała ona „położyć kres marzeniom naszych przyjaciół”³³. Zimą 1896 roku minister spraw zagranicznych Gabriel Hanotaux wezwał wybranego na dowódcę zbrojnej ekspedycji kapitana Jeana-Baptiste’a Marchanda na Quai d’Orsay i zachęcił go uprzejmie do czynu, zapewniając o wsparciu przez ojczyznę: „Ruszaj więc do Faszody. Francja trzyma broń w pogotowiu”³⁴.

Wyprawa wyruszyła w górę rzeki Kongo dopiero rok później, w marcu 1897 roku. Mały, dwudziestosześcioletniej długości parowiec i pirogi wiozące strzelców dotarły najpierw do miejsca, gdzie wielka rzeka skręca łukiem na południe, a potem jednym z jej głównych dopływów, Ubangi, skierowały się ku północno-wschodnim krańcom jej rozległego dorzecza. W sierpniu statek od tygodni już żeglujący coraz mniejszymi i płytszymi rzekami i rzeczkami osiadł ostatecznie na mieliźnie. Marchand i jego ludzie dotarli do działu wodnego między Kongiem a Nilem. Do przebycia mieli jeszcze pięćset kilometrów przez niemal pozbawiony wody pas

buszu oraz mokradła i rozlewiska dopływów Białego Nilu. Parowczyk, jak przewidywał plan, został rozmontowany i tysiące tragarzy, dźwigając jego części, wyruszyły w stronę Sudanu. Mosiężne kotły maszyny parowej po prostu przeciągnięto przez pół tysiąca kilometrów buszu. Kiedy jednak niezmordowani Francuzi pokonali bagna dzielące ich od najbliższej rzeki, okazało się, że jest za płytka, aby statek – przy montażu stwierdzono, że żadnej, najmniejszej części nie brakuje – ponownie zwodować³⁵. Dopiero po pół roku przybór rzek umożliwił dotarcie wodą do Białego Nilu i – 10 lipca 1898 roku – do Faszody. Jeszcze tego samego dnia na murach starej warowni stanął maszt, na który wciągnięto trójkolorową flagę. Wystrzeliły korki szampana³⁶.

W ciągu długich miesięcy, gdy Marchand i jego czarni żołnierze z uporem napoleońskiej starej gwardii przedzierali się, jakby straceni już dla cywilizacji, przez najdziksze ostępy afrykańskie, zaszły wydarzenia, które niweczyły sens ich trudów. Rząd francuski przekonał się bowiem, że nie może liczyć na poparcie innych mocarstw w swych sporach z Anglią o podział Afryki. Co ważniejsze, Brytyjczycy zdecydowali się wreszcie rozprawić z mahdystami i pomścić klęskę wojskową oraz śmierć generała Gordona w Chartumie w 1885 roku. Wojska angielskie i egipskie dowodzone przez generała Horatio Kitchenera na początku września 1898 roku rozbiły doszczętnie pogrobowców Mahdiego pod Omdurmanem, a następnie ruszyły w górę Nilu, by wcielić Sudan do imperium brytyjskiego. Do Faszody, z niewielkim oddziałem wojska załadowanym na pięć kanonierek, jako pierwszy dotarł osobiście sam Kitchener³⁷. Gdy zobaczył w szklach lornetki powiewającą nad osadą flagę francuską, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zaskoczeni niezapowiedzianą wizytą byli też Francuzi. Powstała sytuacja zdecydowanie niezręczna i frustrująca, zwłaszcza dla Marchanda, który dowodził garstką Senegalczyków, podczas gdy Kitchener przyprowadził do Sudanu dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy. Przykrą atmosferę łagodziła nieco wzajemna kurtuazja stron konfliktu. Na pokładzie swej kanonierki generał przyjął francuskiego dowódcę szklaneczką whisky and soda, ten zaś w rewanżu zaprosił go tego samego wieczora na szampana³⁸. Niemniej jednak obaj twardo stali przy swoim. Kitchener oświadczył, że nie może uznać zajęcia przez Francję żadnych terenów w dorzeczu Nilu. Marchand zapowiedział z kolei, że jako żołnierz wysłany do Faszody przez swój rząd nie opuści jej bez wyraźnego rozkazu z Paryża. Przez następne trzy miesiące nad brzegiem Nilu ku zdumieniu krokodyli powiewały dwie odległe od siebie o kilkaset kroków flagi – brytyjska i fran-

cuska. Ostatecznie Francuzi ustąpili. W grudniu zwinęli flagę i przez Dżibuti wrócili do ojczyzny, która bezzwłocznie nagrodziła kapitana Marchanda awansem na stopień pułkownika. Sama Francja na osłodę otrzymała od Anglików część terytorium Sudanu położoną na zachód od prowincji Darfur, która stanowiła rodzaj zawiasu łączącego francuskie posiadłości na Saharze, w Afryce Zachodniej i w pobliżu równika³⁹. Zakończony upokarzającym odwrotem spór o Faszodę był kolejnym po Sedanie ciosem w wielkość Francji i traumą dla wielu jej obywateli. Ośmioletni wówczas Charles de Gaulle pamiętał o tym starciu do końca życia i odtąd spodziewał się po Anglikach wszystkiego najgorszego⁴⁰.

Przede wszystkim jednak wypadki w Faszodzie, choć cokolwiek operetkowe, były rozstrzygającym aktem „wyścigu o Afrykę”, czyli rozbioru lądu afrykańskiego przez konkurujące ze sobą państwa europejskie. A także finałem – symbolicznym, bo mniejsze czy większe konflikty o terytoria zamorskie trwały nadal – podziału świata między kraje Zachodu. Na przełomie XIX i XX wieku rozpoczął się najświetniejszy – z zachodniej, rzecz jasna, perspektywy – „klasyczny” okres kolonializmu, wieńczący ekspansję Europejczyków na innych lądach. Rozpoczęła się ona cztery wieki wcześniej na portugalskim wybrzeżu Algarve.

Przylądek św. Wincentego w Portugalii, smagany sztormami, z ubogą, trochę północną roślinnością – drobnymi nadmorskimi goździkami i narcyzami, karłowatymi jałowcami, trawami i porostami – to wysunięty najdalej na południowy zachód skrawek lądu europejskiego. U stóp pionowego skalistego urwiska rozbijają się długie fale Atlantyku. Starożytni Rzymianie nazywali Cabo de São Vicente Świętym Przylądkiem – Promontorium Sacrum. Wierzyli, że słońce tu właśnie, kończąc swą dzienną wędrówkę nad prowincjami imperium, zanurza się wśród kłębow pa-ry, w wody oceanu...

Poglądu starożytnych, że Cabo de São Vicente jest ostatnim skrawkiem świata, nie podzielał książę Henryk Żeglarz, portugalski infant, protektor ludzi morza i odkrywców. Wierzył gorąco, że portugalscy żeglarze są w stanie odmienić losy nie tylko samej Portugalii, lecz także ówczesnej Europy. Jakkolwiek *reconquista* na Półwyspie Iberyjskim dobiegała końca, ogromne przestrzenie nie tylko w Afryce i Azji, lecz także na kontynencie europejskim zajmowali muzułmanie. Ta wroga potęga panowała niepodzielnie nad szlakami handlowymi z Indii, czyli jedyną drogą, którą dostarczano do Europy skarby Azji: korzenie, kruszce, jedwabie i bajecznie kolorowe tkaniny z bawełny. Henryk Żeglarz był przekonany, że za bezkresnymi zie-

miami islamu muszą żyć ludy, jeśli nie chrześcijańskie – wciąż żywa była legenda o położonym gdzieś na wschodzie przebogatym „królestwie Księdza Jana” – to gotowe przyjąć chrzest i z wielką chęcią nawiązać kontakty handlowe z Portugalią. Tak narodził się plan dotarcia drogą morską do Indii. Na wybrzeżu Algarve, w małej miejscinie Sagres, założył książę szkołę nawigacji i astronomii, pierwszą na świecie szkołę morską. Słuchaczami, a potem wykładowcami byli najwybitniejsi portugalscy żeglarze. W Sagres można dziś oglądać ułożoną przed wiekami z kamieni różę wiatrów o czterdziestotrzymetrowej średnicy.

O wiatrach na Atlantyku wiedzieli Portugalczycy coraz więcej i napawały ich one wielką troską. Dalekie rejsy na zachód nie stanowiły już od pewnego czasu nadzwyczajnego wyzwania. Jeszcze w XIV wieku Europejczycy (prawdopodobnie ponownie, po Grekach i Rzymianach) odkryli Wyspy Kanaryjskie, a w latach 20. XV wieku żeglarze portugalscy dotarli na Maderę i Azory. Ale na południe od Gran Canarii – mniej więcej od 30 stopnia szerokości geograficznej północnej – zaczynała się strefa passatów północno-wschodnich, którym towarzyszyły prądy morskie o podobnym kierunku. Opowiadano sobie ze zgrozą w marynarskich szynkach i kapitańskich salonach o statkach zagarniętych skrzydłem passatu, które na zawsze znikwały za horyzontem i o których wszelki śluch zaginął. Ówczesnym statkom żaglowo-wiosłowym trudno było żeglować pod wiatr i prąd. Przełom dokonał się dzięki zbudowaniu w pierwszych dekadach XV wieku w Lagos na wybrzeżu Algarve pierwszych karawel – statków o szczególnym kształcie kadłuba i trójkątnych, „łacińskich” żaglach. Mogły one żeglować ostrymi kursami na wiatr, co pozwalało sprawnie pokonywać w drodze z południa strefy niesprzyjających passatów. Dzięki karawelom oraz zmodernizowanym na ich wzór karakom – karakami były flagowe statki Kolumba oraz Vasco da Gamy, „Santa Maria” i „São Gabriel” – morza stanęły przed Europejczykami otworem. W połowie XV wieku Portugalczycy odkryli Wyspy Zielonego Przylądka i zbadali ujścia rzek w Zatoce Gwinejskiej. W 1460 roku dotarli do Sierra Leone, a w 1473 roku zajęli bezludne wyspy św. Tomasza. W 1483 roku Diogo Cão osiągnął wybrzeże Konga, aż wreszcie, na przełomie lat 1487 i 1488 Bartolomeo Diaz opłynął Przylądek Burz, który zaraz zresztą ówczesny król portugalski Jan II kazał dla umocnienia ducha nazywać Przylądkiem Dobrej Nadziei. Żeglarze arabscy zapewniali, że za jego skałami i masywem Góry Stołowej karawele od maja do września mogły płynąć z Afryki do Indii z pomyślnym passa-

tem półkuli południowej i letnim monsunem. Zdawało się Portugalczykom, że w oceanicznym powietrzu czuć już zapach lotosu i indyjskich korzeni.

Za odkrywcami wyruszali za morze kupcy, plantatorzy, ludzie interesu, niekiedy szemranego. Nie tracili czasu – od dawna wiadomo było, na co warto stawiać na Czarnym Lądzie. Już w 1444 roku w Lagos wystawiono na sprzedaż czarnych niewolników z Afryki. Mercado de Escravos był pierwszym, a później przez długi czas największym targiem niewolników w nowożytnej Europie. I to także Portugalczycy zapisali się w dziejach jako prekursorzy nowoczesnego kolonializmu. Za pierwszą europejską kolonię zamorską uchodzi Wyspa św. Tomasza, gdzie w 1493 roku przybysze znanego Tagu przystąpili do uprawiania trzciny cukrowej, osadzając na plantacjach jako siłę roboczą niewolników z pobliskiej Afryki⁴¹. Tak prowadzone gospodarstwa plantacyjne na São Tomé stały się przykładem dla właścicieli plantacji inwestujących w następnych dziesięcioleciach w Brazylii i na Karaibach w produkcję trzciny i cukru oraz zakupy niewolników. Oprócz ludzi najważniejszym przedmiotem wywozu z Afryki w owych czasach – moda na kość słoniową nadeszła nieco później – było złoto.

Zanim jeszcze portugalscy odkrywcy pokonali w swej długiej drodze ku wschodowi Ocean Indyjski, Krzysztof Kolumb, renomowany żeglarz rodem z Genui, zaproponował Janowi II osobliwe przedsięwzięcie: wyprawę, która miała dotrzeć do Indii od zachodu. Król, choć zwany „Doskonałym”, w tym przypadku nie popisał się przenikliwością i intuicją – odrzucił ekstrawagancki plan Włocha. Spodobał się on natomiast Izabeli Katolickiej, kastylijskiej królowej. Trzy statki Kolumba wyruszyły w drogę z Hiszpanii w sierpniu 1492 roku, na początku września opuściły Wyspy Kanaryjskie, a 12 października dotarły do wysp Bahama. Odkrycia Kolumba, Vespucciego, Alonso de Hojedy, Magellana, dotarcie do ujścia Amazonki i Rio de la Plata, wybrzeży dzisiejszych Wenezueli, Kolumbii, Patagonii, sprawiły, że na globusie pojawiły się pierwsze zarysy nowego ogromnego kontynentu. Lądy te zamieszkiwały ludy, które stworzyły rozwinięte państwa i wyrafinowaną kulturę, a przede wszystkim zgromadziły nieprzebrane bogactwa. Ta właśnie ostatnia okoliczność wymagała roztropnych decyzji, ważnych nie tylko dla Portugalii i Hiszpanii, lecz także dla przyszłości świata decyzji. Leżały one w gestii papieża. W 1493 roku Aleksander VI bullą *Inter caetera* przyznał nowo odkryte na zachodzie ziemie Hiszpanii i ustalił linię podziału między posiadłościami hiszpańskimi a portugalskimi. Skorygowana w następnym roku na korzyść Portugalii traktatem w Tordesillas li-

nia biegła południkowo mniej więcej dwa tysiące kilometrów na zachód od Wysp Zielonego Przylądka. Dzięki temu Jan II ocalił dla swej monarchii całą w praktyce Brazylię, którą odkryto dopiero w 1500 roku, lecz której istnienie żeglarze już wcześniej co najmniej przeczuwali.

Główną wygraną na zachodniej półkuli zagarnęła jednak Hiszpania. W lutym 1519 roku mieszkańcy wybrzeża półwyspu Jukatan ujrzeli żagle kilkunastu statków, a potem „wychodzących z morza ludzi”. Niektórzy z nich, co najstraszniejsze, wyglądali, jakby mieli dwie różne głowy, a także ogony i kopyta. Tak rdzenni mieszkańcy Meksyku zapamiętali lądowanie na ich ziemiach Hernána Cortésa i hiszpańskiej konnicy. Jego pochód oświetlały blask złota, błysk miecza i... światłość krzyża. Hiszpanie, nawracając, rabując i mordując, niemal nie napotykali oporu. Indianie nie wiedzieli i nie przypuszczali, że mogą istnieć inni ludzie, sądzili więc, że przybysze pochodzą ze świata bogów, a ich pojawienie się jest zjawiskiem nadnaturalnym. W ciągu dwóch lat imperium Azteków rozpadło się jak domek z kart. Dłużej opierało się państwo Inków w Andach, zwłaszcza gdy inkascy wodzowie – co początkowo nie było dla nich wcale oczywiste – przekonali się, że Hiszpanie są śmiertelni. Pizarro zdobył wprawdzie Cusco, stolicę imperium, w 1533 roku, ale Inkowie, prowadząc wojnę partyzancką, bronili swego andyjskiego kraju aż do śmierci Tupaca Amaru II, „ostatniego Inki”, w 1572 roku. W ten oto sposób dobiegły kresu dzieje prekolumbijskiej Ameryki.

Hiszpanie okazali się wprawdzie śmiertelni, jednak nie aż tak jak rdzenni mieszkańcy Ameryki. Wraz z konkwistadorami przepłynęły za ocean nieznane tu wcześniej bakterie i wirusy. Inwazja obcych mikroorganizmów sprowadziła na Indian niewyobrażalną katastrofę. Umierali nie tylko na ospę czy tyfus, lecz także na choroby dla Hiszpanów zwykle nieszkodliwe – odrę i gripę. „Indianie umierają tak łatwo, iż sam widok lub zapach Hiszpana sprawia, że schodzą z tego świata” – twierdził pewien niemiecki misjonarz w XVII wieku⁴². Tę szczególną predylekcję do śmierci potwierdzają liczby. Gdy w Meksyku wylądował Cortés, na płaskowyżu meksykańskim żyło dwadzieścia milionów ludzi, zaś w połowie XVII wieku już tylko dwa miliony. W ciągu stu lat od podboju Chile liczba ludności spadła tam w wyniku epidemii z jedenastu do jednego miliona⁴³.

W trakcie zaledwie kilkunastu lat Hiszpanie stali się władcami bezkresnych zamorskich terytoriów – olbrzymiego imperium, nad którym, po przyłączeniu doń Filipin w 1522 roku, słońce nigdy nie zachodziło. Ich czyny w Ameryce, czyli konkwi-

sta, stanowią bez wątpienia jedną z najważniejszych i najczarniejszych kart historii wojen i podbojów. Czy należą także do dziejów kolonializmu, nie jest już – co może zaskakiwać – takie pewne. Celem konkwistadorów nie było bowiem – jak zwykle dzieje się w koloniach – podporządkowanie struktur społecznych prekolumbijskiej Ameryki i ich systemowy wyzysk gospodarczy, lecz, zgodnie z logiką konkwisty, zrównanie z ziemią wszelkich kultur i instytucji, jakie zastali⁴⁴. Podbój oznaczał tu rabunek bogactw zgromadzonych przez cywilizacje amerykańskie, zagarnięcie zasobów naturalnych i przestrzeni oraz zagospodarowanie jej na nowo przez przybyszów.

W ciągu trzystu lat trwania imperium hiszpańskiego w Ameryce Łacińskiej ukształtowały się nowe społeczeństwa – melanż Kreolów, czyli potomków konkwistadorów i emigrantów, Indian i czarnych – o własnej, odrębnej tożsamości i odmiennych niż metropolia interesach. W początkach XIX wieku amerykańscy poddani Hiszpanii chwycili zatem za oręż i wzorem Stanów Zjednoczonych wybili się na niepodległość. W latach 1810–1842 wyzwolicieli, *libertadores*, powołali do życia osiemnaście nowych państw. Powstały one poniekąd zamiast kolonii. „Wojny o niepodległość Ameryki Południowej były więc antykolonialne w tym sensie, że odrzucały perspektywę przekształcenia jej w kolonię”⁴⁵. Okazało się zatem, że kolonizacja osadnicza prowadzi może nie do umocnienia imperium kolonialnego, lecz – jako ślepa uliczka ewolucji kolonializmu – do jego utraty. Hiszpania, nad miarę zachłanna, została z pustymi rękami i nigdy już nie odzyskała rangi mocarstwa kolonialnego.

Niemniej jednak niezmiernie przestrzenie dawnych hiszpańskich posiadłości, pampasów i lasów tropikalnych, wciąż przyciągały uwagę nacji, którym, jak uważano, brakuje przestrzeni życiowej. Po upływie czterech wieków od triumfów Cortésa i Pizarra myśl o założeniu kolonii osadniczych odżyła między innymi wśród polskich działaczy kolonialnych. Kolonie takie – ściśle związane z macierzą i możliwie niezależne od miejscowych władz państwowych – mogły, planowano, powstać na przykład w Peru, którego rząd dążył do zasiedlenia dorzecza Amazonki. Zamierzano także zasadniczo wzmocnić liczbowo, pokrzepić patriotycznie i związać z krajem polski żywioł w brazylijskiej Paranie, gdzie w czasach zaborów Polacy stanowili znaczny już odsetek ludności.

Główna rola w narodzinach realnego kolonializmu przypadła nie nazbyt zachwałym Hiszpanom, lecz Portugalczykom. To ich cierpliwa, skromna praca u pod-

staw zapoczątkowała główny nurt kolonialny. Kiedy w maju 1498 roku jedenaście statków flotylli pod dowództwem nowej znakomitości wśród żeglarzy portugalskich, niespełna trzydziestoletniego Vasco da Gamy, zakotwiczyło u wybrzeży Indii, nikt ich uroczyście nie witał, a sensacja, jaką wzbudziło przybycie białych, była co najwyżej umiarkowana. W świecie, gdzie od Indii po Japonię od tysiącleci trwały stare, choć cokolwiek dekadentkie cywilizacje, byli tylko obcymi przybyszami, niemal intruzami, jakich wielu w przeróżnych interesach kręciło się u azjatyckich brzegów. Portugalczycy mieli do czynienia z krainami licznie zaludnionymi, gospodarczo rozwiniętymi, z prosperującym rzemiosłem wytwarzającym wytworne produkty nieznane w Europie, z dojrzałymi strukturami władzy, wyrafinowanymi religiami, obyczajami i sztuką. Sami w oczach miejscowych przedstawiali się dość odrażająco. Zdaniem jednego z hinduskich dziejopisów byli „osobnikami otyłymi i grubiańskimi, pogardzającymi kobietami, niezdolnymi do zrozumienia sztuki i kultury, a przemawiała do nich jedynie siła”⁴⁶ wyróżniali się ponadto nieopanowaną chciwością. Pożądali szlachetnych kamieni, pieprzu, imbiru, goździków, gałki muszkatowej, jedwabiów, bawełnianych perkali z Kalikatu, wełnianych, nieopisanie delikatnych tkanin z Kaszmiru, zwiewnych muślinów z Dhaki, chińskiej porcelany. W parze z tymi pragnieniami nie szła jednak zasobność ich sakiewek. Przed wyprawami do Indii żeglarze portugalscy gromadzili kruszce dostępne w Europie, a w drodze kupowali je w Senegalu i Gambii. W latach 1500–1520 wywozili z Afryki ponad czterysta kilogramów złota rocznie, 1/4 produkcji w tym regionie⁴⁷. Pomimo to ku zniecierpliwieniu hinduskich kupców, którzy z zasady pieniędzy nie pożyczali, notorycznie brakowało im gotówki, aby wypełnić korzeniami i jedwabiami ładownie swych statków. Na początku ekspansji portugalskiej poziom życia Azjatów znacznie, w proporcji 1,5:1, przewyższał stopę życiową w krajach europejskich. Przez dwa następne wieki Europa miała w handlu z Azją ujemny bilans płatniczy.

Jeszcze w XVIII wieku na handel z Europą przypadało tylko 0,03–0,04 procent PKB Indii⁴⁸. Niechlujni, brzuchaci prostacy z północy mieli właściwie tylko jeden, choć mocny atut: stałą gotowość do przemocy i odpowiednie ku temu środki. Zawodna jeszcze ręczna broń palna nie gwarantowała wtedy wprawdzie zwycięstwa, ale armaty na okrętach budziły respekt, a opowieści o okrucieństwie pierwszych wicekrólów portugalskich i ich żołnierzy – grozę.

Terrorystyczne wyczyny Portugalczyków – palenie okrętów, ostrzał armatni wiosek, torturowanie zakładników – które miały zastraszyć miejscowych kupców oraz lokalnych władców na terenach, gdzie wytwarzano różne wartościowe dobra, przyniosły pożądane rezultaty. Wkrótce ekspansywny wicekról Indii Afonso de Albuquerque opanował cieśninę Ormuz, w 1510 roku zajął Goa, rozległą enklawę, która jeszcze w połowie XX wieku stanowiła posiadłość portugalską na terytorium indyjskim, oraz w 1511 roku cieśninę Malakka, klucz do Wysp Korzennych, Moluków. Portugalczycy, zakładając forty i faktorie, przejmowali panowanie nad obszarami produkcji rolnej i rzemieślniczej, narzucali się jako monopolistyczni odbiorcy, próbowali, zwalczając żeglarzy arabskich i hinduskich, kontrolować – z różnym co prawda powodzeniem – handel morski i żeglugę, udzielając lub nie zezwoleń na transport oraz rewidując statki. Przy tym wszystkim integrowali się stopniowo z Indiami i całym Dalekim Wschodem, stając się częścią układu politycznego i systemu gospodarczego regionu. Ich *Estado da India* – struktura zarazem quasi-państwowa i militarna oraz korporacja gospodarcza – rozwijała się jako wewnętrzny pasożyt Indii i Azji Południowo-Wschodniej, dokuczliwy, ale przez swego żywiciela tolerowany.

Podobne pasożytnictwo, lecz ulepszone i na znacznie większą skalę, uprawiali też Holendrzy, którzy u schyłku XVI wieku wyruszyli z czterema okrętami na Ocean Indyjski i w niedługim czasie wyparli Portugalczyków z tej intratnej specjalizacji. Ich Kompania Indii Wschodnich nie tylko z większym niż Portugalczycy powodzeniem kontrolowała handel morski, lecz także podporządkowała sobie producentów przypraw z Archipelagu Sundajskiego, zwłaszcza Moluków. Wyniki finansowe kompanii wzrastały imponująco – zyskowność brutto zwiększyła się w ciągu paru lat, do 1606 roku z piętnastu do siedemdziesięciu pięciu procent. Wymagało to, rzecz jasna, wielkiego zaangażowania i bezwzględności, w tym niekiedy użycia armat przeciw konkurentom – Portugalczykom, Anglikom, Francuzom – oraz różnych środków specjalnych wobec miejscowej ludności. Na przykład mieszkańców archipelagu Banda, którzy odmówili Holendrom monopolu na zakup pochodzącej z tych wysp gałki muszkatołowej, po prostu wymordowano. Wodzowie z sąsiedniej Amboiny już bez sprzeciwów spełnili zatem życzenia kompanii w kwestii produkcji i obrotu goździkami⁴⁹.

Holandrzy prowadzili, rzecz można, aktywną politykę etniczną. Do Batawii na Jawie założonej w 1619 roku na miejscu dawnej (i dzisiejszej) Dżakarty ściągali

licznie kupcy i rzemieślnicy z metropolii. Na terenach wiejskich wyspy osiedlano Chińczyków, Filipińczyków, Malajów. Jednak nie powstała na Jawie, jak projektowali jej gubernatorzy, kolonia osadnicza⁵⁰ – w tym przypadku obok świetnie prosperującej handlowej i plantacyjnej. Tak wszechstronnie wykorzystać zamorskie terytoria umiało jedno tylko mocarstwo europejskie – Anglia. Kolonie osadnicze dały początek zamieszkałym przez ludność anglojęzyczną rozległym krajom i dominium – Stanom Zjednoczonym, Australii i Nowej Zelandii, Kanadzie, Krajowi Przylądkowemu w Afryce Południowej. Najważniejszą natomiast angielską kolonią „ekonomiczną”, handlową oraz plantacyjną stały się Indie. Opanowanie Półwyspu Indyjskiego – regionu o starożytnych tradycjach państwowych i niesłychanie złożonych stosunkach społecznych – i stworzenie efektywnych struktur eksploatacji tych ziem można uznać za niepospolite osiągnięcie sztuki kolonizacyjnej.

Kompanie europejskie prowadziły w Azji politykę rozważną i oportunistyczną. Tam, gdzie miały do czynienia z silną władzą, zdolną nie tylko do retorsji, lecz także represji, jak w Chinach, Japonii oraz w Indiach – w regionach podlegających władzy Wielkich Mogołów – nie naruszały zastanych struktur społecznych oraz ściśle przestrzegały miejscowych praw i obyczajów⁵¹. Po latach nieprzerwanej obecności w Indiach, zdawało się, na stałe zakorzeniły się w tamtejszej rzeczywistości jako instytucja niemal rodzima, w istocie swej orientalna. Jednak po śmierci ostatniego wybitnego władcy Wielkich Mogołów na początku XVIII wieku, gdy imperium potomków Tamerlana zaczęło się rozpadać, ujawniły swą prawdziwą naturę. Jako pierwsi próbowali podboju subkontynentu Francuzi, ale ostatecznie na placu pozostali ich konkurenci, Anglicy. W 1757 roku baron Robert Clive – „Clive of India” – zdobył Kalkutę, a Bengalowi, Biharowi i Orisie narzucił protektorat swej kompanii. Lecz na ostateczne podbicie Indii Anglicy potrzebowali jeszcze stu lat.

Po trzech wiekach ekspansji, w burzliwym czasie wojen napoleońskich, zapęły kolonizatorskie ku uldze wszelkich zamorskich ludów „dzikich” zdecydowanie osłabły. Francja, która w połowie XVIII wieku władała w Ameryce słabo wprowadzone zaludnionymi, ale ciągnącymi się od Luizjany aż po Nową Fundlandię koloniami osadniczymi, utraciła na mocy traktatu paryskiego w 1763 roku Kanadę, a terytorium Luizjany w 1803 roku Napoleon za piętnaście milionów dolarów małodusznie sprzedał Stanom Zjednoczonym. W posiadłościach hiszpańskich w Ameryce Południowej rośli w siłę *libertadores*. Cienko przędli w swych posiadłościach i faktoriach Portugalczycy. Względnie mocno trzymali się Holendrzy w swoich Indiach Holen-

derskich. Anglicy cieszyli się postępami w Indiach, zdobyciem Delhi w 1803 roku i pokonaniem państwa Marathów oraz radowali smakiem herbaty z nowych plantacji na podbitym właśnie Cejlonie. Jej aromat wciąż jednak mąciła gorycz po utracie kolonii w Ameryce, zwłaszcza że nic jeszcze nie zapowiadało przyszłego rozkwitu Australii, gdzie właśnie zesłano, zakładając, że już nie wrócą, pierwszych skazańców z brytyjskich więzień.

Na początku wieku XIX kolonie z prawdziwego zdarzenia można było policzyć na palcach, a jednocześnie za morzami, w Azji i Ameryce, nie było już zbyt wiele terenów „niczych”. To znaczy, rzecz jasna, zamieszkanymi, ale tylko przez niepiśmiennych, paradujących nago krajowców. Jedynym, za to ogromnym lądem wciąż „należycie” niezagospodarowanym pozostawała Afryka.

Od trzech wieków europejskie statki mozolnie okrężały wybrzeża afrykańskie w drodze na wschód, ale mapy kontynentu, choć coraz dokładniejsze, niewiele się w istocie zmieniły. Kontur Afryki przypominał niedbale rzucony naszyjnik ozdobiony paciorkami europejskich osad i faktorii oraz pasemkami nielicznych wciąż skolonizowanych terenów nadbrzeżnych. Większość wnętrza kontynentu na południe od Sahary i na północ od kolonii holenderskich w Kraju Przylądkowym zajmowały jeszcze w połowie XIX wieku białe plamy lub wytwory fantazji kartografów. Nie widniały na mapach Wielkie Jeziora Afrykańskie i jezioro Czad, a rzeka Kongo znana była tylko w dolnym biegu. W ciągu paru następnych dekad białe plamy wypełniły się nową treścią, zarysami gór, krętymi liniami rzek i plamami jezior.

Nowy rozdział w dziejach kolonializmu zapoczątkowała Francja, która zapragnęła odbudować swe imperium na terenach bliższych i rokujących większe korzyści niż Kanada, którą Wolter nazywał „morgami śniegu”⁵². W 1830 roku Francuzi wylądowali w Algierii, lecz stłumienie oporu muzułmańskiej ludności zajęło im jeszcze kilkanaście lat. Dopiero w 1848 roku podbite ziemie włączone zostały do Francji jako jej, nominalnie, terytorium zamorskie.

Otwarcie w 1869 roku Kanału Sueskiego, dzieła Ferdynanda de Lessepsa było wielką manifestacją wielkości Francji i rosnącego znaczenia Egiptu. Dopiero wówczas Brytyjczycy uprzytomnili sobie, że szlak morski, skracający o połowę drogę do Indii, znajduje się w rękach odwiecznych rywali. O losie dawnego państwa faraonów zadecydowały pieniądze. W 1875 roku zadłużony na niebotyczne sumy jego władca, kedyw Ismail, sprzedał Anglikom egipskie akcje w spółce kontrolującej Kanał, dzięki czemu zostali oni obok Francuzów jego współwłaścicielami. Mimo to rok

później kraj zbankrutował, co wkrótce doprowadziło do buntu armii i wielkich zamieszek przeciw Europejczykom, przy czym około pięćdziesięciu z nich zabito. Były to, zdaniem obu mocarstw, powody aż nadto wystarczające do interwencji zbrojnej. Ostatecznie aneksji dokonali tylko Anglicy. W lipcu 1882 roku zajęli Aleksandrię, w sierpniu brzegi Kanału na całej długości, a we wrześniu pokonali buntowników w wielkiej bitwie pod Tel-el-Kebir. Okupacja przedłużyła się na dziesiątki lat, a Egipt stał się protektoratem brytyjskim – co unaocznia w atlasie brudnoróżowa barwa wypełniająca kontury jego granic.

Francuzi nie mogli przeboleć, że w przededniu inwazji odwołując do kraju swe okręty wojenne, pozostawili piramidy i Kanał w rękach brytyjskich rywali. Ich rozżalenia nie ukoili w pełni nawet inne, skądinąd imponujące zdobycze kolonialne w Afryce Północnej – Tunisz, dzisiejsza Tunezja, zajęta i po stłumieniu powstania ludności ogłoszona protektoratem w 1881 roku – oraz Maroko, podzielone między Francję a Hiszpanię w 1912 roku.

Włączenie w świat nowoczesnej cywilizacji zachodniej śródziemnomorskich i bliskowschodnich krajów muzułmańskich – o długich tradycjach państwowości, wrogiej chrześcijaństwu religii i ludności zaprawionej w bojach z Europejczykami – było zadaniem trudnym i wybitnie niewdzięcznym. Pociągało też za sobą wielkie niekiedy wydatki na korumpowanie rządzących elit i wymagało zwykle poważnego wysiłku militarnego. W trwającej kilkanaście lat wojnie o Maroko Francja i Hiszpania, aby pokonać waleczny lud Rifenów, musiały na przykład zmobilizować aż trzystutysięczną armię, wspieraną przez lotnictwo⁵³.

Inicjatywy kolonialne na wybrzeżach śródziemnomorskich prowadziły do stopniowego rozbioru Imperium Osmańskiego, do którego należały nominalnie praktycznie wszystkie terytoria północnoafrykańskie. Finalnym aktem był tu zbrojny zabór przez Włochy w 1911 roku dwóch ostatnich tureckich posiadłości afrykańskich, „wilajetów” Trypolitanii i Cyrenajki, dzisiejszej Libii. Włoska flota wojenna zatopiła kilka okrętów pod banderą osmańską oraz zagarnęła przy okazji parę wysp Dodekanezu, w tym Rodos i Kos.

W porównaniu z basenem Morza Śródziemnego Czarna Afryka przedstawiała się dla entuzjastów kolonizacji niezwykle przystępnie. Nad jej bezkresnymi przestrzeniami – pełnymi nieprzebranych, często nieznanymi jeszcze w Europie bogactw, z rządzoną przez niezliczonych królów, kacyków i naczelników ludnością nieobebraną z białymi i ich budzącym grozę uzbrojeniem – mogłyby od dawna, zdawało

się, powiewać flagi europejskich mocarstw. Ale choć w pierwszych wiekach zachodniej ekspansji całe zastępy czarnych wojowników pierzchały na huk wystrzału armatniego, to Europejczycy aż do połowy XIX wieku nie dążyli do powiększania swych afrykańskich posiadłości. Stała za tym racjonalna kalkulacja. Dóbr, których pragnęła Europa, a później Ameryka, niewolników, kruszców, kości słoniowej, dostarczali na wybrzeża kupcy arabscy i sami Afrykanie. Zatknięcie flagi nad odległymi sawannami i dżunglami z ich „dzikimi” mieszkańcami oznaczało raczej wydatki i kłopoty niż jakiegokolwiek korzyści, może poza sławą. Dopiero kapitalizm, postęp techniczny i powstanie nowoczesnego przemysłu poszukującego nowych surowców sprawiły, że Czarna Afryka zyskała znaczącą, niekwestionowaną wartość ekonomiczną. Pomimo to od jej podziału aż do czasu dekolonizacji spierano się, czy profity z posiadania kolonii rzeczywiście przewyższają koszty ich posiadania i utrzymania.

Z pewnością niejednen z władców europejskich pragnął do swych tytułów dołączyć godność króla któregoś z „krajów murzyńskich” choćby po to, aby ubiec konkurentów. Podbicie większych terytoriów w Afryce Subsaharyjskiej, a zwłaszcza trwałe nad nimi panowanie długo jednak, aż do rewolucji przemysłowej, przekraczało siły i możliwości Europejczyków. Biali reprezentowali w oczach tubylców nadprzyrodzoną niemal potęgę, gdy ich wielkie skrzydlate statki kotwiczyły u brzegów afrykańskich. Ale tracili ową nadludzką moc, kiedy tylko przekroczyli magiczną linię wyznaczoną zasięgiem armat okrętowych. W dżungli ich jednostrzałowe muszkiety nie zapewniały przewagi nad znacznie liczniejszym przeciwnikiem. Ekspedycjom wyprawianym wodą w górę rzek zagrażały z kolei lotne flotylle tubylczych piróg, które otaczały łodzie białych, zmuszając ich do rozpaczliwej obrony, często kończącej się klęską.

Istotne zasługi dla powstrzymania na setki lat kolonizacji Afryki miała też mucha tse-tse przenosząca zarazki śpiączki afrykańskiej. Czarnego Lądu broniły również komary zarażające niebezpiecznych przybyszów malarią, najrozmaitsi nosiciele żółtej febry i innych egzotycznych chorób, nieznanne w Europie pasożyty oraz straszliwy, doprowadzający białych do szaleństwa tropikalny klimat. Z owym ciężkim, cieplarnianym, wilgotnym upałem, jak twierdził Sienkiewicz, żyć się nie podobna: „[...] wydaje się, że całą naturę przejmuje smutek i strach przed niemiłosiernem słońcem, że żadna żywa istota nie śmie drgnąć i zataja oddech w piersiach, a owo słońce wyteża się jakby w złości i wypatruje tylko, kogo by zabić”⁵⁴. Ze swe-

go okna w szpitalu na Zanzibarze autor *W pustyni i w puszczy* mógł widzieć „wysepkę, na której się grzebią biali. [...] Śmierć szła od tej Wyspy Umarłych przez morze i pojawiała się nie w kirze, jak gdzie indziej, lecz w niezmiernym blasku, skutkiem czego w jej ciszy było więcej słodkiego smutku niż grozy”⁵⁵.

W pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku według danych brytyjskich z tysiąca białych, którzy ponad rok przebywali w Czarnej Afryce w owym „niezmiernym blasku”, umierała nieraz połowa – dwieście pięćdziesiąt–pięćset osób. W latach 1817–1836 notowano trzynaście zgonów na tysiąc w Gibraltarze, siedemdziesiąt pięć–osiemdziesiąt na tysiąc w Indiach i na Antylach oraz czterysta osiemdziesiąt na tysiąc w Sierra Leone⁵⁶. W następnych dekadach wieku, głównie dzięki wprowadzeniu do leczenia i powszechnemu stosowaniu chininy, liczba ta dla Afryki spadła do pięćdziesięciu na tysiąc białych. Jakkolwiek było to wciąż mniej więcej pięciokrotnie więcej od średniej dla samej Anglii, Czarny Ląd w pierwszych latach XX wieku nie był już ową posępną „trupiarnią”, o której mówił umierający podróżnik Linde w Sienkiewiczowskiej opowieści o Stasiu i Nel. Zresztą dzięki postępom medycyny, zwłaszcza odkryciom Pasteura i Kocha, wskaźnik zgonów w tropikach nadal spadał; w 1922 roku wynosił już mniej niż dziesięć na tysiąc⁵⁷.

Przełom w dziele podboju Czarnej Afryki dokonał się dzięki chininie i stali. Produkcja stalowni w krajach Zachodu wzrosła w latach 1861–1913 przeszło osiemdziesięciokrotnie. Z wysokogatunkowej stali, która zastąpiła żelazo, konstruowano nowe rodzaje maszyn, pojazdów i narzędzi, nowatorskie mosty i budowle, takie jak wieża Eiffla. I rzecz jasna – nowoczesną broń. Karabiny powtarzalne, czyli wielostrzałowe – jak legendarny amerykański Winchester – miały sześciokrotnie większy zasięg i ładowano je około dziesięciokrotnie szybciej niż jednostrzałowe. Stawiało to wszelkich „dzikich” na z góry straconych pozycjach, zwłaszcza że biali inżynierowie pracowali już nad bronią jeszcze bardziej śmiertcionośną: karabinem maszynowym. W 1874 roku karna ekspedycja brytyjska, którą wyprawiono na Kumasi, stolicę zrewoltowanego ludu Aszanti, wypróbowała w boju mitraliezy, czyli kartażownicę Gatlinga. Z takiej wielolufowej maszyny piekielnej – poprzedniczki karabinu maszynowego – można było wystrzelić dwieście–trzysta pocisków w ciągu minuty. Dzięki tej porażającej sile ognia wyprawa przeciw walecznym Aszanti, która dawniej byłaby z pewnością trudna i krwawa, kosztowała Anglików jedynie około pięćdziesięciu zabitych i rannych na dwa tysiące pięciuset wysłanych ludzi⁵⁸. W następnych latach brytyjskie wojska kolonialne uzbrojono w ciężkie karabiny maszy-

nowe systemu Maxima. Ta śmiertelna broń, która później, podczas I wojny światowej, pod Verdun i nad Sommą kładła pokotem całe bataliony, doskonale sprawdziła się w zróżnicowanych warunkach klimatycznych i terenowych podczas niezliczonych operacji pacyfikacyjnych i potyczek z buntującymi się ustawicznie ludami imperium.

Opatentowanie w 1884 roku i wdrożenie do produkcji doniosłego wynalazku sir Hiram Maxima – za swe zasługi otrzymał od królowej Wiktorii tytuł szlachecki – było dla rządów Europy jednym z sygnałów, że nadeszła długo oczekiwana chwila ostatecznego podziału świata między mocarstwa kolonialne. Społeczeństwa europejskie, trawione imperialną gorączką, ekscytowały się zwłaszcza zmiennymi kolejami „wyścigu o Afrykę”, czyli rywalizacji o to, która z potęg Starego Kontynentu zagarnie dla siebie największe i najbardziej wartościowe ziemie Czarnego Lądu. Nieskomplikowane zasady „Scramble for Africa”, które miały zapobiec chaotycznemu rozszarpywaniu terytoriów afrykańskich i napięciom w Europie, ustalono podczas specjalnie zwołanej w tym celu w 1884 roku konferencji w Berlinie. Zgodzono się, że mocarstwo, które ma lub nabędzie jakiś w miarę przekonujący tytuł do określonych terenów, zgłosi swe roszczenia na forum międzynarodowym i przy braku uzasadnionego sprzeciwu obejmie je w posiadanie. Za tytuł taki uznawano w szczególności „traktat” zawarty z afrykańskim królem czy pomniejszym nawet kacykiem. Na przełomie XIX i XX wieku Francuzi wynegocjowali z lokalnymi władcami dwieście czterdzieści cztery takie umowy, a działający w Kongu w imieniu króla Belgów Leopolda II słynny podróżnik Henry Stanley miał ich na koncie aż dwieście pięćdziesiąt siedem. Prócz tego po zainstalowaniu się w nowych koloniach mocarstwa zawierały między sobą dziesiątki porozumień o wytyczeniu granic, co trwało jeszcze do wybuchu wielkiej wojny w 1914 roku – wiele z wykreślonych wtedy na mapach linii istnieje do dzisiaj.

U schyłku *belle époque* ewolucja świata kolonialnego, jak sądzono, dobiegała kresu. Mapa globu przybrała – rzecz jasna w oczach społeczeństw Zachodu, beneficjentów i entuzjastów zamorskiej ekspansji – formę skończoną, niemal doskonałą, odzwierciedlającą „potęgę i żywotność białej rasy”. Pomimo że w ciągu następnego ćwierćwiecza zachodziły na niej poważne niekiedy zmiany – dokonany podział kwestionowano i korygowano – sam ład kolonialny wydawał się, jeśli nie wieczny, to co do zasady niepodważalny. W rzeczywistości w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku, gdy wielotysięczne tłumy zmobilizowane przez Ligę Morską i Kolo-

nialną demonstrowały nad Wisłą pod hasłem „Żądamy kolonii dla Polski” z nadzieją, że zamorskie posiadłości zapewnią krajowi lepszą przyszłość, system kolonialny chylił się już ku upadkowi. Mapy Afryki i Azji z 1939 roku dwadzieścia kilka lat później miały już tylko znaczenie historyczne. Warto jednak rzucić na nie raz jeszcze okiem ówczesnego entuzjasty polskich kolonii, na przykład szeregowego działacza Ligi, krzewiącego jej idee gdzieś w Płońsku czy Pińsku. Mapa polityczna kontynentu afrykańskiego zmieniła się w drugiej połowie wieku XIX dramatycznie. Ujęta w sieć nowych granic Afryka przybrała wygląd wielokolorowej mozaiki posiadłości kolonialnych. Tę całkowicie przeobrażoną mapę kontynentu można czytać jako swego rodzaju dokumentalną opowieść o jego podboju i ostatecznym podziale na przełomie XIX i XX wieku. Oto *Powszechny atlas geograficzny* Eugeniusza Romera, wydany przez Książnicę-Atlas, Lwów-Warszawa w 1938 roku. Dokument bardzo w tym przypadku à propos: dostała go przedwojenna gimnazjalistka jako nagrodę w konkursie, w którym należało wskazać najlepszą dla Polski kolonię i wybór ten uzasadnić. W poczuciu realizmu nie żądano od uczestników objaśnienia, w jaki sposób wejść w posiadanie owej idealnej kolonii.

Na początek wypada się zatrzymać nad mapami Azji, choć nigdy nie była ona przedmiotem żywszego zainteresowania polskich kolonizatorów, być może zdegustowanych ogromem trudów, jakie poniosły potęgi europejskie, aby podbić jej gęsto zaludnione kraje. Tak więc na Bliskim i Środkowym Wschodzie od czasu rozbioru Imperium Osmańskiego w następstwie I wojny światowej ziemie Libanu, Syrii, Palestyny okupują Brytyjczycy i Francuzi. Dalej – subkontynent indyjski, gdzie od czasu stłumienia powstania sipajów w 1859 roku twardą ręką rządzą Anglicy. Brudnoróżowy kolor przypisany przez kartografa posiadłościom brytyjskim wypełnia na mapie ogromny obszar, obejmujący oprócz Indii dzisiejszy Pakistan, Bangladesz, Sri Lankę, Birmę (Myanmar)... Suwerenny formalnie Syjam, czyli Tajlandia, podlega w rzeczywistości władzy Francuzów i Anglików, którzy podzielili się wpływami w tym baśniowo pięknym i bogatym kraju. Dalej na południe niemal do równika sięga zjadliwie różowy język Półwyspu Malajskiego, sąsiadujący z wyspami Archipelagu Sundajskiego, Sumatrą, Jawą, Borneo, Molukami, gdzie od stuleci prowadzą swą kolonialną pracę organiczną Holendrzy. Na Półwyspie Indochińskim kolor niebieski wyróżnia rozległe posiadłości francuskie. Zaprzepaściwszy swe szanse w Egipcie i Indiach, Francuzi, w tym zwłaszcza cierpiąca na kompleks niższości wobec Anglików francuska marynarka wojenna oraz śniący o rynku chiń-

skim lwońscy producenci tkanin, postanowili dowieść, że są wielkim narodem również na polu kolonialnym. W 1859 roku francuscy marynarze zajęli Sajgon w Kochinchinie, w 1873 roku Hanoi, a w 1885 okupowali Annam i Tonkin. W tym też roku, gdy Chiny, podpisując traktat z Tiencinu, zobowiązały się do ostatecznego wycofania swych wojsk z regionu, nad którym od tysiąca lat sprawowały opiekę i kontrolę, powstała Konfederacja Indochińska.

Francuskie Indochiny – Wietnam, czyli „dwa worki ryżu, Kochinchina i Tonkin, połączone kijem, Annamem”⁵⁹ oraz Laos i Kambodża – położone na progu Chin z ich legendarnie wielkim i chłonnym rynkiem, w sercu Azji Południowo-Wschodniej – w przededniu II wojny światowej wciąż są dumą i, rzec można, miłością Francuzów, najcenniejszym klejnotem ich imperialnych posiadłości. Sąsiadujące z nimi Chiny – od niemal stu lat ustępujące przed przemocą „zamorskich diabłów”, którzy podzielili je na strefy wpływów, poddane pełzającej okupacji, godzące się na powstawanie europejskich enklaw gospodarczych i baz wojskowych wyłączonych spod chińskiej władzy – stały się w 1937 roku przedmiotem otwartej agresji. Na krok ten odważyła się rosnąca w siłę Japonia. Trwająca właśnie niezwykle krwawa i okrutna wojna z Chinami ma Japończykom, którzy już wcześniej zaanektowali między innymi Koreę, Formozę (Tajwan), wyspy Riukiu oraz chińską Mandzurię, otworzyć drogę do stworzenia własnego imperium kolonialnego, obejmującego znaczną część Azji oraz Oceanię.

Najpoważniejszą w tym przeszkodą jest inne wschodzące mocarstwo kolonialne – Stany Zjednoczone. Na razie ofiarą Amerykanów stało się przede wszystkim zbankrutowane już skądinąd imperium hiszpańskie. W marcu 1898 roku Stany Zjednoczone poparły powstańców walczących z Hiszpanami na Filipinach, w maju ich flota pokonała eskadrę hiszpańską w Zatoce Manilskiej, a w sierpniu wojska amerykańskie zdobyły Manilę. Wydarzenia na Filipinach – tu trzeba odwrócić karty atlasu – były przy tym jedynie epizodem wojny amerykańsko-hiszpańskiej stoczonej na Morzu Karaibskim, głównie, jak przekonywano, aby zapobiec wyniszczeniu ludu Kuby, gdzie trwały walki partyzanckie tłumione przez Hiszpanów z bezwzględnością dawnych konkwistadorów. Jak wspominał Theodore Roosevelt, w owym czasie sekretarz Wydziału Marynarki USA, „hańbą było pozwalać dłużej na taki stan rzeczy” i dodając *en passant*, iż „mieliśmy na Kubie ważne interesy ze względu na cukier i cygara”⁶⁰. Obecnie, w przededniu wojny światowej, Filipiny są

kolonią amerykańską. Także na Kubie, formalnie niezależnej, niepodzielnie panują Amerykanie.

Z imperium hiszpańskiego, nad którym niegdyś słońce nigdy nie zachodziło, pozostał nędzny skrawek: kolonia Rio de Oro (Sahara Zachodnia), niemal bezludna część Maroka – mniej więcej dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych kamienistej pustyni. Lepiej podczas „Scramble for Africa”, powołując się na swe prawa historyczne, poradziła sobie Portugalia. Mocarstwa europejskie uszanowały, o dziwo, po części wolę papieża Aleksandra VI, który swą bullą *Inter caetera* oddał, jak pamiętamy, Portugalczynom całą Afrykę, i doceniły niezłomność portugalskich żeglarzy i kupców od czterech wieków handlujących lub walczących z krajowcami na brzegach Angoli i Mozambiku. Kiedy jednak ów mały i słabujący już wówczas kraj, rozochocony powodzeniem, zażądał jeszcze oprócz tych dwóch kolonii łączącego je terytorium późniejszej Rodezji, jego delegatów z miejsca odprawiono z kwitkiem. Ziemie, których włączenie w skład imperium brytyjskiego i zagospodarowanie było głównie dziełem Cecila Rhodesa, stanowiły bowiem część przyszłego pomostu, który w marzeniach Anglików miał połączyć kolonie brytyjskie od Kairu przez Wielkie Jeziora po Kapsztad. Plany te stały się rzeczywistością dopiero w latach międzywojennych. Na mapie z owego okresu różowa wstęga angielskich posiadłości – Egipt (formalnie niepodległy), Sudan, Kenia, Uganda, Tanganika, Rodezja, Związek Południowoafrykański – opasuje niczym pas słucki centralną i wschodnią Afrykę na całej jej południkowej długości, świadcząc dobitnie, że prawdziwymi panami kontynentu są Brytyjczycy. Strategiczną równowagę tej kombinacji zapewniają angielskie kolonie na wybrzeżu atlantyckim: Nigeria, Złote Wybrzeże (Ghana) i Sierra Leone. O ową równowagę zadbali także ze swej strony Francuzi, zajmując w końcu XX wieku Madagaskar na Oceanie Indyjskim.

Francja, zwłaszcza po niepowodzeniu w Faszodzie, skupiła wysiłki na nowych nabytkach i umacnianiu się w Afryce Zachodniej. Opanowanie regionu jeziora Czad, „zawiasu” czy też „obrotnicy” Czarnego Lądu, pozwoliło Francuzom połączyć poprzez pustkowia Sahary posiadłości w Maghrebie z koloniami na zachodnim wybrzeżu, między innymi Senegalem i Nigrem, oraz w Afryce równikowej, Gabonem i Kongiem Francuskim. Znaczną część tego ogromnego terytorium zajmują tajemnicze obszary pustyni. Przecinają je szlaki karawan dążących do legendarnej saharyjskiej stolicy Timbuktu i podniebne drogi samolotów pocztowych Antoine de Saint-Exupéry’ego i jego przyjaciół. W samotnych zaś pustynnych fortach w nieopisanym

skwarze i bezbrzeżnej nudzie czuwają kompanie Legii Cudzoziemskiej gotowe pokroić każdy bunt nomadów sceptycznych wobec kolonialnej władzy. Dalej na południu, poniżej niebieskiego bezkresu kolonii francuskich, biegnie rzeką Kongo granica Konga Belgijskiego. Ta wielka i niebywale bogata, jak się z czasem okazało, kolonia, rodzaj przepastnego worka w sercu kontynentu, ma krótką, ale nader osobliwą i zastanawiającą historię. Otóż gdy tylko pojawiły się pierwsze projekty podziału ziem afrykańskich, Leopold II, król Belgów – jeden z najprzebieglejszych, najbardziej chciwych i bezwzględnych monarchów europejskich, którego zbrodnicze rządy kosztowały Afrykę miliony ofiar – zawarł dzięki Stanleyowi, swemu agentowi, setki „traktatów” z miejscowymi władcami, uzyskując tytuły prawne do około dwóch milionów kilometrów kwadratowych w dorzeczu Kongo. Następnie zaś, występując jako osoba prywatna – „cóż za rozrywki ma ten monarcha”, dziwił się sarkastycznie Bismarck⁶¹ – uzyskał potwierdzenie swych praw własności na konferencji berlińskiej. Dopiero na rok przed śmiercią przekazał kolonię państwu belgijskiemu. Lecz czasy, gdy w chaosie „wyścigu o Afrykę” towarzyszącemu rozszarpywaniu Czarnego Lądu, o kolonialnych losach całych nieraz regionów przesądzała czasem energia jednostek – z polskiego i „ligowego” punktu widzenia – minęły. Tak się przynajmniej wydaje.

Im dokładniej przyglądać się mapom Afryki, Azji czy Ameryki, tym bardziej nie ma na nich polskich kolonii. Nie widać na nich także ziem niczyich, czyli rządzonych tylko przez tubylczych kacyków lub wodzów gotowych poddać się z miłą chęcią protekcji Rzeczypospolitej. Nawet archipelagi Pacyfiku, w tym wyspy całkiem małe, pokrywa kolorowa wysypka europejskich i amerykańskich posiadłości. Rzeczywistość przedstawiona na mapach od zwolenników kolonizacji w Polsce, którzy mentalnie czują się już wszak obywatelami mocarstwa kolonialnego, wymaga zatem naprawdę niezachwianej wiary oraz pozytywnego myślenia i wiedzy politycznej. Wiadomo przecież – z map nie da się tego wyczytać – że brytyjska Tanganika to dawna Niemiecka Afryka Wschodnia. Niemieckimi koloniami były także podzielony między Anglię i Francję Kamerun, Togo, Afryka Południowo-Zachodnia (Namibia), część Nowej Gwinei i spora liczba wysp na Pacyfiku. Brytyjczycy i Francuzi zarządzają nimi na podstawie mandatu Ligi Narodów. O korektach tymczasowego z założenia systemu mandatowego – z korzyścią dla państw kolonii jeszcze nieposiadających – mówi się niemal od chwili jego powstania. Anglia i Francja traktują te terytoria jak własne z dawien dawna kolonie i o jakichkolwiek zmianach słyszeć

nie chcą. To znaczy nie chciały. Obecnie jednak w Niemczech rządzą hitlerowcy, którzy nie tylko domagają się zwrotu kolonii, lecz także dążą do ich nowego podziału. Nie jest możliwe, niezależnie od tego, jak zakończą się targi o zamorskie posiadłości, by Polska pozostała z pustymi rękami – kalkulują działacze LMiK i związani z nią publicyści. Panuje przekonanie, że w kwestii kolonialnej dojdzie w najbliższym czasie do zasadniczych rozstrzygnięć.

Pierwszy stanowczy krok w tym kierunku uczyniły Włochy Mussoliniego, które we wrześniu 1935 roku najechały Etiopię, a w maju następnego roku ogłosiły jej aneksję. Na polskiej mapie z końca lat trzydziestych zamiast Etiopii widnieje już tylko oznaczona żółtym kolorem, podobnie jak Libia czy Somalia, Włoska Afryka Wschodnia. Włosi, dokonując podboju cesarstwa Etiopii – kraju o starożytnych jeszcze tradycjach państwowych, z ludnością w większości z dawien dawna chrześcijańską – nie powoływali się na żadne tytuły prawne, lecz po prostu na konieczność zdobycia terytoriów pod osadnictwo, dzięki któremu mieli zamiar rozwiązać problem agrarnego przeludnienia kraju. W kołach kolonialnych w Polsce – a kwestia „ludzi zbędnych” na wsi była u nas bardziej jeszcze paląca niż w Italii – przyjęto włoski projekt ze zrozumieniem, a nawet nadzieją. Oznaczał on bowiem, że nad oportunistycznym legalizmem Ligi Narodów górę biorą żywotne potrzeby silnych państw i narodów oraz ich wyrażająca się w czynach wola – nie tylko w krajach „murzyńskich”, lecz i w samej Europie. Wydawcy ostatniej edycji atlasu Romera zdążyli jeszcze przed oddaniem do druku wprowadzić w części nakładu poprawkę na mapie Polski, zakreślając grubą siną linią nowy nasz nabytek terytorialny – Zaolzie. W kołach ligowych spodziewano się, że podobne linie, granice polskich kolonii, pojawią się wkrótce na mapach Afryki czy Ameryki Południowej.

Rozdział III. Niech żyje king Sobieski!

Wieści o odkryciu Nowego Świata, zamorskich podbojach oraz przedziwnych ludach kolorowych, choć tak jak w całej Europie wywołały w Rzeczypospolitej niemałe poruszenie, nie pociągnęły za sobą żadnych istotnych następstw. Zainteresowanie dalekimi lądami sprowadzało się u nas jeszcze w XVIII wieku najczęściej do magnackich i królewskich ambicji, by mieć na swych dworach, dla splendoru i rozrywki, czarnych lokajów i kamerdynerów. Trafiali oni nad Wisłę czy Niemen jako jeńcy pojmاني w walkach z Turkami lub niewolnicy kupieni w Stambule, Lizbonie oraz Londynie. August II Mocny chlubił się całą „janczarską” kapelą złożoną z „Murzynów”, Afrykanie służyli też na przykład na dworach Jerzego Ignacego Lubomirskiego i Hieronima Radziwiłła. Stanowili rodzaj żywej dekoracji pospołu z „karłami hiszpańskimi”, bażantami i pawiami⁶². Zdarzały się jednak budujące przykłady pomyślnej integracji i awansu społecznego. Tak na przykład Andrzej Fredro „Trzymał sobie Murzyna, wielką osobliwość w tych czasach [w XVII wieku], zwłaszcza na Rusi, a ten Murzyn, który przejął miejscowe obyczaje i był graczem na szable, w burdach swego pana brał czynny i wybitny udział”⁶³.

*Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące,
My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali,
a nas burza nie odstrasza, ni szum groźnej morskiej fali*

– śpiewali piastowscy wojowie, gdy pod wodzą Bolesława Krzywoustego wyprawiali się zwycięsko na Pomorze, by odzyskać je dla Polski. Ta zawadiacka pieśń uwieczniona przez Galla Anonima rychło jednak poszła w niepamięć. W okresie rozbicia dzielnicowego Polska straciła dostęp do Bałtyku, by odzyskać go dopiero po wojnie z Krzyżakami w 1466 roku. Ale nikt już o morzu nie śpiewał. I niewiele o nim mówiono, jakkolwiek wielu naszych królów aż do czasów rozbiorowych planowało budowę floty wojennej, która mogłaby przeciwstawić się przynajmniej przy polskich brzegach panującym na Bałtyku Szwedom i Duńczykom lub Moskwie.

Zygmunt I Stary najał kilku kaprów do zwalczania pod polską banderą królewską żeglugi moskiewskiej. Niewielką flotę kaperską utrzymywali też Zygmunt Au-

gust i Stefan Batory. Zygmunt III Waza zdołał zbudować liczącą dziesięć okrętów regularną flotę wojenną. Eskadra ta odniosła w listopadzie 1628 roku słynną – może cokolwiek nad miarę – wiktorię pod Oliwą. Władysław IV, jedyny z naszych władców, któremu obecność Rzeczypospolitej na morzu na skromną, bałtycką chociaż skalę naprawdę leżała na sercu, wystawił w 1635 roku stałą flotę wojenną, która liczyła aż dwadzieścia jednostek. Wkrótce potem, w latach względnego pokoju, zdjęto z nich armaty i założono królewską kompanię handlową. W 1641 roku kompania upadła, a statki trzeba było sprzedać. Od tej pory Polskę reprezentował na morzu właściwie tylko Gdańsk.

Dopiero po pierwszym rozbiorze wśród światłych koncepcji ratowania kraju pojawiła się również oryginalna koncepcja nowej polityki morskiej. Zasługi reformatorskie miały tu przypaść księciu Karolowi Radziwiłłowi „Panie Kochanku”, najbogatszemu magnatowi w Rzeczypospolitej, wojewodzie wileńskiemu, który obiecał zbudować własnym sumptem za sześć milionów złotych port w litewskiej Połudzie. Książę, zatwardziały konserwatysta i szczerzy Sarmata, choć i podobno mason, rzecz poprowadził według mody oświeceniowej: zaczął od kształcenia młodzieży. W swych dobrach w Nieświeżu założył w 1776 roku – jak twierdził przy różnych okazjach – Radziwiłłowską Szkołę Majtków, która miała przygotowywać elewów do służby na morzu. Program nauczania obejmował nawigację, przedmioty ścisłe i aż sześć języków obcych. Zajęcia praktyczne prowadzono na dużych uzbrojonych w armatki wiwatówki szkutach, na ośmiu kanałach specjalnie w tym celu wykopanych nad rzeką Uszą. Do szkoły miało się zgłosić, jak twierdzili dworacy z Nieświeża, aż ośmiuset uczniów⁶⁴. Patriotyczne dzieło księcia, który swą fortunę przeznaczał zwykle na biesiady i festyny, zyskało mu wdzięczność i uwagę współczesnych, a zwłaszcza potomnych. O rodzących się wątpliwościach, na przykład o sensie kształcenia w litewskich puszczech tysięcy „majtków”, którzy mieli służyć w nieistniejącej jeszcze flocie, w czasach gdy Prusy zagarnęły właśnie polskie Pomorze i zablokowały Gdańsk – nikt nie dyskutował. Szkoła, o której słynący z fantazji książę chętnie i barwnie opowiadał, mogłaby być przykładem patriotycznej ofiarności i znakiem, że Rzeczpospolita zwraca się ku morzu... gdyby rzeczywiście istniała.

Według wielu badaczy jedynym „morskim” przedsięwzięciem wojewody było bowiem uzbrojenie rzecznych łodzi w wiwatówki. Uważał tak na przykład Jerzy Perdek, który stwierdzał przy okazji: „W konkluzji można podpisać się pod stwierdzeniem, że rzekomą szkołę morską w Nieświeżu powołali do życia przedstawiciele

dzisiejszej gdańskiej historiografii szkolnictwa morskiego”⁶⁵. Tak więc wielowiekowa, lecz nader uboga historia związków Rzeczypospolitej z morzem kończy się groteskowym epizodem, facecją, a właściwie jawną blagą, która zaczęła żyć własnym życiem ku niewątpliwej satysfakcji znanego z fanfaronady księcia „Panie Kochanku”. Przy całej swej bufonadzie nie wpadł wojewoda wileński na pomysł, by zdobyć dla kraju kolonię jakąś w Azji czy „krajach murzyńskich”. I bez tego jednak polska tradycja kolonialna, tak nikła, że niemal nieistniejąca, niekiedy ocierająca się o farsę, przypomina historię rzekomej szkoły majtków.

W XVII wieku, gdy Anglicy czy Holendrzy, ale także na przykład Szwedzi czy Duńczycy zakładali faktorie i kompanie handlowe w Azji i Nowym Świecie, Polacy po staremu uganieli się za Tatarami i Kozakami na Dzikich Polach. Rzeczpospolita była jedynym europejskim mocarstwem, które nie miało zamorskich kolonii i mieć ich wcale nie pragnęło. Była to skądinąd polityka całkiem racjonalna i przez masy szlacheckie pochwalana. Jedynie misjonarze, w szczególności jezuita, palili się do nawracania pogan za morzami. Tym Stefan Batory tłumaczył: „Nie zazdrościcie Portugalczykom i Hiszpanom obcych w Azji i Ameryce światów, są tu w pobliżu Indie i Japony w narodzie ruskim”⁶⁶. Na ziemiach Ukrainy brakowało wprawdzie tak cennionych „murzynów” i złota, ale czekały tam na zdobywców – zaledwie o dwa czy trzy tygodnie konno z Krakowa czy Wilna – niezmierzone obszary stepów, żyzne czarnoziemy i ukraińscy chłopcy, których można było uczynić poddanymi. Do końca I Rzeczypospolitej starodawna mentalność feudalna przeważała u nas nad bardziej jakoby postępową kolonialną. Na oceany nie ciągnęło nie tylko braci szlachty, ale także armatorów i kupców gdańskich. Przedkładali oni pewne od stuleci zyski z wywozu polskiego zboża nad dalekie zagraniczne awantury. Jednym z niewielu – a prawdopodobnie jedynym – przykładem zamorskiej ekspansji gdańszczan był ich znaczący udział w kolonizacji Afryki Południowej. Polscy żeglarze, którzy w początkach XVIII wieku emigrowali licznie do Europy Zachodniej, gdzie wstępowali najczęściej na służbę holenderską, stali się jednym z etnicznych załączków późniejszej społeczności burskiej⁶⁷. Statki z Gdańska pod własną flagą zawijały też od czasu do czasu do Indii, ale ich rejsy do Ameryki można policzyć na palcach.

Ostatecznie, jak wiadomo, Polska nigdy nie dorobiła się żadnej, nawet małej i gorszego sortu kolonii. Od czasów dekolonizacji zaniechaniem tym zwykle się chlubiono i uważano za atut w relacjach z krajami Azji i Afryki. Jednak w latach „wyścigu o Afrykę” oraz, zwłaszcza w dwudziestoleciu międzywojennym – a i dziś

ów żal i zawiedziony sentyment niekiedy wybrzmiewa – brak doświadczeń kolonialnych, podobnie jak morskich, przedstawiał się jako wstydliva słabość, przykład dziejowych pomyłek, prowincjonalizmu i indolencji naszych przodków.

Owemu deficytowi starano się zaradzić, sięgając po fakty historyczne, które tylko w nadzwyczajnej potrzebie dałoby się zaliczyć do polskiej tradycji kolonialnej. Jednym z zabiegów mających stworzyć podwaliny pod rodzimą klechdę kolonialną było zaliczenie do naszej spuścizny dokonań Kurlandii – krok mocno dyskusyjny, bo Księstwo Kurlandii i Semigalii, część dzisiejszej Łotwy, było tylko lennem Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Być może jednak to niewielkie państewko, liczące niepełna trzydzieści tysięcy kilometrów kwadratowych i zaledwie dwieście tysięcy mieszkańców, mogło być kluczem do zdobycia przez Polskę i Litwę zamorskich kolonii – i jedyną ku temu w miarę rzeczywistą okazją.

Księstwem stanowiącym rodzaj resztówki po władającym Inflantami zakonie kawalerów mieczowych rządili potomkowie ostatniego wielkiego mistrza, dynastia Kettlerów. Najwybitniejszym z rodu był przedsiębiorczy książę Jakub Kettler, panujący w Kurlandii przez ponad czterdzieści lat, do 1682 roku. Jak pisał o nim Władysław Konopczyński, „dziwny to meteor w ówczesnej Europie, [...] lennik ogromnego państwa, którego ostatnia flota wojenna gniła w tym właśnie momencie, gdy wstępował on na tron”⁶⁸. Choć terroryzowany przez Szwedów, wybudował kilkadziesiąt statków handlowych, utrzymywał agentów w kilkudziesięciu europejskich centrach, „snuł olbrzymie plany, handlował, przewoził, fabrykował, zawierał traktaty, obsyłał swoimi okrętami Gwineę i Brazylię”⁶⁹. W 1647 roku ten świetny *chevalier d'industrie et la navigation* przedstawił królowi Władysławowi IV pionierski w naszej części Europy i na pierwszy rzut oka niemal realistyczny projekt utworzenia kompanii handlowej, która działać miała w Indiach Wschodnich i Zachodnich.

Król nie podjął jednak tematu. Książę Jakub, choć zawiedziony, planów kolonizacyjnych, rzecz jasna, nie zamierzał porzucać. Wierzył w siebie i w Kurlandię. Kraj ten, przypominający wyrostek robaczkowy, szerszym swym końcem przylegał do morza i Zatoki Ryskiej, od południa graniczył z Litwą, a od północy ze szwedzkimi posiadłościami w Inflantach oraz od wschodu z Inflantami Polskimi. Rządzony z głową i konsekwencją na wzór Holandii, miał z pewnością zadatki na państwo nowoczesne i zdolne do ekspansji kolonialnej, na kieszonkową raczej oczywiście skalę. Jego oknami na świat były dwa niewielkie, ale ruchliwe porty w Windawie i Lipawie.

W sierpniu 1651 roku wypłynął z Windawy książęcy okręt „Walfisch”. Z końcem października Kurlandczycy dowodzeni przez Joachima Denigera dotarli do ujścia rzeki Gambia, gdzie korzystnie nabyli od tubylców kilka strategicznie położonych skrawków lądu. Dzięki tym nabytkom – były to Wyspa Świętego Andrzeja położona w górze rzeki kilka mil od oceanu i sąsiadujący z nią teren na stałym lądzie, wyspa Banjul, na której leży dziś stolica Gambii, oraz nadrzeczny pas lądu długości kilkudziesięciu mil w kraju Gassan – mocno usadowili się na brzegach afrykańskich. Na Wyspie Świętego Andrzeja z kamienia zwiezonego z Europy wybudowali czterobastionowy fort, siedzibę gubernatora, a zarazem faktorię handlową. Wkrótce ku satysfakcji obu stron ruszył handel – wyroby metalowe, tkaniny i szklane paciorki wymieniano na złoto, kość słoniową, pieprz i masło palmowe. Oraz na niewolników, których sprzedawano z okazałą marżą do Indii Zachodnich. Znad Bałtyku przybywali na Wyspę Świętego Andrzeja osadnicy, rzemieślnicy i chłopci, skuszeni obietnicą uwolnienia z poddaństwa. Kolonia rozkwitała – z powodzeniem, dzięki niezrównanym czarnym nurkom poławiano u ujścia Gambii nawet perły – do czasu gdy lenna zależność od Rzeczypospolitej sprowadziła na Kurlandię nieszczęście. W czasie potopu Szwedzi spustoszyli neutralne formalnie księstwo i w 1658 roku uwięzili jego władcę. Zanim po dwóch latach odzyskał wolność, ujściem Gambii „zaopiekowali się” po swojemu Holendrzy, a później Anglicy.

Żądania zwrotu kolonii nic, rzecz jasna, nie dały poza zgodą Anglików na kolonizację przez Kurlandczyków Tobago, niewielkiej karaibskiej wyspy sąsiadującej ze znacznie większym hiszpańskim Trynidadem, z którym dziś tworzy wspólne państwo. Objęcie w posiadanie wyspy, którą Kettler odkupił prawdopodobnie w 1652 roku od jednego z brytyjskich admirałów, miało być pierwszym krokiem ku urzeczywistnieniu imponujących planów podbicia przez Kurlandię ogromnych obszarów Ameryki Południowej. Udziałowcem w owym przedsięwzięciu miał być tym razem oprócz nowego króla polskiego Jana Kazimierza sam papież Innocenty X. Rzeczypospolitej przypadłyby tereny obecnej Gujany i północnej Brazylii, Kurlandii dzisiejsza Wenezuela i spora część Kolumbii, a papieżowi tereny Brazylii na południe od równika. Jak wyliczył Kettler, wspólnicy pod przewodem Kurlandii potrzebowali na to około trzech–czterech milionów talarów, floty liczącej czterdzieści okrętów wojennych oraz dwudziestu czterech tysięcy żołnierzy i marynarzy. Bezowocne pertraktacje, toczone się w cieniu wojny z Kozakami, trwały aż do śmierci

Innocentego X w 1655 roku. Ale księżę Jakub nie czekał, rzecz jasna, na ich szczęśliwe zakończenie.

W maju 1654 roku u brzegów Tobago zakotwiczył okręt wojenny „Herzogin von Curland”, ze stu kurlandzkimi żołnierzami i osiemdziesięcioma rodzinami kolonistów na pokładzie. W ciągu paru lat osiadło w „Nowej Kurlandii” dwanaście tysięcy osadników znad Bałtyku, powstały twierdza Fort Jacobus, miasto Jacobus-Stadt i port Casimirshafen, ku czci suzerena Kurlandii, który – jak się spodziewali koloniści – wesprze w końcu ich zamorską placówkę jako po trosze jej zwierzchnik. Wkrótce na Tobago założono intratne plantacje trzciny cukrowej, na których zatrudniono czarnych niewolników sprowadzonych z bratniej Gambii⁷⁰. Prosperity trwała zaledwie cztery lata. Po tym, jak Szwedzi aresztowali władcę Kurlandii, przez następne ćwierć wieku o wyspę toczyli boje Holendrzy, Anglicy i Francuzi. Ostatecznie jednak zwycięsko wyszła z tej konfrontacji inna, nowa potęga – przesławni karaibscy piraci, zwani kurtuazyjnie flibustierami. Przez następne sto lat, niemal do końca XVIII wieku wyspa była złowrogim pirackim gniazdem.

Na dawnej Wyspie Świętego Andrzeja w Gambii zachowały się jeszcze pozostałości kamiennych murów fortu wzniesionego przez kolonistów, a na Tobago – szczątki Fort Casimir oraz nazwa Great Courland Bay, Zatoka Kurlandzka. Pozostała też nierozstrzygnięta, lecz niezbyt zajmująca kwestia: czy kolonie wasała są też koloniami seniora, co mogłoby oznaczać, że Rzeczpospolita była państwem kolonialnym, choć jakby „z drugiej ręki”. Wydaje się, że – na szczęście, choć wielu powiedziałoby „niestety” – nie była. Kolonialne imprezy Jakuba Kettlera organizowane były bowiem wyłącznie na własny rachunek i odpowiedzialność Kurlandii.

Do szeregów polskich prekursorów kolonialnych działacze i publicyści LMiK wcielili natomiast bez wahania Maurycego Beniowskiego, którego mieszkańcy Madagaskaru obrali w XVIII wieku cesarzem. Według legendy, opowiadanej niegdyś w ciemne tropikalne wieczory przez starych Malgaszów, w żyłach Maurycego Beniowskiego krążyła święta krew dynastii Raminich. Konkretnie, twierdzono, był on synem naturalnym pewnego cudzoziemca i córki ostatniego cesarza Madagaskaru Laryzona Ramini. Mając na uwadze fantastykę biografii Beniowskiego i tajemniczą zmienność jego losów, nie sposób wykluczyć z całą pewnością nawet jego domniemych zamorskich korzeni. Jednak według faktów potwierdzonych dokumentami i relacjami ojcem Maurycego Augusta barona Beniowskiego był Samuel Benioyi, generał w służbie austriackiej, a matką Róża baronówna de Ravay. Maurycy urodził

się w 1741 roku pod Tatrami, po ich słonecznej południowej stronie, w węgierskiej wówczas, a dziś słowackiej wiosce Vrbov. Jego rodzina ze strony ojca związana była z Polską od czasów Łokietka, rodzony zaś stryj piastował godność starosty, czyli dzierżawcy dóbr królewskich na Litwie.

Młody Beniowski po śmierci stryja osiadł w odziedziczonym majątku na Litwie i zmienił nazwisko na Beniowski. Wiejskie bytowanie na kresach urozmaicał sobie nauką żeglarstwa w Gdańsku oraz rejsami do Hamburga, Amsterdamu i Anglii. Ale ekscytującą odmianę przyniosło mu dopiero przystąpienie do konfederacji barskiej, podczas której jako pułkownik mężnie – czego dowodzi siedem ran odniesionych od kul, szabli i pik oraz jedna od odłamka kartacza – stawał i dowodził. Ranny dostał się do carskiej niewoli, gdzie niezwłocznie przystąpił do rosyjskiego spisku przeciw Katarzynie II. Wprawdzie sąd uznał ów zarzut za niedowiedziony, ale, jak w tym specyficznym kraju nieraz bywa, po paru dniach wsadzono go nocą do kibitki i wysłano bez wyroku na wschód – najdalej, jak się dało. Podróż na Kamczatkę pod konwojem trwała równo rok.

W kolonii zesłańców politycznych w Bolszeriecku Beniowski z miejsca zorganizował spisek i wystąpił zbrojnie przeciw nadzorcom. Pół roku po przybyciu na Kamczatkę był człowiekiem wolnym, przywódcą kilkudziesięciu zaufanych towarzyszy i komendantem zdobycznego statku „Święty Piotr i Paweł”. Do tego panem, wprawdzie samozwańcym, nie tylko miasteczka, lecz także całej Kamczatki. Na początku maja 1771 roku statek podniósł kotwicę i wyruszył w długi, jak się okazało, rejs, podczas którego „szlachcic polski i węgierski”, syn dwóch z gruntu lądowych narodów, odkrył swe życiowe powołanie – kolonizację zamorskich lądów.

„Święty Piotr i Paweł” pod polską banderą dotarł do Wysp Japońskich, gdzie załogę przyjęto z wielką rezerwą. Dopiero na wyspie Oshima, zamieszkałej przez ludzi mówiących po chińsku, dobrodusznym i cywilizowanym, udało się żeglarzom nawiązać przyjacielskie i partnerskie stosunki. Beniowski obiecał sobie wrócić na nią i pod protekcją któregoś z mocarstw założyć europejską kolonię. Na początek podpisał traktat, w którym wyspiarze przyrzekli przydzielić mu potrzebną na ten cel ziemię. Podobny traktat, a właściwie alians zawarł z niezależnym królem połowy Formozy (Tajwanu), którego wsparł na polu bitwy z władającym drugą częścią wyspy miejscowym rywalem, lennikiem i stronnikiem Chin. Kroki te otwierały przed baronem nadzwyczajne perspektywy.

W Paryżu, gdzie dotarł zimą 1772 roku, kawalerska ucieczka z carskiej niewoli i pełna zadziwiających przygód eskapada na dalekich chińskich morzach zjednały mu licznych wielbicieli i wielbicielki oraz przychylność królewskich ministrów. Przyznano mu więc bezzwłocznie rangę pułkownika. O kolonizowaniu wysp na Pacyfiku biurokraci Ludwika XIV nie chcieli słyszeć. Dostrzegano jednak, czy też domyślano się nieprzeciętnych kwalifikacji kolonizatorskich młodego cudzoziemca. Były one rzeczywiście wybitne – niezwykły zmysł organizacyjny, zdolności wojskowe, odwaga, nieugięta siła woli, wytrwałość, niesłychana ambicja, ogromna ciekawość świata, nawyk chłodnej kalkulacji połączony z fantazją graniczącą z szaleństwem. Do tego konieczna doza bezwzględności i okrucieństwa oraz predylekcja do intryg, podstępów i najrozmaitszych, nie zawsze godziwych machinacji... Sto lat później dzięki tym niepospolitym talentom zdobyłby z pewnością dla Europy, a może w ostatecznym rachunku Polski czy Węgier rozległe kolonie w Azji i Afryce. W swoich czasach pozostał jednak kolonialistą niespełnionym.

W lutym 1774 roku Beniowski we francuskim mundurze wylądował w zatoce Antongila na wschodnim wybrzeżu Madagaskaru. Przywiózł z sobą patent na gubernatora wyspy, „korpus” wojska w sile trzystu żołnierzy i promesę kredytów na kilkaset tysięcy liwrów. Terytorium, na którym miał rządzić, należało dopiero zdobyć. Pierwszym, niebezpiecznym i zdrażliwym przeciwnikiem okazali się gubernatorzy sąsiednich wysp Île-de-France (Mauritius) i Île-de-Bourbon (Reunion). Kolonizacja wielkiej pobliskiej wyspy zagrażała im zapaścią gospodarczą, sabotowali zatem notorycznie zarządzenia z Paryża.

Również miejscowe plemiona kontestowały jego władzę, lecz baron – zmuszając do uległości słabszych, a silniejszych zręcznie szcując na siebie – w niedługim stosunkowo czasie zdołał buntowników spacyfikować. Natomiast najgroźniejszych, walecznych Sakalawów – mając już ponad cztery tysiące regularnych żołnierzy i przeszło dziesięć tysięcy sprzymierzonych wojowników – pobił w krótkiej wojennej kampanii. Niemało trudu włożył też w rozbudowę infrastruktury kolonii i popieranie jej rozwoju gospodarczego. Z dała od wybrzeża – gdzie wszyscy biali chorowali na malarię, którą leczono wówczas wodą z octem – na Równinie Zdrowia wybudował dwa forty i połączył je czterdziestokilometrową drogą z Louisbourgiem. Ziemię wzdłuż niej przydzielił francuskim kolonistom pod uprawę bawełny, trzciny cukrowej, tytoniu i indygowców. W drugim roku po założeniu kolonii gubernator wysłał do Wersalu spisany na pergaminie bilans, według którego koszty inwestycji

w zdobycie i zagospodarowanie Madagaskaru (tysiąc sto czterdzieści jeden tysięcy liwrów) w sporej już części (czterysta czterdzieści tysięcy) pokryto z dochodów kolonii. Korzystny wynik finansowy kolonia zawdzięczała między innymi pewnym intratnym dostawom, o których gubernator wspominał krótko: „Dostarczono Wyspie Francuskiej w niewolnikach – 161 417 liwrów”⁷¹.

Włodarze sąsiednich kolonii nadal jednak szkodzili mu, jak mogli, śląc donosy do Paryża i rozpuszczając plotki, że będzie wkrótce odwołany. „Jedna tylko moja zguba nasycić ich mogła” – wspominał w pamiętnikach⁷². Wobec takiego rozwoju wydarzeń powziął Beniowski myśl, by porzucić służbę francuską i – korzystając z famy o swoim cesarskim rodowodzie – przyjąć koronę niezawisłego Madagaskaru. „Tak daleko zapaliła się ma głowa, iż jużem przeglądał w przyszłości potężne ode mnie w owych stronach założone państwo, a rząd jego zasadzony na narodowej wolności”⁷³. Nastroje ludności sprzyjały takim planom. Jakkolwiek gubernator rządził twardą ręką – uciekając się często do konkretnych kar w rodzaju przepędzania pod różgami, batogów i przykuwania do taczek – Malgasze służyli mu wiernie⁷⁴. W połowie sierpnia 1776 roku wodzowie z całej wyspy wezwali go do objęcia dziedzictwa ostatniego „ampansakaby”, czyli przejęcia władzy i przyjęcia tytułu cesarza Madagaskaru. Wkrótce potem gubernator złożył dymisję na ręce przybyłych z Francji komisarzy królewskich, a następnie niczym na polu elekcyjnym na Woli stanął przed zabranym w Louisbourgu trzydziestotysięcznym tłumem – wielkim „kabarem” wyborczym. Ubrany w powłóczystą białą szatę malgaskich dostojników, składał i odbierał przysięgi od przywódców każdej z klas wyborczych, co potwierdzano wzajemnym wysysaniem ran zadanych brzytwą na ramieniu. Następca cesarza Laryzona z miejsca zabrał się do reformowania kraju, zreorganizował wojsko, planował utworzyć ministerstwa i przeprowadzić nowy podział terytorialny wyspy. Potem zaś wyprawił się do Francji, zamierzając jako władca niezawisłego niemal państwa zawrzeć z Ludwikiem XVI jakiś rodzaj traktatu sojuszniczego.

Francuzi z tej okazji nie skorzystali, choć obdarzyli go tytułem hrabiowskim i mianowali generałem. Następne lata ampansakaba spędził w daremnym poszukiwaniu zajęć i celów na miarę swych ambicji i możliwości, zabiegając o poparcie w sprawie Madagaskaru – w Anglii, Austrii a w końcu, wreszcie z powodzeniem, w Stanach Zjednoczonych. W lipcu 1785 roku z pokładu statku „l’Interpide” – zakupionego przez spółkę utworzoną w Baltimore i płynącego pod banderą amerykańską – Beniowski znów ujrzał Madagaskar. W drodze z zachodniego na wschodnie

wybrzeże towarzyszyły mu nieprzebrane tłumy krajowców, oddając mu cześć należną monarsze. W ciągu niewielu miesięcy Beniowski odtworzył dwór i wojsko, pobudował nową stolicę Mauritanie i podporządkował sobie francuskie faktorie na wyspie. Swe listy do francuskich gubernatorów podpisywał „Maurycy August, z łaski Bożej ampansakaba Madagaskaru”.

Wiosną 1786 roku Francuzi uznali ostatecznie, że Beniowski staje się niedopuszczalnym zagrożeniem dla ich interesów. O świcie 23 maja sześćdziesięciu żołnierzy francuskich pod komendą kapitana Larchera wylądowało w pobliżu Mauritanii. Po paru godzinach marszu przez dżungłę ujrzeli przed sobą osadę z fortem otoczonym palisadą i obszernym domem ampansakaby. Na jego progu stał sam Beniowski. Natychmiast rozgorzała walka, w której obrońcy, choć zaskoczeni, mieli wszelkie szanse na zwycięstwo. Lecz los zrzucił inaczej: „ujrzałem Beniowskiego, który strzelił do nas z karabinu i opuścił go zaraz do ziemi, podnosząc swą lewą rękę do serca, a prawą naprzód w naszą stronę, [...] już konał. Kula przeszła mu pierś z prawej strony do lewej”⁷⁵ – napisał w raporcie Larcher.

Celnie wymierzona, a może tylko zabłąkana kula zakończyła barwne życie szlachcica polskiego i węgierskiego, ampansakaby Maurycego Augusta Beniowskiego. Nie wiadomo, czy i jak jego śmierć mogła wpłynąć na dzieje Madagaskaru. Przeważa zdroworozsądkowy pogląd, że gdyby Beniowski nie zginął, to i tak nie ostałby się zbyt długo na wyspie: „[...] Francja, także rewolucyjna, szybko upomniałaby się o Madagaskar. A już na pewno uczyniłby to Napoleon. Albo na zamecie we Francji skorzystałaby Anglia, usuwając z Madagaskaru nawet nie potomka, lecz wprost samego hrabiego”⁷⁶. Jednak niektórzy autorzy nie oparli się pokusie daleko idących spekulacji. Tak na przykład Lepecki sądził, że gdyby hrabia przetrwał jeszcze dwa lata, „Francja nie byłaby już potem nigdy mogła z Madagaskaru go wypędzić i dzisiaj, być może, jego potomek władałby tą wyspą jako swoim prawnym dziedzictwem”⁷⁷. Trzeba przyznać, że istnieją pewne argumenty, że taka ewentualność nie była całkowitą iluzją. Madagaskar nie zaliczał się do typowych „krajów murzyńskich”, zamieszkiwała go zmieszana z Afrykanami ludność pochodzenia malajsko-polinezyjskiego z relatywnie silnymi tradycjami państwowymi, które w XIX wieku umożliwiły zjednoczenie wyspy jako monarchii. Rządzona przez kolejnych królów i królowe, pod wieloma względami przypominała Abisynię, a ostatnia władczyni, uparcie odrzucająca dobrodziejstwa francuskiego protektoratu – choć ubierająca się zawsze według ostatniej paryskiej mody – piękna Ranava-

lona III cieszyła się w Europie sporą popularnością i poparciem. Francja, z drugiej strony, w czasach Beniowskiego traciła właśnie swe kolonie – Indie, Kanadę i sprzedaną przez Napoleona Luizjanę. Dała się nawet pobić powstańcom na San Domingo. Dopiero w drugiej połowie XIX wieku zaczęła odbudowywać zamorskie imperium, przy czym Madagaskar broniący twardo swej niezawisłości był szczególnie trudnym wyzwaniem dla francuskich kolonizatorów. W ich rękach znalazł się dopiero u progu XX wieku. Gdyby Beniowski rzeczywiście zdołał umocnić swe panowanie i zjednoczyć kraj – choć to bardziej jeszcze ryzykowne założenie niż indolencja Francji – nowa dynastia z europejską genealogią, zasilana przez fachowców i osadników z Europy, mogłaby może przetrwać i rządzić państwem formalnie przynajmniej niezależnym. Rozumieć się samo przez się, iż takie konfabulacje cieszyły się u nas sporym powodzeniem – że wolny Madagaskar z racji zadawnionych sentymentów i szacunku dla ojczyzny sławnego ampansakaby oddałby się bezwzględnie w opiekę II Rzeczypospolitej albo przynajmniej przyznał potomkom Sarmatów jakieś niebywałe przywileje.

Do historii polskiej myśli kolonialnej zaliczono też w dwudziestoleciu nowatorski plan utworzenia Nowej Polski Niepodległej na antypodach, z którym wystąpił w 1871 roku Piotr Aleksander Wereszczyński. Kapitalne znaczenie miał odegrać w nim element zaskoczenia. Ostateczny cel statku z pierwszymi osadnikami, który z jednego z europejskich portów wyruszyłby na morza południowe, zamierzano do końca utrzymać w tajemnicy. Dopiero po założeniu osady na upatrzonej wyspie polscy pionierzy wezwaliby któreś z mocarstw do uznania niepodległości kolonii. Ponieważ miałyby ona powstać na Nowej Gwinei, spodziewano się, że honor ten przypadnie Anglii. Oraz że Zjednoczone Królestwo uczyni to z ochotą, widząc w Nowej Polsce parawan osłaniający przed obcymi zakusami – na przykład rosyjskimi – Australię. Autor projektu rozważał z początku jako przyszłą polską siedzibę narodową dwie inne wyspy w sąsiedztwie – Nową Irlandię, a zwłaszcza mającą powierzchnię sporego województwa Nową Brytanię. Ale ostatecznie pozostał przy koncepcji, by kolonię ulokować na drugiej co do wielkości wyspie świata. Był to wybór zrozumiały, gdy wziąć pod uwagę, że przewidywał przesiedlenie na drugą półkulę, oczywiście sukcesywnie, większości – a może nawet wszystkich Polaków.

Wizjoner, który wskazał rodakom, jak wyzwolić się bez przelewu krwi spod władzy zaborców, wywodził się ze szlachty kurlandzkiej, z rodziny pieczętującej się herbem Korczak. Jego ojciec był adiutantem króla Stanisława Augusta, a on sam

w młodości służył w wojsku rosyjskim. Później życiową pasją Wereszczyńskiego stała się, jak w przypadku jego sławnego ziomka Jakuba Kettlera, geografia zamorska. Wiele podróżował i choć mieszkał w Petersburgu, pogłębiał stale swój „wyższy patriotyzm” – „namiętność najwyższą, poświęcającą się dla dobra swego społeczeństwa i nieoszczędzającą ani swego mienia, ani życia dla utrzymania lub zdobycia niepodległości ojczyzny”⁷⁸. Po powstaniu styczniowym utwierdził się ostatecznie w przekonaniu, że Polacy nie są w stanie zbrojnie wywalczyć niepodległości. Jednocześnie sprzeciwiał się idei pracy organicznej jako prowadzącej do kolaboracji i wynarodowienia. Był na przykład przeciwny budowaniu kościołów i zakładaniu muzeów oraz innych instytucji naukowych na ziemiach polskich. Uważał bowiem, że jest to oddawanie narodowych pamiątek wrogowi, który zabierze je dla siebie. Należało zatem wyprowadzić rodaków z domu niewoli, znad Wisły i Warty, przebyć oceany i ulokować ich w nowych całkiem warunkach geopolitycznych, z dala od wrogich sąsiadów. Swój brawurowy, przemyślany w każdym detalu projekt przedstawił z rzeczowością i ujmującą prostotą właściwą emerytowanemu wojskowemu.

Tak więc pierwsi koloniści w liczbie od pięciuset do tysiąca mieli kupić od Papuasów ziemię pod budowę kilku ufortyfikowanych osad rolniczo-handlowych, które stałyby się załączkami miast. Każdemu z osadników przydzielono by grunty rolne o jednakowej powierzchni. W Nowej Polsce mogliby zamieszkać co do zasady tylko etniczni Polacy. Ponadto w niewielkiej liczbie przedstawiciele narodów pozbawionych państwa: Czesi, Słowacy, Łużyczanie, Irlandczycy, a nawet – powody nie są tu jasne – Szwedzi i Belgowie. Imigracja Niemców, Rosjan i Żydów byłaby natomiast zabroniona⁷⁹. W Nowej Polsce zamierzał Wereszczyński ustanowić republikę z prezydentem i powszechnym prawem wyborczym przysługującym wszystkim, w tym kobietom, lecz z wyłączeniem tych mieszkańców, którzy nie zdaliby egzaminu po ukończeniu obowiązkowej szkoły elementarnej. Taki „niedołęga umysłowy” nie mógłby się także ożenić i rozporządzać swą własnością. Wereszczyński pisał kategorycznie w jednym z listów: „Kto do lat 20 wieku nie nauczy się czytać, pisać, rachować, krótkiej geografii ogólnej i polskiej oraz krótkiej historii świętej z katechizmem i historii polskiej, ten widocznie jest idiotą, więc jako taki powinien pozostać pod opieką i w celibacie, aby nie rozpładzać jakichże idiotów, nim się nie wyuczy wymaganych nauk, a tymczasem ma służyć parobkiem”⁸⁰.

Eskapistyczna koncepcja Wereszczyńskiego – tu „eskapizm” odnosi się do XIX-wiecznej myśli politycznej proponującej ludom bez państwa przeniesienie całości bądź części narodu w inne miejsce na świecie dla ocalenia języka i tradycji⁸¹ – nie spodobała się jego współczesnym. Urzeczywistnienie pierwszego etapu inwestycji w Nową Polskę wraz z zakupem parostatku miało kosztować dwieście dwadzieścia siedem tysięcy rubli, sumę umiarkowaną, odpowiadającą, jak pamiętamy z *Lalki* Prusa, wartości trzech kamienic w Warszawie. Jednak kolejni ówczesni politycy, finansisci i inne osoby publiczne – w tym Władysław Czartoryski, przywódca Hotelu Lambert, Aleksander Kurtz, dyrektor Banku Galicyjskiego i Józef Ignacy Kraszewski – odmawiali poparcia zarówno moralnego, jak i materialnego. Najgorzej poszło Wereszczyńskiemu w zaborze pruskim, gdzie po prostu został zakrzyczany podczas odczytu w Toruniu⁸². Ignorowała go również prasa, nic więc nie wyszło z pomysłu, aby każdy z Polaków wpłacił po dwie kopiejki na przyszłą kolonię. Jak przyznał jeden ze zwolenników eskapizmu, projekt Wereszczyńskiego „pomiędzy inteligencją polską wcale nie cieszy się powodzeniem, a reakcją na niego jest obojętność, pogarda, a nawet szykanowanie”⁸³. Najprawdopodobniej jedynym w kraju entuzjastą planów nowogwinejskich, gotowym poświęcić się sprawie, był Józef Mączewski, skromny, lecz przedsiębiorczy urzędnik sądowy z Radzimina, który domagał się publicznie niezwłocznego wyznaczenia daty wyruszenia na antypody i rozpoczęcia przygotowań.

Z większą przychylnością powitała plan Polonia w Stanach Zjednoczonych, być może i dlatego, że Wereszczyński uchodził tam bezpodstawnie za milionera. Jednak Julian Horain, dyrektor zrzeszającego coraz liczniejszych w tym okresie polskich emigrantów Towarzystwa Zjednoczenia Polaków w Ameryce, nie godził się na „projekt wyspowo-oceaniczny” z uwagi na równikowy, zabójczy dla Europejczyków klimat Nowej Gwinei i napady piratów oraz znaczną liczbę mieszkających tam „dzikich”. Horain proponował, by kolonię założyć na słabo zaludnionym Półwyspie Kalifornijskim – w Meksyku. Do przyznania autonomii polskiej osadzie mieli nakłonić władze tego kraju wpływowi meksykańscy rodacy, także za pomocą łapówek przewidzianych w budżecie przedsięwzięcia. Taka opcja przekreślałaby, rzecz jasna, koncepcję Wereszczyńskiego, którego celem było utworzenie Nowej Polski Niepodległej. Kiedy się okazało, że nie ma zgody co do tego, kto i jakie pieniądze ma na początek wyłożyć, sprawa upadła.

Idee eskapistyczne dotarły także do Polonii syberyjskiej. Autorzy obszernego „Listu z Tomska” – lekarz Dionizy Romanowski i Bronisław Szwarce, jeden z głównych organizatorów powstania styczniowego⁸⁴ – opowiadali się za ulokowaniem autonomicznych osad polskich na terytorium któregoś z państw federacyjnych, a nawet mocarstwa niechrześcijańskiego. Wskazywali Chile i Argentynę, w szczególności Patagonię – z uwagi na umiarkowany klimat i wielką liczbę dzikich koni – oraz na stepy środkowoazjatyckie, oraz wyżyny Tybetu, gdzie mogłoby powstać wolne niemal państwo pod ogólnym zwierzchnictwem cesarza chińskiego. Zwolennikiem Patagonii był też radykalny eskapista z guberni siedleckiej Kazimierz Zaliwski, który chciał, by polska kolonia stała się Spartą „w duchu wieku XIX”. Jak wyjaśniał: „Całe dążenie rządu Nowej Polski miało być skierowane ku temu, aby w osadzie wyrobić jak największą potęgę w celu odparcia ewentualnego ataku”. Każdy mężczyzna niezależnie od jego „zdolności naukowych” miał być wedle jego planu rzemieślnikiem, a oprócz tego także dobrze wyszkolonym żołnierzem⁸⁵.

Starzejącemu się Wereszczyńskiemu nie udało się przekonać rodaków do Nowej Gwinei. Zmarł w 1879 roku, a wraz z nim upadła idea narodowego exodusu. Dwa lata później „pewien młodzieniaszek” – jak go protekcjonalnie, lecz zgodnie ze stanem faktycznym nazywano – zaledwie dwudziestoletni Stefan Szolc-Rogoziński z Kalisza zadziwił opinię polską niesłychanym projektem naukowej wyprawy w dzikie dżungle Kamerunu. Jej celem sekretnym, lecz stanowiącym publiczną tajemnicę miało być zbadanie terenów, które mogłyby stać się koloniami przyszłej odrodzonej Rzeczypospolitej.

We wrześniu 1881 roku subskrybenci wychodzącego w Warszawie tygodnika „Wędrowiec” mogli przeczytać na jego łamach sensacyjną ofertę:

Zamierzając w kwietniu roku przyszłego wyruszyć do kameruńskiej zatoki (Afryka Zachodnia) i pozostawiwszy w górach tego imienia stację geograficzną, puścić się na wschód kontynentu dla stwierdzenia istnienia jezior Liba i ich hydrograficznego połączenia z zachodnim oceanem, z radością powitałbym pomiędzy zjednoczonymi siłami mej wyprawy towarzysza podróży z ojczystej nivy, który zechciałby podzielić ze mną trudy i owoce. Przeciąg czasu niezbędny dla ekspedycji oceniam na jeden rok mniej więcej, udział zaś materialny wynosić będzie 2000 rs (5000 fr.). [...] Stefan Szolc-Rogoziński of. mar. i czł. tow. geogr. w Paryżu i klubu afryk. w Neapolu.

W ciągu paru tygodni oprócz tłumów „niezdatnych” zgłosiło się szesnastu poważnych kandydatów, z których jeden, Leopold Janikowski, by pokryć udział w wy-

prawie, sprzedał kolekcję cennych monet i towarzyszył Rogozińskiemu jako meteorolog i etnograf aż do ich wspólnego powrotu do Europy⁸⁶. W owych latach w Królestwie idealizm w każdej postaci, choćby i kolonialny, nie był w cenie w przeciwieństwie do haseł pozytywistycznych, które sprowadzano często do mile brzmiącego wezwania – „bogaćmy się!”.

Perspektywa kolonizacji w Afryce pobudziła nadspodziewanie afekty patriotyczne i wzniciła zaciekle spory, zwłaszcza że Rogoziński – choć nie wahał się z wydaniem na wyprawę spadku po matce, całego swego majątku osobistego – zwrócił się do społeczeństwa o „sukurs” finansowy, konkretnie: dziesięć tysięcy rubli, których podróżnikom brakowało. Ze szczególną pasją zwalczał pomysły „młodzieniaszka” duchowy przywódca pozytywistów Aleksander Świętochowski, który deklarował, że „ze stu milionów rubli nie dałby 50-ciu kopiejek na wyprawę”⁸⁷, i twierdził, że pieniądze ze składek powinny zostać przeznaczone na instytut kształcenia nauczycieli szkół elementarnych, przytułek dla podrzutków, gdzie mogliby uczyć się rzemiosł, lub naprawę dróg na prowincji. „Musimy wprzód pomyśleć o butach”⁸⁸ – przekonywał. Inny jednak zwolennik pracy organicznej, Bolesław Prus, prymatu butów nie uznawał i dowodził: „...my tego rodzaju poglądów podsycać nie możemy. Niechże choć z tytułu wyprawy do Afryki ludzie zrozumieją u nas, że warszawiaka muszą obchodzić nie tylko jego buty i bruki na Nowym Świecie, [...] ale nawet badania naukowe, od których nie możemy spodziewać się natychmiastowego procentu”. I dodawał zachętę: „Niech oni [...] wiedzą, że poza nimi stoi gdzieś naród, a nad nimi unosi się jego błogosławieństwo”. Zgodny tu z Prusem inny luminarz literatury, Sienkiewicz, odwoływał się do sumienia i kieszeni współobywateli, pisząc: „Alboż nie płacimy po piętnaście rubli za bilet do krzesła na powiewną Sarę [Bernhardt], alboż nie będziemy dawać balów i rautów w karnawale, albo nasze panie przestały spuszczać oczy i wzdychać na wspomnienie Hersego, alboż wyrzekliśmy się bezika, bakarata, opery włoskiej. Alboż nie będziemy mieli wyścigów konnych?”. I piętnował skąpców: „Starcy bez wyobraźni, sądzący trzeźwo i praktycznie, niezdolni jednak iść naprzód, zaślepieni i skostniali... Żywotne narody europejskie stwierdzają właśnie swą żywotność tym niepokojem i zapałem ducha, który nie szukając nawet bezpośredniego pożytku, chce... sięgnąć tam, gdzie myśl nie sięga”⁸⁹.

Stefan Scholc od wczesnych lat szkolnych w gimnazjum we Wrocławiu sięgał myślą daleko – w nieznanne geografom miejsca i krainy. Na lekcjach, zbierając upo-

mnienia i kary, studiował ukradkiem pełne białych plam mapy Czarnego Lądu. Zamierzał, kreśląc szlaki przyszłych wypraw, plamy te wypełnić geograficznymi konkretami, a także barwami nowych kolonii – polskich. Wnuk niemieckiego tkacza i syn współwłaściciela znanej fabryki sukna w Kaliszu oraz pochodzącej z Warszawy Malwiny Rogozińskiej demonstracyjnie bowiem okazywał swoją polskość, zmienił nazwisko na Szolc i dodał do niego nazwisko matki. Po niej miał też zapewne skłonność do czynów romantycznych, obcą jego pragmatycznym niemieckim antenatom, oddanym pomnażaniu rodzinnego majątku. Ale trzeba też zauważyć, że sposobił się do owych czynów planowo i starannie. Jako osiemnastolatek wstąpił do rosyjskiej marynarki wojennej, by nauczyć się sztuki żeglowania po morzach i nawigacji; po zaledwie półtorarocznej służbie w Kronsztadzie zdał egzamin oficerski i na okręcie „Generał-Admirał” opłynął świat dokoła. Uczył się też języków i zdołał opanować ich aż sześć.

Niewielki, stutonowy żaglowiec „Lucja Małgorzata”, kupiony przez Rogozińskiego we Francji, wyszedł z Hawru w grudniu 1882 roku. Płynął pod banderą francuską, ale na maszcie powiewała też flaga armatora z warszawską Syrenką. W końcu kwietnia statek ekspedycji – ostatecznie liczyła ona tylko trzy osoby, do Rogozińskiego i Janikowskiego dołączył serdeczny druh szefa wyprawy z czasów jeszcze szkolnych, geolog Klemens Tomczek – zarzucił kotwicę u brzegów Kamerunu. Naczelnik wsi na wysepce Mondoleh odstąpił grunt pod budowę polskiej placówki naukowej i kolonizacyjnej za dziesięć sztuk kolorowego materiału, sześć fuzji skałkowych, trzy skrzynki dżinu, cztery kuferki blaszane, czarny tużurek, cylinder i trzy kapelusze, tuzin czapek czerwonych oraz cztery tuziny słoików pomady i tuzin szklanych bransoletek. Jak zdradził, od dawna marzył, aby na jego ziemi zamieszkał biali ludzie. Widoki na dalsze korzyści materialne i wzrost prestiżu wśród sąsiadów sprawiły, że był uszczęśliwiony. Uczucie szczęścia nappełniało też serca przybyłych: „O świcie następnego dnia rozbudziliśmy się i spojrzeli dokoła. Czarujący widok przedstawił się naszym oczom; był to krajobraz tej barwnej afrykańskiej Szwajcaryi. [...] Malownicza zatoka Ambas budziła się właśnie ze snu, tysiące kropel rosy błyszczało wśród parowów i wąwozów jej gór”⁹⁰.

Wkrótce po przybyciu do Kamerunu Rogoziński i Tomczek wyruszyli w głąb lądu, by zbadać i nanieść na mapy górny bieg rzeki Mungo oraz ziemie i miasta w jej dorzeczu. Dotarli też do znanych z opowieści krajowców przegradzających jej nurt katarakt – potężnego wodospadu spadającego pokrytą pianą kaskadą z siedmiu

stromych skalnych tarasów. Innym celem Polaków było osiągnięcie tajemniczego Jeziora Słoniowego, nad którego brzegami, broniąc do nich dostępu, żyły nieprzeliczone stada słońi. Odkrył je podczas samotnej wyprawy Tomczek. Cudem uniknął stratowania oraz słoniowych kłów i trąb: „...las cały zadrżał. Nadchodzące stado potworów poruszyło powietrze rykiem, którego żadne pióro oddać nie potrafi. Ludzie struchleli [...]. Raptownie zatrzeszczały blisko drzewa i krzaki i w tej chwili ukazało się ogromne stado olbrzymów, bijących to w prawo to w lewo trąbami, to znów podnoszących je z rykiem w górę”⁹¹.

Kiedy dwaj jego towarzysze przeżywali niezliczone przygody w interiorze, Janikowski z pomocą miejscowych cieśli wznosił budynek stacji naukowej na Mondo-leh, założył ogródek z afrykańskimi warzywami i owocami, mierzył temperatury i ciśnienie powietrza oraz zbierał eksponaty do kolekcji etnograficznej. A przede wszystkim – z myślą o przyszłej kolonizacji – zwiedzał okoliczne osiedla, zapuszczając się w góry kameruńskie, poznawał ludy miejscowe i rozwijał przyjacielskie związki z „czarną bracią”, co przychodziło tym szybciej i łatwiej, że nauczył się miejscowego języka. Z czasem tubylcy – zwłaszcza gdy Rogozińskiemu udało się zakończyć zadawniony konflikt między trzema plemionami – zwracali się do Polaków nawet o sprawowanie sądów. „Jest to dowodem, iż z Murzynami można zrobić wiele, lecz tylko wpływem moralnym, nigdy siłą i grozą” – jeszcze po latach przekonywał Janikowski. I wspominał: „Przez trzy lata przecież nie daliśmy do nich jednego wystrzału w swojej obronie! Ba, byliśmy dla nich powagą rozstrzygającą ich zatargi, lekarzami i doradcami. Zasługując na ich wdzięczność, pośrednio łagodiliśmy ich dzikie zwyczaje”⁹². Jedyne użycie, jaki poza polowaniem robili Polacy z broni palnej, to demonstrowanie jej działania: „przy pożegnaniu zadość uczyniłem chętnie ogólnej prośbie i wystrzeliłem trzykrotnie z rewolweru. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie to wywołało na dziecinnych umysłach spokojnych krajowców: skakano, śpiewano, tracono rozum; jeden opowiadał drugiemu, jak „mukara” [biały człowiek] strzelił”⁹³.

Trzej uczestnicy kameruńskiej ekspedycji byli co do polskich widoków w Afryce jak najlepszej myśli. Rogoziński od zaprzyjaźnionego sąsiada króla Jerzego vel kacyka Molendo kupił – choć w realiach afrykańskich transakcja znacznie niestety odbiegała sensem prawnym od notarialnego nabycia nieruchomości – dziesięć kilometrów kwadratowych ziemi oraz uzyskał obietnicę przekazania mu całego jego królestwa, Boty. Dzięki z kolei nabyciu krajów Ngemeb, Bubinde oraz Niższej

i Wyższej Mokundy terytorium przyszłej polskiej placówki kolonialnej osiągnęło powierzchnię około trzydziestu kilometrów kwadratowych⁹⁴, a stosunki z krajowcami stawały się coraz serdeczniejsze. Zbliżały Polaków do tubylców między innymi stałe pustki w kasie, w związku z czym w odróżnieniu od innych białych musieli się odżywiać niemal wyłącznie lokalnymi produktami dostarczanymi przez krajowców: kassawą, yamem, maniokiem, warzywami, a czasem jedli tylko to, co udało im się samodzielnie zebrać w lesie czy upolować. Pod dostatkiem mieli jedynie ananasów i pomarańczy, które miejscowi dostarczali im za bezcen całymi łodziami. Dzięki temu pamiętniki Janikowskiego wzbogaciły się o atrakcyjne – dziś może nawet bardziej niż dawniej – kwestie kulinarne: opisy miejscowych produktów żywnościowych, w tym na przykład szczególnie kwaśnych cytryn, które setkami ton gniły co roku na sąsiedniej wysepce, albo niebywale ostrego dzikiego pieprzu oraz o przepisy na lokalne potrawy, jak „fu-fu”. We wspomnieniach Janikowski przyznawał z pewnym skrępowaniem: „Dziś mogę nawet napisać, że węże, jaszczurki i małpy są w jedzeniu bardzo smaczne. Wąż afrykański, choć jadowity, po odcięciu głowy niemniej smakuje. Przypomina rybę. Boa tylko jest za tłusty. Jaszczurka jest uważana ogólnie za specjał jadalny; mięso małpy również – słodkawe, zbliżone do króliczego”⁹⁵. Nawet pospolite szare papugi, choć łykowate, nadawały się na wyborny bulion.

Ta tropikalna sielanka nie trwała długo. W maju 1884 roku zachorował nagle na „czarną febrę”⁹⁶ Klemens Tomczek i po kilku dniach zmarł. Strata najbliższego przyjaciela była dla Rogozińskiego strasznym ciosem. Aby oderwać się od żałoby w Mondoleh, obaj z Janikowskim wybrali się na kilka tygodni do Gabonu. Gdy wrócili, czekały na nich fatalne nowiny – w ujścia rzeki Kamerun pojawiły się niemieckie okręty wojenne. W zamian za umorzenie długów, które potężny i chciwy król Bell zaciągał przez lata w hamburskim banku Woermanna, Niemcy wzięli pod opiekę rzekę i cały rozległy kraj Duala. Anglicy odpowiedzieli na ten krok opanowaniem zachodniej części Kamerunu, czyniąc stolicą kolonii położoną naprzeciw Mondoleh osadę misyjną Victoria. Plemiona osiadłe nad zatoką Ambas, częścią systemu ogromnej Zatoki Gwinejskiej, dostały się pod kuratelę królowej Wiktorii. Jednak w głębi lądu, w górach kameruńskich, wyścig między Niemcami a Brytyjczykami wciąż nie był rozstrzygnięty. Rogozińskiemu pozostał tylko wybór między mniejszym lub większym złem, postanowił zatem kupione przez siebie ziemie przekazać Anglikom.

Co też nastąpiło w rezultacie traktatu zawartego w sierpniu tego samego roku między wysokimi stronami „Jej Królewską Mością, Królową Zjednoczonego Królestwa Wielko-Brytanii i Irlandyi, Cesarzową Indyj etc. etc.; p. S. S. Rogozińskim oraz Królem i Kacykiem Boty”, w której to umowie królowa, reprezentowana przez porucznika Furlongera dowodzącego kanonierką HMS „Forward”, „podejmuje się rozpościerać nad nimi i nad krajem, znajdującym się pod ich władzą i jurysdykcją, Swą łaskawą opiekę i protekcję”⁹⁷. To nie koniec: na prośbę konsula brytyjskiego Polacy pomogli opanować Anglikom także położone dalej od wybrzeża wschodnie stoki gór kameruńskich, do czego dążyli także Niemcy. Rogoziński i Janikowski z angielskimi pełnomocnictwami, każdy na czele osobnej ekspedycji, wyruszyli natychmiast w góry. Był to prawdziwy wyścig po dzikich, kamienistych terenach górskich. Polacy z poranionymi nogami, obaj cierpiący na malaryczną gorączkę, pokonywali dziennie po trzydzieści i więcej kilometrów. Dzięki ich autorytetowi i sympatii miejscowych – mogli między innymi korzystać z lokalnych środków łączności, to jest tam-tamów – prawie czterdziestu kacyków podpisało umowy z Anglikami. Brytyjskie flagi zawisły nad malowniczymi ziemiami „afrykańskiej Szwajcarii”, które – jak jeszcze niedawno zdawało się Rogozińskiemu i jego towarzyszom, miały się stać polskimi koloniami. Jedynie kacyk z osady Batoki u wejścia do zatoki Ambas, kuszony przez Niemców, kluczył między oboma stronami i brał podarunki od jednych i drugich. W końcu, by praktyki te ukrócić, na miejsce przybyła angielska kanonierka, której komendant wysłał na brzeg cztery łodzie z mitraliezami na dziobach i stu dwudziestu marynarzy. Naprzeciw nich wyległo kilkuset wojowników z dzidami. Rozlewowi krwi zapobiegł Janikowski, który wbiegł między Anglików a krajowców i podjął się sprawę rozwiązać pokojowo.

Parę dni później, 12 lutego 1885 roku, do brzegu Mondoleh przybiła piroga pod brytyjską banderą z załogą dwunastu czarnych wioślarzy, oddana pod rozkazy Polaków. Zanim Janikowski zbiegł do łodzi, zatrzymał się na dłuższą chwilę na progu domu, aby przyjrzeć się krajobrazowi zatoki Ambas. Jego pięknnością zachwycał się niezmiennie od prawie dwóch lat. Tego dnia jednak przeczuwał, że nadchodzi kres pracy i marzeń o stworzeniu tu załążka polskiej kolonii. Zatokę otaczał amfiteatr wzgórz i gór o zboczach okrytych dziewiczymi lasami, mieniącymi się różnymi odcieniami zieleni, a miejscami czerwoną barwą drzew o różowych liściach. Nad nimi wznosił się masyw wulkanu Mongo-ma-Lobach; jego wierzchołek przesłaniały chmury. Kilka tygodni wcześniej Janikowski i Rogoziński wraz z korespondentem

pism niemieckich, niejakim Zollerem – który w gazetach mianował się organizatorem i przywódcą wyprawy – w znoju zdobyli tę najwyższą górę Kamerunu (cztery tysiące siedemdziesiąt pięć metrów nad poziomem morza). Ale teraz Leopolda Janikowskiego czekało trudniejsze jeszcze zadanie.

Wielka paradna piroga wypełniona podarkami, tkaninami i innymi cennymi dobrami zbliżała się już do Batoki, gdy z porannych mgieł wyłoniła się czarna sylwetka dużego okrętu wojennego. Była to zakotwiczona w zatoce niemiecka korweta „Bismarck”. Błyski słońca odbijającego się w szklach lornetek dowodziły, że łódź płynąca pod brytyjską banderą jest pilnie obserwowana. Misja polityczna w Batoki przebiegła jednak nad podziw gładko. Na zwołanym pospiesznie nadzwyczajnym „palawerze”⁹⁸ Janikowski przekonał mieszkańców osady, że ich racją stanu jest dołączenie do bliższych i dalszych sąsiadów z okolic gór kameruńskich, którzy opowiedzieli się za Anglią. Szczwany władca, który pojął, że możliwości prowadzenia podwójnej gry się skończyły, nakreślił uroczyście znak krzyża na traktacie powierzającym opiekę nad Batoki Anglikom. W imieniu królowej podpisał pakt Janikowski. Na brzegu oceanu zatknięto brytyjską flagę i oddano „dla powagi” salwę honorową.

Dochodziło dopiero południe, gdy po okolicznościowych tańcach i skromnej biesiadzie Janikowski i jego ludzie ruszyli w drogę powrotną. Kiedy mijali „Bismarcka”, z jego pokładu spuszczone w pośpiechu trzy duże łodzie z licznymi załogami. Janikowski, występujący tego dnia na kameruńskich wodach jako urzędnik brytyjski, pewien był, że chodzi o ćwiczenia – do chwili gdy nad głową usłyszał świst kul karabinowych, a z pokładu korwety zaczęto strzelać z mitraliezy. Fontanny wody podnoszone jej wielkimi pociskami obramowały łódź – jak się później okazało, celowania z kartaczoownicy podjął się sam dowódca okrętu, kapitan Guido Karcher – co przesądziło o losach tej krótkiej bitwy morskiej. Wioślarze wyskoczyli z pirogi i dotarli wpław do pobliskich skał, Janikowski zaś został po prostu aresztowany. Wprawdzie Niemcy byli przekonani, że ujęli Stefana Szolc-Rogozińskiego, którego uznawali za szczególnie szkodliwego dla sprawy niemieckiej w zachodniej Afryce, ale i Janikowskiego wypuścić nie zamierzali; zapowiedzieli, że jeszcze tej samej nocy zabiorą go jako więźnia do Europy⁹⁹. Jak Polacy dowiedzieli się później z gazet, rozkazy w tej sprawie wydał sam Bismarck. Chwaląc się w parlamencie Rzeszy zajęciem Kamerunu, „żelazny kanclerz” oznajmił – jeśli wierzyć Janikowskiemu i jego spiswanym po latach wspomnieniom – „Niestety, góry nie są nasze, a to dzięki

dwóm przeklętym Polakom, którzy oddali te tereny Anglii. Wydałem jednak rozkazy celem ich unieszkodliwienia”¹⁰⁰. Plan kanclerza nie powiódł się dzięki headmanowi czarnej załogi pirogi, który zdążył na czas zawiadomić konsula angielskiego. Przed zachodem słońca do Ambas dotarły płynące pełną parą dwa białe okręty wojenne. Angielskie kanonierki zablokowały Niemcom wyjście z zatoki. Po stanowczej wymianie zdań kapitan Karcher zdecydował się ustąpić. Traktat z Batoki, umieszczony w szczelnej blaszanej puszcze, której jakimś cudem Niemcy nie dostrzegli, odnaleziono w odzyskanej pirodze i wręczono konsulowi brytyjskiemu. W ten oto sposób Polacy oddali Anglii ostatni już skrawek zachodniej części Kamerunu. Ich trud poszedł jednak na marne – dwa lata później, w 1887 roku, Wielka Brytania odstąpiła cały ten kraj Niemcom.

Rogoziński i Janikowski już wcześniej wrócili do kraju, rozgoryczeni i z nadwyreżowanym zdrowiem. „...z żalem zegnaliśmy teren naszej przerwanej pracy. Byliśmy przecież już tak blisko osiągnięcia celu i zdobycia dla Polski pierwszej kolonii!” – wspominał po latach Janikowski¹⁰¹. Jeszcze pół wieku później sędziwy już podróżnik był przeświadczony, że zuchwała próba skolonizowania przez kraj nieistniejący na mapie sporego terytorium w Afryce mogła i powinna się powieść. Było to w każdym razie w naszej historii jedyne poważne – przynajmniej na pozór – przedsięwzięcie tego rodzaju. Wyprawiając się do Afryki, Rogoziński z pewnością zdawał sobie sprawę, że akcje Polaków nie stoją w rywalizacji kolonialnej wysoko. Z drugiej strony władca Belgii Leopold II zajął całe ogromne Kongo jako „osoba prywatna” i jego praw nie podważano. Był on jednak bądź co bądź królem niewielkiego, ale zasobnego i liczącego się kraju, a także inicjatorem poświęconej dzieleniu Afryki konferencji berlińskiej. Natomiast Rogoziński szybko się przekonał, że tytuły prawne w krainach zamorskich, jeżeli nie stoi za nimi zgoda – a raczej zmowa mocarstw i ich kanonierki – to tylko dekoracja. Podczas jednego ze swych krakowskich odczytów mówił – z goryczą, niezwykłą u kolonizatora *in spe* przenikliwością i poczuciem winy – o zaprzyjaźnionej „czarnej braci”:

spokojny wasz byt na wolnych waszych skłonach już nie pozostanie takim; zamiary „białych braci” względem was „nie-cywilizowanych” nie są nigdy braterskimi, pod sztandarem cywilizacji przybywa do was „mukara”, nie żeby dać cośkolwiek, lecz żeby wziąć, co można; silny ze słabym nie zawiera nigdy traktatów z inną dążnością niż z tą, żeby je jak najprędzej zerwać i posunąć się dalej do wyzucia was stopniowo ze starych waszych praw i wolności, a dla was nie ma apelacji, waszych skarg nikt nie zrozumie w Europie, nikt nawet nie przypuści, że i wy, „dzicy”, macie jakiegokolwiek

prawa, że i wy umiecie czuć i cierpieć jak ludzkie stworzenia, ale przynajmniej jedną starał się wam oddać przysługę wasz przyjaciel z Mondoleh, tj. wybrać dla was tego z dwóch protektorów, który was będzie jak najmniej „protegował” czy uzurpował, mając ziem i kolonij pod ostatkiem¹⁰².

Wyprawa do Kamerunu przyniosła godne uwagi pokłosie naukowe. Jej uczestnicy uzupełnili mapę tego kraju, zebrali wiele danych geologicznych i meteorologicznych oraz liczne wiadomości o faunie i florze tego kraju; przywieźli też do Polski bogate zbiory etnograficzne. Jednak wracali rozczarowani, zwłaszcza że koszt ekspedycji był wysoki. Tomczak zapłacił za nią życiem, Rogoziński zrujnowanym zdrowiem fizycznym, a szczególnie psychicznym. Doszedłszy nieco do siebie, wrócił do Afryki, na hiszpańską wyspę Fernando Po, gdzie założył plantację kakao. Dochody z niej nie wystarczały jednak na podejmowanie nowych planów naukowych, a tym bardziej kolonialnych. Pogryzał się zatem Rogoziński w depresji moralnej¹⁰³, a może i klinicznej – leczył się tygodniami w zakładach „dla nerwowo chorych” – zwłaszcza że jego małżeństwo z „Hajotą”, popularną pisarką Heleną Pajzderską, okazało się nieporozumieniem. Zginął w grudniu 1894 roku w wypadku, przejechany na ulicy w Paryżu przez konny omnibus; spekulowano, że sam rzucił się pod koła.

Janikowski, chory na malarię, przez długie miesiące nie podnosił się z łóżka. Jednak wrócił do zdrowia i wyprawił się na trzyletnią, owocną i pełną przygód wyprawę do Gabonu. Potem przez trzydzieści lat pracował w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. W latach trzydziestych, gdy wyprawę do Kamerunu wydobyto z zapomnienia jako przykład ciągłości polskich tradycji i dążeń kolonialnych, cieszył się nawet dzięki LMiK sporą popularnością. Ze szczególnym sentymentem wspominał podniosłą uroczystość, jaką zorganizował w Kamerunie ku czci Jana III Sobieskiego.

Jedyną ozdobą spartańskich izb stacji Mondoleh były trzy oleodruki przedstawiające Kościuskę, Poniatowskiego i Sobieskiego. A przypadała właśnie hucznie obchodzona w kraju dwusetna rocznica triumfu króla pod Wiedniem. Spoglądając któregoś dnia na królewską podobiznę, Janikowski wpadł z potrzeby serca na myśl, by zorganizować uroczysty obchód zwycięstwa również na ziemi afrykańskiej i zaprosić nań kacyków, naczelników miast, fetyszerów oraz wszelkich innych wybitniejszych obywateli. W oznaczonym dniu nad domem powiewała polska flaga, Janikowski zaś, ubrany odświętnie, z zawieszonym u boku złożonym kordelasem i pięknie inkrustowanym rewolwerem, witał na wybrzeżu coraz to nowe łodzie peł-

ne tubylców również w strojach wizytowych. „Stojąc w środku koła, rozpocząłem przemowę, objaśniając historję polskiej uroczystości, w jakich stronach za morzami leży nasz kraj, kim był nasz król-bohater Sobieski, że pobiwszy wrogów, ocalił inne kraje od złych ludzi i dlatego, choć dawno umarł, mój naród czci jego pamięć, a ja sam, chociaż tysiące mil nas dzielą, łączę się radością z swoimi braćmi i dlatego zaprosiłem tu obecnych...”¹⁰⁴. Wszyscy powstali i na komendę najstarszego kacyka wznieśli okrzyk: „Hurra, king Sobieski”! Nastąpiła potem defilada przed portretem króla oraz poczęstunek obfity w wódki, tytoń, przekąski z sucharów, ryb i owoców. A na koniec tańce przy biciu w bębny tam-tamy. Gdy noc zapadła, zapalili krajowcy pochodnie w łodziach i ze śpiewem powrócili do siebie przez ciemny przestwór zatoki. Długo jeszcze nad jej brzegami rozprawiano o wspaniałym palawerze ku czci wielkiego białego króla, który pobił złych ludzi.

Rozdział IV. Za chlebem bez flagi

Pewnej pogodnej niedzieli w latach między wojnami popularny niegdyś aktor i reżyser krakowski, który wyemigrował do Parany, postanowił odwiedzić w kolonii Thomas Coelho znajomego przodującego rolnika i działacza polskiego. Nie zastał jednak nikogo w domu. Jedyne w ogrodzie, w cieniu drzewka pomarańczowego, drzemał czarny parobek. Zapytany, przetarł kułakiem oczy i odparł najczystsza „mazurską” polszczyzną: „Gospodosz? Som u ksiendza dobrodzieja”. Drobną ta przygoda lingwistyczna natchnęła gościa oryginalną i szczęśliwą myślą. Postanowił oto wystawić w Kurytybie *Zemstę* Fredry w wykonaniu amatorskiego zespołu samych tylko czarnych aktorów. Spektakl udał się znakomicie i zgromadził tłumy publiczności. Oklaskiwano zwłaszcza Papkina, jako że wykonawca tej roli okazał się prawdziwym samorodnym talentem komicznym.

W pierwszych dekadach XX wieku, dopóki nie wymarło urodzone w Polsce pokolenie imigrantów, na przestrzeni stu lub dwustu kilometrów na południe i zachód od Kurytyby niemal z każdym można było rozmówić się po polsku. Władali polskim także „wendziarze”, Niemcy i Włosi, właściciele „wend”, czyli sklepików będących także zajazdami, czy kupcy handlujący „hervą” – yerba mate. A rozumiały go także zwierzęta inwentarskie. Zbigniew Uniłowski, jedna z gwiazd młodej literatury dwudziestolecia, który niemal rok podróżował po Brazylii, pisał: „Naprzeciw nam posuwała się trzoda świń, z dwoma chłopakami w podkasanych portkach. »Cie, gdzie leziesz, kurwo jedna!« – krzyczał jeden z nich w ojczystym języku. »A gdzie, ryju cholerny, a gdzie!« – wrzeszczał drugi. I jako warszawski rodak z Czerniakowa dodawał z satysfakcją [...] słowem – panowało ożywienie, między palmami, pod obcym niebem słyhać było tęgą polszczyznę”¹⁰⁵.

Siarczysta polszczyzna zawładnęła też kurytybskim targiem. Plac zastawiony był plecionymi mazurskimi wasągami zaprzężonymi w konie ubrane w krakowskie zdobne chomąta oraz ogromnymi frachtowymi brykami „krakowskimi”, którymi powozili Niemcy z Powoźża. Gromadki bab z okolicznych kolonii, w ludowych strojach mazurskich i wielkopolskich, handlowały nabiałem, drobiem i warzywami. Wszędzie roilo się od czerwonych chustek i białych czepców oraz wypłowiałych maciejówek, granatowych męskich kapot i czerwonych kurt kujawskich, a na placu

i sąsiednich ulicach słychać było dokoła język polski. Najczęściej z twardym niemieckim akcentem, bo tak mówiono w pierwszych koloniach w Paranie, założonych w większości przez przybyszów ze Śląska i Poznańskiego¹⁰⁶. Do pobliskiej wendy zachodzili tłumnie na kieliszek gorzałki jeźdźcy, którzy przykłusowali na targ na dziarskich małych konikach. Choć ubrani byli w ponchos, filcowe kapelusze i lekkie żółte „papucze”, bez trudu dawało się w nich rozpoznać dawnych kmieci znad Warty.

Zanim około 1870 roku do Kurytyby zaczęli ścigać koloniści niemieccy i polscy z zaboru pruskiego, stolica Parany była nędznym kilkutyśiecznym miasteczkiem, z domami bez szyb i krzywymi, porośniętymi trawą uliczkami, na których pasły się bydło i muły. Przybycie do stanu kilku, a potem kilkudziesięciu tysięcy polskich kolonistów ożywiło ją znacznie, zwłaszcza w dni targowe i świąteczne. „A tak to wtedy było, że gdzie chłop polski przyszedł, tam nie było ani Boga, ani djabła, tylko bór okrutny i chłop polski. I co to potu z człeka się utoczyło, a i krwi nierzadko, zanim to sobie jaki taki byt urządził”¹⁰⁷ – wspominał stary emigrant w pogawędce z pełnym atencji Uniłowskim, który sam o sobie napisał wcześniej z masochistyczną otwartością: „żaden ze mnie dzielny podróżnik. Histeryczna, warszawska, kawiarniana wywłoka!”¹⁰⁸.

W Paranie polscy chłopci – trzebiąc ogniem i toporem dziewicze lasy podzwrotnikowe – dowiedli, że stanowią „pierwszorzędny materiał pionierski”. Tysiące kilometrów kwadratowych wyrwanych puszczy w dorzeczach Ivai, Iguassu, Rio Negro, dziesiątki kolonii zwarcie zamieszkałych przez Polaków zaczęły tworzyć mgławicowy jeszcze i niejasny zarys jakiegoś nowego, nieświadomego siebie bytu. Być może owej nowej Polski, gdzie naród nasz, zagrożony w Europie, mógłby swobodnie rozwijać swą kulturę i kultywować tradycje. Idea zamorskiej siedziby narodowej, do której w czasach zaborów uparcie powracano, nierzadko w postaci projektów fantastycznych i szalonych, była przykładem szlachetnych dążeń, których nie próbowano w gruncie rzeczy wprowadzić w życie. A teraz miała się spełnić dzięki rzeszom emigrujących nędzarzy, uciekających nie przed uciskiem zaborców, lecz po prostu przed biedą. Nowa Polska w Brazylii byłaby wprawdzie, co tu kryć, plebejska, rzecz można, ludowa, ale z czasem jej charakter i wizerunek mogłyby się przecież zmienić na lepsze. Perspektywy wynikające z masowej emigracji do Brazylii dostrzeżono chyba najwcześniej we Lwowie, gdzie działało w latach 1894–1904 Polskie Towarzystwo Handlowo-Geograficzne, wokół którego zgromadzili się

działacze i uczeni, stawiający na Paraną jako przyszły bastion polskości. Koncepcja ta znalazła odzew wśród coraz liczniejszych z każdym rokiem działaczy polskich w samej Brazylii i nie straciła uroku pomimo odrodzenia niepodległej Polski. Przeciwnie, nadal ją odczono rozwijano, upatrując w polskich wsiach w Paranie załączka jakiejś quasi-kolonii Rzeczypospolitej, zasilającej naszą gospodarkę i podnoszącą morale mocarstwowe. Większość ze znanych w II RP działaczy kolonialnych i założycieli Związku Pionierów Kolonialnych miała za sobą krótszy lub dłuższy pobyt w Brazylii. Najpewniej to właśnie w żyznej glebie parańskiej zakiełkowały aspiracje II RP do zdobycia posiadłości zamorskich. W ten oto sposób rozpaczliwa emigracja za chlebem paradoksalnie stała się częścią historii polskiego niedosłego kolonializmu.

Skupienie żywiołu polskiego, który ściągnął do Brazylii na stosunkowo niezbyt rozległym terenie, w południowo-zachodniej części stanu Parana, to w wielkim stopniu zasługa jednego człowieka – geometry i nieustrudzonego organizatora kolonii, inżyniera Edmunda Wosia-Saporskiego. Saporski, dwudziestoparoletni przybysz ze Śląska, wyprowadził grupę Polaków ze Śląska i Wielkopolski w 1871 roku z kolonii niemieckich w stanie St. Catarina do Kurytyby. Założyli oni w 1871 roku osadę Pilarzinho, dziś jedną z dzielnic trzymilionowej parańskiej stolicy. W następnych latach, w miarę przybywania kolejnych emigrantów z Opolszczyzny, Pomorza, Poznańskiego, powstało kilkanaście nowych kolonii. Byli jednak emigranci, którzy wybierali własną, osobną drogę. W 1926 roku przyrodnik i myśliwy Stanisław Przyjemski, ziemianin z łomżyńskiego, odkrył w dorzeczu rzeki Doce w stanie Espírito Santo samotną kolonię założoną w 1873 roku przez Polaków ze Śląska i Pomorza. O tej liczącej tysiąc mieszkańców polskiej placówce, istniejącej od pół wieku daleko na północ od Rio de Janeiro, nie wiedziały żadne kręgi czy instytucje polonijne¹⁰⁹.

Niemniej jednak strumyk polskich kolonistów zasilął głównie Paraną. Prawdziwa wędrówka ludów zaczęła się z chwilą, gdy w chylącym się ku upadkowi cesarstwie brazylijskim – miało ono zostać zastąpione wkrótce przez władzę republikańską – ogłoszono w 1888 roku definitywną likwidację niewolnictwa. Był to z punktu widzenia właścicieli plantacji kawy, którym zagrażał brak siły roboczej, krok katastrofalny. Aby zapobiec możliwemu załamaniu się produkcji oraz uchronić się przed gniewem plantatorów, rząd cesarski postanowił kosztem stu dwudziestu sześciu milionów franków w złocie sprowadzić z Europy siedemset pięćdziesiąt tysięcy emi-

grantów. Konkretnie zaś – co mogło przypominać starym Brazylianom świetne czasy handlu „murzynami” – za robotnika czy kolonistę sprowadzonego z Europy państwo brazylijskie płaciło sto sześćdziesiąt osiem franków, z czego sto dwadzieścia pięć franków trafiało do linii okrętowych. Wraz z ogłoszeniem tego imponującego projektu w biedniejszych krajach europejskich ruszyły na prowincję zastępy akwizytorów i agitatorów. Wkrótce niektóre gminy wiejskie we Włoszech i Hiszpanii niemal całkowicie się wyludniły.

W Polsce „gorączka brazylijska” ogarnęła początkowo powiaty Kongresówki położone w pobliżu granicy pruskiej – nieszawski i włocławski na Kujawach, a ponadto między innymi rypiński, lipnowski, kaliski, słupecki czy koniński. Gdy w kościołach księża wyklinali z ambon emigrantów, w karczmach i na placach targowych z rzadką u chłopów wiarą i ufnością słuchano przemów złotoustych agentów linii okrętowych, jakby to oni właśnie byli posłańcami dobrej nowiny. I trzeba przyznać, że to, co głosili, nie mogło chłopskim masom być obojętne – darmowy przejazd za morze, prawie darmowa ziemia i zamorska przyroda, dzięki której nikomu nie grożą głód i chłód. Tak zapamiętał obietnice agentów autor jednej z prac nadesłanych na konkurs na pamiątniki emigrantów:

[...] opisywali rozmaite dobrocie [w Brazylii], że tu się rodzą rozmaite owoce, jabłka to takie duże, że jedno waży trzy fąty i wszystkie jeńsze owoce tak się rodzą, że jak przyjdzie czas, co dojrzewają, to ludzie nic nie jedzą, tylko samymi owocami żyją, i że pod kolana w nich chodzą, i że ziemia wszędzie dobra, ni ma lichej, tylko wszędzie urodzajna [...]. Rząd rozdaje ziemię po 40 morg na jednego chłopą, nie tylko żeniątemu ale i samotnemu, i na tem gracie miał mieć dom wybudowany i całą zapomogę od Rządu miał dostać. Wszystkie narzędzia rolnicze i wyżywienie na cały rok¹¹⁰.

Chłopi sprzedawali swe gospodarstwa, rzemieślnicy odstępowali warsztaty, służba folwarczna wyzbywała się swojego ubożego majątku, by rozpocząć nowe życie za morzem, gdzie „tak jest dobrze, że nawet i w rajskim ogrodzie lepiej używać [się] nie będzie”¹¹¹. Wybuch „gorączki brazylijskiej” był dla „warstw oświeconych” wstrząsem podobnym do ataku paniki. Nieoczekiwany exodus ludu wiejskiego oznaczać mógł, jak się obawiano, kolejną klęskę narodową. Zwłaszcza działacze Ligi Narodowej, przyszłej endecji, troskali się niezmiernie o los wychodźców skazanych na poniewierkę, poniżenie, niewolniczą pracę, a może i ostateczne zatracenie w nieprzebytych puszczech brazylijskich. Oprócz osłabienia żywiołu polskiego w kraju obawiano się także, a może przede wszystkim załamania się krajowego rol-

nictwa, któremu groził dramatyczny brak rąk do pracy. Na Kujawach czy Mazowszu w wielu majątkach pozostali zimą 1890 roku tylko pisarze, rządcy i karbowi.

Nad tym, dlaczego obietnice agentów – a podniętą do emigracji miały być nawet niskie ceny okowity za oceanem – padały na grunt tak podatny, „warstwy oświecone” zastanawiały się mniej chętnie. „Chłopi bezrolni muszą u nas bardzo ciężko pracować, a pobierają tak małe wynagrodzenie za pracę, że zaledwie wyżyć mogą, do takich mianowicie uśmiecha się piękna nadzieja dojścia w łatwy sposób do kawałka własnej ziemi i zostania panami z wyrobników”¹¹² – skwitował jednym zdaniem Adolf Dygasiński, autor swego rodzaju raportu o niedolach polskich chłopów w Brazylii, który ukazał się w 1891 roku nakładem „Kuriera Warszawskiego”.

O „zaczarowanym kraju, gdzie ziemi w bród i nic nie kosztuje, a wszystko się rodzi”¹¹³, opowiadano po wsiach najrozmaitsze cuda. We wschodniej Małopolsce panowało na przykład przekonanie, że ziemię w Brazylii kupił specjalnie dla swych poddanych galicyjskich cesarz Franciszek Józef I. Przeciwnicy emigracji także nie stronili od barwnych opisów. „...tam dziki kraj, pustynia, góry, skały, lasy takie, [że] drzewo jedno drugiego się trzyma takimi sznurami, ani wliść do boru, jest rozmaita czcina, bambusy, są rozmaite żmije [...], niestety, niestety jak ludzie narażają swoje życie” – tak pewien kanonik uświadamiał młodego parobka, który przyszedł po metrykę. A kiedy wikary dodał jeszcze z troską: „tam jest bardzo gorąco, kiedy chmury nadchodzą, są straszne grzmoty, głośnie, nie tak jak tutaj”, kandydatowi na emigranta „łzy postawali w oczach, myślę sobie, trudna rada, może gdzie w drodze trzeba będzie zginąć”¹¹⁴.

Jak zauważył Dygasiński, „żadna wiedza nie oświeśla tych ludzi”. Z pewnością jednak emigranci nie stracili instynktu samozachowawczego. Musiał on im podpowiadać, że podejmują wielkie ryzyko, idą „na złamanie karku”¹¹⁵. Zdecydowali się postawić wszystko na jedną kartę – brazylijską. I większość z nich wygrała dzięki temu lepsze życie dla siebie i swoich potomnych. Lecz około piętnastu procent emigrantów zmarło wkrótce po wylądowaniu w Brazylii, pogrzebano ich w obcej ziemi, pod obcym niebem¹¹⁶. W parańskiej kolonii Lucena w ciągu roku oczekiwania na przydzielenie ziemi umarła trzecia część dorosłych i połowa dzieci¹¹⁷. Koszty „gorączki brazylijskiej” były przerażające.

Wśród emigrujących do Brazylii w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku – według szacunkowych danych – pięćdziesiąt procent stanowili bezrolni i służba folwarczna, czterdzieści procent bezrobotni robotnicy fabryczni z Łodzi, Warszawy, Żyrardowa

i wszelka biedota miejska, a tylko dziesięć procent najzasobniejsi z nich, małorolni chłopi, którzy wyprzedali swe morgi na wyprawę za ocean¹¹⁸. Na „gorączkę brazylijską” zapadali zatem nędzarze, którzy w kraju ojczystym nie mieli nadziei na jakąkolwiek poprawę losu. Po długich nawet latach wielu z nich chowało głęboką urazę do „panów”, którzy próbowali ich zatrzymać: „...dobrodziejstwa Brazylijskiego ludu za tak więc jak braterskie przyięcie nie może być zapomniane w Polskiej historii, a że nie umieli [szans emigracji] wykorzystać, to hańba tym, którzy chowali polski naród jako podlejszy ludzki materiał ciemny i w niczym nieświadomy, zamiast pomagać, to przeszkadzali”¹¹⁹. Jeszcze w 1910 roku, gdy emigracja do Ameryki Południowej spowszedniała i znacznie się ucywilizowała, Maria Konopnicka wydała *Pana Balcera w Brazylii*, pisany klasyczną oktawą epicki poemat, w którym opisała emigrację brazylijską jako drogę męczeństwa, nie wspominając o jej krępujących z patriotycznego punktu widzenia przyczynach. Już dwadzieścia lat wcześniej Dygasiński jako pierwszy użył metafory „brazylijskie piekło”, a samą wyprawę za morze przedstawił konsekwentnie jako podróż przez kręgi piekielne.

Emigranci z Kongresówki wyruszali na ogół w świat z jednym tylko dokumentem – magicznie otwierającą daleki świat „szyfkartą”. Granicę przekraczano zwykle za dziesięcio-, piętnastorublową łapówkę.

Następnym etapem, jeszcze nie męczeńskim, lecz dającym przedsmak rejsu statkiem i brazylijskiego klimatu, był przejazd koleją do portów – Bremy, Hamburga, a z Galicji także do Genui. W wagonach czwartej klasy, bez ławek, na trochę ponad dwudziestu metrach kwadratowych podróżowało pięćdziesięciu pasażerów, dorosłych i dzieci. Wszędzie suszyły się pieluchy, a wyziewy ludzkie mieszały się z kłębamii burego dymu z papierosów i fajek. Usadowiony w środku wagonu wysłannik „Kuriera Warszawskiego”, pocąc się wraz z innymi w temperaturze cieplarni dla roślin egzotycznych i o podobnej wilgoci, notował naprędce: „Widząc tyle drobiazgu ludzkiego, niemowląt przy piersiach matek, otrzymujesz wrażenie, że w tem gorącu dzieci się samorzutnie rodzą”¹²⁰.

Kiedy wreszcie nadszedł krytyczny dzień wyruszenia na morze, niektórych ciekawość Brazylii całkiem opuszczała: „Jeden chłop z guberni kaliskiej był już na pokładzie, lecz żadną miarą nie chciał zejść na dół; spychali go majtkowie, a on się bronił, nareszcie drapnął gdzieś z okrętu”¹²¹. Być może przeczuwał po prostu, co go czeka pod pokładem, w pomieszczeniach dla emigrantów. Ludwik Włodek, autor w porównaniu z Dygasińskim znacznie bardziej rzeczowy i do idei emigracji nie-

uprzedzony, w wydanej w 1910 roku relacji z podróży do Brazylii, przedstawiając perspektywy pasażera spod pokładu, również sięgał po wątki biblijne:

Zamknięty w tłumie ludzi, w ciasnych, dusznych, pełnych wyziewu kajutach pod pokładem, gdzie na podłodze pełno śmieci, strużyn, obierzyn, wymiotów, śladów morskiej choroby, gdzie rozlega się płacz niewiast, jęki dzieci, stękania chorych – może mieć wrażenie, że przechodzi piekło za życia. Kiedy pogoda ładna, kiedy ludzie zdrowi, jeszcze jako tako czują się na świecie, ale kiedy wybuchnie burza, kiedy szczelnie zaśrubują wszystkie wejścia do cuchnących nor, kiedy słychać tylko wycie wichru, wściekle uderzenia bałwanów, drganie śruby i ciężkie sapanie maszyny – wtedy zdaje się wychodźcy, że nastąpiła ostatnia chwila jego życia, że oto zbliża się dzień sądu i gniewu¹²².

Zimą zaś na północnym Atlantyku bywały sztormy, które mogły długo jeszcze śnić się po nocach. „O Jezus Maryja, jakie to góry porobiły się, jakie to bałwany morskie, fale lecą jedna za drugą, tak się morze rozhulało strasznie, że nie mogę wszystkiego opisać, a okręt przewraca się z jednej strony na drugą, mało nie utonie w głębokościach morskich, tak było półtorej doby, a potem na zdłuż caluśkie dobe, co jeden koniec wyjdzie do góry na wirzech, to drugi koniec w pół do wody”¹²³. Podróż z Europy do Rio de Janeiro trwała od trzech do nawet pięciu tygodni, co rodziło wśród pasażerów podejrzenia, że „wodzą ich w kółko”, aby nie mogli już nigdy znaleźć drogi do domu.

Stolica Brazylii zdaniem korespondenta „Kuriera Warszawskiego” żyła podobnym życiem jak miła jego sercu Saska Kępa w pogodne niedziele. Fajerwerki, muzyka, jakieś chorągiewki, zgiełk dzwonków, gwizdania i wesołe okrzyki... Ale muzyka i radosne okrzyki nie docierały do Ilha das Flores, Wyspy Kwiatów położonej na przeciwnym, wschodnim brzegu zatoki Guanabara, gdzie władze brazylijskie w dawnych budynkach obozu dla niewolników porwanych z Afryki urządziły schronisko dla emigrantów. W dwóch barakach, w których umieszczono półtora tysiąca Polaków, z czego połowa była chora, słyszało się tylko lament i zawodzenie żon, które potraciły mężów i dzieci, lub płacz mężów, którzy właśnie zostali wdowcami. W trupiarni coraz to przybywało zwłok. Dla tych, którzy potracili na Ilha das Flores bliskich, na zawsze pozostała ona „mordownią polskich dzieci”, inni wspominali ją jako próg do nowego życia.

„Brazylianie” z miejsca przekonali się, że mają do czynienia z Europejczykami pośledniego sortu. Następcy *in spe* czarnych niewolników na plantacjach kawy, zagubieni w świecie, w trzech czwartych analfabeci, przeważnie bez grosza przy du-

szy, od początku budzili jawną pogardę znacznej części miejscowych. Uzasadniało ją i wzmacniało również zachowanie emigrantów. „[...] obdarci, pokorni, całujący byle łobuza po rękach, pozwalający się poszturchiwać, bić i kaleczyć bezkarnie”¹²⁴ – irytował się Roman Dmowski. Wkrótce określenie *Polaco burro* [głupi Polak] stało się w Brazylii jednym z najpopularniejszych wyzwisk. Wiedziano też w Brazylii, że za Polakami nie stoi żadne państwo. Nie było pewnie emigranta, który nie usłyszałby pod swoim adresem zdania bolesnego „jak pchnięcie bagnetem” – *Polaco não tem bandeira*, Polak nie ma flagi.

Ci z Brazylijczyków, którzy oczekiwali, że chłopci z Europy zastąpią jako siła robocza wyzwolonych czarnych niewolników, przeżyli ogromne rozczarowanie. Nowe demokratyczne władze w Rio de Janeiro wypaczyły bowiem założenia cesarskiej akcji sprowadzania emigrantów, pozostawiając im wybór, gdzie w Brazylii osiadą i czym się będą zajmować. Niekiedy wolność ta miała skutki godne pożałowania. Oto kilkadziesiąt rodzin, wśród których byli nawet ludzie piśmienni – jak były urzędnik policyjny, kelner i stangret – uparła się jechać do Manaus, największego miasta nad Amazonką, oddalonego o tysiąc dwieście kilometrów od wybrzeża. Jak ktoś ich zapewnił, czekały na nich tam, w sercu dżungli amazońskiej, wyborne pastwiska i „bydła, ile kto zechce”. Po roku do Rio de Janeiro powróciło pięciu wynędzniałych uczestników tej eskapady. Tylu tylko pozostało z około dwustu osób, które wyruszyły do Amazonii. Resztę zabrała żółta febra¹²⁵.

W początkach „gorączki brazylijskiej” część wychodźców, w szczególności dawnych robotników fabrycznych, zamiast karczowania dziewiczej puszczy rzeczywiście wybierała, spodziewając się niespotykane wysokich zarobków, pracę przy uprawach kawy czy bawełny lub w wielkich gospodarstwach hodowlanych. Wkrótce się okazało, że pracy na plantacjach – w palącym słońcu brazylijskiego „Pomorza” – doglądają z batem w ręku dawni nadzorcy niewolników. Fazenderzy z kolei „utrzymywali swoich siepaczy murzynów, [...] jeżeli który robotnik dopominał się o zapłatę i nie ustępował swojemu panu, to wtedy gospodarz wskazał murzynom, żeby takiego wysłać na drugi świat”¹²⁶. Z czasem, gdy wyszły na jaw te okoliczności – w tym gorący nad ludzką wytrzymałość klimat nadatlantyckich nizin – żywioł polski zwrócił się ku Paranie. A zdarzyło się nawet, że sześciotysięczny tłum zrozpaczonych emigrantów, cierpiących od wysokich temperatur, wyruszył pieszo wzdłuż wybrzeży oceanu z Santos w stanie São Paulo do chłodniejszej, jak wiedzieli, Argentyny, odległej o przeszło dwa tysiące kilometrów. Pochód ten szybko stał się mar-

szem śmierci. Ludzie rzucali tobołki, sprzedawali za żywność malowane kuferki i wszystko, co mieli¹²⁷. Do brazylijskich domów, często do „leśnych ludzi”, kabokli¹²⁸, trafiały też sieroty, które straciły rodziców w schroniskach dla emigrantów czy na koloniach. Z kolei w rodzinach polskich rodziły się czasem w okresie „gorączki brazylijskiej” dzieci o kruczoczarnych włosach i ciemnych oczach. Zwykle traktowano ten fenomen – a dotyczyło to czasem także oficjalnych ojców, godzących się na związki swych żon z bogatymi „Brazylianami” – ze zrozumieniem¹²⁹.

Po paru miesiącach od chwili zawinięcia do portów brazylijskich pierwszych statków z Polakami z Królestwa na burtach statków, ścianach schronisk, wszędzie, gdzie dało się pisać, pojawiły się napisy wzywające i ostrzegające nowych, przybywających wciąż wzbierającą falą emigrantów: „Do Parana!”. Na gorące brazylijskie wybrzeże ściągali głównie koloniści, którzy porzucili swe kolonie – rzadko chłopci, częściej robotnicy, stróże, lokaje ze dworów. Pewna część emigrantów nigdy zresztą nie próbowała osiedlić się w interiorze. Niemało z tych rozbitków zasiliło szeregi miejscowego lumpenproletariatu – „[...] przykre wrażenie robi widok zdrowych i silnych ludzi wałęsających się po ulicach beczynnym lub siedzących całymi dniami z wędką na brzegu morza, podczas gdy dziewczęta, kobiety i dzieci, jeśli nie żebrzą, zajmują się zbieraniem odpadków na rynku i placach publicznych”¹³⁰ – lub świata przestępczego. W ciągu paru lat od wylądowania w Rio de Janeiro emigrantów znad Wisły słowo *Polaco* stało się w miastach Brazylii potocznym określeniem złodzieja lub żebraka, a *Polaca* – prostytutki¹³¹. Dopiero po latach, gdy doceniono zasługi polskich kolonistów, którzy jako jedyna z imigranckich nacji zdołała dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych dziewiczych puszczy zamienić w pola uprawne, zaczęto patrzeć na nich trochę łaskawszym okiem – zwłaszcza że mieli już wreszcie swą flagę.

Kulminacja „gorączki brazylijskiej” przypadła na lata 1890–1894¹³², gdy emigracja z ziem polskich, prawie wyłącznie z Królestwa, do Brazylii wyniosła ogółem ponad siedemdziesiąt tysięcy ludzi. W latach następnych za ocean wyruszyli chłopci z Galicji. Choć galicyjskie „warstwy wyższe” wobec ewidentnego już przeludnienia wsi emigracji tej wyrozumiale się nie sprzeciwiały, do 1899 roku wyjechało tylko sześć i pół tysiąca Polaków, a ponadto kilkanaście tysięcy Ukraińców. Z około osiemdziesięciu tysięcy polskich emigrantów, którzy wylądowali w Brazylii, prawie połowa osiedliła się ostatecznie w Paranie. Ale wielu, co najmniej dziesięć–dwana-

ście tysięcy z tych, którzy dla kawałka własnej ziemi odważyli się porzucić jedyny znany im świat i wyruszyć za wielką wodę, ziemi tej nie doczekało.

Brazylijski rząd cesarski nie był w stanie zmobilizować wystarczającej liczby fachowych geometrów potrzebnych do wymierzenia działek dziesiątkom tysięcy kolonistów. W rezultacie od zejścia z pokładu statku do objęcia w posiadanie upragnionych morgów zamiast dwóch–trzech miesięcy upływał zwykle rok, a nawet dwa lata i więcej. Czas ten schodził mieszkańcom baraków emigranckich na demoralizującym próżniactwie, a nieraz też – alarmowali wysłannicy z kraju – na pijaństwach; taniej wódki, jak obiecywali agenci, było tu do woli, oraz rozpuście¹³³. Jednak prawdziwą klęską były dziesiątkujące kolonistów w schroniskach, a nawet już w koloniach tyfus, żółta febra, dyzenteria, cholera. Wymarły niemal co do jednego dzieci „drobne”, urodzone w Polsce niemowlęta i kilkulatki.

Zaraz obok drzwi [chaty] leży w gorączce matka, która przed chwilą powiła dziecko, koło niej inne dziecko w tyfusie i dwoje drobnych, na razie jeszcze żywych dzieci. Mąż tylko zdrowy, ale nie mogąc w niczym tej strasznej biedzie zaradzić, straciwszy głowę, jak obłąkany głośno lamentuje. [...] Co dzień widzieliśmy pogrzeby ze śpiewami przeciągające przez osadę na cmentarz [...]. Tutaj sługa cmentarny, Niemiec, wskazał nam sto trzydzieści cztery mogiły polskie usypane w ciągu tych paru miesięcy, gdy zaczęto tu „kolonizować”... na cmentarzu. Bo faktycznie więcej tu trupów spoczywa, niż na całej kolonii osadzono osadników¹³⁴.

Po latach emigranci wciąż jeszcze wspominali te straszliwe dni: „Szałaszy się wyludniały, deski z nich szły na trumny. Po wymierających rodzicach dzieci zabierali kable leśni na wychowanie... Ileż z nich się wychowało, dzisiaj nikt nie wie... W jednym tygodniu rodzina moja zmniejszyła się z sześciu dusz do trzech. Ja dla sąsiada dzieci robiłem trumny, a sąsiad dla moich, groby kopaliśmy razem”¹³⁵.

Za zatrwajające straty ludzkie i fatalne warunki sanitarne, w jakich egzystowali emigranci, autorzy ponurych relacji ukazujących się w polskiej prasie oskarżali władze brazylijskie, ale i samych osadników, hołdujących tradycyjnemu „nieochędnictwu”. Natomiast nie obwiniano już raczej zabójczego rzekomo klimatu. Na wyżynach Parany, położonej na trzech ogromnych tarasach wznoszących się na wysokości dziewięciuset–tysiąca czterystu metrów nad poziomem morza, między Górami Morskimi a doliną rzeki Parana, był on dla przybyszów z Europy wręcz zdumiewająco przyjazny. W przeciwieństwie do brazylijskiego Pomorza nie znano tu długotrwałych wilgotnych upałów, latem w dzień temperatura sięgała wprawdzie czter-

dziestu stopni, ale rześkie noce pozwalały znosić ją bez szwanku. Obfite deszcze, przeciętna ciepłota – niespełna dwadzieścia stopni, z niekiedy tylko zdarzającymi się przymrozkami – sprzyjała rozwojowi wszelkiej flory. Budziła ona w przeciwieństwie do ludzi zachwyty Dygasińskiego, piewcy uroków przyrody. Inaczej widział brazylijski las Uniłowski, indywidualność ściśle miejska, który zaczynał karierę życiową od pikolaka w warszawskiej restauracji „Astoria”. Pisał z niesmakiem:

Przyglądając się szalonej obfitości i w bolesnych skrętach porastającej podnóża pniów roślinności, jakimś rozczapierzonym korzeniom, na pół przelamanym drzewom, przegniłym pniom obrosłym wściekłą bujnością, doświadczałem wrażenia, że znajduję się w jakiejś wielkiej rupieciarni przyrody, że wszystko, co martwe i nie do użytku, zostało jakąś potężną dłonią zwalone między rozpasaną żywotność i zatrzęsienie łodyg, pnączy, kwiatów i paproci. Na zgniliznie porastało nowe życie. [...] I wszystko zdawało się pocić, wydzielało skondensowaną woń¹³⁶.

A nawet pozwolił sobie nazwać Brazylię „śmierdzącym krajem”¹³⁷. W tym przypadku doznania autora wychowanego na warszawskim bruku były zbliżone do odczuć emigrantów, którzy obejmowali w posiadanie swoje grunty.

Parańskie puszcze dziewicze, pełne przeróżnych dziwów i wynaturzeń w rodzaju brodatych drzew, w niczym nie przypominały bezpiecznego rodzimego boru tak cennego przez chłopów w kraju. Królowała w nich arukaria, czyli pinior, sięgające czterdziestu metrów wysokości osobliwe drzewo iglaste. W młodości przypominająca zwykły świerk, w wieku dojrzałym – z wysmukłym pniem z regularnymi pierścieniami po odrzuconych gałęziach i płaską koroną – upodabniała się do palmy lub monstrualnej marchwi. Z jej szyszek wielkości ludzkiej głowy można było wydobyć parę garści orzeszków, którymi żywiły się świny, a w trudnych czasach także i ludzie: „ażeby nie piniory, [...] których było tu tak dużo, że ludzie całymi worami je zbierali, to i z głodu by dużo poumierało”¹³⁸. Pień arukarii dawał się łatwo łupać na „dranice”, czyli deski „darte”, z których budowano na koloniach pierwsze domy, budynki gospodarcze, a potem szkoły i kościoły. Lecz wielkie drzewa puszczańskie – arukarie, laurowe imbuje podobne do dębu, palmity, cedry tabasco – otaczał zbiły gąszcz przeróżnego leśnego „plebsu”, zwłaszcza bambusów, paproci kilkumetrowych i trzciny „takuara”, powiązany mocną siatką lian i pnączy.

Rządowi geometrycy wytyczali w puszczy proste, wąskie przecinki zwane picadami. Od nich na głębokość jednego kilometra prowadzili prostopadle linie rozgraniczające grunty i oznaczali je numerowanymi kołkami. W ten sposób powstawały

„szakry”, czyli działki o powierzchni dziesięciu alkrów, to jest dwudziestu pięciu hektarów, przydzielane jednej rodzinie. Po zakończeniu pomiarów koloniści – barwnym korowodem, z całymi rodzinami i dobytkiem – wyruszali w głąb lasu. Tam, gdy odnaleźli kołek z nadanym im numerem, stawali już na granicy swych gruntów. Ale cóż z owych pięćdziesięciu aż mórg, gdy „nawet głowy nie szło wści-bić” w pleniącą się na owych morgach dziką roślinność, a o postąpieniu paru kro-ków bez krótkiej kosy „fojisy” czy „facona” [maczety] nie było nawet mowy. Ci z osadników, którzy przyszedli do kolonii wprost z Kurytyby i wyobrażali sobie, że następnego ranka wyjdą w pole z pługiem, stali na pikadzie jak rażeni piorunem:

O, jakże nam to stało dziwno i boleśnie, gdy my zobaczyli tę ziemię, [...] stałem jak trup długi czas bez mowy i żadnego ruchu, jakby w letargu, nareście ocknołem się i sam sobie nie wierze, pytam się jeszcze raz, czy to ma być ta ziemia, co my mamy ją kupować? [...] I tu zacząłem płakać jak ma-łe dziecko na swój gorzki los, który mnie spotkał w tej tu dzikiej Brazylii na stare lata¹³⁹.

Życie jednak upominało się o swoje prawa: „zaślim na tę ziemię, a tam nie było ni-gdzie żadnej chałupy, tylko bez początku i bez końca same dziwice bory. Stanęlim wszyscy bezradni, a było to już pod wiecór, wtencas nacieniem drzewa napalilim ogień i przy tem ogniu wszyscy nocowali, [...] a na drugi dzień nacieniem Sochów, nazakładalim drążków, pokrylim liściany, to były takie nasze chałupy”¹⁴⁰.

Karczowanie parańskiej puszczy, tak jak robiono to na Mazowszu czy Podlasiu, nie wchodziło w rachubę. Koloniści – rząd przydzielił każdej rodzinie siekierę i mo-tykę oraz piłę na trzy rodziny – wycinali lub tylko podcinali zarośla, pod które po wyschnięciu podkładano ogień. Tak powstawała rosa, wypalona polana, nad któ-rą wznosiły się osmalone pnie arukarii i imbui. Dopiero gdy spróchniały, czyli po mniej więcej dwudziestu latach, ziemię można było orać i uprawiać jak w „starym kraju”. Na razie w dołki wybite w glebie żelaznym drągiem wrzucano po trzy–czte-ry ziarna kukurydzy lub fizonu. W ziemi okrytej metrową warstwą próchnicy, wol-nej od chwastów, niektóre z roślin uprawnych dawały dwa–trzy plony w roku. Na rosach oprócz manioku czy batatów udawały się żyto, gryka, kapusta i większość innych europejskich warzyw. Widmo stale obecnego głodu w kraju ojczystym odda-liło się na zawsze. Dzięki obfitości paszy, w tym orzeszków piniora, a nawet zdzi-czałych brzoskwiń, specjalnością polskich kolonii stał się chów świń. Po paru latach koloniści mogli jadać mięso nawet codziennie, co w Polsce było nie do pomyślenia.

Śmielej też odnosili się do świata, w szczególności do najbliższych sąsiadów, „kabokli”. Ci „leśni ludzie”, zwykle Metysi, ale czasem Mulaci, a nawet podupadli Kreole – bywało, że z wykształceniem akademickim – wybierali zamiast obowiązków i przywilejów cywilizacji całkowitą wolność, niezależność zupełną od ludzi, praw, urzędów, polityki. Zatargi towarzyskie rozstrzygali za pomocą strzelby lub noża. Nosili się biednie, lecz z fantazją, „[Kaboklo] boso, z jednym palcem tylko wsadzonym w malutkie srebrne strzemiona, dziarsko się trzyma na wesoło parskającym kasztanku, tworząc typ przenoszący nas mimowoli gdzieś w zamierzchłe czasy naszych wojen kresowych, tyle jest jakiejś iście kozackiej buty i swobody w tym obdartusie o twarzy hiszpańskiego hidalga”¹⁴¹. Kabokle żyli z łowiectwa, rybołówstwa i niesłychanie prymitywnego rolnictwa. Dla polskich kolonistów byli pierwszymi Brazylijczykami, nad którymi mogli wykazać się wyższością cywilizacyjną. Kabokle z kolei uważali Polaków za ludzi ciemnych, prostaczków, zarówno gdy idzie o duchowość, jak i *savoir-vivre*.

Jeszcze w latach międzywojennych polscy osadnicy nazywali swych malowniczych sąsiadów „dzikami”. Ostatecznie jednak współistnienie nie prowadziło do jakichś zasadniczych zatargów, a młodzi Polacy uczyli się od kabokli właśnie jeździć konno, strzelać oraz władać i rzucać długimi nożami, co było w Brazylii sztuką nieodzowną i nadzwyczaj cenioną. Przede wszystkim jednak zbliżały obie społeczności wieloletnie walki z Indianami.

Zwani przez osadników Bugrami Indianie wynurzali się z lasów niechętnie. Niekiedy jednak wyprawiali się na tereny kolonii, żądając żywności, noży i metalowych naczyń. Występowali przy tym całkiem nago. Na widok indiańskiego pochod w domach kolonistów zamykano okiennice i ryglowano drzwi; zwłaszcza wśród kobiet te szatańskie parady budziły zgrozę. Emigranci nigdy wcześniej nie myśleli, że ludzie tacy mogą w ogóle istnieć, i nie spodziewali się zupełnie, że bywają niebezpieczni.

Z ponad czterdziestu plemion wolnych Indian zamieszkujących Parane w końcu XIX wieku najbardziej asertywnym i problemowym dla emigrantów był lud Botokudów. Waleczni, sceptyczni wobec cywilizacji, uparci, a ponadto silni fizycznie, z wprawą posługiwali się łukami, dzidami, a zwłaszcza poręcznymi maczugami z najcięższych gatunków drewna. Nieugięcie bronili swej wolności i puszczy. Jej wycinanie, zwłaszcza gdy biali wkraczali przy tym na miejsca strzeżone tabu, naruszali spokój indiańskich cmentarzy lub niszczyli znaki totemiczne, prowadziło do

fatalnych dla kolonistów następstw. Jeśli zlekceważyli ostrzeżenia – stukanie w drzwi, okna i ściany czy rzucanie gałęzi lub kawałków drewna na dachy – Boto-kudzi napadali na ich zagrody, mordując całe rodziny.

W 1891 roku w okolicach kolonii Rio Negro były trzy takie napady, poza tym zginęło dziewięciu kolonistów, którzy ścigali napastników z bronią w ręku. Znajdowano trupy z wydartym i położonym obok zwłok sercem, co oznaczało szczególne potępienie ukaranych. Na kolonii w pobliżu Luceny [obecnie Itaiópolis w stanie St. Catarina] „horda dzikich Indyan” napadła niespodziewanie na kilka rodzin kolonistów i wymordowała osiemnaście osób, których śmierć – jak podkreślił z pewną satysfakcją Siemiradzki – „koloniści polscy pod wodzą swego proboszcza, udawszy się w pościg, krwawo pomścili”¹⁴². Przyznawał jednocześnie, że napad był odwetem Botokudów za wymordowanie kilkudziesięciu kobiet i dzieci indiańskich przez brazylijskich strzelców, łowców Indian. Początkowo polscy koloniści byli wobec „Bugrów” niemal bezbronni. Potem wielu z nich kupiło nowoczesne rewolwery i „usiestry”, czyli winchestery, i rozpoczęło z Indianami bezlitosną wojnę, w niczym nieróżniącą się od tego, co się działo na amerykańskim Dzikim Zachodzie. W Paranie trwała ona niemal trzydzieści lat i zakończyła się w 1917 zwycięsko – ostateczną pacyfikacją nieszczęsnych Botokudów. Na ich świętej górze Taió wytyczono nowe „szakry” dla polskich osadników.

W koloniach położonych bliżej Kurytyby już od dawna cieszone się w tym czasie spokojem i rosnącymi dostatkami. Na dawnych rosach przekształconych w grunty orne pojawiły się pługi i zniwiarki. Oprócz kukurydzy uprawiano żyto, które dawało wyższe plony niż pszenica na Podolu. Wieprze z polskich chlewów były coraz większe i tłustsze. Także na słabszych glebach uzyskiwano wysokie i stałe dochody dzięki rosnącym w lasach drzewkom herwowym. Listki yerba mate z polskich plantacji osiągały ceny o dziesięć procent wyższe od średnich rynkowych. Wzdłuż ciągnących się dziesiątkami kilometrów nowych gościńców powstawały okazałe domy otoczone gajami pomarańczowymi i winnicami. Niektóre z polskich rodzin gospodarowały już na setkach, a nawet tysiącach hektarów. Napawało to kolonistów uzasadnioną dumą, a tych o słabszych głowach – pychą. Nieco jednak przedwczesną.

Polska społeczność wciąż bowiem miała w Brazylii „drugorzędny status”. Jej udział w gospodarce kraju, a nawet stanu Parana, gdzie stanowili siedemnaście procent mieszkańców – w przemyśle, handlu, transporcie – był poza rolnictwem

i niektórymi rzemiosłami znikomy. Polacy nie mogli się tu równać z liczniejszymi, bogatszymi, obrotniejszymi i lepiej zorganizowanymi Włochami i Niemcami. Nieczęsto osiągnęli coś więcej niż założenie „wendy” czy uruchomienie tartaku. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy był brak wśród nich ludzi wykształconych. Na wyjazd do Brazylii w okresie dziesięciu lat „gorączki” emigracyjnej decydowali się, gdy idzie o inteligentów, prawie wyłącznie ludzie mniej lub więcej wykolejeni. Dotyczyło to także nauczycieli i księży. Jeden z wielebnych miał na przykład zwyczaj ugańiać się konno po koloniach i gardłować na wiecach z rewolwerem u boku. O innym cała parafia mówiła, „zdaje się, że niebezzasadnie”¹⁴³, że żyjąc w rozpuście, dzieci swoje nowo narodzone morduje. Gdy idzie o dobór nauczycieli w polskich szkołach, kierowano się prostymi zasadami. Nauczyciel miał mieć możliwie najskromniejsze wymagania finansowe i nie wyróżniać się wiedzą. Bardziej uczony i lepiej opłacany mógłby się bowiem wywyższać nad swymi chlebobawcami. W rezultacie nauczycielami zostawali często ludzie, którzy sami ledwo umieli czytać i pisać.

W czasach „gorączki brazylijskiej” wciąż pokutowała w kraju myśl o stworzeniu nowej Polski za morzami. Kiedy okazało się, że masowa emigracja do Ameryki Południowej nie grozi ani katastrofą narodową, ani wyludnieniem i upadkiem rolnictwa, dostrzeżono w kolonistach siłę, która, odpowiednio pokierowana, mogłaby znakomicie przyczynić się do urzeczywistnienia tej idei. Chodziło wszak o dziesiątki tysięcy ludzi, którzy zyskali sobie markę doskonałego „materiału pionierskiego”, potrafili się przystosować się do podzwrotnikowego klimatu, obcej przyrody i odmiennych kultur, a nawet wytępić jedno z wojowniczych plemion indiańskich. Zanim jednak koncepcja nowej siedziby narodowej przybrała realny kształt, Polska odzyskała niepodległość. W walce o wpływy polityczne wśród Polonii brazylijskiej, odzwierciedlającej krajowe konflikty okresu międzywojennego, projekty kolonialne Rzeczypospolitej należały do ważnych tematów. Choć polscy koloniści nie uchylali się od obowiązków patriotycznych, zasilając na przykład rekrutami armię Hallera, to jednak późniejsze kolonialne i mocarstwowe ambicje rządów w Warszawie nie mogły budzić ich szczególnego zapału. Starym emigrantom kręciła się łza w oku na wspomnienie młodości w ojczyźnie, ale ten sentyment nie był w stanie przekreślić poczucia, że Polska była dla nich krajem nędzy, niesprawiedliwości i poniżenia.

Tylko niektórzy koloniści deklarowali niekiedy poparcie dla planów kolonizacyjnych firmowanych przez LMiK, i to w trybie warunkowym lub przypuszczającym:

I co to tobie, Polsko, po takich dzieciach?... rozsypanych po świecie?... Żebyś to gdzie miała za morzem własną kolonję, uczynilibyśmy z niej raj. Latałby do nas Skarżyński po własnym niebie, jeździłby „Pułaski” z „Kościuszką” po własnych wodach. My kupowalibyśmy polskie naczynia, fabrykaty. (Dziś w moim gospodarstwie znajduje się jeden pług wyrobu Cegielskiego – „Las”). A ile to tysięcy wydajemy na ubranie i wszystko to tonie u obcych. A czy to nasze ręce są gorsze od chińskich albo murzyńskich, że z nich nie smakuje herbata?¹⁴⁴

Rozdział V. Kolonie według potrzeb

Zegar w gabinecie majora Bulowskiego wybijał kolejne nocne godziny. Za oknem mroźny wiatr niósł opustoszałymi ulicami tumany śniegu i targał koronami drzew. Major pochylony nad rozłożoną na biurku mapą dalekiego gorącego Kamerunu, ważąc racje polityczne i ekonomiczne, zastanawiał się wciąż na nowo nad jego bardziej sprawiedliwym podziałem. Wreszcie doszedłszy do ostatecznych konkluzji, sięgnął po linijkę i ołówek. Z wprawą rutynowanego sztabowca nakreślił wschodnią granicę nowego terytorium – linię biegnącą rzeką Njong, następnie ku rzece Sanaga, dalej wzdłuż małej bezimiennej rzeczki i przez sawannę w odległości około trzydziestu–pięćdziesięciu kilometrów, od szosy Jaunde–Ngaoundéré do miasteczka Tibati. Tu zaczynała się granica północna prowadząca wzdłuż rzek mających źródła w najwyższej wyniosłości środkowego pasma górskiego. Granicę zachodnią stanowić miała w całości dawna linia graniczna między niemieckim Kamerunem a brytyjską Nigerią. W ten sposób powstał czworobok składający się po połowie z terytoriów mandatowych Anglii i Francji, liczący sto trzydzieści tysięcy kilometrów kwadratowych, którego oddania Polsce jako mandatu, a w istocie rzeczy kolonii, zdaniem majora należało żądać¹⁴⁵.

Autor planu obawiał się nieco, czy nie nadużyje w ten sposób braterskich uczuć Francuzów do Polaków. Ostatecznie jednak uznał, że „Francji nie skrzywdził”. Sojusznicy oddaliby nam jedynie jedną szóstą swych terenów mandatowych: „Nie jest to za dużo, o ile porównamy ten obszar z naszymi zasługami lub z obszarem kolonialnym Francji”¹⁴⁶. Jedyną właściwie dla nich niedogodnością, oceniał, byłaby konieczność korzystania przez Francuzów z wolnej strefy w „polskim” porcie Duala lub przerwania eksportu i importu do nowego portu południowego: Kribi. Co do Anglików, to, sądził major, odstąpią oni Kamerun kierowani po prostu kupieckim rachunkiem – według jego wiedzy w końcu lat dwudziestych XX wieku dopłacali do owego mandatu około miliona złotych rocznie. Ukończywszy szkic granic przyszłej polskiej posiadłości afrykańskiej, Bulowski złożył mapę i zasepił się: „oczywiście nie ma co sobie robić iluzji, że porozumienie będzie łatwe”. „Nasza przyjaźń nie rozbije się o skrawek Kamerunu. A gdyby tak rzeczywiście być miało, to lepiej, by nas Francja opuściła dziś aniżeli w chwili groźnej. Bo gdyby nas dziś opuściła z powodu

słusznych naszych żądań kolonialnych, to na pewno opuści nas w chwili, gdy nie o Kamerun, lecz o pomoc wojenną chodzić będzie”¹⁴⁷ – pomyślał z goryczą.

Trzeba przyznać, że major dyplomowany Leon Bulowski, członek Rady Głównej LMiK, miał w wytyczaniu granic należyte kompetencje oraz zasługi dla kraju. W grudniu 1918 roku, jeszcze jako porucznik na czele dwóch kompani piechoty, wkroczył – nie pytając o rozkaz czy zgodę – na Spisz, który miał według aliantów niemal w całości przypaść Czechosłowacji. Podczas III powstania śląskiego był szefem sztabu słynnej I dywizji górnośląskiej walczącej pod Górą Świętej Anny. Nawet w ogniu walk nie tracił jednak z oczu pasjonującego go od dawna zagadnienia przyszłej polskiej polityki zamorskiej. Jeszcze przed odzyskaniem niepodległości był przekonany, że odradzająca się Rzeczpospolita, aby liczyć się w świecie, musi stać się krajem kolonialnym oraz że kolonie, mianowicie niemieckie – według proporcji ziem odzyskanych przez Polskę do powierzchni przedwojennych Niemiec – z mocy prawa się jej należą. Wykorzystując czas, gdy w trakcie dochodzenia dotyczącego jego samowolnej eskapady na Spisz zawieszono go w służbie, napisał i złożył w lutym 1919 roku w Biurze Prac Kongresowych MSZ pięćdziesięciostronicowy elaborat z opisem zamorskich posiadłości Cesarstwa Niemieckiego i uzasadnieniem polskich roszczeń do części tych terytoriów oraz wezwaniem do wniesienia owych żądań na forum konferencji pokojowej w Paryżu. Planował też zorganizować wielką akcję odczytową, która zmusiłaby naszą delegację do wystąpienia z tą sprawą. Nie była to jedyna taka inicjatywa. W sejmie ustawodawczym wnioszek o przyznanie Polsce Kamerunu złożył w marcu 1919 roku Tomasz Dąbał ze Stronnictwa Ludowego. Depeszę do Komitetu Polskiego w Paryżu wysłał znany działacz polonijny Kazimierz Warchałowski, prezes Polskiego Komitetu Centralnego w Brazylii. Twierdził w niej, że rekompensatą za zniszczenia i straty wojenne kraju powinny być kolonie niemieckie. Obszerny memoriał – podobno uzgodniony z francuskim ministerstwem kolonii – z propozycją, by Polska ubiegała się o mandat nad którąś z afrykańskich kolonii byłego cesarstwa – opracował cieszący się szerokimi stosunkami we Francji profesor Jean Dybowski. Żaden z autorów tych propozycji nie doczekał się nawet słowa odpowiedzi, a postać Dąbała haniebnie wyśmiano. Chwila była bowiem szczególna: granice kraju dopiero się ustalały, przyszłość ziem byłego zaboru pruskiego wciąż przedstawiała się niepewnie, a na Pomorzu stali Niemcy, nadal odcinając Polskę od Bałtyku. Do biur i delegacji obradujących w Paryżu napływały zaś tysiące przeróżnych żądań, projektów, wniosków, skarg, odwołań z całego

świata. Według polskich delegatów, jak przyznawano w kularach, dopominanie się kolonii przez Polskę, kraj, który dopiero po stu dwudziestu paru latach pojawił się na mapie, mogłoby co najwyżej niepotrzebnie zirytować rozdające karty Francję i Anglię.

Kilka lat po konferencji Warchałowski poznał na statku płynącym do Ameryki Południowej paru wyższych urzędników francuskich. Nie ukrywali wcale, że kolonie niemieckie, kosztowne w utrzymaniu, z gromadą rozjątrzonych Niemców, są dla paryskiego ministerstwa kolonii głównie kłopotem, a nie korzystnym nabytkiem. Dziwili się szczerze, że Polska nie wykorzystała okazji do zdobycia mandatu nad którąś z nich¹⁴⁸. Przeświadczenie, że Francja gotowa była i jest nadal podzielić się z Polską koloniami – a przynajmniej dopuścić w którejś z nich Polaków do współgospodarowania – pokutowało w II RP przez całe dwudziestolecie. Powoływano się zwłaszcza na rzekomą dobrą wolę w tej sprawie samego „starego lwa”, premiera Clemenceau i wierzono, że jego następcy są podobnego zdania. Tym bardziej bolała entuzjastów ekspansji zamorskiej stracona w Wersalu, jakkolwiek tylko domniemana, szansa na zdobycie kolonii z marszu. Dyskomfort ten dotyczył jednak początkowo nielicznych. „Ludzie poważni” uważali zwolenników polskiego kolonializmu za pomyłków lub w najlepszym przypadku fantastów – temat dla pism satyrycznych i prześmiewczych felietonów – zaś dla ogółu obywateli była to kwestia zasadniczo obojętna. Inaczej nieco rzecz się przedstawiała tylko w dawnym zaborze pruskim. Mieszkańcy Wielkopolski, Śląska czy Pomorza, żywiąc wobec Niemców niechęć lub wrogość oraz obawę, podziwiali jednocześnie ich cywilizacyjne osiągnięcia i dzielali niezachwiany pruski legalizm, skłaniający do ujmowania nawet sytuacji niezwykłych i precedensowych w ramy ustaw i kodeksów. Dawne obywatelstwo Rzeszy Niemieckiej wciąż było w ich oczach wiążącym źródłem praw i obowiązków. Większość ludności polskiej na tych terenach¹⁴⁹ uważała polskie roszczenia do kolonii niemieckich za uzasadnione, wręcz oczywiste. Polskie zagadnienie kolonialne było w istocie rzeczy „organicznie”, o wiele ściślej niż z Francją, związane z losami zamorskich posiadłości niemieckich. Nie trzeba było o tym przekonywać zwłaszcza „afrykanderów”, byłych żołnierzy cesarskich wojsk kolonialnych, policjantów czy urzędników w Afryce. Można było spotkać ich w każdym wielkopolskim czy pomorskim miasteczku, gdy przy piwie wspominali tropikalne upały i rządy nad „Murzynami”.

Zjednoczoną w 1871 roku II Rzeszę Niemiecką nazywano często „spóźnionym mocarstwem”. Odnosi się to w szczególności do niemieckiej ekspansji kolonialnej, która – nie licząc epizodycznych prób Brandenburgii, na przełomie XVII i XVIII wieku mającą kolonię w dzisiejszej Ghanie – zaczęła się dopiero w drugiej połowie XIX wieku, całe wieki później niż kolonizacja portugalska, holenderska czy angielska. Bismarck jako kanclerz Prus, a potem Cesarstwa Niemieckiego nie miał dla zamorskich podbojów zrozumienia, a nawet się ich obawiał, uważając je za szkodliwe i ryzykowne dla europejskiego państwa narodowego. W związku z tym dyskretnie zachęcał do kolonizowania tropików innych. Zwłaszcza Francję, wierząc, że zajęta za morzami, odstąpi ona od planów odwetu za klęskę w wojnie z Prusami w 1870 roku. Jednak dynamika rozwoju imperialnego, nacisk kół gospodarczych, a także niemałej części zwykłych Niemców, obiecujących sobie lepsze życie w koloniach, zmusiły Żelaznego Kanclerza do zmiany stanowiska. W rezultacie Cesarstwo Niemieckie w ciągu zaledwie dwóch lat – od 1884 do 1885 roku – zaprowadziło swe rządy w Togo, Kamerunie, Niemieckiej Afryce Wschodniej (Tanzania), Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej (Namibia) i Ziemi Cesarza Wilhelma w północno-wschodniej Nowej Gwinei. Do roku 1899 roku niemieckie flagi zatknęto też między innymi na Wyspach Salomona, Karolinach, Wyspach Marshalla, Marianach, a także niektórych wyspach archipelagu Samoa oraz w dwóch „koncesjach” w Chinach Południowych. Przed 1914 roku niemieckie imperium kolonialne miało powierzchnię 2738 tysięcy kilometrów kwadratowych i było około pięciu razy większe od Niemiec. Swymi koloniami nie zdążyli się jednak Niemcy nacieszyć. W ciągu paru tygodni po wybuchu I wojny światowej Anglicy zdobyli Togo, a po trzech miesiącach flaga cesarska zniknęła z Pacyfiku. Znacznie dłużej, bo cały rok trwały walki w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej oraz w Kamerunie – osiemnaście miesięcy. W Tanganice zaś charyzmatyczny generał von Lettow-Vorbeck z trzystu białymi i kilkunastu tysiącami czarnych żołnierzy prowadził przez ponad cztery lata podjazdową wojnę z Anglikami, atakując ich także w Rodezji i Kenii. W chwili podpisania rozejmu w Europie wciąż jeszcze mógł się bronić¹⁵⁰.

W oficjalnym stanowisku Ligi Morskiej i Rzecznej, uchwalonym w 1929 roku, żądanie przyznania Polsce części byłych kolonii niemieckich uzasadniano zwięźle przynależnością zachodnich ziem polskich do byłego cesarstwa niemieckiego oraz wkładem mieszkańców owych ziem w zagospodarowanie i utrzymanie posiadłości kolonialnych wniesionym w postaci podatków, a ponadto służbą wojskową Pola-

ków w Afryce i na wyspach Pacyfiku. Dawne rejencje pruskie w granicach II RP stanowiły siedem procent powierzchni II Rzeszy, a mieszkało w nich osiem i pół procenta ludności Niemiec. Polska, choć zobowiązana do spłacenia przypadającej na nią części długów Cesarstwa, nie wzięła udziału w podziale okrętów Kaiserliche Marine i zapasów materiału wojennego, co przysługiwało jej jako państwu sukcesyjnemu cesarstwa. Z drugiej strony nie otrzymała też reparacji wojennych należnych członkowi zwycięskiej koalicji, które przyznano na przykład Jugosławii i Rumunii. Z tych to powodów działacze Ligi zaokrąglili swe żądania do dziesięciu procent powierzchni imperium niemieckiego, czyli dwustu siedemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów kwadratowych. Niepokojono się przy tym, że ostatecznie skończy się na jałmużnie godzącej w dumę Polaków. Leon Bulowski uważał, że należy podbić stawkę i rzucić na stół Ligi Narodów weksel za uratowanie Europy przed bolszewizmem – na sumę kosztów i strat poniesionych w wojnie w 1920 roku – i domagać się jako bezwzględного minimum piętnastu procent kolonii niemieckich, czyli czterystu dziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych¹⁵¹. Kolonie byłyby zatem dla Polski rekompensatą za wysiłek wojenny i nagrodą za zasługi dla świata. Dzięki niej dałoby się na przykład utworzyć miniaturowe imperium kolonialne, łącznie trzysta dziesięć tysięcy kilometrów kwadratowych, składające się z jednej szóstej francuskiego Kamerunu oraz australijskiej od wojny Ziemi Cesarza Wilhelma. W ten sposób Nowa Gwinea stałaby się polskim oknem na Azję i Pacyfik¹⁵². Jeszcze ciekawsze perspektywy wiązały się z ewentualnym przejęciem Tanganiki. Aby nie skrzywdzić Anglii, należałoby pozostawić jej wprawdzie dwie prowincje zachodnie, przez które miała biec kolej transafrykańska do Kapsztadu, ale reszta kraju, mniej więcej pięćset czterdzieści tysięcy kilometrów kwadratowych z około czteromilionową ludnością, przypadłaby Polsce¹⁵³. Nikt z czarnych mieszkańców terenów przedstawionych na mapie, po której błędził ołówek polskiego majora, nie miał, rzecz jasna, pojęcia, co się ponad ich głowami szykuje. Ale nie wiedzieli też o tym Anglicy i – z wyjątkiem garstki wtajemniczonych – Polacy.

Na początku lat dwudziestych w obliczu znacznie bardziej nagłych problemów trapiących nowo powstałe państwo pomysły kolonialne pozostawały w Polsce w głębokim zapomnieniu. Nieliczni zwolennicy kolonializmu spotykali się od czasu do czasu na zebraniach mało komu znanego, stanowiącego rodzaj kółka dość ekscentrycznych zainteresowań, Polskiego Towarzystwa Kolonialnego. I nic nie zapowiadało, by ten stan rzeczy miał się zmienić. Sprawa jednak przybrała zdumiewa-

jący obrót. W ciągu kilkunastu lat irracjonalne – jak trafnie początkowo osądzano – idee kolonialne zawładnęły umysłami rządzących elit i sercami milionów obywateli RP, a plany zdobycia kolonii uznano za rację stanu i priorytetowy cel władz państwowych. Jak to było możliwe, pozostaje nadal w niemałym stopniu zagadką.

W lutym 1928 roku zebrani w mieszkaniu Kazimierza Głuchowskiego, byłego pierwszego konsula II RP w Kurytybie, amatorzy polskich kolonii powołali do życia Związek Pionierów Kolonialnych, którego celem było „podjęcie aktywnej pracy, nawet walki o tereny ekspansji dla narodu polskiego”¹⁵⁴. Wcześniej, w chaosie rodzącej się państwowości, głosy domagające się kolonii dla Polski okazały się wołaniem na puszczy – czy raczej na tropikalnej dżungli. Obecnie perspektywy pionierów kolonizacji przedstawiały się znacznie pomyślniej. Polska, uzyskawszy dostęp do morza, zaczęła na przyznanym jej skrawku wybrzeża żwawo się zagospodarowywać. Już w sierpniu 1923 roku do dopiero co ukończonego mola w Gdyni przybił pierwszy oceaniczny statek, francuski m/s „Kentucky”, powstawały polskie linie żeglugowe, rosły siły marynarki wojennej, tworzone szkolnictwo morskie. Doniosły udział we wszystkich tych przedsięwzięciach miała założona w 1919 roku Liga Żeglugi Polskiej (LŻP) zrzeszająca budowniczych Gdyni, organizatorów floty handlowej i wojennej, kadry przedsiębiorstw żeglugowych i firm zajmujących się handlem morskim – wszystkich, którzy wiązali swe życie i plany z polskim morzem. Jak wspominał współtwórca międzywojennej polityki morskiej Eugeniusz Kwiatkowski, to właśnie dzięki usilnym zabiegom LŻP przyjęto uchwałę o budowie portu gdyńskiego¹⁵⁵.

LŻP (w 1924 roku zmieniła nazwę na Ligę Morską i Rzeczną) stawiała sobie za zadanie lobbowanie na rzecz „idei morskiej” oraz propagowanie wśród społeczeństwa korzyści płynących z eksploatacji morza i śródlądowych dróg wodnych, budowy portów, posiadania własnej floty handlowej i stoczni, z handlu morskiego. Ale samo urządzenie się nad Bałtykiem i stworzenie podwalin gospodarki morskiej nie mogło zaspokoić rosnących ambicji kół rządzących krajem. Państwo aspirujące do rangi mocarstwa musiało, mniemano, zdobyć się na politykę „zamorską”, czyli w ówczesnych okolicznościach kolonialną. Dla „waryatów” śniących o koloniach nadszedł czas zadośćuczynienia. W chwili, gdy zakładano Związek Pionierów Kolonialnych, scenariusz był już gotowy – nowa organizacja miała stać się autonomiczną sekcją LMiR. W październiku 1928 roku do programu Ligi dopisany został nowy passus o kapitalnym znaczeniu. Stwierdzono w nim *expressis verbis*, że dąży

ona również „do pozyskania kolonii dla Polski, względnie terenów dla nieskrępowanej ekspansji narodu polskiego”. Ów zwrot w działalności Ligi przypieczętował wybór Kazimierza Głuchowskiego na prezesa jej zarządu głównego oraz zdobycie przez pionierów kolonialnych własnej trybuny propagandowej – obszernego stałego dodatku w wychodzącym od 1924 roku bogato ilustrowanym miesięczniku „Morze”, którego nakład w latach trzydziestych XX wieku wynosił grubo ponad sto tysięcy egzemplarzy.

W szeregach organizacji założonej przez inżynierów, ekonomistów, działaczy gospodarczych czynnych na polu żeglugi i handlu – legitymujących się zwykle konkretnymi dokonaniem – znalazło przystań bardzo zróżnicowane, ambitne i szybko powiększające się grono. Wśród pionierów kolonialnych byli działacze emigracyjni, dziennikarze, literaci, geografowie i historycy, lekarze, rzadziej prawnicy czy agromowowie. Początkowo w nowej sekcji wodzili rej „starzy parańcy” – Głuchowski, Warchałowski czy Michał Pankiewicz, przyszły sekretarz Zarządu Głównego. Znaczące wpływy miała też grupa narodowców, zwłaszcza naukowców, jak doktor Gustaw Załęcki z Instytutu Naukowego do Badań Emigracji i Kolonizacji oraz przede wszystkim byli legionieści. Zwolennicy zamorskich podbojów na razie podbijali samą Ligę. Przez pewien czas zapowiadało się wręcz, że przejmą w niej pełnię władzy ze szkodą między innymi dla rozwoju marynarki wojennej. Ostatecznie jednak wyższe czynniki polityczne zdecydowały się zaprowadzić porządek w autentycznie wówczas popularnej i perspektywicznie bardzo obiecującej organizacji. Na zjeździe w Gdyni w listopadzie 1930 roku LMiR nadano nową nazwę Liga Morska i Kolonialna. Jej prezesem został generał Gustaw Orlicz-Dreszer, jeden z najbardziej zaufanych ludzi marszałka Piłsudskiego, dowódca zbuntowanych oddziałów podczas zamachu majowego, zaliczany do najznacześniejszych person w kraju. Nowy prezes bez większych problemów poskromił ścierające się frakcje i zapewnił Lidze wiele lat dynamicznego rozwoju.

Inicjatorzy polskich planów kolonialnych próbowali podczas obrad konferencji w Paryżu kuć żelazo póki gorące, nie wdając się w defetystyczne rozważania „ludzi poważnych”, czy kolonie są Polsce rzeczywiście niezbędne i z jakich powodów. Pewne było ich zdaniem, że posiadłości zamorskie po prostu się nam należą oraz że szanujące się państwo musi je po prostu mieć. Dopiero w następnych latach dopracowano się rodzimej, przystępnej doktryny, która zasilila skarbnicę ideologii i myśli stanowiących aksjologiczny grunt dla podbojów kolonialnych. Sprowadzała się

właściwie do tezy, że kolonie należą się tym, którzy ich potrzebują, pod warunkiem, że rzetelnie je zagospodarują z pożytkiem dla całej ludzkości.

Przez dwa pierwsze wieki od odkryć Kolumba i wypraw Portugalczyków europejskich żeglarzy i zdobywców za oceany „wiodła służba Boża...”¹⁵⁶. Chęć szerzenia wiary chrześcijańskiej była równie silna, a czasem silniejsza niż gorączka złota i indyjskich korzeni. Jedno z drugim ówczesni odkrywcy dialektycznie łączyli. Kombinacja przemocy, grabieży i ewangelizacji sprawdzała się zwłaszcza w Ameryce Południowej, choć radykalne rozwiązania Hiszpanie cenili zwykle wyżej niż potrzebę głoszenia dobrej nowiny. Tak na przykład Montezuma, cesarz Azteków, został zabity, zanim jeszcze jego ludowi oznajmiono, iż istnieje Ewangelia. Władca Inków Atahualpa natomiast nawrócił się, gdy skazano go na śmierć. Zyskał dzięki temu nadzieję na życie wieczne, a w każdym razie uniknął spalenia na stosie. Ludzie Pizarra udusili go sznurem, sposobem zwanym „garota”. Opis takich i podobnych czynów konkwistadorów stał się w 1552 roku tematem *Krótkiej relacji o wyniszczeniu Indian* autorstwa słynnego obrońcy rdzennych mieszkańców Ameryki, Bartolomé de Las Casasa. Uczony dominikanin utrzymywał, iż są oni istotami ludzkimi – dowodząc na przykład, że Inkowie czy Aztekowie nie ustępują niczym starożytnym Grekom czy Rzymianom – oraz że przemoc hańbi dzieło chrystianizacji. Kwestia przynależności „dzikich” do gatunku ludzkiego budziła jednak spory jeszcze w XIX wieku.

Jakkolwiek w czasach oświecenia nie miała popularność na Zachodzie zyskała idealna zdaniem francuskich filozofów figura żyjącego w błogosławionym stanie natury „szlachetnego dzikusa”, to właśnie w XVIII wieku odnotowano najwyższe obroty w transatlantyckim handlu niewolnikami – wywieziono ich z Afryki około 6,1 miliona, czyli ponad sześćdziesiąt tysięcy rocznie; dla porównania w XVI wieku – jeden–dwa tysiące w ciągu roku. Wiek XIX przyniósł pierwsze znaczące prawa ograniczające, a potem zakazujące handlu niewolnikami, choć i tak ucierpiały jeszcze ponad trzy miliony ludzi. Arabowie, którzy uprawiali ten proceder w Czarnej Afryce od średniowiecza, uczyni niewolnikami łącznie około czterech milionów czarnoskórych¹⁵⁷.

W XIX wieku zapał do nawracania pogan znacznie osłabł i stał się domeną Kościołów i misjonarzy. Narody Zachodu podjęły nowe historyczne wyzwanie: misję ucywilizowania społeczeństw „dzikich”, a w każdym razie, jak na przykład Azjaci, niższych. Pomogły przełomowe osiągnięcia białych – rewolucja przemysłowa, broń

szybkostrzelna i maszynowa, parowce, koleje, telegraf, chinina – to uczyniło ich panami świata. Nigdy wcześniej ani później biali nie mieli tak mocnych atutów zapewniających im dominację nad ludami kolorowymi, jak w początkach XX wieku. Humanistyczną i chrześcijańską powinność krzewienia cywilizacji, zdobyczy techniki i medycyny oraz zachodnich praw i obyczajów, walkę z głodem i pierwotnym barbarzyństwem Rudyard Kipling nazwał obrazowo „brzemieniem białego człowieka”. Wiara w postęp i jego nieuchronność jako swego rodzaju świecką drogę do zbawienia nie ustępowała żarliwością kultowi religijnemu. Jules Verne, choć bronił w swych podróżniczych powieściach praw tubylczej ludności – co prawda tylko w koloniach angielskich – twierdził, że „cywilizacja nie cofa się nigdy i wydaje się, że korzysta z wszelkich praw konieczności”. Jego zdaniem zgodnie z uniwersalnym prawem postępu ludy odrzucające zdobycze cywilizacji, jak na przykład Indianie, muszą po prostu zniknąć¹⁵⁸. Zwolennicy poglądu o szczególnym posłannictwie białych mogli – i chętnie to czynili – powoływać się na autorytet ówczesnej nauki, zwłaszcza, rzecz jasna, na Darwina oraz antropologów „fizycznych”, ustalających poprzez pomiary czaszek stopień biologicznego rozwoju poszczególnych ras i typów ludzkich, a także na etnologów z ich teorią ewolucjonistyczną, określającą miejsce badanych kultur na drabinie postępu. Najwyżej w tej hierarchii, twierdzono, stali w XIX wieku Anglicy. Na nich też spoczywała największa odpowiedzialność za rozwój cywilizacyjny „dzikich”, a w konsekwencji przyszłość ludzkości. Jak przekonywał w 1896 roku prezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, pierwszy Europejczyk, który dotarł do Lhasy, pułkownik Francis Edward Younghusband, „Nasza wyższość nad nimi [kolorowymi] nie wynika wyłącznie z przenikliwości intelektu, ale z wyższości natury moralnej, osiągniętej w drodze rozwoju rasy ludzkiej”¹⁵⁹. Niektóre z ludów imperium brytyjskiego, jak na przykład Pigmeje czy Buszmeni, czy australijscy Aborygeni, których stan moralny nie rokował awansu cywilizacyjnego, według oceny Anglików do istot ludzkich się co do zasady nie zaliczali. Na Aborygenów urządzano zatem polowania, rzecz jasna, z „poszanowaniem prawa”, czyli w tym przypadku kodeksu myśliwskiego. Wprawdzie projekty ich wytrucia, z którymi występowały australijskie gazety, odrzucono, ale z około trzystu–czterystu tysięcy Aborygenów w końcu XVIII wieku sto lat później pozostało tylko trzydzieści–czterdzieści tysięcy¹⁶⁰. Jeszcze w połowie lat trzydziestych XX wieku „Morze” przedrukowało bez słowa komentarza ciekawostkę ze świata: „Wkrótce ma wyruszyć do Afryki Centralnej Międzynarodowa Ekspedycja dla stu-

djów nad pigmejami i gorylami, organizowana przez Nino del Grande. Protektorat nad wyprawą obejmuje Uniwersytet w Witwatersjand (Unja Południowo-Afryk.)”¹⁶¹.

Z przybycia białych z ich technologią i wiedzą mieszkańcy kolonii mieli też bez wątpienia niemałe korzyści. Przede wszystkim mogli korzystać ze zdobyczy zachodniej medycyny, dzięki którym udało się opanować w pewnym stopniu odwieczną plagę chorób tropikalnych, w tym tak przerażających jak śpiączka afrykańska. Zachodnią cywilizację przyjmowano zdecydowanie lepiej, gdy jej symbolem był szpital, a nie kościół czy koszary. Po stronie zysków, choć nie bez zastrzeżeń, należy też zapisać szkolnictwo, zwłaszcza że jego rozwój na przykład w Indochinach przyczynił się wbrew zamiarom Francuzów do modernizacji kolonii, a następnie do ich wyzwolenia¹⁶². Jednak ostateczny bilans kolonializmu był dla podbitych ponury. Zbrodnie w tym zagmatwanym splocie zdecydowanie bardziej rzucały się w oczy niż dobre intencje. Wynikały zwykle nie z zamiaru eksterminacji ludności kolonialnej, lecz z ludobójczej chęci zysku prowadzącej do ruiny lokalnych systemów ekonomicznych. Podbicie Indii przez Anglików doprowadziło na przykład do unicestwienia tamtejszego rzemiosła, co jeden z brytyjskich urzędników skomentował słynnym zdaniem: „na polach Indii bieleją kości bengalskich tkaczy”. Król Leopold II zamienił swoje Wolne Państwo Kongo w wielki obóz pracy przymusowej – całą ludność zapędzono do zbierania mleka kauczukowego, co przynosiło monarsze kolosalne zyski. Nad wykonaniem „planów pozyskania” czuwało wojsko, dopuszczając się niezliczonych morderstw i innych aktów przemocy. W ciągu dwudziestu paru lat, do 1908 roku, gdy król pod naciskiem opinii światowej został zmuszony do przekazania kolonii swym poddanym, czyli państwu belgijskiemu, liczba ofiar jego systemu – zbrodni oraz epidemii i upadku rolnictwa – wyniosła kilka, być może nawet dziesięć milionów ludzi. Trzy dekady później generalny gubernator Konga Belgijskiego Pierre Ryckmans wyjaśniał: „Rządzić, aby służyć – to jedyne wytłumaczenie podbojów kolonialnych – a zarazem pełne ich usprawiedliwienie”¹⁶³.

W Polsce tego rodzaju deklaracje byłyby całkowicie zbędne. Rosnące szeregi zwolenników prężnej polityki zamorskiej przyjmowały dziedzictwo kolonializmu bez zastrzeżeń. Idea kolonialna nie budziła u nas za daleko idących, demobilizujących refleksji, a chęć służenia „dzikim” nie była zbyt popularna. Nawet zbożne dzieło nawracania pogan sprowadzało się często w oczach przeciętnego obywatela do zbierania przez dzieci „sreberek na Murzynka”. Istnienie kolonializmu także na

Zachodzie uważano wciąż za oczywiste, ale w Polsce było, jak się zdaje, oczywiste bardziej.

Szeregowi członkowie LMiK wiedzę o problemach kolonialnych czerpali z wydawnictw i prasy ligowej. W dodatku kolonialnym „Morza” zamieszczano oprócz artykułów o polskich przedsięwzięciach zamorskich i osiągnięciach polskich emigrantów w Ameryce Południowej znaczną liczbę informacji o polityce kolonialnej mocarstw, ich sporach i projektach, nowych kolejach, portach i kopalniach, zbiorach i cenach produktów kolonialnego rolnictwa. Dość regularnie pojawiały się też na łamach pisma wiadomości o „buntach Murzynów” czy azjatyckich kulisów.

Tłumaczono je intrygami czarowników, konfliktami plemiennymi oraz tajnymi stowarzyszeniami, takimi jak „związek ludzi-lampartów”, zawdzięczającymi swe powodzenie ciemnocie i barbarzyństwu. Dzięki owym informacjom i fachowym komentarzom prenumeratorzy miesięcznika mogli już czuć się obywatelami świata kolonialnego i sposobić się mentalnie do życia w polskich koloniach. Z pewnością przecierali oczy ze zdumienia, gdy w jednym z numerów w 1934 roku mogli przeczytać:

Kiedy biały człowiek, któremu w Europie jest bezwzględnie za ciasno, stawia coraz mocniejszą nogę na Czarnym Kontynencie, zamieniając z wolna, ale pewnie, Afrykę w europejskie gospodarstwo folwarczne, [...] wśród Murzynów budzących się ze swego wiekowego snu letargicznego rodzi się poczucie samowiedzy rasowej i zrozumienie, że Afryka, ta kolebka czarnej rasy, musi być i pozostać na zawsze w jej nieograniczonem władaniu. [...] Winy Europy i białej rasy wobec ludności murzyńskiej są zaiste wielkie; wystarczy tutaj wskazać jedynie na fakt, że przez przeciąg czterech wieków biała Europa stanowiła główną podporę tego handlu istotami ludzkimi, który pozbawił czarną Afrykę stu milionów ludzi, przekształcił oblicze jej życia społecznego, obalił zorganizowany rząd, wykoszławił odwieczny przemysł, uniemożliwiając wręcz rozwój kulturalny...¹⁶⁴.

Podobne teksty były jednak w miesięczniku zupełnym wyjątkiem. W roli bohaterów ligowej propagandy obsadzano takie postacie jak Leopold II, którego dokonania uchodziły za przykład, jak wiele może zdziałać wybitna jednostka w kwestii kolonialnej. Społeczeństwo belgijskie, przypominano, „długo przecież uważało swego króla i małą garstkę jego powierników za szaleńców, którzy, nie mając nic do stracenia, ryzykują afrykańską awanturę”¹⁶⁵. Można założyć, że znaczna część działaczy Ligi – zwłaszcza w ostatnich latach dwudziestolecia, gdy o najrozmaitszych żywotnych kwestiach przyjęło się mówić w Europie prosto i bez hipokryzji – podziela-

ła pogląd na politykę zamorską głoszony przez Carla Petersa, zdobywcy dla swego niemieckiego cesarza terenów dzisiejszej Tanzanii (Niemiecka Afryka Wschodnia). Peters, którego oskarżano o morderstwa i grabieże i ostatecznie odwołano do Niemiec, głosił, że „celem kolonizacji jest zdecydowane i pozbawione skrupułów wzbogacenie naszego własnego ludu kosztem innych, słabszych ludów”¹⁶⁶.

W Polsce podobne zdanie wyrażał między innymi sekretarz LMiK Gustaw Załęcki, twierdząc – jako uczeń jednego z prominentnych przywódców endecji Stanisława Głąbińskiego ze szczególnym naciskiem na materię narodową – że „żadnemu państwu [...] nie można brać za złe, jeśli broni ono swej własnej ekspansji narodowościowej i czynić to pragnie choćby kosztem innych narodowości”¹⁶⁷. W przypadku II Rzeczypospolitej szło w dodatku nie tyle o ekspansję, co przetrwanie państwa i „narodowości”. Przed niepodległą Polską stało bowiem widmo, jeśli nie katastrofy społecznej i ekonomicznej, to co najmniej pogłębiającej się biedy i nieprzezwyciężalnego zacofania, a to oznaczało, że czeka nas w Europie los pariasów. Innej, słabszej narodowości zaś pod ręką nie było.

Rok w rok przybywało w Polsce międzywojennej ponad czterysta tysięcy obywateli. Rekordowo wysoki, najwyższy w Europie przyrost naturalny (średnio około półtora procent; jedynie Rumunia miała podobne wskaźniki) bywał powodem do dumy – jako dowód witalności narodu. O podważaniu boskiego nakazu „Bądźcie płodni i mnożcie się, abyście zaludnili ziemię” nie śmiano nawet wspominać. Utrzymanie rozrodczości na co najmniej dotychczasowym poziomie uchodziło za konieczne zarówno z uwagi na owe kardynalne „względy natury ogólnej”, jak i „rozwój naszego państwa”¹⁶⁸. A także niezwykle istotne dla obronności kraju, bo zapewniające szybki przyrost zasobów siły żywej. „[...] podaję do wiadomości, że w 1940 r. Niemcy będą liczyły sześćset trzydzieści sześć tysięcy żołnierzy, Japonia siedemset trzydzieści dziewięć tysięcy, a Polska, daleko mniejsza od Niemiec, taką samą liczbę poborowych co Japonia” – nie krył satysfakcji jeden z ligowych publicystów. Jednocześnie gołym okiem widać było opłakane następstwa owej biologicznej żywotności. W drugiej połowie XIX wieku prawie cały nadmierny przyrost naturalny pochłaniała emigracja. Po I wojnie światowej Stany Zjednoczone najpierw ją ograniczyły, a następnie praktycznie zamknęły swe terytorium przed nowymi wychodźcami, poza „łączeniem rodzin”. A Brazylia i Argentyna wprowadziły reglamentację co do liczby i kwalifikacji emigrantów. W rezultacie w ciągu paru lat liczba mieszkańców wsi nazywanych obcesowo „ludźmi zbędnymi” – bezrolnych i małorolnych

wraz z rodzinami – wzrosła do czterech milionów, a przed samą wojną do pięciu i pół miliona. Wielu z nich żyło na granicy biologicznej egzystencji, nie dojadając, a na przednówku nawet głodując.

Polska międzywojenna miała w swych granicach – w słabo zaludnionych województwach wschodnich – spore zasoby ziemi, które, poddane „kolonizacji wewnętrznej”, mogły być użytkowane rolniczo. Ponadto dzięki osadnictwu na kresach tereny te, co specjalnie podkreślano, zostałyby nasycone polskim żywnością. Szacowano, że na szeroko pojętych ziemiach wschodnich wystarczy ziemi dla pięciu milionów kolonistów – przy założeniu, że osadnictwo obejmie też Polesie. Należało zatem osuszyć między innymi błota pińskie, co przy kosztach melioracji wynoszących parę tysięcy złotych za hektar oznaczało miliardowe wydatki i dziesiątki lat niezmiernych trudów. Około trzech milionów bezrolnych mogłoby osiąść na swoich zagonach także w centralnych czy zachodnich dzielnicach kraju pod warunkiem przeprowadzenia radykalnej reformy rolnej, dla której wciąż brakowało wystarczającego poparcia politycznego. Nawet jednak gdyby te wymagające ogromnej determinacji, wysiłku i czasu zamysły udało się urzeczywistnić, problem przeludnienia agrarnego zostałyby – jak dowodzili zwłaszcza naukowcy i publicyści związani z LMiK – rozwiązany tylko połowicznie. Liczba mieszkańców kraju w ciągu siedemnastu lat, od 1921 do 1938 roku, wzrosła z dwudziestu siedmiu do trzydziestu czterech milionów; spodziewano się, że w ciągu następnych dwóch dekad osiągnie czterdzieści pięć milionów. Prawdopodobnie pięć milionów z nich stanowiliby już Żydzi – w oczach prawicy narodowej obywatele całkowicie zbyteczni niezależnie od tego, czym się zajmowali lub nie zajmowali.

Propaganda antysemityczna dowodziła – a pogląd ten u schyłku dwudziestolecia wyznawały też coraz bardziej otwarcie władze państwowe – że nieodzownym warunkiem lepszej przyszłości kraju jest ich masowa emigracja. Własne kolonie ogromnie by takie kompleksowe rozwiązanie uprościły. Związek między ekspansją kolonialną a „kwestią żydowską” nie był jednak wcale oczywisty. W szeregach, a nawet wśród działaczy LMiK zdarzali się niekiedy Żydzi. Tak na przykład szanowany obywatel Janowa Lubelskiego Boruch Szarfsztajn pełnił w tym mieście funkcję zastępcy przewodniczącego Ligi, a Abraham Finker założył nawet w 1936 roku żydowski oddział LMiK w Szydłowcu koło Radomia i prowadził propagandę kolonialną w miejscowych szkołach. Jednak przed 1939 rokiem dziewięćdziesiąt dziewięć procent członków Ligi stanowili etniczni Polacy. Należała ona do struktur na-

rodowo „ekskluzywnych”, pogłębiających wykluczenie ludności żydowskiej (oraz innych mniejszości) ze społeczeństwa polskiego¹⁶⁹. Jej celem było umacnianie mocarstwowej rangi Rzeczypospolitej oraz pomnażanie polskiego stanu posiadania poza granicami kraju. Jak podkreślał publicysta „Morza”:

Czy szukamy terenów surowcowych i emigracyjnych po to, aby zalać je żywiołem żydowskim? Bynajmniej. Należy dobitnie stwierdzić, że tereny dla odpływu mniejszości żydowskiej z Polski to jedno, a kolonie jako źródło surowców i obszar pracy dla żywołu polskiego, dla ekspansji gospodarstwa polskiego – to drugie. Zrozumiałą jest bowiem rzeczą, że nie po to pragniemy pozbyć się nadmiaru mniejszości żydowskiej w Polsce, aby na tych nowych terytoriach zamorskich [...] stwarzać na nowo problem żydowski¹⁷⁰.

Działacze kolonialni ostrzegali, że – jeśli prawo do osiedlania się w posiadłościach za morzami zostanie przyznane wszystkim obywatelom II RP bez różnicy narodowości – w polskich koloniach Polacy będą w pocie czoła pracować na roli, a Żydzi przejmą handel i pośrednictwo. Jednocześnie jednak twierdzono czasem, że żydowscy emigranci mogą stać się forpoczta polskiej ekspansji, pionierami jej wpływów gospodarczych. Budujący był tu przykład pierwszego polskiego osadnika w Angoli, hrabiego Michała Zamoyskiego, który nawiązał bliskie kontakty z działającymi w koloniach żydowskimi biznesmenami – i nazywał „ich szlachtą z Palestyny”¹⁷¹. Palestyna, gdzie działały Polsko-Palestyńska Izba Handlowa, oddział PKO Banku Polskiego w Tel Awiwie, przedstawicielstwo LOT, stanowiła *notabene* swoisty poligon dla polskich inicjatyw „quasi-kolonialnych”. „Morze” w artykule z okazji powołania na początku 1934 roku Polskiego Komitetu Propalestyńskiego stwierdziło z satysfakcją: „z całą świadomością zaczynamy wpręgać do rydwanu naszej polityki kolonialnej wpływowej i umiejący pracować na polu handlowym element żydowski”¹⁷². Te rachuby nie za bardzo się jednak sprawdzały. Funkcjonariusze publiczni odpowiedzialni za zdobywanie rynków zagranicznych „mieli żal do Żydów, że nie umieli czy nie chcieli wykorzystać swoich przysłowiowych zdolności handlowych i koneksji zagranicznych i rodzinnych”¹⁷³. Palestyna była także przedmiotem zabiegów dyplomatycznych MSZ zmierzających do zwiększenia kwot imigracyjnych, z obawy przed reakcjami arabskimi ustalonych przez sprawujących tam mandat Brytyjczyków na niskim poziomie, a w dodatku obniżanych (w 1936 po zamieszkach w Jaffie). Akcji tej – zgodnej z pragnieniami syjonistów, czyli tej części żydowskiej społeczności w Polsce, która dążyła do odzyskania i zasiedlenia histo-

rycznej „siedziby narodowej” – nie da się jednak zakwalifikować jako polskiej ekspansji kolonialnej. Nie przyniosła też ona istotnego postępu w „kwestii żydowskiej”. Choć emigranci z Polski stanowili czterdzieści procent żydowskich osadników w Palestynie, ich łączna liczba wyniosła w latach 1921–1935 jedynie około stu dziesięciu tysięcy, co odpowiadało trzy–czterorocznemu przyrostowi naturalnemu ludności żydowskiej¹⁷⁴.

Katastrofalne przeludnienie kraju nie było nieuchronne, gdyby nadmiar siły roboczej, niezależnie od pochodzenia i wyznania, mógł zostać wchłonięty przez przemysł, jak stało się to wcześniej w krajach zachodniej Europy. Ambitne skądinąd plany uprzemysłowienia kraju stały jednak u nas pod wielkim znakiem zapytania z powodu braku dostępu do surowców w rozsądnych cenach. Przed I wojną światową w handlu światowym obowiązywały zasady mniej więcej liberalne, po jej zakończeniu podporządkowano go potrzebie samowystarczalności i podnoszenia obronności poszczególnych państw. Był to czas barier celnych, limitów, kontyngentów eksportowych i importowych oraz wojen handlowych. Państwa słabe ekonomicznie i politycznie nie miały wpływu na ceny surowców, zwłaszcza strategicznych. W ostatnim roku przed kryzysem światowym Polska sprowadziła produkty kolonialne za dziewięćset osiemdziesiąt sześć milionów złotych (w tym bawełny za trzysta dwanaście milionów, kawy za trzydzieści trzy miliony, herbaty za dziewięćnaście milionów, kauczuku za dwanaście milionów) oraz surowce chemiczne i rudy metali, płacąc dostawcom cennymi dewizami. Ów „krwawo zapracowany grosz” bogacił innych. W 1936 roku przywóz z krajów zamorskich wyniósł sześćset milionów – jak oceniano, za jedną trzecią produktów polscy importerzy musieli przepłacić. W latach od 1925 do 1935 mieliśmy z krajami pozaeuropejskimi ujemny bilans handlowy na łączną sumę 3783 milionów złotych¹⁷⁵. Dzięki własnym koloniom – stanowiącym źródło tanich surowców kupowanych za złotówki lub za wytwarzane w kraju towary – w krótkim czasie, tłumaczyli działacze Ligi, nasz przemysł stanąłby na nogi. Polskie firmy mogłyby akumulować kapitał, budować fabryki i zatrudniać wychodźców ze wsi. Nie wszyscy pewnie mieszkańcy Rzeczypospolitej zacierali ręce na myśl o obniżeniu kosztów zakupu azbestu czy sizalu, ale już zapowiadany spadek cen owoców południowych mógł zachęcić do popierania LMiK każdego w zasadzie obywatela.

[...] nie dowozilibyśmy jabłek z Kalifornji lub Australji, które w handlu kosztują 3,50 zł za kg, a winogron z Hiszpanji za zł 5, lecz forsowalibyśmy te owoce w naszych kolonjach. Wyszłoby to na korzyść tak kolonjom, jak i nam i wówczas nie płacilibyśmy za banana przeszło 1 zł za sztukę, za pomarańcze zł 0,70–0,75, a za orzech kokosowy po parę złotych, bo wiadomo, że w kolonjach grają nim małpy w piłkę, a bananami obżerają się. Mała Krysia, chcąc sobie kupić orzeszki żydowskie „świeżo pieczone”, nie musiałaby płacić za 10 dkg kilkadziesiąt, lecz najwyżej kilkanaście groszy¹⁷⁶.

„Mała Krysia”, amatorka pieczonych orzeszków, nie mogła sobie jeszcze zdawać sprawy, że ich cena to jeden z wątków zagadnienia o dziejowej doniosłości. „Jest to kwestja, która ma w sobie Hamletowskie »być albo nie być«, sprawa, od której zależy, czy będziemy wielkim narodem, mocarstwem państwem, czy zadusimy się w naszych dzisiejszych ciasnych granicach, jest to czyn, który musimy urzeczywistnić, bo zmusza nas do tego po prostu nasze prawo do życia” – przekonywał prezes Związku Pionierów Kolonialnych Kazimierz Głuchowski i wzywał do „[...] śmiałej, męskiej akcji, która by w myśl jasno opracowanego planu po linii zdecydowanej poszła ku zdobyciu dla państwa, względnie dla narodu polskiego możliwie największego terenu dla ekspansji, terenu, na którym moglibyśmy pod hasłem nowej czy „drugiej” Polski stworzyć nowe, kolonjalne społeczeństwo polskie...”¹⁷⁷. Pozostawało jeszcze tylko wcielić te zamiary w czyn.

Jedynymi koloniami, których status, jak mniemano, nie jest jeszcze w pełni ustalony i przesądzony, były w dwudziestoleciu międzywojennym terytoria mandatowe obejmujące były kolonie niemieckie, których Niemcy zrzekły się w artykule 119 traktatu wersalskiego¹⁷⁸. Od tej chwili zwierzchnią władzę nad nimi sprawowała Liga Narodów. Na podstawie artykułu 22 paktu Ligi Narodów stanowiącego pierwszy rozdział traktatu zarząd nad dawnymi posiadłościami niemieckimi i opiekę nad ich mieszkańcami „jeszcze niezdolnymi do rządzenia się samodzielnie w szczególnie trudnych warunkach nowożytnego świata” powierzono „tymczasowo” Wielkiej Brytanii i jej dominiom Australii i Afryce Południowej oraz Francji jako mandatariuszom Ligi. Opieka ta miała trwać do chwili emancypacji powierzonych mocarstwom ludów, a zatem przez czas nieokreślony. Przepis nie przewidywał możliwości zmiany mandatariusza – ale też jej nie zabraniał. W związku z tym nadarzała się okazja powołania się przez kraje zainteresowane zmianą owego stanu rzeczy na art. 19 paktu Ligi Narodów. Przewidywał on, że Zgromadzenie Ligi Narodów może wzywać członków Ligi, aby „przystąpili do ponownego zbadania

traktatów, które nie dają się już stosować, oraz położenia międzynarodowego, którego dalsze trwanie mogłoby zagrażać pokojowi”.

Do tego przepisu, będącego receptą na rewizję powojennych traktatów, Niemcy odwoływali się notorycznie przy najrozmaitszych sprawach; w próbach podważenia kolonialnego *status quo* mogli liczyć na ostrożne i wyrachowane poparcie Polski. Prasa niemiecka wykazywała z kolei niekiedy pewne zrozumienie dla polskich postulatów kolonialnych. Rzecz jasna, ta mętna zbieżność interesów musiała nieuchronnie przerodzić się w konflikt, gdyby rzeczywiście miało dojść do nowego dzielenia mandatów. W Niemczech uważano polskie oczekiwania w kwestii mandatów za absurdalne, a algorytmy mające określić, jaka część byłych kolonii niemieckich powinna nam przypaść, nazwano „algebraicznym żarciem”¹⁷⁹.

Relacje z Niemcami na płaszczyźnie kolonialnej były w ogóle zresztą wyjątkowo – nawet jak na to frustrujące sąsiedztwo – pokrętne i szczególnie nieszczerze. Niewykluczone na przykład, że cała polska międzywojenna przygoda zamorska zaczęła się właśnie z powodu Niemiec. Istnieją bowiem poszlaki, że wstąpienie do Ligi Morskiej i Rzecznej działaczy kolonialnych i zmiana nazwy na Ligę Morską i Kolonialną było początkowo jedynie manewrem politycznym, którego celem było torpedowanie ekspansywnych żądań Niemiec i działalności ich organizacji kolonialnych. W prywatnej rozmowie z jednym z działaczy Ligi generał Orlicz-Dreszer zdradził, że Polska nie zamierza uprawiać kolonializmu, natomiast zgłaszając swe żądania, chce zapobiec odzyskaniu przez Niemcy ich dawnych posiadłości. Po ostatniej wojnie przyznawano, że roszczenia kolonialne mogły być rzeczywiście „formą polemiki z rewizjonizmem niemieckim”¹⁸⁰.

W okresie, gdy Liga rozpoczynała działalność pod swym nowym szyldem, pionierzy kolonialni byli przeświadczeni, że w 1931 roku nastąpi nowy podział mandatów kolonialnych. W rzeczywistości były to tylko pobożne życzenia i pogłoski niepoparte żadnymi konkretami. Długo oczekiwana rewizja nie nastąpiła, roztrąsane na wszystkie sposoby racje formalnoprawne za przyznaniem Polsce mandatu na jedną przynajmniej kolonię ponemiecką okazały się kompletnie bezwartościowe. Sięgnięto zatem po inne argumenty – konieczność sprawiedliwego i korzystnego dla całej ludzkości rozstrzygnięcia władzy nad terytoriami kolonialnymi na całkowicie nowych zasadach.

Już na początku zamorskiej ekspansji Europejczyków w XVI wieku odmawiano uznania praw do władania zamorskimi ziemiami zdobywcom – chodziło głównie

o Hiszpanów – którzy podnosząc w nich swe flagi, nie potrafili ich jednak fizycznie obronić. Dwa wieki później Jan Jakub Rousseau stwierdzał: „Aby uzasadnić prawo pierwszego posiadacza, trzeba, aby objął je w posiadanie nie przez próżną ceremonię, ale przez pracę i uprawę”¹⁸¹. Od tego czasu, aby oddalić od siebie oskarżenia o źle widziane fikcyjne zajmowanie ogromnych i słabo zaludnionych obszarów, mocarstwa kolonialne deklarowały, że tereny te stanowią „terenowo-osadniczą rezerwę narodową” i jako takie podlegają ochronie prawnej na równi z terytorium samych metropolii. Owej koncepcji przeciwstawiano tzw. teorię przyrodniczą uznającą, że „tylko ludnościowo i narodowościowo zdobyte tereny kolonialne reprezentują uzasadnioną z punktu widzenia etyki międzynarodowości własność narodów”¹⁸² – w imię prawa całej ludzkości do możliwie najpełniejszej eksploatacji całego świata przyrody oraz prawa ludów do życia i rozwoju fizycznego i kulturalnego. „Prawa tego przytłumić nie zdoła żaden frazes, albowiem tereny mało zaludnione i niezdolne do samoistnego bytowania gospodarczego i politycznego z konieczności muszą być oddane tym, którzy duszą się gospodarczo w przeludnionych krajach Europy”¹⁸³ – podkreślał komentator „Morza”. W Europie do państw bez kolonii i w większym lub mniejszym stopniu przeludnionych (zwanym też czasem „proletariackimi”) należały Włochy, Niemcy i Polska, a w Azji Japonia. W ten sposób ze swoimi żądaniami kolonialnymi znaleźliśmy się w towarzystwie dość, jak się miało okazać, kłopotliwym – wśród państw przyszłej Osi.

Przyznawszy sobie prawa do kolonii, trzeba było jednak owe prawa jeszcze wyegzekwować. Stare państwa kolonialne pozostawały głuche na prośby i groźby. Pozostawała jeszcze jedna, jakkolwiek ryzykowna droga – interwencja zbrojna. „[...] przypuścić należy, że narody »proletarjackie«, zamiast czekać w dziedzinie polityki kolonizacyjnej na międzynarodowe unormowanie stosunków, zastosują z myślą o pokoju ten niepacyficzny, tysiącami lat historii wypróbowany środek, a mianowicie środek gotowości do obrony swych interesów nawet i orężem”¹⁸⁴ – pisał z aprobatą w 1927 roku doktor Załęcki. I jak się miało okazać, nie mylił się.

Choć zarówno LMiK, jak i czynniki państwowe II RP perorowały coraz groźniej w miarę zaostrzania się sytuacji w Europie, to zdawały sobie sprawę, że „nie ma w Polsce ani jednego człowieka, którego by urok awantury wojennej [...] o kolonie, pociągał”. „Jeżeli Liga wypisała na swym sztandarze wyraz »Kolonialna«, to nie dlatego, ażeby liczyła na katastrofę geologiczną wyłaniającą nowe bezpańskie kontynenty – wyjaśniał ze szczyptą autoironii autor artykułu w „Morzu” – ale dla-

tego, ażeby spopularyzować w opinii polskiej konieczność wystąpienia w Lidze Narodów w odpowiednim momencie z żądaniem jednej z kolonij [...] dla Polski”¹⁸⁵.

Trudno na szczęście uznać te zamiary za plan ofensywny i daleko idący. Podobnie jak zalecenie zasłużonego skądinąd uczonego geografa, rektora uniwersytetu poznańskiego Stanisława Pawłowskiego: „Cóż zatem powinniśmy robić? Przede wszystkim powinniśmy wzbudzić w sobie chęć posiadania kolonij. Musi w nas powstać gorące pragnienie do zrealizowania tego wielkiego celu”¹⁸⁶. W odróżnieniu od Włoch czy Niemiec w Polsce liczone raczej na cud niż oręż.

W kwietniu 1930 roku komendant francuskiej kanonierki „La Malicieuse” objął w posiadanie w imieniu Francji wyspę Spratly, zwaną także Tempete, jedną z największych spośród około stu wysepek, raf koralowych i łańcuchów piaszczystych archipelagu o tej samej nazwie. „Wyspa ta leży pomiędzy Borneo angielskim i Kochinchiną. Ma 600 m długości, 300 m szerokości i otoczona jest rafami koralowymi. Ludność miejscowa trudni się eksploatacją palm kokosowych. Z powyższej wiadomości, podanej przez pisma francuskie, wynika, że są jeszcze na Oceanji wyspy nienależące do nikogo” – podkreślał z nadzieją redaktor „Morza”¹⁸⁷.

Rozdział VI. Ukajali, rzeka przeklęta

Lipiec 1930 roku był w przeważającej części Polski chłodny i deszczowy. Lecz profesor gimnazjum w Sieradzu Stanisław Iwanicki jakby tego nie dostrzegał, wpatrzony w jakieś dalekie egzotyczne krajobrazy. Sprężystym krokiem pioniera i zdobywcy przemierzał brukowane kocimi łbami ulice miasta, dokonując ostatnich sprawunków przed daleką podróżą w tropiki. Niedawno po długich naleganiach udało mu się namówić żonę na wyjazd i osiedlenie się w Peru, i to w najbliższym regionie tego kraju, Montanii – nad rzeką Ukajali. Tak więc perspektywa kolejnego roku szkolnego w gimnazjalnych murach w dziesięcioletnim miasteczku, tkwiącym w odwiecznej biedzie i martwocie, szczęśliwie się oddalała.

Profesor zdawał sobie naturalnie sprawę, że broszury agitacyjne sławiące uroki Montanii cokolwiek upiększają rzeczywistość. Pamiętano jeszcze w Sieradzu traumę „gorączki brazylijskiej”. Wtedy jednak był to ruch żywiołowy, który porwał rzesze ludzi ciemnych, nieświadomych, otumanionych często przez agentów linii żeglugowych. A pomimo to większości z nich udało się wydrzeć puszczy ziemię i urządzić sobie lepsze życie w Brazylii. Obecnie sprawa przedstawiała się w oczach ludzi świadomych o wiele pewniej. Sprawę planowanej emigracji uzgodniono na najwyższych szczeblach. Polaków zaprosił do Peru sam prezydent kraju, po prawdzie trochę dyktator, Augusto Leguía. Ustalenia przypieczętowano wzajemnymi honorami – prezydenta Wojciechowskiego udekorowano najwyższym odznaczeniem peruwiańskim, słynnym Orderem Słońca Peru, Augusta Leguía odznaczono zaś Orderem Orła Białego. Ponadto zanim czynniki urzędowe zezwoliły na zorganizowaną emigrację, nad Ukajali wysłano oficjalną ekspedycję badawczą, która orzekła, że tereny oferowane przez Peruwiańczyków nadają się na polskie osadnictwo. Rzec całą pomyślano z rozmachem. Polscy koloniści mieli w perspektywie objąć i zagospodarować aż piętnaście tysięcy kilometrów kwadratowych amazońskiej puszczy, czyli obszar równy niemal ówczesnemu województwu pomorskiemu.

Z początkiem lipca grono pedagogiczne sieradzkiego gimnazjum z księdzem prefektem Binkowskim na czele oraz liczni uczniowie pożegnali kwiatami odjeżdżającego profesora i jego małżonkę. Po dwumiesięcznej podróży państwo Iwaniccy przybyli do Peru. Po dalszych długich tygodniach nadeszły pierwsze listy, w których

profesor przyznawał, że „nastąpiło pewne rozczarowanie”. Nie ukrywał, że przyszło im zamieszkać „w jakimś chlewie” wraz z innymi emigrantami. „Umiarkowany klimat” odznaczał się temperaturą dochodzącą do czterdziestu stopni, „żyzna ziemia” okazała się twardą opoką, którą trzeba było rozbijać kilofem, lub też była to dżungla tak gęsto zarośnięta, że nie dawało się jej wykarczować. Profesor Iwanicki cieszył się szczególnie z perspektywy polowań na dzikie zwierzęta, tymczasem „sam musiał kryć się przed nimi oraz przed wrogo usposobionymi wobec przybyszów indyjskimi tubylcami”. Po kilku miesiącach, nie znalazłszy w Peru złotego runa, po które pojechał, i straciwszy wszystko, co posiadał, postanowił wrócić. Na podróż okrętem niedoszli koloniści nie mieli pieniędzy. Zbudowali zatem małą łódkę, którą spłynęli nurtem Ukajali, a potem Amazonki, po wodach pełnych kajmanów i piranii około dwóch tysięcy kilometrów do stolicy regionu Loreto Iquitos – co niewątpliwie należy uznać za godny uwagi wyczyn sportowy. Tu zdecydowali czekać na okazję darmowego powrotu do kraju¹⁸⁸.

Spiritus movens peruwiańskiego przedsięwzięcia, Kazimierz Warchałowski, główny organizator i pierwszy dyrektor kolonii w Montanii, obwiniany powszechnie za niepowodzenie projektu, wspominał gorzko swych kolonistów: „niestety wiotkie mieli mięśnie i słabe serca. Poza kilkoma wyjątkami nie wiadomo, po co tu przyszli. Część rozproszyła się jeszcze po drodze. Większość nawet nie próbowała pracować”. Szczególnie zawód sprawili mu nazbyt aż liczni wśród emigrantów inteligenci: „Oni to właśnie rozbili zapoczątkowane z trudem i ogromnym wysiłkiem dzieło, gdyż zawiedli się w swych chorobliwych ambicjach czy marzeniach. Jedni zawiedli się, bo nie otrzymali spodziewanych posad; drudzy, bo nie było kartofli, masła i bułek; inni, bo nie znaleźli złota; jeszcze innych odstręczyło twarde drzewo, konieczność pracy i odpowiedzialności za własny los. Przestraszyli słabych, wzburzyli silnych, namówili niezdecydowanych i uciekli, nie spróbawwszy uderzyć siekierą ani zasiać pierwszego ziarna”¹⁸⁹. Głosząc te jeremiady, pomijał Warchałowski dość niewygodny fakt, że to on sam owych problematycznych pionierów wybierał i wysyłał za ocean.

Kwestia przyszłości Montanii od dawna leżała na sercu kolejnym władzom peruwiańskim. Położona na wschodzie kraju, oddzielona od wybrzeża – czyli od ucywilizowanej Costy terenami górskimi; Sierra, szerokim na paręset kilometrów łańcuchem Andów – należy geograficznie jako część systemu wodnego Amazonki do sąsiedniej Brazylii. Ponadto do północnej części tego terytorium rościł sobie pretensje

inny sąsiad – Kolumbia dążąca do oparcia granicy na Amazonce. Również gospodarczo Montania stanowiła przed stu laty organizm całkowicie odrębny od Costy. W tej sytuacji polityczna władza nad ziemi nadamazońskimi, gdzie mieszkała znikoma liczba białych Peruwiańczyków, a komunikacja z Limą była niezwykle uciążliwa, mogła okazać się w jakiejś szczególnej dziejowej chwili problematyczna. Natomiast w oczach polskich pionierów kolonialnych izolacja Montanii stanowiła ważki argument za skierowaniem naszych osadników właśnie nad Amazonkę. Peruwiańczycy stawiali na Polaków, zakładając, że nie będą oni mieli ambicji, by zaistnieć na miejscowej scenie politycznej. Rzeczywiście, polscy inicjatorzy kolonizacji nad Ukajali nie pragnęli mieszać się do peruwiańskiej polityki. Przeciwnie, mieli nadzieję, że osadnikom i ich politycznym liderom uda się od niej radykalnie odciąć, by rządzić się samodzielnie lub prawie samodzielnie w przyszłej „Drugiej Polsce”. Ta kwestia nie wyszła jednak poza luźne rozważania. „Fakt niezależności ekonomicznej Montanji od Costy [...] odbije się korzystnie na możliwościach utrzymania narodowego stanu posiadania i uniemożliwi ewentualne zakusy asymilacyjne miejscowych nacjonalistów. Brak łatwych połączeń z Costą sprawi, że osadnicy polscy będą na wiele lat pozostawieni samym sobie” – konkludował z ostrożnym optymizmem kapitan Mieczysław B. Lepecki¹⁹⁰.

Szczodra oferta Peruwiańczyków spotkała się w Polsce ze zrozumiałym zainteresowaniem; ostatecznie zorganizowania emigracji w dalekiej Montanii podjęły się dwa podmioty. Jako pierwszy o koncesję do władz Peru wystąpił Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny utworzony przez bogatych ziemian ze wschodniej Galicji, w którym wodziły rej rody Cieńskich i Dzieduszyckich. Jednym z ważnych uczestników tego przedsięwzięcia miał być Kazimierz Warchałowski, który jednak szybko poróżnił się z udziałowcami Syndykatu i postanowił starać się o przydział ziemi na własną rękę. W rezultacie wiosną 1927 roku obie strony stały się jednocześnie w Limie w roli konkurentów do peruwiańskiej ziemi. Peruwiańczycy nie robili jednak trudności – Syndykat otrzymał koncesję na kolonizację miliona hektarów, a Warchałowskiemu przyznano pół miliona hektarów, z których sto pięćdziesiąt tysięcy miał prawo po prostu sprzedać pod warunkiem wniesienia do skarbu państwa peruwiańskiego połowy uzyskanej zapłaty.

Podpisanie aktów koncesyjnych wypadło uroczyście, a nawet wzruszająco. W Peru wciąż żywa była pamięć o zasługach dla andyjskiej republiki polskich XIX-wiecznych naukowców i inżynierów – Ernesta Malinowskiego, budowniczego naj-

wyżej położonej kolei świata, Edwarda Habicha, założyciela politechniki w Limie, pierwszej w Ameryce Południowej, czy Aleksandra Miecznikowskiego, który zapoczątkował budowę dróg bitych w kraju, przeprowadzając trakt z portu Callao do Limy. Gospodarze byli pełni wiary, że rodacy tyłu wybitnych osobistości pomogą obywatelom Peru związać kresy wschodnie z Costą i przyczynią się do rozkwitu Montanii. Tkwiło w tych oczekiwaniach niewielkie na pozór nieporozumienie, które w pewnym stopniu zaważyło na całym przedsięwzięciu. Otóż polscy osadnicy przybywający nad Ukajali sądzili, że Montania przeżywa lata rozkwitu, a nie że ów rozkwit przewidziany jest dopiero w przyszłości.

Osadnictwo w Peru miało być początkowo kampanią na wpół państwową, finansowaną po części przez Bank Gospodarstwa Krajowego i organizowaną pod egidą Urzędu Emigracyjnego. Stąd zanim zdecydowano o jej oficjalnym poparciu, wyruszyła za ocean specjalna ekspedycja badawcza. Jej kierownik techniczny, kapitan Lepecki, wyjechał z Warszawy jako pierwszy 2 stycznia 1928 roku, wciąż jeszcze ledwo żywy po wyjątkowo hucznie spędzonym sylwestrze. W połowie stycznia uczestnicy wyprawy spotkali się w Lizbonie i wyruszyli angielskim statkiem „Alban” za ocean. Kierowanie ekspedycją powierzono urzędnikowi z Urzędu Emigracyjnego, inżynierowi rolnikowi Feliksowi Gadomskiemu. Pozostali jej uczestnicy tworzyli dobraną kompanię pionierów kolonialnych, którzy w przyszłości jako prominentni aktywiści LMiK mieli trwale zapisać się w historii polskich poczynań zamorskich. Dziennikarz Michał Pankiewicz i Kazimierz Warchałowski – ten ostatni dołączył do wyprawy dopiero w Iquitos, przywożąc z sobą filmowca ze znanej agencji kinematograficznej Pathé, pana Meroviana – zaliczali się do wpływowej frakcji „parańczyków”. Lepecki i Apoloniusz Zarychta, kapitan korpusu geografów, byli kolegami z Legionów. Doktor Aleksander Freyd, absolwent specjalistycznego studium przy Sorbonie, uchodził za najlepszego w Polsce znawcę chorób tropikalnych. Warchałowski występował zaś aż w trzech postaciach – właściciela koncesji, do niedawna naczelnika wydziału emigracji zamorskiej Urzędu Emigracyjnego oraz niezależnego eksperta. Ponadto zabrał się z ekspedycją podróżujący na własny koszt sześćdziesięcioletni już ziemianin z dalekiej Pińszczyzny – znakomity myśliwy o niespożytych siłach i żelaznej wytrwałości – Włodzimierz Orda. Chciano widzieć w nim „wolentarza” w rodzaju pana Zagłoby, ale okazało się, że ani pogodą ducha, ani poczuciem humoru z panem Onufrym równać się nie może. Długo sądzono, że wybrał się za ocean dla przygód i trofeów myśliwskich; ostatecznie wyszło

jednak na jaw, że ma nadzieję nabyć w Peru wielki majątek ziemski i z szarego, błotnistego Polesia przenieść się w tropiki¹⁹¹.

Długie dni rejsu upływały polskim badaczom na rozmowach o tym, co czeka ich w baśniowej Amazonii i magicznej Montanii, oraz na studiowaniu literatury opisującej te rozległe terytoria. Relacje były skąpe i mętne, niemniej jednak wynikało z nich jednoznacznie, że kraj, do którego zmierzali, jest niemal bezludny i co się zowie dziki. W końcu stycznia „Alban” wpłynął w ujście Amazonki, skąd do polskich terenów kolonizacyjnych pozostawało jeszcze prawie siedem tysięcy kilometrów podróży rzekami. W Manaus, największym mieście brazylijskiego stanu Amazonas, eksperci Urzędu Emigracyjnego i BGK zaokrętowali się na statek miejscowego armatora. Wiekowy „San Salvador”, jeden z wielkiej flotyli opalanych drewnem parowców rzecznych sprowadzonych do Brazylii na Amazonkę w minionych czasach bajecznego boomu na kauczuk – niektóre z nich, może jeszcze z czasów Fultona, miały monstrualne boczne koła przypominające wiatrak – po dziesięciu dniach podróży uderzył w spływający rzeką pień drzewa i zatonął. Niezrażeni tym eksploratorzy niepowstrzymanie parli jednak na zachód. Przesiedli się na kolejny statek i już po dwóch miesiącach żeglugi z Europy ujrzeli wznoszące się na wysokim brzegu imponujące budowle Iquitos, stolicy Montanii, a dokładniej rzecz biorąc, peruwiańskiej prowincji Loreto. Dwudziestotysięczne miasto z zagranicznymi domami handlowymi, gmachami publicznymi, hotelami, regularnymi ulicami, światłem elektrycznym, a nawet tramwajem o napędzie parowym – dawna XVIII-wieczna misja jezuicka – podobnie jak Manaus powstało w swym nowoczesnym kształcie w niedawno minionych czasach „gorączki kauczuku”. Poprzedziło ów boom wynalezienie wulkanizacji, czyli sposobu produkcji gumy o stabilnych właściwościach. Popyt na nią rósł galopująco od przełomu XIX i XX wieku wraz z rozbudową fabryk samochodów, które przed I wojną światową na przykład w Stanach Zjednoczonych produkowały już setki tysięcy aut rocznie. Jedynym źródłem dostaw kauczuku było właśnie dorzecze Amazonki, ojczyzna dziko rosnącego kauczukowca brazylijskiego.

Cudzoziemcy podróżujący statkami do Manaus i Iquitos ubierali się niekiedy zgodnie z kolonialną modą, w odzienie tropikalne, a nawet zakładali kaski. W oczach miejscowych przypominali kłownów. W Amazonii obowiązującym strojem były jasna marynarka, żółte buty, krawat w pawich kolorach i słomkowy kapelusz. Do tego nieodzowny sygnet na dłoni – w latach międzywojennych z brylantem już co najwyżej trzykaratowym. Wcześniej, w czasach prosperity, szanujący się

seringueiro, organizator zbioru kauczuku i handlujący nim kupiec, nosił sygnet z ośmiokaratowym kamieniem. Niekiedy ozdabiał pierścieniami nawet kilka palców jak diwa operetki lub kokota najwyższej klasy. Przez kilkanaście lat płynęła do Amazonii i Montanii rzeka dolarów, funtów i franków. Dzień rozpoczynał się w Iquitos od szampana, ostryg i najdroższych cygar, kończył zaś wytwornymi bankietami z udziałem dam z Europy w salonach dopiero co wykończonych pałaców¹⁹². Hojnie też łożono na cele publiczne, szkoły, pomniki, kanalizację. Ale nie na drogi. Do Iquitos, wyspy cywilizacji otoczonej dżunglą, nie prowadził żaden szlak kolejowy. Nie wiodła też zeń żadna droga. Tak zresztą pozostało do dzisiaj. Ponad cztery-stutysięczne Iquitos jest największym na świecie miastem bez połączeń kolejowych i drogowych ze światem.

Jeszcze w XIX wieku pewien angielski botanik złamał surowy zakaz cesarskiego rządu Brazylii i wywiózł z Amazonii siewki kauczukowca. Okazało się, że drzewo to doskonale rośnie między innymi w klimacie Malajów i Indii. Gdy plantacje kauczukowców na innych kontynentach osiągnęły stosowny wiek, skończył się monopol dostawców znad Amazonki. Ustał strumień pieniędzy; niedawni królowie życia, *seringueiros*, przenieśli się, a raczej wrócili do chat na przedmieściach i porzuconego niegdyś stylu życia – nędznego i leniwego bytowania właściwego kaboklom. Jedyne nielicznym, którzy przerzucili się na handel drewnem albo i kukurydzą, udało się utrzymać na powierzchni. Montania w ciągu niewielu lat pogrążyła się w tropikalnej martwocie. Tysiące, a z czasem dziesiątki tysięcy Polaków – Warchałowski zobowiązał się sprowadzić nad Ukajali tysiąc, a Syndykat trzy tysiące rodzin co najmniej trzyosobowych – miało tchnąć w region Loreto nowego ducha i zainaugurować w nim epokę nowoczesnej gospodarki rolnej, która – po dramatycznym krachu na rynku kauczuku – mogłaby stać się fundamentem trwałego rozwoju Montanii. Inna rzecz, że pozyskiwanie mleczka kauczukowego wskazywano jako źródło dochodów także dla polskich kolonistów, pewniejsze i bardziej intratne niż uprawa kukurydzy czy fasoli.

O daleko idących nadziejach, jakie wiązano w Peru z przybyciem polskiej ekspedycji, świadczy przydzielenie ekspedycji badawczej przez dowództwo peruwiańskiej marynarki wojennej monitora rzeczno-jezernego „Cahuapanas”, którym eksperci mieli przebyć ostatnie dwa tysiące kilometrów dzielące Iquitos od wyznaczonych terenów kolonizacyjnych. Wkrótce statek idący majestatycznie pod prąd z prędkością trzech–pięciu kilometrów na godzinę minął widły rzek Maranion i Ukajali, miejsce,

gdzie na mapach pojawia się nazwa Amazonki. Za górny jej bieg, tzw. rzekę źródłową, uważano do połowy XX wieku Maranion, obecnie honor ten przypada Ukajali. Tak więc Polacy mieli wyjątkową szansę osiedlić się niemal u źródeł największej rzeki świata.

Północną granicę terenów, które Peruwiańczycy przydzielili Kazimierzowi Warchałowskiemu, stanowiła wpadająca do Ukajali od zachodu rzeka Pisqui. Stary monitor dotarł w okolice jej ujścia po miesiącu żeglugi, w końcu kwietnia. Stąd ekspedycji prowadzoną przez Warchałowskiego z Europy ośmiotonowym jachtem motorowym „Janka” wyruszyli w górę Pisqui, by podjąć pierwsze badania gruntów przeznaczonych pod osadnictwo i przyszłe uprawy. Jednak owych gruntów w sąsiedztwie rzeki nie było; jacht znalazł się na ogromnym rozlewisku, którego bezludne brzegi porastały głównie trzciny *chicotza* i zagajniki chudych drzewek *satiki*, czyli roślinność charakterystyczna dla terenów zalewanych corocznie przez rzekę. W tej sytuacji badacze postanowili odwiedzić sławną w okolicy *trapiche*, czyli domową gorzelnię, w której pewien doświadczony w swym fachu Metys pędził wódkę z trzciny cukrowej. Utknęli jednak na mieliźnie. Następnym celem badań była rzeka Aguaitii przecinająca w połowie teren koncesji. Tu również na obu brzegach białały łączące się z sobą kępy „satików”. W odległości około dziesięciu kilometrów od Ukajali brzegi podniosły się wreszcie i pojawiła się na nich selwa, dżungla z wysokopiennymi drzewami. Tu dopiero zaczynała się *terra firme*, ziemia, której rzeka nie zalewa¹⁹³. Północna koncesja Warchałowskiego, jedna z dwóch, jakie mu przyznano, ciągnęła się między rzekami Pisqui i Pachitea wzdłuż zachodniego brzegu Ukajali pasem o szerokości trzydziestu pięciu kilometrów. Zatem jej trzecią część zajmowały *vargem*, tereny corocznie zalewane przez rzekę nawet na osiem–dziewięć miesięcy. W praktyce, ponieważ w odległości kilku–kilkunastu kilometrów zaczynały się niemal bezludne obszary dżungli, gdzie koczowali jedynie „dzicy”, czyli wolni Indianie, na polskie osiedla rolnicze po prostu fizycznie brakowało miejsca. Także na *vargem*, jak w całej Montanii, mieszkali czasem ludzie w chatkach na palach. Do tych pali uwiązana była zawsze gotowa do użytku łódź – bo gdy nad dżunglą w górze rzeki szalały burze, Ukajali przybierała nawet o cztery–pięć metrów w ciągu jednej nocy¹⁹⁴. Nie były to dla rolnictwa warunki optymalne.

Gorsze jeszcze dla osadnictwa okazały się stosunki wodne nad wschodnim dopływem Ukajali, gdzie swe północne tereny koncesyjne miał Syndykat – rzeką Tamaya. Uczestnicy ekspedycji przebyli nią na „Jance” około trzydziestu kilometrów,

nie natrafiając na osiedla ludzkie i nie znajdując miejsca do wylądowania. Ciemne, niemal czarne, choć przejrzyste wody Tamayi wdzierały się głęboko w dżunglę, tworząc „opisywaną przez Juliusza Werne’a puszcę wodną, gdzie las wyrasta z wody, a ryby ocierają się srebrną łuską o korę drzew”¹⁹⁵. Z większą jeszcze ekspresją niż Verne odmalował grunty nadane Syndykatom Arkady Fiedler, który podróżował nad Ukajali pięć lat po ekspedycji badawczej. „W zielonym półmroku przedstawia się nam niezwykle widok. Gdziekolwiek spojrzeć, z wody wyrastają drzewa. U góry, wśród konarów, jest pełno światła i ptasich odgłosów, lecz tu, na dole, nieruchoma woda uwięziła w swej martwej tafli wszystkie pnie drzew i wszystkie krzewy: to jakaś niesamowita wizja potopu w Dzień Ostateczny; [...] podobno moglibyśmy płynąć pod drzewami przez dziesięć dni”¹⁹⁶.

W miarę posuwania się „Cahuapanasa” na południe – choć nadal wiele miejsc porastał odstręczający gąszcz *satiki* – ład wzdłuż koryta Ukajali stopniowo się podnosił. Nad rzeką Chesea, gdzie zaczynały się tereny południowej koncesji Warchalowskiego, *vargem* zajmowały już tylko wąski dość pas wzdłuż brzegów. Również koncesja Syndykatu – po obu stronach Rio Tambo i Urubamby, które połączywszy swe wody, tworzyły Ukajali, oraz widłach tych rzek – zdawała się obejmować raczej *terra firmino* niż tereny zalewowe. Jednak większość miejsc nadających się na przyszłą bazę polskich kolonistów i pierwsze osady zajęte już zostały przez osiedla ludności miejscowej. Było tu, nad Górnym Ukajali, nie tylko dość sucho, lecz także trochę chłodniej. Polskie koncesje północne leżały na ósmym stopniu szerokości geograficznej południowej, w strefie klimatu podrównikowego z przeciętną roczną temperaturą dwadzieścia pięć stopni Celsjusza i nocami niewiele tylko chłodniejszymi od dni. „Równomierność temperatury w połączeniu z dużą wilgotnością powietrza stwarza warunki niesprzyjające dla aklimatyzacji mieszkańców Europy Środkowej” – stwierdzili z troską eksperci ekspedycji w swej końcowej opinii. Nad Górnym Ukajali (na szerokości dziesięciu–jedenastu stopni) średnia temperatura była o trzy stopnie Celsjusza niższa, a wiatry znad ośnieżonych szczytów odległych o sto kilometrów Kordylierów niosły w głąb dżungli – co szczególnie w raportach podkreślano – świeże górskie powietrze. Zwłaszcza noce były przyjemnie chłodne. Dzięki temu – oceniali badacze – „warunki klimatyczne umożliwiają pracę rolnika, [...] zapewniając mu niezbędny wypoczynek, co pozwoli przyszedłemu koloniście polskiemu na konieczny wysiłek fizyczny”¹⁹⁷. Utrzymywali także, że temperatura w dzień nie przekracza trzydziestu ośmiu stopni. Jak twierdzili później w pierw-

szych listach osadnicy, wzrastała jednak często do ponad czterdziestu stopni. Arkady Fiedler, który zatrzymał się na dłużej w Kumarii, ośrodku polskiej kolonizacji nad Górnym Ukajali, pomimo urzędowego zapewnienia, że klimat jest dla Polaków odpowiedni, z trudem znosił tropikalne upały. Skarżył się:

Cierpimy wszyscy, ludzie i zwierzęta. Żar kładzie się ciężkim kamieniem na mózg i serce [...]. Coraz wyżej wznosi się słońce. Od ziemi, krzewów, pni, z dołu i z góry zieje straszliwym skwarem. Rozpalone powietrze staje się coraz cięższe i dokuczliwsze [...]. W płucach moich zaczynają dziać się przykre rzeczy. Nie mogę oddychać [...]. Przejścia przez otwarte miejsca, nie większe niż kilka kroków, są prawdziwą katuszą. Promienie słońca działają w rozpalonym lesie jak ostre strzały i powodują na ramionach, poprzez koszulę, dotkliwe ukłucia¹⁹⁸.

Na zachód od Ukajali, za widocznym na horyzoncie łańcuchem gór, leży płaskowyż Gran Pajonal, rozległy, sięgający podnóży wysokich Kordylierów, przed stu laty wciąż oznaczany na mapach białą plamą. To tajemnicza ojczyzna koczowniczego plemienia Kampów, wolnych myśliwych i wojowników. Dla właścicieli hacjend w dorzeczu Ukajali był to teren polowań na ludzi potrzebnych do pracy w lesie i na plantacjach bawełny. Niektórzy z hacjenderów, jak słynny Pancho Vargas znad rzeki Tambo, schwytali podczas ponawianych przez lata wypraw i zrobili niewolników z tysięcy Indian. W końcu jednak przebrali miarę. W 1915 roku Kampowie zjednoczyli siły i z maczugami i łukami ruszyli pod przewodem sławnego *kuraki* [wodza, naczelnika] Tasulincziego z Gran Pajonalu nad Ukajali. W osadzie Chicoso, w sąsiedztwie terenów, które przypadły po latach Warchałowskiemu, wybili pół setki ludzi i ścigając uciekających *hacjenderos* oraz wszelkich innych niepożądanych przybyszów, pospieszyli w dół rzeki, wznecając wojnę aż po średni jej bieg. O Tasulinczim mówiono w całej Montanii – jak niegdyś na Ukrainie o Chmielnickim – z czcią lub zgrozą. Kiedy Kampowie napotkali silniejszą i lepiej zorganizowaną obronę, rozproszyli się i przepadli na wyżynach Gran Pajonalu. W oficjalnym opisie terenów kolonizacyjnych o powstaniu Kampów, choć upłynęło od tych wydarzeń tylko kilkanaście lat, nie wspomniano ani słowem. Przyszli polscy koloniści o swoich niepokojących bądź co bądź sąsiadach mogli się dowiedzieć jedynie z enigmatycznej uwagi: „Dla porządku muszę zaznaczyć, że Indianie wolni mogą przedstawiać pewne niebezpieczeństwo dla osadnictwa”¹⁹⁹.

Po zakończeniu prac badawczych, podczas odwrotu znad Ukajali do Limy, część członków ekspedycji wyruszyła do odległej o sto kilometrów stacji kolejowej Oco-

pa. Pierwszy etap tej podróży wiódł rzeką Tambo. Pewnego dnia indiańska łódź, nad którą powiewała wielka polska flaga, niespodziewanie natrafiła na położony na brzegu rzeki wielki obóz wolnych Kampów. Żaden z nich nie mówił po hiszpańsku. Polskich eksploratorów, czego zresztą potem nie ukrywali, obleciał strach. Na twarzach koczowników spod kamiennego spokoju przeświecało coś, co nie tylko mieszczucha europejskiego, lecz także wytrawnych podróżników mogło napełnić lękiem. „Z oczu wygląda im zuchwałość, a z wykroju ust okrucieństwo. Indianin nie jest człowiekiem złym, [...] ale prędzej góry Manka Imbrichi zapadną się pod ziemię, aniżeli zrozumie on litość lub poniecha zemsty [...]. Ileż to wypraw zginęło bez śladu w czeluściach Amazonii! [...] Bardzo byliśmy wówczas bliscy palmy męczeńskiej i zasłużonego nekrologu w »Kurierze Warszawskim«²⁰⁰ – wspominali Polacy. Na szczęście wśród gromady wojowników zjawili się najznacniejsi miejscowi *kuraka*. A wśród nich niski i chudy Indianin w bogato zdobionej pasiastej „kuźmie”, powłóczystej szacie Kampów, wyjątkowo jednak obszarpanej i plugawej. Wyróżniała go ponadto kraciasta, opadająca na uszy cyklistówka, podobna do noszonych wówczas w Warszawie na Woli i Czerniakowie. Wojownicy rozstąpili się przed nim z szacunkiem i lękiem. Był to *kuraka* Tasulinczi we własnej osobie. Na jego twarzy „malowała się lisia chytryść i spokojne, zimne okrucieństwo [...]. – Ucieszyło się serce moje, gdy dowiedziałem się, że nie jesteście *mala gente* – oznajmił niezłą hiszpańszczyzną²⁰¹. Dzięki licznym podarkom i rozmowom udało się podróżnikom przekonać Kampów, że wszyscy Polacos są wielkimi przyjaciółmi Indian, i – z myślą o przyszłych osadnikach – nawiązać z nimi zażyłe stosunki.

W ciągu paru tygodni indiańskiego powstania okolice górnego Ukajali doszczętnie się wyludniły. Ale w czasach, gdy nad rzekę przybyła Ekspedycja, brzegi rzeki były już znów stosunkowo gęsto jak na Montanię zamieszkałe. Jak szacowali nasi eksperci, na terenach wszystkich polskich koncesji mieszkało łącznie około piętnastu tysięcy ludzi, w tym dwie trzecie stanowili Indianie. Parę tysięcy głów liczyła społeczność *civilizados*, czyli Metysów lub najwyżej zaawansowanych cywilizacyjnie Indian czystej krwi. Białych nad Górnym Ukajali mieszkało nie więcej niż pół tysiąca. Przewodziło im kilku największych hacjenderów, właścicieli rozległych obszarów dżungli, ziemi uprawnej i setek Indian. Najpotężniejszym z nich był Pancho Vargas, „patron” ponad ośmiuset niewolników. Z okazji przybycia ekspedycji polecił on zwołać wszystkich Indian, którzy mieli swe chaty w pobliżu jego „dworu”, i ustawić ich w szeregach według plemion. Wraz z zabiedzonymi pracą kobietami

i wystraszonymi dziećmiakami o wielkich brzuchach na placyku nad rzeką zebrało się ich około dwustu. Vargas nie ukrywał dumy jako pan życia, a niekiedy i śmierci tyłu poddanych, pewien, że przybyszów z Polski napęlnia to podziwem. Twierdził przy tym z tryumfującą beczelnością, że płaci im za pracę²⁰².

Właściciele ziemscy bardzo dbali, by nad górną Ukajali nie było ludzi „niczyich”, co mogłoby Indianom podsunąć niebezpieczną myśl, że nie muszą mieć białego pana. Oprócz potentata znad Rio Tambo do największych „patronów” wykorzystujących pracę niewolniczą należeli między innymi Francisco Franchini z Lombardii, posiadacz rozległych ziem w okolicach Kumarii, a także osoby publiczne – Rafael Souza, gubernator dystryktu Calleria, i Abraham Rivera, poseł do parlamentu limańskiego. Loreto Enrique Urresti, przewodnik ekspedycji z ramienia władz, również mógł się pochwalić około czterdziestoma indiańskimi rodzinami, które zamierzał radykalnie odwieść od starych zwyczajów i wierzeń. Tradycyjne „kuźmy” i inne stroje, pióra we włosach czy malowanie ciał zostały im zabronione. W osiedlu przypominającym obóz dzień zaczynał się od gwizdka oznaczającego pobudkę i zbiórki w szeregach z uroczystym wciągnięciem na maszt flagi państwowej, w podobny sposób też się kończył²⁰³. Francisco Franchini odznaczał się w tym przypadku liberalizmem i praktykowania plemiennych obyczajów nie zwalczał. Dzięki temu miał wreszcie pole do popisu monsieur Merovian. Dwoił się i troił jak w ukropie, utrwalając na taśmie filmowej tańce, obrzędy, ozdoby, starych wojowników i młode dziewczęta. Sam na tle dżungli i korowodów „dzikich” w garniturze jak żurnala, pod krawatem, w paryskich półbucikach i słomianym kapeluszu wyglądał może najbardziej osobliwie z zebranych, jakby wybierał się na piknik do Lasku Bułońskiego.

Inni uczestnicy ekspedycji spoglądali na tę nieco farsową figurę z pobłażaniem. Mieli znacznie bardziej odpowiedzialne zadania. Oprócz gruntownego wybadania, jak miejscowa ludność indiańska odniesie się do kolonistów z Polski, starali się ocenić możliwości wykorzystania jej jako siły roboczej, oczywiście, jak podkreślano i co samo w sobie pachniało w Montanii przesileniem rewolucyjnym – opłacanej. Za najpracowitszych, najuczciwszych i najbystrzejszych – a także w oczach ludzi nieuprzedzonych za pięknych, dumnych i szlachetnych²⁰⁴ – uchodzili Kampowie. Mieli jednak z punktu widzenia białych pracodawców istotne, wspomniane już „przywary”, to jest skłonności wojownicze oraz licznych wolnych i dzikich pobratymców. Zupełnie inaczej miała się sprawa z Kunibami, a zwłaszcza Czamami. Z ich

postawą pogodnego oportunisty i wesołym, spolegliwym usposobieniem nie sprawiali kłopotów. Niekiedy sami zgłaszali się z prośbą do możnych białych panów, by się nimi „zaopiekowali”. Wraz z przyjęciem poddaństwa patron był bowiem zobowiązany ich ubierać, dawać narzędzia i bronić. O przyszłość nie musieli się troszczyć, odżywiając się głównie bananami i rybami, których nieprzebrane ilości pływały w rzekach Montanii. Niestety w pracy – co, rzecz jasna, było dla przyszłych kolonistów informacją ważką – potrafili się tak urządzić, że nigdy się nie przemęczali. Za to podobno prawie nie znali chorób nękających inne szczepy, nie wchodziło więc w grę „chorobowe”²⁰⁵.

Z pewnością niejednen z przyszłych polskich osadników, wśród których raczej niewiele było osób gotowych pracować od świtu do nocy jak chłopci w Paranie, obiecywał sobie wieczory z wędką lub niedziele na złocistych plażach Ukajali. Rzeczywiście Montania i Amazonia pod tym względem nie miały sobie równych na świecie. W samej Amazonce odkryto – tak przynajmniej miały się sprawy podczas polskiej kolonizacji sto lat temu – przeszło jedną trzecią wszystkich gatunków ryb słodkowodnych znanych na Ziemi. Lecz niestety, jak stwierdził ze zgrozą Fiedler, był to „przerazający świat niepojętej drapieżności [...]. Nadmierna ilość ryb przywodzi na myśl raj kipiący bujnym życiem, ale raj przeklęty pożerających się wzajemnie stworzeń”²⁰⁶. Ten złowrogi eden leżał tuż pod powierzchnią tajemniczych, żółtych i mętnych, niedostępnych dla wzroku wód Ukajali. W krainie, gdzie podróżowano głównie łodziami, a ogromne obszary lądu przez długie miesiące do kilku metrów głębokości zalewały rzeki, woda była żywiołem niebezpiecznym i wrogim. Oprócz kajmanów czyhających na zdobycz na ustronnych plażach i piranii „mogących objeść człowieka w ciągu kilku minut do szkieletu”²⁰⁷ żyły w rzecznych odmętach strętwy elektryczne, zdolne ogłuszyć człowieka prądem o napięciu 300–600 V, oraz raje, czyli jadowite płaszczki – zranienie ich jadowym kolcem prowadziło do niebezpiecznych schorzeń, które kończyły się czasem nawet na przykład utratą kończyny. Fatalne komplikacje mogły też spowodować małe obszcniczne rybki cañero, które atakowały ludzi, wciskając się bądź w odbyty, bądź w organy płciowe. Doktor Freyd, złowiwszy całą ich kolekcję, poświęcał wiele czasu na badania tego zjawiska, dotychczas przez naukę niewyjaśnionego.

Doktor należał zresztą do najbardziej zajętych członków ekspedycji. Okazało się bowiem, że dorzecze Ukajali to wylęgarnia wszelkich chorób, i to nie tylko tropikalnych. Polscy eksploatatorzy doświadczyli ich na własnej skórze, gdy tylko peru-

wiański monitor wpłynął na jej wody. W położonej na trzęsawiskach cuchnącej osadzie Mahuiso dziewięćdziesiąt procent mieszkańców było poważnie chorych: szerzyły się tam straszliwa leiszmanioza, syfilis, najrozmaitsze choroby pasożytnicze, malaria. W Pucallpie, „stolicy” dystryktu Calleria, na północnych terenach Warchałowskiego sześćdziesiąt procent ludności cierpiało na kiłę, powszechna była malaria, a zdarzały się i przypadki trądu. Lepecki utykał z powodu jakiegoś tropikalnego grzybka na nodze, Freyd czymś zatruty leżał prawie nieprzytomny, a kapitan Zarychta zapadł na ciężką malarię.

W swej relacji Lepecki nie ukrywał, że w Montanii nagminne są choroby tropikalne, i przyznawał, że zaniedbane i nieleczone, mogą powodować „charłactwo, niezdolność do pracy i zwyrodnienie rasy”. Ostatecznie jednak ekspedycja uznała, że „umiejętnie zastosowane zapobieganie, ewentualnie odpowiednio przeprowadzone leczenie oraz odpowiednie mieszkanie, ubranie i właściwy system odżywiania, dostosowane do warunków specjalnych życia tropikalnego, wystarcza przy obecnym stanie wiedzy lekarskiej w zupełności, aby niebezpieczeństwo zredukować do minimum”²⁰⁸.

Po zakończeniu swych prac nad Ukajali uczestnicy ekspedycji badawczej wodą i łodem podążyli na zachód i po miesiącu podróży dotarli do Limy. Odbywszy przepisane wizyty oficjalne, w tym audiencję u prezydenta Legui, w końcu czerwca 1928 roku, pełni niezapomnianych wrażeń, odpłynęli do kraju. Na kontynencie amerykańskim przebyli łącznie, jak skrupulatnie wyliczono, 8885 kilometrów. Mniej chwalono się kosztami wyprawy, które wyniosły około czterdziestu tysięcy dolarów, na owe czasy sumę bardzo znaczną. Często przypominała o tym natomiast prasa lewicowa i ludowa, zwłaszcza gdy fiasko projektu peruwiańskiego było już oczywiste. Finalny rezultat prac ekspedycji spełniał obudzone w Polsce nadzieje – jak stwierdzono w ostatecznych wnioskach – „moment do rozpoczęcia kolonizacji polskiej w Montanii jest dogodny i że przy odpowiedniej organizacji próba kolonizacji w tym kraju ma wszelkie widoki powodzenia”. Tej optymistycznej konkluzji towarzyszyła jednak zagadkowa uwaga: „Jeśli chodzi o przyszłość osadnictwa polskiego w Montanii, Ekspedycja widzi poważne niebezpieczeństwo w zbyt wielkiej łatwości życia w dorzeczu Ucayali, czemu jednakże, jak sądzi, można zapobiec przez rozbudzenie jak największych potrzeb życiowych u przyszłych osadników i rozbudowę przemysłu rolnego”²⁰⁹. Wygląda na to, że eksperci troskali się, że polscy koloniści wzorem Czamów, zadowalając się rybami, bananami i rybami, odda-

dzą się nieróbstwu. Co najdziwniejsze, tak właśnie poniekąd – gdy idzie o część osadników – się stało.

W beczie miodu – może nie aż tak wybornego, jakby chcieli najbardziej zagorzali zwolennicy kolonizacji w Peru – którą były oficjalne ustalenia komisji, znalazła się też łyżka dziegciu. Kapitan Lepecki, do którego dołączył też kapitan Zarychta, zgłosił formalne zastrzeżenie. Obaj oświadczyli, że północne tereny koncesyjne (między rzekami Pisqui i Pachiteą oraz między rzekami Tamayą i Cheseą) nie nadają się do osadnictwa polskiego. Po II wojnie światowej Lepecki twierdził nawet, że z półtora miliona hektarów, jakie mieli zagospodarować Polacy, uznał za odpowiednie do kolonizacji, i to tylko typu folwarcznego, tj. wykorzystującej najemną pracę Indian, jedynie tereny Syndykatu nad Rio Tambo – na co jednak brakuje dostatecznych dowodów²¹⁰.

Żadna inna z paru polskich imprez kolonialnych nie była poprzedzona tak wszechstronnym i kosztownym rekonesansem. Uczestnicy Ekspedycji, badając zasięg wylewów Ukajali, mierząc temperatury i wilgotność powietrza, katalogując florę i faunę, oceniając postawę i humory tubylców oraz życie gospodarcze nad rzeką, nie dostrzegali, a ściślej, dostrzegać nie chcieli, że całe przedsięwzięcie skazane jest na porażkę. Niepotrzebne były jakieś fundamentalne analizy. Wystarczyłoby trochę zdrowego rozsądku i wyobraźni, by pojąć, że idea masowego osadnictwa w Montanii jest całkowicie fenomenalnie oderwana od rzeczywistości. Trudno jednak o zimną krew, gdy w grę wchodziła zamorska posiadłość wielkości województwa, którą można by próbować po dobroci lub siłą przekształcić w jakąś niby-kolonie na terytorium państwa peruwiańskiego. Jednak po powrocie do Polski poważne wątpliwości, a może wręcz wyrzuty sumienia nie opuszczały badaczy Ukajali: „Jedno jest w tem wszystkim niewyjaśnione należycie: czy w klimacie Montanji będzie mógł zaaklimatyzować się na stale człowiek pochodzący z centralnej Europy? Na to pytanie nikt nie jest w stanie odpowiedzieć. Tylko próba przeprowadzona na żywych ludziach może wykazać niezbity prawdę”²¹¹.

Eksperyment „na żywych ludziach”, a chodziło nie tylko o aklimatyzację i klimat, opóźnił się o parę miesięcy w stosunku do planów wynikających z koncesji. Wątpliwości w łonie samej ekspedycji otrzeźwiły bowiem nieco czynniki rządowe, a zwłaszcza bankowców. Zarząd BGK wycofał się z obietnicy finansowania akcji w Peru. Wobec tego Warchałowski zainicjował powstanie Spółdzielni Osadniczej „Kolonja Polska” z senatorem Stefanem Boguszewskim jako prezesem oraz dwoma

innymi senatorami i znanymi działaczami kolonialnymi, jak doktor Freyd czy doktor Gustaw Załęcki we władzach. Następnie pan Kazimierz ze swych pięciuset tysięcy hektarów gruntów przekazał notarialnie spółdzielni dwieście dwadzieścia tysięcy hektarów. Już parę tygodni później, w sierpniu 1929 roku, Urząd Emigracyjny wydał „Kolonii Polskiej” zezwolenie na werbunek osadników. Dłużej na podobną zgodę musiał czekać zarząd Syndykatu, który w przeciwieństwie do spółdzielni, instytucji społecznej założonej, jak zakładano, przez jednostki ideowe, był przedsięwzięciem komercyjnym, a także miał zapewne na celu zabezpieczenie udziałowcom na wypadek reformy rolnej godziwych folwarków za oceanem.

Jesienią 1929 roku w dziennikach zaczęły się ukazywać ogłoszenia „Kolonii Polskiej” oferujące emigrację do kraju, gdzie według broszurek propagandowych pomarańcze, ananasy i mango rosły dziko w puszczy, Indianie nie mogli się wprost doczekać nowych sąsiadów, a jedno polowanie wystarczało, by zapewnić sobie zapasy dziczyzny na wiele tygodni. Zainteresowanie było ogromne, choć niebezkrytyczne. Jak wspomniał jeden z chętnych na emigrację, który ostatecznie wyjechał do Brazylii:

Pan Warchałowski taki był pewny siebie i myślał, że jakie warunki postawi, takie każdy przyjmie. Nie mogłem zgodzić się na spółdzielczość w pracy i na dzielenie się potem zyskiem, co według mnie wyglądało na komunizm. [...] Nie podobały mi się pustki nad Ucayali na mapie i strasznie wielka odległość od stolicy. Wyjazd dopiero na drugi rok w marcu, bo od listopada do marca cały teren leży pod wodą co rok prawie. Jechać 51 dni wodą. Takie warunki i taka dziura to na głupich. Ja się nie dam wziąć na wędkę²¹².

Jednak wielu dało się złowić – i to nie tylko prezesowi „Kolonii Polskiej”. Oto parę tygodni po spółdzielni kierowanej przez senatora Januszewskiego została zarejestrowana przez niejakiego Józefa Siłę-Nowickiego – byłego, wyrzuconego za nadużycia pracownika Warchałowskiego – spółdzielnia osadnicza „Polska Siła w Peru”. Siła-Nowicki, były rotmistrz rosyjski, inkasował od przyszłych osadników po trzydzieści złotych wpisowego oraz po dwieście złotych za każdy nabyty udział. Koloniści nie doczekali się jednak wyjazdu. Ofiarą Nowickiego padło kilkadziesiąt osób, które wpłaciły w sumie kilkanaście tysięcy złotych. Aferą osadniczą zajęła się policja. Odnalazła prezesa „Polskiej siły w Peru” w Warszawie przy ul. Polnej 76, gdzie mieszkał jako sublokator²¹³. Tańsi byli oszuści we wsiach na Wołyniu i Polesiu,

gdzie zapisywano gromadnie na wyjazd do Peru, pobierając za zapis pięć złotych²¹⁴.

Ostatecznie „Kolonii Polskiej” udało się zwerbować stu pięćdziesięciu dziewięciu kolonistów, których wysłano nad Ukajali przez Limę w siedmiu partiach. Pierwszą z nich wyprawiono w końcu marca 1930 roku. „Wyjeżdżających na tułaczkę emigrantów” – jak to ujęło pismo PSL „Piast” „Wola Ludu” – żegnał na warszawskim dworcu sam senator Boguszewski. „Pisaliśmy już kiedyś, [...] że tereny przeznaczone na kolonizację tak ze względu na odległość, jak i inne nieprzychylnie warunki nie nadają się dla naszej kolonizacji. [...] Patronuje tej wysyłce p. senator Boguszewski z Bezpartyjnego Bloku, ten sam, który [...] był zwolennikiem najradykałniejszej reformy rolnej, wywłaszczenia obszarników bez odszkodowania i obdzienienia chłopów ziemią za darmo”²¹⁵. Obecnie zaś „po prostu chłopów wysyła do Peru, żeby tam zabudowywali pustkowia dla obcych, i daje im czule krzyżyk na drogę, a w Polsce pozostawia niezmierzone obszary Radziwiłłom i Lubomirskim”²¹⁶. Nie był to osąd do końca sprawiedliwy, bo chłopów wśród przyszłych kolonistów można było policzyć na palcach. Natomiast zdanie o „tułaczach” okazało się prorocze.

Po kilku tygodniach wyczerpującej podróży osadnicy znaleźli się u celu, w Kumaarii. Jak sądził Arkady Fiedler, w najbardziej może odległym od cywilizacji zakątku ziemi²¹⁷. Osadę tę wybrano na ośrodek polskiej kolonizacji prawdopodobnie tylko dlatego, że od czasów gorączki kauczuku stał w niej pusty i podniszczony, ale obszerny barak, w którym wszyscy przybysze mogli razem zamieszkać. Tego samego jeszcze dnia stanęli oko w oko z tropikalną selwą. Przed nimi wznosiła się „ściana zieloności tak fantastyczna, że zdaje się być jakąś niezmierną sceną oszalałego teatru. Palmy, liany, bambusy, drzewa proste i koślawe, drzewa niemal poziomo rosnące, krzewy większe niż drzewa, białe jak śnieg liście i czerwone jak krew, [...] puszcza amazońska, najwyższa i najbujniejsza forma puszczy na ziemi”²¹⁸. Każdej rodzinie przysługiwało trzydzieści hektarów owego „zielonego piekła”, „gorącego kotła bujności, wścieklej rozrodczości, szału życia, gdzie kocha się ponad miarę i pożera doszczętnie”, skąd wychodzi się „przytłoczonym wrogą obcością”²¹⁹.

Niektórzy z przybyłych po tej wizji lokalnej nigdy już więcej nie poważyli się choćby zajrzeć do puszczy, nie mówiąc o próbie wzięcia jej pod uprawę. Podobnie jak w Paranie, w grę wchodziło tylko trzebienie puszczy sposobem *rosado*, czyli wypalanie jej poszycia i zakładanie poletek wprost w popiołach rosy, czyli nowej polany. Jednak dżungla Amazonii nawet podróżników obytych z tropikalną czy pod-

zwrotnikową florą skrycie niepokoiły jako byt odrębny i swoisty. „O ile tam każdy skrawek ziemi pokrywa roślinność szczelnie, o tyle tutaj zalewa wprost, tworząc zielony, dyszący życiem pancierz” – zauważył Lepecki²²⁰. Z takim to przedziwnym tworem natury miała się zmierzyć forpoczta polskich osadników.

Wśród pionierów nad Ukajali – zdaniem Marii Bochdan-Niedenthal, żony lekarza kolonii, doktora Zdzisława Szymońskiego, która spędziła w Montanii trzy lata – można było wyróżnić trzy charakterystyczne grupy.

Jedni to element miejski, przeważnie inteligenci szukający przygód, marzący o złocie, które niegdyś płynęło strugami z tego legendarnego kraju. [...] Bujnej ich fantazji towarzyszyło w większości zupełnie nieprzygotowanie do ciężkich warunków życia eksploratora w Montanii, [...] prędko stali się ciężarem dla kolonii. Drudzy to wszelkiego rodzaju wykolejeńcy życiowi, ludzie, którym z różnych powodów wygodniej było opuścić Polskę. [...] Nie brakowało wśród nich wichrzycieli, którzy wkrótce urosli do roli przywódców niezadowolonej większości. Grupa trzecia to prawdziwi osadnicy, pionierzy. [...] Grupa ta zmalała do niewielkiej garstki, która mimo panującego nastroju zniechęcenia i niezadowolenia przystąpiła do pracy na ziemi. Ci ludzie nie różnią się niczym od naszych kolonistów sprzed kilkudziesięciu lat, którzy [...] zyskali Polakom sławę pierwszorzędných osadników w krajach Ameryki Południowej²²¹.

Do kolonistów niezłomnych należeli zresztą wcale nie rolnicy, bardzo nieliczni w Kumarii, lecz na przykład nauczyciel Józef Pieprzyk, pewna rodzina robotnicza z Łodzi czy urzędnik kolejowy Nagórski.

Żadnego zrozumienia dla nieszczęsnego „materiału ludzkiego” nie okazywał w swych korespondencjach do gazet kapelan kolonii ksiądz Franciszek Sokół. Pionier z doświadczeniem w Paranie pisał z furią:

Nie zastanawiano się zupełnie, kogo można wysyłać do Peru. Do puszczy nieprzebytych, gdzie tylko siła pięści i mięśni mogła coś znaczyć, wysłano żądnych szybkiego zubożenia się „dyrektorów świeżego powietrza” zebranych z całej Polski. Wszystkie możliwe, wolne i niewolne zawody były tu zgromadzone, najmniej jednak było rolników! Prawie 90 na stu tych osadników nigdy przedtem w życiu nie miało siekiery w rękę! Przychodzące z Ikitosu statki wyrzucały na brzegi Ukajali weterynarzy, pólżynierów, ćwierćredaktorów, byłych oficerów wojsk polskich, tkaczy, kontrolerów biletów tramwajowych, golarzy, flisaków z Narwi, „operatorów” filmowych, kierowców samochodowych, nauczycieli, tartaczników, rusznikarzy, mieszczuchów i takich sobie synków mamusinych, którzy w Polsce nabroili i których trzeba było gdzieś na czas schować. Co za zbieranina niedołęstwa, małoduszności i bezwstydu! I to mieli być polscy „przodownicy” w Peru!²²².

Bez pardonu piętnując pionierów i „Kolonie Polską”, książdz Sokół protestował jednocześnie przeciw skreślaniu Peru – czego domagano się już w Polsce – jako miejsca na kolonizację. Klimat wbrew obawom okazał się całkiem przyjemny, z upalnymi dniami, lecz chłodnymi nocami. Powietrze w okolicach górnej Ukajali miało być wprost wspaniałe. Osadnicy Polacy twierdzili podobno zgodnie, że nawet przy wyrębie lasu mogą pracować po sześć godzin dziennie – z wyjątkiem tych, którzy pracować nie mogą nigdzie – bez złych skutków dla zdrowia. Także doktor Szymoński chwalił warunki zdrowotne. Nikt w każdym razie w ciągu roku nie umarł. Również obawa przed jadowitymi wężami była podobno grubo przesadzona: „trafiają się żmije i skorpjony, ja jednak, który bezustannie prawie włóczę się po lasach, żmij spotkałem cztery w czasie ośmiu miesięcy, skorpjonów sześć”²²³.

Jak mawiano w Brazylii, gdy wetknąć do ziemi nad Amazonką parasol, to po dwóch miesiącach wyrośnie drugi parasol. Według ekspedycji badawczej grubość warstwy niezwykle żyznego humusu w selwie nad Ukajali przekraczała metr. W połączeniu z subrównikowym klimatem i dostatkiem wody czyniłoby to z polskich terenów koncesyjnych raj dla rolników – gdyby ziemi nie przykrywał nieprzenikalny pancerz roślinności, a produkty rolne było komu sprzedać. Handlem, wyłącznie zresztą wymiennym i nastawionym na wyzyskiwanie Indian, parali się jedynie kapitanowie dwóch małych parowców „Libertad” i „Sinchi Roce”, z których każdy przybijał do przystani w większych miejscowościach pięć, osiem razy w roku, przywożąc z Iquitos igły i nici, perkale i sukna, naftę, konserwy, noże i strzelby. Eksperci ekspedycji orzekli, że ta handlowa próżnia w Montanii to niepowtarzalna okazja dla polskich przedsiębiorców na ekspansję handlową i podjęcie zbawienne-go dla osadników eksportu. Ale nikt w kraju nie podchwycił pomysłu. Rezerwa rodzimych przedsiębiorców była zresztą dość zrozumiała. Rozwinięcie handlu, zwłaszcza zagranicznego, z nieistniejącymi jeszcze polskimi koloniami wymagało zainwestowania we własną rzeczną linię żeglugową, która miałaby połączenie z linią transatlantycką Gdynia–Manaus. Nieco tylko taniej wypadłoby zbudowanie przez Gran Pajonal około dwustu kilometrów drogi samochodowej od górnej Ukajali do drogi w kolonii angielskiej Perene i stacji Oroya przy linii kolejowej do Limy²²⁴.

W praktyce koloniści nad Ukajali, zdani na rolnictwo wypaleniskowe służące własnym potrzebom, prowadziliby w pełnym tego słowa znaczeniu gospodarke pierwotną. Jak przyznawał wielebny Sokół, przed osadnikiem polskim w Peru stały tylko dwie możliwości: „wywóz za granicę lub wieczne dziadowanie. Jeść zawsze

będzie miał co, nawet okryje siebie i rodzinę, więcej jednak, bez należytego wywozu swoich wytworów, nie zdobędzie ze swojej osady”²²⁵. Korzyści z ryzykownego wyjazdu na emigrację przedstawiałyby się zatem dość mizernie. Jakkolwiek nie całkiem bez uroku: „Po przygotowaniu kilku morgów ziemi i zbudowaniu domku osadnik, który nie miałby innych wymagań poza zaspokojeniem swoich i rodziny potrzeb pierwszych, mógłby zupełnie spokojnie resztę życia swojego spędzić w błogim próżniactwie. Tak też czyni miejscowa ludność biała, tak też żyją Indjanie. Tu nikt nie pracuje i nikt nie chce pracować”²²⁶. Polskim osadnikom zdecydowanie bardziej podobał się jednak bliski staropolskim tradycjom styl życia latyfundystów znad Ukajali – tamtejszych ziemian z obszernym drewnianym dworem, zastępem zbrojnych i gromadą, jak nazwali ich eksperci ekspedycji, Indian „pańszczyźnianych”. Na to brakło jednak sił i środków oraz odpowiednich charakterów i kapitału. W miejscowym modelu gospodarczym towarowe gospodarstwa rodzinne, w których mieliby pracować sami właściciele, właściwie się nie mieściły. Nawet gdyby handel nad Ukajali nieco się ożywił, zyski mogły przynieść jedynie bawełna i kawa. Na podjęcie ich uprawy potrzebne były grunty o pewnej już kulturze oraz specyficzne kwalifikacje i doświadczenie. No i czas – parę bardzo trudnych lat. Być może zakończonych porażką, jako że sąsiedzi Polaków, Vargas czy Franchini, osiągnęli w miarę godziwe zyski tylko dzięki darmowej pracy swych poddanych.

Niektórzy z osadników już po paru tygodniach zaczęli szukać okazji przeniesienia się w bardziej cywilizowane okolice. Na mętnych wodach Ukajali widać było jednak najczęściej tylko indiańskie czółna, a czasem także tratwy spławiane do Iquitos, zbite z pni mahoniowych, cedrowych, palisandrowych, każda z nich warta kilka tysięcy przedwojennych złotych. To właśnie szlachetne drewno i kauczuk – choć coraz trudniej dostępne z powodu znacznego już przetrzebienia nadrzecznej puszczy – a nie produkty rolnictwa były nadal prawdziwym, realnym bogactwem Górnej Ukajali. Nie uszło to uwadze Kazimierza Warchałowskiego. Udało mu się namówić spółkę francuskich przedsiębiorców, by zainwestowali w budowę tartaku w Kumarii. Zakład ten, załóżek przemysłu nad Ukajali, miał swym zyskiem pomóc w utrzymaniu i rozwoju kolonii oraz zapewnić miejsca pracy dla części osadników. W ten sposób do swych licznych funkcji pierwszy dyrektor kolonii dołączył jeszcze spore na lokalne warunki zadanie inwestycyjne. Interesy pochłonęły go całkowicie. W ciągu niemal roku swego dyrektorowania spędził w Kumarii zaledwie dwa i pół miesiąca. Pasjami lubując się w kosztownych lotach hydroplanami, krążył

między kolonią, Iquitos i Limą, podziwiając Andy i Montanię z lotu ptaka. Tartak uruchomiono wprawdzie – niektórzy koloniści liczyli, że otrzymają w nim nawet należne inteligencji posady biurowe – ale jego wyniki produkcyjne i finansowe były żałośnie słabe.

Następca Warchałowskiego, dyrektor Aleksander Kurowski, rozpoczął urzędowanie w Kumarii od bankietu, który miałby rozpocząć harmonijną współpracę rodaków. Impreza szybko przerodziła się w libację zakończoną awanturą i ogólną bijałką. Wydarzenie to trwałymi zgłoskami zapisało się w kronikach policji regionu Loreto. Sławetny bankiet zbiegł się oto w czasie z zainauguowaniem służby przez właśnie utworzony posterunek policji w Kumarii. Pierwszą interwencją miejscowych policjantów było spacyfikowanie pijanych Polaków²²⁷. Dyrektor Kurowski większość czasu spędzał w Iquitos, próbując naciągać Peruwiańczyków na kolejne pożyczki. Kolonii brakowało pieniędzy już nie tylko na urządzenie kolonii i wytyczanie działek, lecz także na żywność – w klimacie i na glebach, gdzie co trzy miesiące można zbierać kukurydzę i fasolę, koloniści nie zdobyli się bowiem na wypalenie choćby jednej rosy pod ich uprawę. Niektórzy z osadników zaczęli je zatem podkradać z poletek Indian „pańszczyźnianych”.

W końcu doszło do widowiskowego przesilenia. Polscy pionierzy napadli na statek, który właśnie przybił do Kumarii, zarekwirowali go i wraz z rodzinami, w sumie około siedemdziesięciu osób, popłynęli w dół rzeki. Uzbrojeni w noże, pistolety, karabiny wojskowe i broń myśliwską, zdziczali, pełni pretensji do całego świata, wylegli na ulice Iquitos, wzbudzając popłoch. W planach było przede wszystkim pobicie Kurowskiego, ale policja przydzieliła mu ochronę. Pionierzy znad Ukajali uderzając różnili się od pokornych osadników, którzy zmagali się z selwą w Paranie. O nic nie prosili, nie skarżyli się, tylko żądali pomocy rządu peruwiańskiego. Sterroryzowane władze Loreto wzięły ich na utrzymanie i zaalarmowały Limę, skąd wysłano oficjalną depezę ze skargą do Warszawy²²⁸. O zajeździe na Iquitos napisała prasa w całej Ameryce Łacińskiej, a potem dzienniki europejskie. W obawie przed międzynarodową kompromitacją, a zwłaszcza krwawymi zajściami nad Amazonką, rząd polski zdecydował się ewakuować „kolonistów” z Iquitos do kraju lub chętnym opłacić przejazd do Parany.

O wiele mniej burzliwie przebiegała kolonizacja w koncesji Syndykatu, zwłaszcza że tak naprawdę nawet się nie rozpoczęła. Starając się o zgodę na werbowanie emigrantów, galicyjscy przedsiębiorcy kreślili na użytek władz bajeczne i niebywa-

le patriotyczne perspektywy w postaci na przykład włączenia do polskich posiadłości całego zaandyjskiego wschodu Peru:

[...] tereny Syndykatu, jak i Kolonii Polskiej zamykają zupełnie dostęp do połaci kraju sięgającej [na południu] aż do granicy Brazylii, tak rozległej jak Belgia i Holandia zarazem. Należy się spodziewać, że i na tą wielką połac kraju koncesja będzie mogła być rozszerzona, np. za zwolnienie rządu Peru z obowiązku wypłacania kosztów przejazdu osadników z Polski do kolonii. W ten sposób mogłoby powstać tam, i to bez komplikacji międzynarodowych, *Dominium Polskie*, być może ostatnia sposobność nadarzająca się Polsce w tym kierunku wobec zabiegów wszystkich państw o pozyskanie kolonii²²⁹.

Holding wysłał do Peru inżyniera Suchorskiego z Parany, który z kilkunastoma polskimi robotnikami z tego samego stanu założył osadę nad Urubambą u ujścia rzeczki Sepay, na południe od Kumarii. W okolicznej selwie wytyczył kilkaset działek „rolnych” i wypożyczywszy od Pancho Vargasa jego indiańskich poddanych, przygotował grunt pod plantacje kawy i bawełny. Zadaniem jego następcy inżyniera Michała Gieysztora było już tylko utrzymanie i rozwijanie polskiej hacjendy. Inni Polacy w Sepie nigdy się nie pojawili, a samo osiedle jeszcze przed II wojną światową przejęli Peruwiańczycy. Najpierw urządzili w niej bazę wojskową, a potem więzienie, w którym osadzali przeciwników politycznych, w tym terrorystów z osławionego „*Serendero Luminoso*” (Świetlistego Szlaku)²³⁰.

Po pozbyciu się „wichrzycieli” z Iquitos – warto zauważyć, że swe cele bezkarnie osiągnęli – pozostało jeszcze około czterdziestu osadników w Kumarii. Ich nieformalnym przywódcą stał się ksiądz Sokół, który planował przeniesienie kolonistów na tereny brytyjskiej *Peruvian Corporation*, bliżej Iquitos. Sprzeciwił się temu doktor Szymoński, alarmując, że polscy osadnicy staną się wasalami czysto komercyjnej firmy zajmującej się budową kolei. Polemizując zapalczywie z księdzem, lekarz kolonii, być może broniący swego miejsca pracy, stwierdzał bez ceregieli, że energia i aktywność duchownego to w rzeczywistości patologiczna nadaktywność i prawdopodobnie objaw choroby psychicznej²³¹. Tak więc pełna waśni i sporów historia kolonii nad Ukajali – w której zbiegły się wszystkie chyba polskie grzechy główne i poboczne, na czele z zasadą „jakoś to będzie” – kończyła się jeszcze jednym trywialnym konfliktem. Przerwała go ostatecznie w sierpniu 1933 roku decyzja komisji rządowej o likwidacji kolonii w Kumarii.

„Zawiść, głupota i niedołość podały sobie ręce. Zamiast postawić mocno nogę w tym dziewiczym kraju, [...] przedstawialiśmy sobą obraz zdziczałej i zbolszewizowanej gromady ludzkiej, bez żadnej myśli przewodniej, bez żadnych moralnych hamulców”²³² – pisał we wspomnieniach Kazimierz Warchałowski, finezyjnie umniejszając swój udział w peruwiańskiej przygodzie. To jego jednak przede wszystkim oskarżano o jej spektakularne fiasko. Twierdzono nawet, że pod pretekstem kolonizacji zamierzał zbić prywatną fortunę na eksploatacji drewna w Peru. Na ogół jednak wskazywano na jego megalomaństwo i inne ułomności charakteru. Lepecki pisał o tym bogatym ziemianinie z Galicji Wschodniej, który na początku XX wieku przeniósł się z całym swym wielkim majątkiem do Parany, wydawał „Polaka w Brazylii”, założył księgarnię polską i organizował szkolnictwo w nowych koloniach: „Był to człowiek uczciwy, ale niepoprawny fantasta i uparciuch, [...] ubrdał sobie, że stanie się twórcą nowego wielkiego osadnictwa polskiego w kraju tropikalnym. [...] Stanowczo odrzuciłbym posądzenie go o brudną chęć zysku. Posiadacz wielkiej fortuny trwonił ją na sprawy może nieistotne, może fantastyczne, ale zawsze mające jakiś sens społeczny”²³³.

„Kabała ukajalska” i jej niesławne zakończenie były bolesnym ciosem dla LMiK oraz instytucji i urzędów zajmujących się organizowaniem emigracji, godziła też w mocarstwowy prestiż II Rzeczypospolitej. Dlatego, gdy jesienią 1938 roku MSZ uzyskał informację, że władze Peru zamierzają przeznaczyć pod kolonizację rozległe tereny wokół miasteczka Tingo Maria – oddalone od Limy o pięćset kilometrów drogami bitymi, leżące na wysokości sześciuset pięćdziesięciu kilometrów nad poziomem morza, a zatem wolne od najgroźniejszych chorób tropikalnych – bezwzględnie przystąpił do działania. Nie chodziło tym razem o miliony hektarów i Nową Polskę, lecz rzecz warta była zachodu. Tereny osadnicze leżały wzdłuż szosy łączącej miasto Huánuco w prowincji Leoncio Prado z dorzeczem Ukajali, w okolicy już częściowo rolniczo zagospodarowanej. Po zaledwie paru miesiącach pertraktacje zmierzały do zakończenia. Umowa miała objąć tysiąc dwieście rodzin co najmniej trzyosobowych – wyłącznie rolników z udokumentowanym stażem – w ciągu dziesięciu lat. Każdej z nich przysługiwałoby dwadzieścia hektarów ziemi. Działki planowano wymierzyć jeszcze przed końcem roku 1939, tak by pierwsi koloniści mogli przybyć do Tingo Maria najpóźniej z początkiem 1940 roku. Polaków objęto korzystnymi przepisami o kolonizacji wewnętrznej – każdy osadnik miał od rządu Peru otrzymać dom mieszkalny na własność, narzędzia i nasiona o wartości pięć-

dziesięciu soli oraz inwentarz żywy i materiały budowlane o wartości trzystu soli (trzystu trzydziestu złotych). Na terenie głównego ośrodka kolonii planowano budowę na koszt Peruwiańczyków stacji doświadczalnej rolniczo-hodowlanej, domów mieszkalnych dla administracji oraz sklepów, magazynów, poczty, szkoły i kościoła²³⁴.

W sierpniu 1939 roku pozostały już tylko nieliczne kwestie sporne. Tak na przykład koloniści mieli być według uzgodnionych zapisów kontraktu wyłącznie chrześcijanami. Strona polska chciała jednak, by to postanowienie – w ówczesnej sytuacji europejskiej wręcz prowokacyjnie antysemickie – umieścić nie w tekście publicznie dostępnej umowy, lecz w specjalnej tajnej nocie²³⁵. Ciągle jeszcze nie przesądzono też ostatecznie, w jaki sposób rząd Peru ma uczestniczyć w finansowaniu transportu emigrantów. Ostatnie dwa dokumenty w sprawie kolonizacji w Peru, najnowsze raporty z Limy o przebiegu negocjacji, wpłynęły do siedziby MSZ w pałacu Brühla w pierwszych dniach września 1939 roku²³⁶, gdy na Warszawę spadały już niemieckie bomby.

Rozdział VII. Angola dla bogaczy

Nawet najbardziej fantastyczne legendy o skarbach, które zdobyć mógł każdy, kto odważył się wyprawić do dzikich krajów, zawsze miały w świecie chętnych słuchaczy. Także i wtedy, gdy wszyscy byli przekonani, że je po prostu zmyślono – jak na przykład opowieści podróżników wracających z Angoli o szlachetnych kamieniach, które w tej portugalskiej kolonii znajdowano rzekomo na powierzchni gruntu albo podczas budowy dróg czy orki. Były to rzeczywiście relacje zdumiewające. W dodatku – prawdziwe. Mając nieco szczęścia, wystarczyło w Angoli schylić się ku ziemi, by zdobyć może nie fortunę, ale pokaźną zaliczkę na przyszłe bogactwa – garść kamyków, czyli surowych diamentów zwanych „białą fasolą”. Bardziej jeszcze niż ich poszukiwanie opłacał się ich skup i przemyt do Europy. Groziło za to, jak zresztą i za zbieranie diamentów na własną rękę, długoletnie więzienie. Monopol bowiem na zbiory, handel i eksport tym szczególnym towarem należał do angielsko-belgijsko-portugalskiej *Companhia de Diamantes de Angola* (Towarzystwa Kopalni Diamentów w Angoli), które wraz z władzami kolonii wszelkimi środkami walczyło z jego łamaniem.

Pomimo tych utrudnień angolskie pola skrzące się szlachetnymi kamieniami – znajdowano na nich także rubiny, szmaragdy, szafiry, ametysty oraz złoto – przyciągały uwagę przedsiębiorczych jednostek z całego świata. Liczne poszlaki wskazywały, że monopol jest nagminnie naruszany, a nielegalne diamenty stale pojawiały się w sprzedaży. Kwestia ta budziła zainteresowanie zwłaszcza w Polsce, od chwili gdy w 1929 roku specjalna ekspedycja Związku Pionierów Kolonialnych i Naukowego Instytutu Emigracyjnego orzekła po pięciomiesięcznej wyprawie, że wysoki płaskowyż Angoli nadaje się doskonale dla osadnictwa polskiego, a możliwości rolnicze są na nim niemal nieograniczone. Wskazywano w szczególności na wielkie perspektywy dla uprawy kartofli, osiągających w Angoli i sąsiednim Kongu Belgijskim bardzo wysokie ceny. Nikt ich w tych krajach dotychczas nie uprawiał, pomimo że w niektórych regionach ani gleba, ani klimat nie stały temu na przeszkodzie²³⁷. Jednak przyszłych kolonistów zdecydowanie bardziej od ziemniaków intrygowała „biała fasola”.

Inżynier Adam Paszkowicz, jeden z pierwszych polskich pionierów w Angoli, przedsiębiorca, a jednocześnie korespondent warszawskiej prasy, postanowił rzecz całą naświetlić dokładniej. Zaraz po przyjeździe zauważył, że ile razy w mniejszych biurach kupieckich lub w sklepikach przydrożnych w rozmowie pomiędzy kupcami padną słowa „biała fasola”, głosy zniżają się do szeptu, oczy nabierają blasku, a na twarzach zjawia się gorączkowy rumieniec. Któregoś dnia, wiedziony kupiecką i dziennikarską ciekawością, wybrał się w Lobito, do kantoru pewnego znajomego kupca. Biuro stanowiły dwa małe, prawie puste pokoiki, w których urzędował wysoki szczupły brunet „z małymi biegającymi oczkami”. „Chciałbym kupić trochę białej fasoli” – rzucił na pozór obojętnie inżynier, zapalając papierosa. Kupiec, znając go jako Polaka, współrodaka bohaterów popularnej ponoć w Portugalii Trylogii, wyjaśnił mu w zaufaniu, jak działa czarny rynek „białej fasoli”, w powszechnej opinii jeden z ważnych działów ówczesnej gospodarki angolskiej. „Białej fasoli jest w Angoli dużo. Mogę przyjąć zamówienie na każdą ilość” – zauważył nie bez dumy.

Z uwagi na ryzyko długiej odsiadki przyjęło się, że minimalna liczba diamentów w obrocie to kilogram – o wartości, jeśli były to duże kamienie „czystej wody”, sześciuset funtów szterlingów. Interes załatwiał pośrednik listownie z handlowcem skupującym kamyki od „Murzynów” i białych w głębi kraju. Zamówioną „fasolę” przywożono do miasta i można ją było oglądać w jakimś zakonspirowanym mieszkaniu. Z Angoli eksporter wywoził diamenty statkiem, łodzią żaglową z jakiejś odludnej plaży lub samochodem przez zieloną granicę. W tym ostatnim przypadku należało sobie zapewnić uzbrojoną w karabiny eskortę, ponieważ handlarze z interioru próbowali często odzyskać sprzedany wcześniej towar. Podziękowawszy uprzejmemu gospodarzowi, Paszkowicz wyszedł i głęboko odetchnął. „Ładne towarzystwo – powiedział sobie – na szczęście nigdy nie miałem i nie mam zamiaru handlować »białą fasolą«!”²³⁸.

Niejeden z czytelników jego korespondencji z pewnością nie mógłby złożyć takiej deklaracji. Przeciwnie, w przekonaniu wielu z nich przemytnicza awantura w afrykańskiej puszczy byłaby z perspektywy szarej codzienności spełnieniem ich najgorętszych pragnień. Angola stała się w owym czasie – gdy uznano ją za godny uwagi, a może nawet najbardziej odpowiedni cel polskiej kolonizacji w Afryce – jednym z żelaznych tematów kawiarnianych dysput. W każdej renomowanej cukierni rezerwowano przynajmniej jeden stolik dla „angolczyków”. Na honorowe

przy nim miejsce mogli liczyć zwłaszcza ci, którzy znali choć trochę kogoś z rodziny angolskich pionierów. Wymieniano się informacjami, opiniami i pogłoskami, choć niestety zwykle z drugiej lub trzeciej ręki. Na Ochocie w Warszawie powstała nawet kawiarnia o nazwie „Angola”. W teatrze „Mignon” przy pełnych salach grano w 1931 roku rewię *Jedziemy do Angoli*. Żaden inny cel kolonialny, jaki pojawiał się w publicznym obiegu w czasach starań o posiadłości zamorskie, nie zyskał takiej popularności jak odległa portugalska kolonia. Były ku temu powody. Trudno powiedzieć, że racjonalne, ale jako tako zrozumiałe w ówczesnym stanie umysłów.

Portugalczyki twierdzili z przekonaniem, że Angola jest najlepszą kolonią w Afryce. Tę kontrowersyjną, lecz nie całkiem bezzasadną tezę podzielali niektórzy wysoko postawieni zagraniczni miłośnicy kolonializmu, na przykład Mussolini. Duce tak gorąco i konsekwentnie słał walory portugalskiej kolonii, że zaniepokojeni Portugalczycy zabronili w niej jakiegokolwiek zorganizowanej kolonizacji włoskiej. O niebo lepsze były perspektywy osadnictwa polskiego, które – jak osądzano w Lizbonie – nie mogło zagrozić trwającemu od czterech wieków, gdy idzie o wybrzeże Atlantyku, portugalskiemu panowaniu nad Angolą. Jej podbój zaczął się jeszcze w XV wieku, wkrótce po odkryciu przez słynnego żeglarza Diogo Cao ujścia rzeki Kongo w 1486 roku. Pierwszy kościół katolicki w tej części Afryki poświęcono już w 1490 roku. W ciągu XVI i XVII wieku Portugalczycy, handlując z tubylcami i usilnie szerząc chrześcijaństwo oraz wojując z miejscowymi królestwami i bezwzględnie tłumiąc powstania podbitych plemion, posuwali się brzegiem oceanu na południe. Zdobyli między innymi dzisiejszą Luandę oraz Benguelę, która zyskała wkrótce ponurą sławę portu handlarzy niewolników. W ostatnich dekadach XIX wieku rozszerzyli swe panowanie o rozległe obszary w głębi kraju i nazwali kolonię Portugalską Afryką Zachodnią. W rzeczywistości ich władza nad większością tego liczącego ponad tysiąc trzysta tysięcy kilometrów terytorium – przeszło trzy razy większego od międzywojennej Polski – długo jeszcze przejawiała się głównie portugalskimi flagami powiewającymi tu i ówdzie nad osamotnionymi posterunkami wojskowymi. Podbój interioru rozpoczął się w praktyce wraz z rozpoczęciem w pierwszych latach XX wieku budowy linii kolejowej z portu Lobito do niezmiernie bogatej w rudy metali Katangi w Kongu Belgijskim. W tym samym jednak czasie wybuchło wielkie powstanie miejscowej ludności, które przerodziło się w długotrwałą, nieopisanie krwawą wojnę. Aż do początku lat dwudziestych Portugalczycy nie byli w stanie uporać się ostatecznie z walczącymi o wyzwolenie się spod ich

władzy plemionami, zwłaszcza że czarni powstańcy zaopatrzeni byli w nowoczesne niemieckie karabiny.

Portugalskie posiadłości zamorskie od dawna budziły nie najlepiej wróżące zainteresowanie innych państw kolonialnych, zwłaszcza Niemiec i Włoch. Oto mały i w XX wieku niewiele znaczący mimo związków z Anglią politycznie, ekonomicznie i militarnie kraj władał na samym tylko Czarnym Lądzie Angolą i Mozambikiem, koloniami o łącznej powierzchni liczącej ponad dwa miliony kilometrów kwadratowych. W samej Angoli mieszkało najwyżej czterdzieści tysięcy Portugalczyków i pięć milionów Afrykanów, a dla porównania Portugalia miała w 1930 roku niespełna siedem milionów mieszkańców. Podważało to niejako logikę światowego ładu kolonialnego. Poza tym na skutek strukturalnej niewydolności patrona kolonialnego mogło zamknąć, troskano się, ludności tubylczej drogę do zdobyczy współczesnej cywilizacji. Ten stan rzeczy miał zmienić gotowy już przed 1914 rokiem traktat angielsko-niemiecki, który przewidywał przejście Angoli przez Cesarstwo Niemieckie. Wybuch I wojny światowej przekreślił te plany.

Niemcy, zmuszone w traktacie wersalskim do zrzeczenia się swych kolonii, nie ustawały jednak ani w staraniach o ich odzyskanie, ani w dążeniu do zdobycia nowych posiadłości. Kiedy pierwsi polscy osadnicy pojawili się w Angoli, Niemcy od dawna już rozwijali tu swą akcję promocyjną i, poniekąd, korupcyjną. Do Lobito zawijały stale handlowe statki niemieckie, a czasem też torpedowce lub krążowniki. Każda taka wizyta stawała się wydarzeniem towarzyskim.

Piwo – darmo. Papierosy, cygara, czekolada, likiery – prawie darmo. Herbatki, dancingi. Przy trapię, przy wejściu na statek piękny, elegancki marynarz w białych rękawiczkach podaje rękę i podsadza nawet każdego portugalskiego łobuza, który chce zwiedzić okręt. Obiady – gala dla gubernatora, administratora, dyrektora i kapitana portu, dygnitarzy i urzędników, konsulów, wybitnych osobistości, mieszkańców miasta. Orkiestra, dancingi, upominki, salwy honorowe

– relacjonował z ironią i zazdrością korespondent „Kurierza Warszawskiego”²³⁹. Salwy te nie pozostawały bez konkretnego echa. To właśnie Niemcom powierzono na przykład budowę nowoczesnego portu w Lobito. „Przyjechał szereg inżynierów i urzędników niemieckich. Jeżdżą, chodzą z aparatami fotograficznymi tymczasem. Zaczynają mówić o emigracji niemieckiej. Chcą zdobywać kolonje – ekonomicznie”²⁴⁰.

Uczestnicy ekspedycji Związku Pionierów Kolonialnych, która w 1929 roku przybyła do Angoli w celu zbadania warunków dla polskiej kolonizacji, nie mieli pieniędzy na podejmowanie miejscowych notabli galowymi obiadami czy obdarowywanie kosztownymi upominkami, niemniej jednak powitano ich uprzejmie. Portugalczycy, choć wiele sobie obiecywali po współpracy z Niemcami, jednocześnie obawiali się ich notorycznej zaborczości. Szczególnie uczuleni byli na niemieckich osadników z byłej Niemieckiej Afryki Zachodniej (Namibii). Wielu z nich po przejęciu tej kolonii przez Związek Południowej Afryki opuściło ją i założyło gospodarstwa rolne w Angoli. Ostatecznie Lizbona zakazała zorganizowanej kolonizacji niemieckiej, lecz farmerzy i przedsiębiorcy z byłych kolonii i samych Niemiec różnymi sposobami nadal przenikali na terytorium portugalskie. Niektórzy z nich otrzymywali koncesje osadnicze, legitymując się polskimi paszportami, których autentyczności nikt w portugalskiej Afryce nie sprawdzał. Również Włosi nie dawali za wygraną, a ich liczba w Angoli powoli, ale nieustannie rosła. O daleko idących zamiarach Italii świadczyły pojawiające się od czasu do czasu sensacyjne pogłoski o postanowionym już rzekomo kupnie kolonii od Portugalii. Tak na przykład „Daily News” w październiku 1926 roku napisał, jakoby „rząd włoski oficjalnie ogłosił, że 20 bm. dojdzie do zawarcia układu z Portugalją w sprawie odstąpienia Angoli. [...] Włochy zapłacą Portugalji 10 milionów funtów szterlingów”²⁴¹. W dodatku w latach dwudziestych pojawili się na widowni nowi amatorzy kolonizowania portugalskich posiadłości: ruchliwi i przebiegli Belgowie z sąsiedniego Konga Belgijskiego.

W tych złożonych i potencjalnie niebezpiecznych dla portugalskiego panowania w Angoli okolicznościach „sfery rządzące Portugalii rozglądały się po świecie, szukając odpowiednich białych ludzi, odpowiedniego narodu, przy którego pomocy mogliby prowadzić w Angoli kolonizację białych bez obawy utracenia na rzecz nowych kolonistów swoich prowincji”²⁴². Osiedlenie się w kolonii większej liczby Polaków, których Portugalczycy znali z Brazylii jako doskonały materiał pionierski, a zarazem ludzi do głębi prostych, niezainteresowanych sprawami publicznymi i miejscową polityką, mogłoby okazać się dla Lizbony optymalnym rozwiązaniem. Gubernator Angoli, dystyngowany starszy pan, niezwłocznie zatem powitał skromnych specjalistów z Polski. Z uśmiechem przyjął do wiadomości polskie plany kolonizacyjne i przychylnie je skomentował: „Dziś sprawa ta jest bardzo aktualna z dwóch powodów: po pierwsze, dzięki rozwojowi środków komunikacji, kolonizacja ta jest możliwa, no i my musimy kolonizować!”²⁴³.

Wkrótce po tej audiencji koncepcja nawiązania z Polakami ściślejszych stosunków w sprawie emigracji do Angoli zyskała według zapewnień ekspertów ekspedycji poparcie nie tylko władz kolonii, lecz także rządu portugalskiego, oraz przychylność całego bez mała społeczeństwa portugalskiego. W szczególności cieszyła się życzliwość Portugalczyków w samej Angoli, gdzie przyjmowano członków ekspedycji z gościnnością staropolską. Wszystkim bez wyjątku – twierdził kierownik wyprawy, agronom Franciszek Łyp – znane było dzieło poczytnego autora powieści historycznych António Maria de Campos Júniora pod tytułem *A Filha do polaco* (Córka Polaka), romans z okresu wojen napoleońskich, podczas których pewien emigrant polski i jego córka chlubnie zapisali się w obronie Portugalii, a także *Potop* Sienkiewicza²⁴⁴. Tak więc pan Kmicic miał szansę oddać krajowi ważniejszą nawet przysługę niż wysadzenie szwedzkiej kolubryny pod Jasną Górą: dopomóc Rzeczpospolitej w zdobyciu afrykańskiej kolonii.

Wbrew oczekiwaniom gospodarzy „odpowiednie narody” wcale się zresztą do kolonizowania Angoli nie paliły. Jak wspomniał w rozmowie z Polakami właściciel plantacji Chimboa, pan Sylwino, byli oni jedną z wielu delegacji, których przyjmował w swej posiadłości. Przyjeżdżali nawet Serbowie i Grecy. Ale choć wszyscy zgodnie twierdzili, że nigdy takiego pięknego kraju nie widzieli, nic z tych wizyt nigdy nie wynikło. „No, ale chyba z Polakami dobijemy interesu?” – dolewając gościom wina, upewniał się portugalski plantator.

Ekspedycja do Portugalskiej Afryki Zachodniej była inicjatywą znacznie skromniejszą niż poprzedzająca ją o rok wyprawa do Peru. Jej uczestnicy nie wpływali pirogami w ujścia tajemniczych rzek ani nie zapuszczali się w najdziksze zakątki dżungli. Przejechali po Angoli tysiąc siedemset pięćdziesiąt kilometrów – lecz wyłącznie samochodami i koleją. Przeprowadzili jednak, zwiedzając ponad czterdzieści plantacji – zarówno w suchej, jak i deszczowej porze roku – badania gruntowne i wszechstronne, na które poświęcili ponad pięć miesięcy.

Było jasne, że północna część kolonii nad rzeką Kongo – tropikalne, nieprzebyte dżungle o klimacie podrównikowym – jako teren polskiej ekspansji nie wchodziła w rachubę. Południe Angoli zajmowały z kolei jałowe przestrzenie pustyni Kalahari. Również dwustu-, trzystukilometrowy pas wybrzeża atlantyckiego nie przedstawiał się dla rolników zbyt zachęcająco. Badaniami objęto zatem zajmujący niemal połowę kolonii ogromny płaskowyż, którego część „wysoka”, położona od tysiąca

czterystu do tysiąca ośmiuset metrów nad poziomem morza, wyróżniała się niespotykane zdrowym i przyjaznym klimatem.

Gdy nad basenem Konga unosiły się stale niezdrowe wyziewy pełne chorobotwórczych drobnoustrojów, to na płaskowyżu podróżnicy oddychali pełną piersią świeżym i czystym powietrzem. Aura przypominała im niezbyt gorące polskie lato z temperaturą nieprzekraczającą w południe dwudziestu sześciu stopni, ciepłymi wieczorami i orzeźwiającym porannym chłodem. Stale wiał lekki, przyjemny wiatr, a chmury wędrujące po niebie osłaniały ziemię przed palącymi promieniami słońca²⁴⁵. Klimat na angolskich wyżynach był równie przyjazny jak na wybrzeżach śródziemnomorskich, a nawet łagodniejszy, o cieplejszych zimach i chłodniejszych latach. Doniesienia, że pionierzy w Angoli będą mogli cieszyć się pogodą nie gorszą niż na przykład w Prowansji, umacniały w postanowieniu wyjazdu rzesze przyszłych kolonistów, którzy na razie jeszcze pogłębiali swą wiedzę o Afryce w zadytmionych warszawskich czy lwowskich kawiarniach. Również widoki dla rolnictwa zapowiadały się według relacji z Angoli lepiej niż obiecująco.

Na plantacji Monte Alegre polscy eksperci zdumiewali się, oglądając rosnące obok bananów jabłonie kwitnące i jednocześnie owocujące niby w rajskim ogrodzie oraz truskawki sąsiadujące z ananasami. Dalej, między drzewkami kawy, zieleniły się jakieś maleńkie jeszcze, lecz dziwnie znajome roślinki. „Jak to, panowie nie poznają? Przecież to roślina u was, w Polsce, bardzo dobrze znana” – śmiał się właściciel plantacji, pan Oliveiro. „Zdaje mi się, że to żyto. Lecz co ono tu robi między kawą, w położeniu geograficznym Angoli?”²⁴⁶ – zdumiał się Jerzy Chmielewski, młodszy z ekspertów. I rzeczywiście było to żyto, dające w dodatku imponujące plony. Podobnie jak pszenica, którą także w Monte Alegre uprawiano. Doskonały klimat i urodzajne gleby wysokiego płaskowyżu pozwalały, jak ustaliła ekspedycja, specjalizować się – według gustu i potrzeb rynku – albo w uprawach europejskich, albo afrykańskich, lub, rzecz jasna, prowadzić gospodarkę pod tym względem mieszaną. W dodatku, jak zapewniał pan Oliveiro, ani zbożom, ani owocom z uwagi na znaczne wzniesienie nad poziom morza nie zagrażały na płaskowyżu choroby i szkodniki. „Panie Jerzy – entuzjazmował się Łyp, choć jako stary agronom z praktyką w Paranie niejedno już widział na polach i w ogrodach – przecież to niesłychane. Będziemy mieli niesłychanie ułatwione osadzanie polskich kolonistów. Ich gospodarstwa oprą się z początku na życie. Mając już w pierwszym roku dochód z żyta i pszenicy, będą mogli sobie żyć spokojnie, zakładając kultury bogate, jak

kawa, bawełna i sizal, które uczynią z nich bogatych i niezależnych obywateli”²⁴⁷. Gwarancję powodzenia dawały przyszłym kolonistom oprócz rewelacyjnych warunków naturalnych także nadzwyczaj korzystne perspektywy ekonomiczne. Dobiegała bowiem właśnie końca budowa kolei z Lobito do Katangi, gdzie powstawał kosztem dwustu milionów dolarów wielki ośrodek górnictwa rud metali oraz radu, złota i węgla, w którym, przewidywano, trzeba będzie zatrudnić prawie pół miliona czarnych i białych pracowników. Oznaczało to naturalnie ogromny popyt i wysokie ceny na produkty rolne wszelkiego rodzaju.

Pomimo że wszystkie okoliczności – od ciepłych uczuć Portugalczyków dla Polski po obiecujące widoki rynkowe – układały się nad podziw pomyślnie, przeczorny szef ekspedycji oceniał, że nie należy kierować do Angoli masowej emigracji rolniczej, lecz tylko kolonistów, których stać na zainwestowanie w plantację lub inne przedsięwzięcie znaczącego kapitału – nie mniej niż dziesięć tysięcy dolarów. Rolnik bowiem nie może liczyć na kredyt na miejscu, a produkcję powinien prowadzić na dużą skalę. „Wymaga to posiadanie znacznej siły pociągowej (sto–dwieście wołów lub traktorów), dużej ilości czarnych robotników, maszyn, jak: siewników, młocarni itp., samochodu ciężarowego dla transportu produktów do stacji kolejowej (konie na wysokim płaskowyżu źle się hodują), a wreszcie pewnych rezerw gotówki na wszelką ewentualność”²⁴⁸ – wyjaśniał.

Jego stanowisko podzieliły czynniki oficjalne. Jak tłumaczył poseł Walewski z sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych:

Istnieje niewątpliwie możliwość osadzenia w Angoli pewnej liczby polskich kolonistów rolników, liczba ta jednak przewidywana być musi jako bardzo niewielka, przyczem wyłącznie jednostek silnych gospodarczo i finansowo. Spodziewając się, że taka ograniczona liczba doborowego elementu osadniczego z Polski może przyczynić się do rozkwitu gospodarczego kolonji i wpłynąć dodatnio na rozwój stosunków ekonomicznych polsko-portugalskich, władze nasze pozostawiają przeprowadzenie ewentualnej akcji osadniczej wyłącznie czynnikom prywatnym²⁴⁹.

Ten urzędowy oportunizm w kwestii kolonizacji Angoli mógł cokolwiek zaskakiwać, gdy wziąć pod uwagę, że niemal jednocześnie władze państwowe zgodziły się na wywiezienie setek ludzi bez kwalifikacji i pieniędzy do jednego z najdzikszych regionów świata: peruwiańskiej Montanii. Nastrojów wśród przyszłych „Angolczyków” te obiekcje jednak nie zwarzyły. A nawet przeciwnie, bo upewniono się, że nie chodzi o jakąś drobnorolniczą własność, osobiste, jak w Paranie, karczowanie

dzungli i tym podobne degradujące zajęcia, ale o emigrację „doborowego elementu”: przyszłych właścicieli plantacji liczących tysiące hektarów, a także przeniesienie na wyżyny Afryki rodzimej instytucji, folwarku oraz tradycyjnego polskiego sposobu życia. Podkreślano też, że wprawdzie sam klimat wysokiego płaskowyżu pozwala Europejczykom pracować fizycznie, ale tę pracę uniemożliwia znaczne wzniesienie terenu ponad poziom morza. Jerzy Chmielewski pisał z nostalgią w swej relacji z Monte Alegre: „Gospodarstwo przypominało polski folwark gdzieś z Wołynia. Na wzgórzu położone budynki, kryte słomą, z pobielanymi ścianami, zupełnie wyglądały jak zabudowania dworskie. Zielone łąny nasuwały wspomnienie ozimin w czasie wiosny, szeregi zaś pługów, ciągnionych przez woły o rozłożystych rogach, orzące ugór, wyglądały jak gdzieś u nas na kresach południowo-wschodnich podczas pracy na wiosnę”²⁵⁰.

Brakowało wprawdzie nieodzownych w naszej kulturze koni, które w Czarnej Afryce źle się przyjmowały, a ich hodowla w Angoli dopiero się zaczynała, lecz i na to była rada. Jeden z portugalskich gospodarzy, major kawalerii, zaprowadził polskich ekspertów do podszytej wiatrem szopy, gdzie stał niewielki wół o bystrym, podejrzliwym oku i zakręconych rogach oraz ku ich zdumieniu – z uzdą i osiodłany. „To wół wierzchowy. Niejeden tysiąc kilometrów na takich wierzchowcach przejechałem, jak wszyscy tutaj” – wyjaśnił major z dumą. „Teraz mamy konie, ale tak naprawdę to głównie jeździmy samochodami”²⁵¹.

Częścią tego sentymentalnego krajobrazu angolskich wyżyn miał być, rzecz jasna, wierny lud roboczy: czarni fornale, rataje, pasterze, kucharze, lokaje, stangreci i szoferzy. Wyrażano przekonanie, że choć „Murzyni” słyną z lenistwa, będą „łatwiejsi do prowadzenia” niż biała służba, a z pewnością zabawniejsi. Pojawiały się też wśród kawiarnianych „Angolczyków” obawy, że realizowane od pewnego czasu przez władze kolonialne plany oświecenia części krajowców oraz uczynienia z nich swego rodzaju obywateli portugalskich, którzy jako drobni, ale postępowi rolnicy mogliby zagospodarować ziemię kolonii bez udziału obcych nacji, podniesie koszty robocizny i skomplikuje zarządzanie plantacjami. Rzeczywiście, Portugalczycy objęli ludność miejscową ochroną prawną, nie idąc wprawdzie nazbyt daleko, ale zabronili na przykład samowolnego stosowania kar cielesnych. Adam Paszkowicz podkreślał, że chociaż zatrudniając czarnych robotników, trzeba ich stale nadzorować i popędzać w pracy, nie wolno już w tym celu używać bata. „Rolę tego ostatniego odgrywa biała kartka do Administratora lub, na prowincji, do Naczelnika

Poczty, z którą wysyła się nieposłusznego lub leniwego robotnika. Kończy się wszystko też batem, ale batem »urzędowym«, oficjalnym»²⁵². Na ogół angolscy pionierzy zapewniali przyszłych kolonistów, że tubylcy są narodem spokojnym, nastrojonym pokojowo i odnoszącym się do białych przyjaźnie i z szacunkiem. Niektórzy nieufni czytelnicy zwracali jednak uwagę na pojawiające się tu i ówdzie w relacjach niepokojące wzmianki. „Są wyjątki. Ci z miejscowych, co przeżyli powstania murzynów przed 1914 r., nie zapomną nigdy, ile krwi murzyńskiej przelało się przy poskromieniu tych powstań przez »białych«»²⁵³.

W latach, gdy Polacy przymierzali się do kolonizowania Angoli, wspomnienia niedawnych morderczych bojów zaczynały się już zacierać. Ten i ów z kombatantów, chcąc przypodobać się wybranej pannie, odnajdywał czasem w pamięci najbardziej okrutne ich epizody. Na posterunkach wojskowych pomiędzy rozmowami o pięknych „Murzynkach” czy grą w karty ten i ów powracał niekiedy do swoich bohaterskich czynów lub najciekawszych incydentów z życia obozowego. Takie chwile zadumy nachodziły też, bywało, sehnora Oliveiro. Podczas jednej z wycieczek w okolicach Monte Alegre zatrzymał samochód i wskazał swym polskim gościom rumowisko bazaltowych skał przypominające ruiny starego zamczyska.

Jest to tak zwana forteca murzyńska. Stanowi kartę bardzo krwawych dziejów, tak krwawych, iż nie wiem, czy który który ze sławnych zamków europejskich może się czymś podobnym poszczycić. Rozegrała się tutaj ostatnia scena podboju Angoli, rozstrzygająca bitwa stłumionego powstania murzyńskiego. Ja też walczyłem w tej bitwie, wszyscy prawie biali z tych stron brali w niej udział, pomagając naszym żołnierzom – objaśniał. – Tu, na wzgórzu zebrały się siły murzyńskie. Około pięćdziesięciu tysięcy czarnych z całego płaskowyżu. Zeszli się razem, by nas ostatecznie z ziemi swojej wykurzyć, połowa z nich miała niemieckie mauzery. Nasze wojska rozłożyły się na wzgórzach sąsiednich, między skałami. Jako słabsi liczebnie unikaliśmy walki wręcz. Wszystkie próby ataku ze strony Murzynów rozbijały się o nasz ogień karabinowy. Można było strzelać do nich jak do kaczek. Ale rozstrzygnęła bój artyleria; prowadziliśmy ogień tak długo, aż stosunek sił zmienił się na naszą korzyść. Potem nastąpiły atak i rzeź. Wyrżnięto wszystkich, nie biorąc nikogo do niewoli – dla przykładu i należytego pouczenia. Opowiadano potem, że nie uciekła stąd żywa noga – Oliveiro uruchomił auto i jeszcze raz rozejrzał się dokoła. – Jeśli panowie wybierzecie się tu kiedyś na polowanie, natkniecie się na pewno na piszczele i czerepy sterczące z ziemi²⁵⁴.

Doniesienia z Lobito i Bengueli z miejsca uruchomiły fantazję wszelkiego rodzaju elementów awanturniczych: „każdy postrzeleniec za cel życia stawiał sobie wyjazd do Angoli, robienie tam majątku, panowanie nad murzynami i licho wie co jesz-

cze”²⁵⁵. Moda na Angolę podsycana przez gazety, a z czasem listy od pierwszych kolonistów, szybko jednak objęła także mieszczańskie domy i ziemiańskie dwory, zwłaszcza że z powodu trwającego właśnie wielkiego kryzysu wiele szacownych rodzin lękało się, że pójdzie z torbami. Jak pisano z lekką przesadą, ale nie całkiem bez powodów, „połowa ziemian wybiera się do Angoli albo na Madagaskar”²⁵⁶. Również w miastach, choćby w Warszawie, co drugi dom znalazł w stanie likwidacji: „Djabli biorą po kolei: oszczędności, antyki, obrazki, przedmioty zbędne, a nawet przedmioty niezbędne [...], a przecież nie każdy ma wujka w Ameryce czy kuzynów w Angoli”²⁵⁷. Tak więc portugalska kolonia w ciągu kilkunastu miesięcy w wyobraźni części obywateli II RP zaczęła dorównywać Ameryce jako kraina nadzwyczajnych bogactw. Zastąpiła ją też jako symbol dramatycznych zmian życiowych w kulturze popularnej, w szczególności na łamach drukowanych w odcinkach powieści:

Oświadczyńy wisiwały w powietrzu. Ciotka Michalina promieniała. I raptem, pewnego dnia, Miko wpadł do ciotki, jak szalony.

– Wyjeżdżam – oświadczył krótko.

– Dokąd?!

– Do Angoli.

Dobrej ciotce nogi podcięło.

– A co będzie z Emmą? – wyjąkała.

– Nie wiem! – rąbnął Miko. – I nic mnie to nie obchodzi!

Ciotka Michalina zastygła w posąg boleści²⁵⁸.

Na marginesie angolańskiego wzmożenia prowadzili swoją cierpliwą owadzią działalność drobni kombinatorzy, wyłudzacze i pośledni oszuści. W dziennikach regularnie ukazywały się ogłoszenia w rodzaju „Angola, wspólnika rodaka z kapitałem 2,5–10 tysięcy złp., poszukuję do olbrzymiego interesu. Oferty: „»Angola«, Kurjer, Marszałkowska Ns108” lub „ANGOLA. Informacje handlowe i przemysł. Próbk. Ceny. Nowe cła. Transport. Kalkulacje. Eksport towar. polskich za gotówkę. Ostatni dekret rządu portug. o Angoli z dn. 27 V 1931 udziela kupiec-przemysłowiec, zamiesz. w Angoli przyb. do Polski. Zapisy telefon. 782-00 od 8 1/2 – 10 rano. Informacje płatne”²⁵⁹. Przed takimi ofertami przestrzegała stanowczo LMiK, która rozpoczęła działalność pod ową nazwą właśnie w latach gorączki angolskiej. Angola inspirowała też kryminalistów większego kalibru. Jesienią 1933 roku Krakowem

wstrząsnęła wiadomość o wykryciu przez policję planu obrabowania skarbcza wawelskiego. Grabieży, korzystając z wykradzonych kluczy, zamierzał dokonać nocą syn jednego ze strażników Wawelu. Pod katedrą czekać na niego miało auto z dwojgiem współników, którym cała trójka planowała wyruszyć natychmiast do Paryża. Po spieniężeniu skarbów narodowych nad Sekwaną przestępcy chcieli nabyć samochód typu kolonialnego, na gąsienicach, i afrykańskimi bezdrożami zbiec do Angoli²⁶⁰.

Dla promocji Angoli najznaczniejsze bez wątpienia zasługi położył hrabia Michał Zamoyski, który – budząc sensację i zazdrość – wyruszył do Afryki jako pierwszy z polskich kolonistów już w grudniu 1929 roku. Syn ordynata Adama Zamoyskiego z Kozłówek wyjechał wraz z niedawno poślubioną żoną z Warszawy do Lizbony samochodem prowadzonym przez szofera Kowalczyka rodem – jak skrupulatnie odnotowała prasa – z Lubelszczyzny. Młody, dwudziestoosmioletni hrabia przyjął na siebie nader poważne zadanie: jako przedstawiciel organizacji „Pol-Angola” miał zakupić w Angoli tereny, na których można by zapoczątkować racjonalną polską akcję kolonizacyjną w portugalskiej Afryce. Zamierzał także jako rolnik i zapalony myśliwy zakosztować w całej pełni – jak przyznawał jego ojciec – życia kolonialnego. W ślad za nim wyjechali na wysoki płaskowyż angolski kolejni pionierzy, ziemianin Tadeusz Dekański z żoną i dzieckiem. Zamoyscy szybko znaleźli okolicę, która im odpowiadała, i osiedlili się w fazendzie Boa Serra w pobliżu katolickiej misji Quipeio, kilkadziesiąt kilometrów od miasta Huambo. W ciągu następnego roku wydali w Angoli dwanaście tysięcy dolarów, lecz ciągle jeszcze musieli obywać się bez najniezbędniejszych wygod, a nawet oszczędzać na żywności. Najlepiej radził sobie w tropikach kuty na cztery nogi szofer hrabiostwa Kowalczyk. Nauczył się z marszu portugalskiego, wszedł w komitywę z miejscowymi i wkrótce nie było sprawy, której nie potrafiłby załatwić z białymi czy czarnymi²⁶¹.

Zamoyscy, zanim wybrali miejsce na fazendę, spędzili parę miesięcy w namiocie, podróżując samochodem po płaskowyżu i badając klimat, glebę, dostęp do wody, nachylenie wzgórz i najrozmaitsze inne szczegóły. Wreszcie zdecydowali się na dolinę rzeczki Sandivi. Potem zabrali się do karczowania terenu pod plantację, budowę domu i zabudowań gospodarczych z miejscowej niepalonej cegły. Mieli też trochę bydła, więc mleko i masło sprzedawali w najbliższym mieście. Powtarzające się w Boa Serra niepowodzenia i plagi, zwłaszcza najazdy szarańczy oraz spadek cen kawy, sprawiły, że hrabia i hrabina zaczęli myśleć o powrocie do kraju. Duch pio-

nierski wziął jednak górę. Po czterech latach Boa Serra liczyła już pięć tysięcy hektarów, gospodarze wybudowali dom, łączący urok polskiego dworu z łacińską architekturą kolonialną, do którego wiodła aleja obsadzona eukaliptusami i agawami oraz, przy której błękitniał zagon kwitnącego swojskiego lnu²⁶². Na polach pszenicy i przy uprawie kawy pracowało pół tysiąca tubylców. Zamoyscy dorobili się stad łaciatych krów, licznego pogłowia trzody chlewnej oraz czeredy małek chowanych dla rozrywki. Przede wszystkim zaś po paru latach trudów i wyrzeczeń dočekali się pierwszych zbiorów arabiki, kawy doskonale udającej się na wysokości tysiąca sześciuset metrów nad poziomem morza, i rozpoczęli jej eksport. Ważnym klientem była najstarsza polska firma zajmująca się handlem i paleniem kawy – warszawska spółka „Pluton”. Sprzedaż kawy z jednej tony w 1933 roku wzrosła w ciągu paru lat do kilkudziesięciu ton rocznie. „Oświadczyć mogę, że po kilku miesiącach odpoczynku w kraju, kiedy nastaną chłodne, jesienne dni, wraz z ptakami wrócimy do naszej za morzem, pod Krzyżem Południowym położonej, lecz sercu naszemu już bliskiej Angoli” – zapewniała czytelników „Kurierza Warszawskiego” Maria Zamoyska. Lecz ostrzegęła: „w jeden rok żaden biały nie zbije fortuny na afrykańskim lądzie, jak sądzi wielu Europejczyków. Czasy szybkiego wzbogacenia się minęły, na żadne posady liczyć tam nie można”²⁶³.

W połowie 1930 roku przyплыnęli do Lobito dwaj wspólnicy, których, wyjątkowo, uroki życia na afrykańskim folwarku nie pocięgały. Ich celem było zapoczątkowanie w Angoli ekspansji naszego przemysłu. Panowie Paszkowicz i Kannewischer przywieźli z sobą wyposażenie pierwszej, jak twierdzili, naszej fabryki w Czarnej Afryce, „między zwrotnikami Raka a Koziorożca”. Z desek ze skrzyń po maszynach na skraju plaży pod Lobito wybudowali własnymi rękami „w tempie amerykańskim” halę produkcyjną i mały domek mieszkalny – bez szyb w oknie, z podłogą z piasku i szerokimi nieraz na dłoń szparami w ścianach i dachu. Szpary te pozwalały bez wstawiania z łóżka sprawdzić, czy czarni robotnicy przyszli już do pracy, a wieczorem śledzić w zatoce światła statków przyplywających z Europy. Oprócz trzech Polaków (dołączył do zespołu młody architekt Skrzydlewski) mieszkańcami chaty były wielkie kraby nadmorskie, zwinne małe jaszczurki, śpiewające cykady i drobne myszki popielate.

Gazety w kraju informowały z przejęciem, że w Angoli powstały polski zakład przemysłu ceramicznego oraz firma budowlana. W rzeczywistości była to niewielka betoniarnia wytwarzająca pustaki z krajowego wylęcnie, co trzeba przyznać, ce-

mentu. Zatrudniała trzydziestu dobranych robotników, „najsprytniejszych i najmniej leniwych z całej okolicy”. Stosując elastyczny system pracy, dniówki lub akord, nagrody i premie, a czasem też słynne „białe kartki do Administratora” udało się polskim właścicielom w ciągu kilku tygodni czterokrotnie podnieść wydajność pracy. Pomimo to – jakkolwiek trwał właśnie tryumfalny pochód betonu przez świat – polskie pustaki nie podbiły Angoli. Skrzydlewski, który liczył na udział w wielkich projektach budowlanych, przeniósł się do Boa Serra, gdzie wybudował Zamoyskim basen i kort tenisowy. Paszkowicz wyjechał w góry, aby odzyskać zdrowie nadwątlone malarią, i zapadł tam na straszliwą febrę-biliozę, ledwie uniknął śmierci²⁶⁴. Wracając wynędzniały do Europy, uprzytomnił sobie, że Angola to nie tylko wolny od mikrobów płaskowyż, skąd rolnicy mogą nie ruszać się nawet latami, lecz także miasta wybrzeża, naturalny teren kupców czy przemysłowców mających współuczestniczyć w polskiej kolonizacji. „[...] choroby występują najsilniej podczas dwu ostatnich miesięcy lata. W Lobito, gdzie w ciągu dziesięciu miesięcy pogrzeb białego należy do zdarzeń nadzwyczajnych, w kwietniu i maju widziałem te smutne kondukty niemal codziennie”²⁶⁵.

Wszystkie doświadczenia potwierdzały tezę, że biedny w Afryce majątku się nie dorobi. Zasadniczy artykuł na ten drażliwy temat opublikował w „Morzu” szef niedawnej ekspedycji rekonesansowej²⁶⁶. Podkreślał „wielką przesadę w opisywaniu nadzwyczajnych możliwości, łatwości urzędzenia się i niezwyklej rentowności kultur plantacyjnych przy użyciu małego kapitału” oraz ostrzegał przed reportażami, według których „Angola była krajem płynącym mlekiem i miodem, gdzie wystarczy tylko pojawić się, aby zebrać hojne dary przyrody, wymienić je na mile szeleszczący plik banknotów i powrócić wkrótce bogaczem w ojczyste pielesze”. Tak na przykład według „Kuriera Warszawskiego” „największy dochód miały dawać plantacje kawy, tytoniu, sizalu, owoców, palm oleistych, drzew eukaliptusowych – z hektara tych plantacyj łatwo osiągnąć można po 2–3 latach tysiące dolarów czystego rocznego zysku”. Tymczasem prawda wyglądała tak:

Ekspedycja ustaliła, że tylko wysoki płaskowyż Angoli nadaje się na polską kolonizację, gdzie nie rosną już palmy oleiste, uprawa kawy i tytoniu dopiero jest w zaczątkach, a winogrona (po kilka krzewów) spotkała ekspedycja tylko na dwóch plantacjach. Stwierdziła wtedy ekspedycja, że czystego zysku rocznie z jednego hektara można osiągnąć: z uprawy kawy około 100 dolarów, sizalu 60–90 dolarów. [...] Ale i to jest znaczny zysk przy uprawie kilkadziesiąt hektarów. Każdy rolnik to przyzna w dzisiejszych ciężkich czasach. Po co ukazywać mu tysiące dolarów z jednego hektara?

Dalej warszawska gazeta proponowała: „można hodować tu jeszcze zebry, które wbrew opinii, jaka panuje w Europie, dają się oswajać (widziałem wielu Murzynów jadących konno na zebdach), strusie, antylopy, mały o futerkach wysokiej wartości i wiele innych zwierząt”. „Czy nareszcie skończymy z egzotycznością w artykułach o krajach egzotycznych? Czy mamy być stale dużymi dziećmi? [...] Kto liczy na »tysiące dolarów czystego rocznego zysku z 1 ha«, kogo pociąga »jeżdżenie konno na zebdach«, ten niechaj lepiej pozostanie w Polsce, niech nie traci swego kapitału i nie stwarza liczby malkontentów, jakich wielu w ubiegłych stuleciach i ostatnich dziesięcioleciach powróciło z różnych »hodowli strusi«” – mitygował Franciszek Łyp zapłaty kolonialne, do których wzniesienia w niemałym stopniu sam się wszak przyczynił.

Moda na Angolę zaczęła przemijać równie szybko, jak się pojawiła. Już w 1931 roku władze emigracyjne przestrzegały, sabotując niejako misję LMiK: „Konjunktura ekonomiczna i układ stosunków społecznych w Angoli nie są pomyślne dla polskiego robotnika czy rzemieślnika rozporządzającego drobnymi oszczędnościami. Na razie nawet dla zawodowych rolników rozporządzających większymi kapitałami jest osiedlenie się tam rzeczą bardzo ryzykowną z powodu nieznamomości terenu i lokalnych warunków pracy. Jeśli chodzi o skierowanie większych ilości emigrantów do Angoli, to sprawa ta w ogóle nie jest aktualna”²⁶⁷. Trzy lata później pisano o Portugalskiej Afryce Zachodniej bez ogródek i bez sympatii: „Jest to kraj równie ubogi, jak niegościnnie i równie słabo zaludniony, jak niezorganizowany. Co do ludności Angoli, to oprócz 2-miljonowej rzeszy leniwych i trudnych do prowadzenia Murzynów ze szczepu Bantu jest tam kilka tysięcy Europejczyków, głównie kupców lub urzędników. W stosunku do obszaru są to cyfry nikłe i... znamienne. Czarna ospa i śpiączka wyniszczające ludność tubylczą wyjaśniają bliżej przyczyny trudności gospodarczych tego kraju”²⁶⁸. Iluzje afrykańskie zwalczał też na swój sposób Zamoyski. Kiedy w Boa Serra pojawił się pewien rodak, aby poradzić się, jak zainwestować w Angoli swoje oszczędności, coś około pięćdziesięciu funtów, hrabia Michał z wielkopańską dezynwolturą wręczył mu pieniądze na bilet okrętowy i kazał wracać do Polski, zapowiadając: „inaczej poszczuję pytonem”. Rzeczywiście Zamoyscy mieli w swoim zwierzyńcu sporego pytona, którym szczuli czy też – nie jest to jasne – tylko straszili poszczuciem kłopotliwych gości.

Złudzenia co do perspektyw kolonizacji Angoli mieli nie tylko narwani kandydaci na plantatorów, lecz także wytrawni kolonizatorzy. Prezes Związku Pionierów

Kolonialnych Kazimierz Głuchowski szacował wcześniej na podstawie wskaźników z Parany, że na wysokim płaskowyżu można osadzić co najmniej czterysta tysięcy osadników²⁶⁹. W rzeczywistości w lecie 1931 roku było ich w Angoli siedemnastu. Siedemnaście osób! Hrabia Zamoyski z żoną oraz pan Dekkański z żoną i synem, Kłobukowski z Jesionowskim oraz Stanisław Gebethner gospodarowali na swoich plantacjach w pobliżu Huambo. Rutkiewicz, Kanneviszer i Łychowski byli „w trakcie zakupu ziemi”. Skrzydlewski praktykował u Zamoyskich, Rodziewicz u Dekkańskiego, Trębicki i Kowalczyk pracowali w Boa Serra, a Pięłowski był retuszerem w zakładzie fotograficznym²⁷⁰. Kapitan Kłobukowski i porucznik Jesionowski, którzy przyjechali pół roku po Zamoyskich, wydawszy siedem tysięcy dolarów, nadal mieszkali w „murzyńskiej” lepiance. Rodziewicz, „młody człowiek pełen zapału”, po kilku latach po przyjeździe do Afryki gościł we własnej już fazendzie Kazimierza Nowaka. Była to – jak opisywał słynny cyklista i podróżnik – „zrujnowana chata otoczona kilkoma zaniedbywanymi grządkami warzyw, kilkoma bananowcami, krzakami agawy i drzewami eukaliptusowymi”²⁷¹.

W następnych latach pionierzy jeden po drugim zwijali swe prawdziwe czy rzekome interesy i wracali do kraju. Na posterunku trwali nadal Zamoyscy, choć w końcu lat trzydziestych na skutek załamania się cen kawy plantacja była bliska bankructwa. Uratowała ich pomoc finansowa z dóbr w Polsce. Hrabia Michał zmarł w 1957 roku, lecz wdowa po nim gospodarowała w Boa Serra do chwili, gdy po uzyskaniu niepodległości Angoli w 1975 roku władzę w kraju objęła marksistowska lewica; czyli w sumie około czterdziestu pięciu lat.

Pionierskie trudy urozmaicano sobie w miniaturowej polskiej kolonii w angolskim interiorze kłótniami, intrygami i wzajemnymi oskarżeniami, nie gardząc przy tym donosami do władz portugalskich. Osobiste antypatie wspierano zarzutami politycznymi i ideologicznymi. Tak więc Jesionowski utrzymywał, że Gebethner jest sympatykiem Sowietów i nazywa Piłsudskiego „bandytą i zdrajcą ojczyzny”, zaś jego przyszłego zięcia Tadeusza Barskiego czeka deportacja z Angoli jako sympatyka komunizmu. W odwecie Gebethner i Barski dopuścili się – według porucznika – sabotażu; mieli podpalić szopę z narzędziami w jego fazendzie Cherra²⁷². O sprzyjanie komunistom posądzał Jesionowski także Dekkańskiego. Bacznie śledził również poczynania wrogiego mu, jak twierdził, Zamoyskiego. W 1933 roku w liście do ojca hrabia żalił się na anonimowego „rodaczka” [zapewne Jesionowskiego], który doniósł na niego do władz portugalskich, że jest agentem „obcego mocarstwa”²⁷³.

W podsycaniu nieufności i skłócaniu rodaków mających kolonizować Angolę – w 1937 roku było ich już tylko dziesięciu na pięciu plantacjach w okolicach Quipeio – zwaśniony ze wszystkimi porucznik Jesionowski bez wątpienia odgrywał pierwszoplanową rolę. Jednocześnie jednak był jedynym chyba osadnikiem oddanym sprawie „akcji kolonialnej” według projektów LMiK²⁷⁴. Zamoyski miał nadzieję, że w Angoli – w opozycji do dekadencckich i niemoralnych stosunków w kraju – powstanie reduta prawdziwej, konserwatywnej i bogobojnej polskości. Inni osadnicy mieli na uwadze przede wszystkim takie czy inne korzyści własne. Choć poczyna- nia Jesionowskiego nie rokowały nadziei, że koloniści podejmą współpracę dla wspólnego dobra, czynniki krajowe doceniały postawę jedyne- go w tej części Afryki ideowego piłsudczyka. W 1938 roku polski konsul- at honorowy spłacił jego długi, ratując na jakiś czas Cherre od niechybnej upadłości²⁷⁵.

Niektóre z angolskich waśni kończyły się dopiero na warszawskim bruku, a ści- ślej, w stołecznych sądach. Głośna była zwłaszcza sprawa dawnego dyrektora pierwszej polskiej fabryki w Czarnej Afryce, w relacjach prasowych określanego ja- ko „niejaki Paszkowicz”. Kannewiszer, były współwłaściciel wytwórni pustaków w Lobito, oskarżył go, że prowadził firmę na własny rachunek. Zapisywał zyski tyl- ko na swoje nazwisko i jednocześnie korzystał z kredytów gwarantowanych całym majątkiem spółki. W rezultacie, gdy wierzyciel zajął za długi przedsiębiorstwo, po- szkodowany wspólnik stracił cały swój udział. Paszkowicz obwinał z kolei Kanne- wiszera, który chciał uchodzić za wybitnego finansistę, lecz w rzeczywistości nie miał prawie wcale pieniędzy, o upadek fabryki, ponieważ wbrew umowie nie do- starczył kapitału obrotowego na potrzeby firmy. W 1933 roku sąd skazał byłego dyrektora na miesiąc aresztu w zawieszeniu i pięćset złotych grzywny. Ze sprawy tej wyłonił się kolejny proces. Otóż Kannewiszer opisał swe krzywdy w liście do LMiK, a po powrocie do kraju rozповідаł o nich znajomym. Wobec tego Paszko- wicz zażądał wyjaśnienia sprawy na drodze honorowej, a gdy nie otrzymał odpo- wiedzi, nazwał byłego wspólnika szubrawcem, łajdakiem i tchórzem. Ten zaś po- zwał go za obrazę i zniewagę²⁷⁶. Jakkolwiek nie doszło do pojedynku, afrykańskie niesnaski odbiły się szerokim echem w kołach kolonialnych.

Projekty angolskie pogrzebał już wcześniej – co stawało się tradycją w polskich poczynaniach kolonialnych – międzynarodowy skandal. W grudniu 1930 roku w jednym z dzienników wileńskich ukazała się, powtórzona następnie przez prasę krakowską, informacja, że Polska zamierza kupić Angolę, a na początek planuje

wysłać na wysoki płaskowyż tysiąc kolonistów. Wprawdzie niemal od razu Polska Agencja Telegraficzna zdementowała, powołując się na rząd, tę wiadomość jako wyssaną z palca plotkę, ale fali konsternacji i oburzenia w Portugalii – gdzie doniesienia o polskich zakusach powiązano z trwającym właśnie wypoczynkowym pobylem marszałka Piłsudskiego na Maderze – nie mogło to już powstrzymać. Zirytowani Portugalczycy zabronili polskim pilotom – kapitanowi Skarżyńskiemu i porucznikowi Markowiczowi, którzy właśnie wystartowali na trasę swego słynnego rajdu wokół Afryki – przelotu nad Angolą. Następnie zaś wprowadzili zasadę, że każdy przybywający do portugalskich kolonii afrykańskich musi wpłacić czterdzieści funtów kaucji przeznaczonej na opłacenie podróży powrotnej, gdyby imigrant nie miał środków do życia lub z innych powodów stał się uciążliwy. Przepis ten ugodził przede wszystkim w przyszłych osadników z Polski, gdzie „dobrowolnego elementu” kolonizacyjnego było pod dostatkiem, lecz nagminnie brakowało kapitału. W ten sposób koncepcje kolonizacji Angoli zaczęły umierać śmiercią naturalną. Ku uldze między innymi komunistów. Wychodzące w Mińsku na Białorusi pismo „Zwiazda” twierdziło bowiem, że rząd Polski zamierza nabyć Angolę, aby wysłać tam aktywistów komunistycznych skazanych na więzienie²⁷⁷.

Rozdział VIII. Tajniki czarnej duszy

W polskich kręgach kolonialnych szczególnym sentymentem darzono Kamerun, zdobyty dla białych przez wyprawę Szolc-Rogozińskiego, i Madagaskar, dziedzictwo Maurycego Beniowskiego. Panowało przeświadczenie, że te dwie afrykańskie kolonie należą się nam bardziej jeszcze niż inne. Niektóre z dochodzących z nich wiadomości były jednak dość niepokojące. Jesienią 1934 roku prasa doniosła, że na Madagaskar wyrusza wyprawa amerykańskich przyrodników w celu wyjaśnienia, czy rzeczywiście na wyspie rośnie drzewo pożerające ludzi. Pogłoski takie krążyły wśród podróżników od dziesięcioleci, a misjonarze przysięgali, że jest to prawda. Już ponad pół wieku wcześniej niejaki doktor Carl Liche, podobno botanik, opisał ten fenomen, nie szczędząc przerażających szczegółów. Miał on mianowicie przyglądać się w jednej z najdzikszych okolic wyspy, jak plemię Mkodo praktykowało ceremonię składania drzewu ofiar z ludzi. Według niektórych świadectw drzewo ludożercze było podobne do około trzy-, czterometrowej wysokości ananasa. Niemiecki badacz twierdził natomiast, że przypomina sosnę zakończoną czterema liśćmi czterometrowej długości, tworzącymi u nasady wielki kielich wypełniony nektarem o odurzającym zapachu. Szamani Mkodo uśpili owym płynem młodą kobietę i położyli ją na liściach, które podniosły się i zamknęły nad nieszczęsną ofiarą. Gdy po ponad tygodniu znów się otworzyły, doktor Liche znalazł u stóp drzewa jedynie białą ludzką czaszkę.

Od czasu ogłoszenia rewelacji niemieckiego podróżnika sprawę ludożerczego gatunku drzew próbowało wyjaśnić kilkanaście ekspedycji naukowych. Ostatecznie dopiero w latach pięćdziesiątych XX wieku przekonano się ostatecznie, że drzewo takie nie istnieje, podobnie zresztą jak czczące je rzekomo plemię Mkodo. Tymczasem w latach trzydziestych dziennik PPS „Robotnik”²⁷⁸ zamieścił wiadomość o amerykańskiej wyprawie na Madagaskar i planowanych poszukiwaniach liściastego ludożercy bez komentarza. Całkiem możliwe, że w redakcji gazety – skądinąd racjonalnej, postępowej i przeciwnej polskiej akcji kolonialnej – nie wykluczano, że w bulwersujących doniesieniach o drzewach pożerających ludzi może być ziarno prawdy. Tropikalne dżungle, niesłychanie odległe od codziennego polskiego doświadczenia, skrywać wszak mogły najrozmaitsze zdumiewające tajemnice. Trudno

sobie wyobrazić, by krajowa brzoza czy dąb pożerały ludzi. Podobnie jak poczciwego naszego włościanina – zjadającego sąsiada. Wiadomo było natomiast w owych latach, że mieszkańcy Czarnego Lądu czy wysp Oceanii – nie wszyscy, rzecz jasna, ale znacząca ich liczba – mieli być niepoprawnymi kanibalami. W Afryce o przynależności do plemienia zjadającego ludzi świadczyć miały spiłowane na ostro zęby. Ludożercze drzewo mogło się wydawać naturalną częścią owego niepojętego świata.

Przekonania, że rdzenna ludność zamorskich lądów praktykuje antropofagię nie tylko rytualną, lecz także „gastronomiczną” lub „smakoszowską”, nie kwestionowano aż do połowy XX wieku. Umacniały je nadchodzące stale z kolonii doniesienia agencji prasowych i relacje podróżników. Tak na przykład w Kongu Belgijskim w dystrykcie Irumu aresztowano dwóch krajowców pochwyconych na gorącym uczynku podczas spożywania swego „czarnego bliźniego” i skazano na śmierć przez powieszenie na głównym placu miejskim. „Morze”, którego autorami byli pionierzy kolonialni i globtroterzy znający kraje zamorskie z autopsji, przystępnie wyjaśniło powody niewybaczalnego w oczach białych postępku skazanych. A mianowicie uświęcony „zwyczaj murzyński” pozwala na zjedanie bliźnich, w czym widzi się nawet rzecz zbożną. „Murzyni patrzą bowiem na swych nieprzyjaciół czy też upatrzoną ofiarę jak na kawał zwykłego mięsa, które należy zjeść przy pierwszej nadarzącej się okazji” – tłumaczył na swych łamach ceniony nawet za granicą opiniotwórczy magazyn. Zapewne niejednen z kilku tysięcy widzów oglądających egzekucję „westchnął na myśl, że tyle mięsa ludzkiego zmarnuje się dla niezrozumiałej fantazji białych, [...] po co niszczyć ich mięso, zakopując je do ziemi. Taka jest murzyńska logika” – domyślał się redaktor organu LMiK²⁷⁹. Wiadomości o kanibalizmie i innych ekscentrycznych obyczajach mieszkańców dalekich kolonii trafiały na ziemiach polskich na podatny grunt – całkowitej niemal ignorancji. Zresztą niektórzy z naukowców twierdzą, że jeszcze dziś „Afryka jest poza naszym horyzontem percepcyjnym”²⁸⁰.

W średniowieczu Afrykanów wyobrażano sobie często w postaci diabłów czy demonów – istoty czarne i osmolone, z rogami, kopytami i ogonami. W 1461 roku, jak opisano w *Monumenta Poloniae Historica*, w Wąchocku diabeł ukazał się opatowi cystersów w postaci „obrzydliwego Etjopa”²⁸¹. Jeszcze w czasach, gdy mocarstwa kończyły dzielić się zamorskimi koloniami, w 1890 roku, czasopismo „Missye Katolickie” w relacji z pogrzebu Adama Mickiewicza w Krakowie odnotowało ów-

czesną sensację: „Jakież było zdziwienie krakowian, [...] gdy ujrzano Murzyna przy ołtarzu w kościele św. Barbary, gdy przenajświętszą ofiarę sprawował. Więc Murzyn może być księdzem – powtarzano. Murzyn, o którym myślano, że chyba do niskich posług jest przydatny, a więc może dojść do pewnego stopnia wykształcenia. Tak jak każdy inny, o białej cerze śmiertelnik”. Ksiądz Daniel Farimden Sorur – ogłoszony nb. przez Jana Pawła II błogosławionym – był prawdopodobnie pierwszym afrykańskim duchownym, który znalazł się nad Wisłą²⁸². W tym samym mniej więcej czasie Oskar Kolberg zapisywał w podkrakowskich wsiach wyobrażenia włościan o geografii i ludach świata:

 Za Polską są różne kraje, Węgry, Prusacy, Szwedy, Luteriany i Niemce rozmaite. [...] Za tymi krajami są jeszcze dzikie kraje i kraje cieplice. Za cieplicami są krańce świata; tam mieszkają dzikie ludy niedowiarki, co nie mówią, tylko kwiczą. [...] Mają oni tylko jedno oko, ale na wylot głowy, że z przodu i z tyłu widzieć mogą zarówno dobrze. Za temi krajami, od kościołów św. Jakóba i Bernata, to już widać kominy od piekła, co niby jak straszne góry wyglądają...²⁸³.

Z niedostatku wiedzy i własnych doświadczeń w „kwestii murzyńskiej” rzesze członków LMiK i zwykłych obywateli II RP odwoływały się naturalnie do zagranicznych opinii i poglądów panujących w krajach kolonialnych, gdzie sądy o mieszkańcach ziem zamorskich rodziły się i formowały przez stulecia. Na przełomie XIX i XX wieku – dzięki nauce, a konkretnie postępom ewolucjonizmu w antropologii społecznej, według którego Azjaci czy Afrykanie są bez wątpienia ludźmi, ale niedostatecznie jeszcze dojrzałymi, by rządzić się samodzielnie – przybrały postać w zasadzie skończoną, rzecz można, doskonałą. Toczył się wprawdzie leniwy i jałowy dyskurs wokół sposobów postępowania z ludnością rdzenną, w którym Anglicy opowiadali za zachowaniem wobec niej dystansu i ścisłym przestrzeganiem zasad etyki i prawa kolonialnego, natomiast Francuzi, a zwłaszcza Portugalczycy, byli zwolennikami pewnego z nią zbliżenia, lecz skłonni zarazem do stosowania woluntarystycznych restrykcji i represji, nie naruszało ono jednak w żadnym razie świętej zasady apriorycznej wyższości białej rasy. W czasach polskich starań o posiadłości zamorskie była ona fundamentem władzy kolonialnej i nakładała na białych w Afryce czy Azji kłopotliwy niekiedy obowiązek okazywania supremacji w każdej sytuacji, miejscu i czasie. Jak pisał zjadliwie Jack London: „Na duszy winien mieć [biały] wypalone piętno niepokonanego białego człowieka. Musi być niepokonany. Musi mieć wzniosłą pogardę dla drobiazgów, niezmierną pewność siebie i rasowy

egoizm, który rodzi wiarę, że jeden biały jest lepszy od tysiąca czarnych w każdy powszedni dzień, a przy niedzieli może sobie poradzić nawet z dwoma tysiącami²⁸⁴. Polscy pionierzy w tropikach, początkujący w kolonizatorskim rzemiośle, traktowali ów obowiązek z należną powagą. Co prawda wyzwania, przed którymi zwykle stawali, nie wymagały od nich nazbyt wiele:

[...] szliśmy wąskimi ścieżynkami, pozagradzanymi wielkimi kamieniami, co staczały się przez wieki z gór, walczyliśmy z lianami pokrytymi kolcami, które splątane jak sznury przegradzały nam drogę. Szedłem pierwszy, za mną posuwali się murzyni. Wolałbym może, by drogę wybierał i wskazywał jeden z „czarnych”, znających każdy kamień i każde załamanie skał, lecz musiałem zachować powagę białego człowieka, jak również podtrzymać przeświadczenie, że „biały” wszystko umie i wszystko potrafi zrobić lepiej niż „czarny”²⁸⁵

– wspominał Adam Paszkowicz polowanie w Angoli. Inny jednak autor zdradził, że biali, chodząc po lasach, zazwyczaj puszczają przed sobą jednego lub dwóch tubylców, „co nie jest może bohaterskie, ale praktyczne”²⁸⁶, jako że dzieci afrykańskiej przyrody daleko szybciej od Europejczyka dostrzegają niebezpieczeństwo; węża zwieszającego się z drzewa czy skorpiona zaszytego w trawie. Pies

W razie osłabienia wiary w posłannictwo białych mogli zawsze nasi koloniści porzucić się lekturą *W pustyni i w puszczy* i za przykładem Stasia Tarkowskiego „nadhłopca, nawet nadmężczyzny, który ubije straszego lwa, poskromi słonia, wystrzela mahdystów, zwycięży plemię Samburu, ochrzci pogan i muzułmanów, dokonana czynów epokowych i chwalebnych, jak na Polaka przystało”²⁸⁷. Na kartach wydanej w 1911 roku powieści po raz pierwszy nie tylko w naszej literaturze, lecz także kulturze i obrazie świata pojawił się jako znacząca postać Afrykanin. Co więcej, sława Kalego okazała się trwalsza niż młodego Tarkowskiego. Bardzo prawdopodobne, że w gruncie rzeczy ów czarny „ziomal” – poczciwy i trochę naiwny, lecz zaradny i znający życie – był i jest ze swą nieśmiertelną „moralnością Kalego” bliższy naszemu pojmowaniu świata niż młodociany polski bohater²⁸⁸. Henryk Sienkiewicz uchodził przez parę dziesiątków lat w Polsce za najwybitniejszy, a w zasadzie jedyne autorytet w kwestiach ludów zamorskich, nie tyle zresztą dzięki nie bez kozery pewnie infantylnej i gloryfikującej białych powieści, co *Listom z Afryki* stanowiącym źródło wiedzy o Czarnym Lądzie dla warstw bardziej intelektualnie wyrobionych. Z dzisiejszej perspektywy – lecz uwzględniając realia czasów tryumfującego kolonializmu – jego rasizm oraz poglądy na podboje kolonialne można uznać za

względnie zrównoważone. Pisał na przykład: „Zapewne, że takie stosunki, w których by każdy poprzestawał na swoim, byłyby najbliższe ideału – faktem wszelako jest, że państwa europejskie zabierają i rozdzielają między sobą Afrykę, co zresztą, w razie przeciwnym, Arabowie czyniliby nierównie okrutniej”²⁸⁹. Jednak proste środki konieczne dla ucywilizowania „Murzynów” przyjmował z aprobatą. W Port Saidzie przyglądał się tragarzom walczącym o bagaże turystów – „widząc te rozpalone twarze, wytrzeszczone oczy, zęby przebłyskujące z czarnych lub sinawych warg, słuchając tych słów, wyrzucanych jakby w najwyższym uniesieniu wściekłości, sądzić by można, że za chwilę ludzie ci porwą się za gardła i poczną się rozdzierać zębami. [...] A gdy wreszcie wpadną na pomost na kształt krwiożerczych korsarzy lub złych duchów, kij flegmatycznego Anglika wnet przyprowadza ich do porządku”²⁹⁰. Pomimo niezachwianego przekonania o kardynalnej różnicy między białymi a ludźmi niższych ras noblista żywił pewien sentyment do czarnych Afrykanów i nie był obojętny na ciężką ich dolę. Z pewnością wolał ich od ukraińskiej „czerni”, a także Arabów i w ogóle muzułmanów. W *Listach z Afryki* wyznał nawet, że „bardzo lubi Murzynów”. Nie ukrywał jednak, że myśl ta naszała go przed przeprawą przez rzekę, gdy z pewną ulgą przypomniał sobie, „że krokodyle lubią ich także i że w ogóle czują większy pociąg do czarnego niż do białego mięsa”²⁹¹. Niekiedy pomimo całego swego tradycjonalizmu i patriotyzmu o posmaku nacjonalistycznym wdawał się w dywagacje historiozoficzne w duchu niemal liberalnym. Uważał, że nie ma widoków, by w Afryce mogły powstać w wyniku kolonizacji przez narody europejskie państwa podobne do Stanów Zjednoczonych, ale nie wykluczał, że biali potrafią dokonać tego wspólnie z czarnymi. Przyjmował, że klimat, który nie pozwala pracować fizycznie białym ludziom, będzie odpowiedni dla ludności o krwi mieszanej, dzięki czemu, jakkolwiek w odległej przyszłości, powstaną na Czarnym Lądzie związane z metropolią państwa Mulatów francuskich, niemieckich czy włoskich, gdzie cywilizacja europejska zostanie przystosowana do miejscowych warunków. Dostrzegał też, że posiadłości zamorskie są przedmiotem bezwzględnej eksploatacji, i miał nadzieję, że „metropolie potrafią uniknąć niemiłosiernego wyzysku kolonij i wytworzą taki wzajemny stosunek, by obie strony widziały korzyść w związku”²⁹².

Fenomen rozkwitających w próżni polskich aspiracji kolonialnych, cieszących się w II RP może nie powszechnym, ale znaczącym i często szczerym poparciem, z pewnością tłumaczy się w niemałym stopniu popularnością i społeczną rangą

Sienkiewicza i siłą oddziaływania jego afrykańskich wizji. Jego obraz Afryki w chwili ukazania się powieści i *Listów* odpowiadał z grubsza ówczesnym sądom większości społeczeństw Zachodu. Gorzej jednak, że po przeszło stu latach wciąż żyje w wyobraźni Polaków i jest jednym z powodów nieprzemijającego u nas powodzenia anachronicznych sentymentów kolonialnych i postkolonialnych. Na tym sprzyjającym gruncie ambicje, a potem żądania kolonialne wydawały się nie tylko słuszne i godziwe, lecz także po prostu naturalne – rozkwitła w latach międzywojennych literatura, publicystyka i propaganda wspierająca polskie starania o kolonie. Liczni piszący podróżnicy i eksperci kolonialni wydali dziesiątki książek i opublikowali setki reportaży z „dzikich krajów” oraz niezliczoną liczbę artykułów, odczytów i innych utworów często o charakterze jawnie agitacyjnym. Nie była to literatura wysokich lotów, ale książki podróżnicze między innymi Mieczysława Lepeckiego, Janusza Makarczyka czy Kamila i Jerzego Giżyckich cieszyły się dużą popularnością. Osobną i szczególną pozycję zajmowała awanturniczo-romantyczna twórczość Ferdynanda Ossendowskiego, słynnego kontrrewolucjonisty, osobistego wroga Lenina, współtowarzysza walki admirała Kołczaka i barona Ungerna, naukowca, podróżnika, myśliwego i niebywale płodnego pisarza. Autora siedemdziesięciu siedmiu książek, które wydano w latach międzywojennych w Polsce w osiemdziesięciu milionach egzemplarzy, nazywano polskim Karolem Mayem. Jego twórczość była manifestacją rasowej pychy. Pisał ze swadą: „pełna porywu, dążeń, postępu i walki cywilizacja białej rasy bije potężną falą w brzegi spokojnej spokojem umierania Afryki, chce wchłonąć w siebie jej duszę, [...] z tęsknotą zwracamy nasz wzrok tam, na dalekie południe, gdzie szumią korony drzew nad świątynią bogini »Ziemi«, gdzie potulni Murzyni wysławiają obcego im Allacha i rodzinne gri-gri, gdzie męczeńskie a szlachetne życie pędzą Francuzi-zwiastuni chrześcijańskiej cywilizacji”²⁹³.

„Wierzę w tę rasę” – wyznał w 1895 roku brytyjski minister kolonii Joseph Chamberlain. Polscy autorzy piszący o koloniach wiarę w białych ludzi w zdecydowanej większości bez zastrzeżeń podzielali, niekiedy ponad miarę. Tak więc uczony przyrodnik, profesor Hirschler, jeszcze w połowie lat trzydziestych XX wieku, gdy już od mniej więcej pół wieku ludzkiej kondycji czarnoskórych nie kwestionowano, nie był, zdaje się, tego do końca pewien. Opisując świąteczne śniadanie na trawie, jakie wydano dla czarnych pracowników w Batoli w Liberii z okazji Bożego Narodzenia, gdy „Murzyni” oblizywali się z zadowolenia i mlaskali językami, zauważał:

„patrzac na ich nieskrępowaną, naiwną, prawie dziecinną radość, mimo woli odczuwało się sympatię do tych czarnuchów, którzy przecież także są ludźmi”²⁹⁴. Pomijając tego rodzaju dwuznaczne wzmianki, polska twórczość kolonialna wolna była jednak od głębszych dywagacji o człowieczeństwie Afrykanów; odwoływała się do sprawdzonych stereotypów oraz idei kolonialnych i mocarstwowych. W nie-małej części to zasługa LMiK, która od początku systematycznie popierała poprzez swe kontakty, a i finansowo, podróżników, literatów i dziennikarzy gotowych służyć swym piórem polskiej ekspansji zamorskiej. Arkady Fiedler, skądinąd niechętny naszym planom kolonialnym, wspominał, że Orlicz-Dreszer – „z którym bardzo się polubiliśmy” – po kilku spotkaniach zdumiewał się, że „dotychczas o nic go nie poprosiłem”, a przecież jest prezesem LMiK, która wysyła na swój koszt ekspertów i sprawozdawców do krajów podzwrotnikowych²⁹⁵. Po kieliszku generał zwierzył się, że nie zdarzyło się, żeby jakiś z jego znajomych nie czuł się ekspertem i nie prosił o żadną przysługę. O ligowych ekspertach Fiedler miał wyrobione zdanie. Uważał ich za nieobliczalnych fantastów, nieuczciwych ignorantów, a często kombinatorów albo wręcz kanciarzy, którzy korzystając z funduszy państwowych, urządzali sobie kosztowne podróże po świecie. „Składając potem tęczowe raporty o znakomitych możliwościach kolonizacji w danych krajach, wartogłowy mydliły oczy naszym władzom i społeczeństwu”²⁹⁶. Należy tu dla porządku zastrzec, że tą radykalną opinią podzielił się z szerszym gronem czytelników dopiero po II wojnie światowej. A także, że sam – wprawdzie nie z ramienia Ligi, lecz na koszt MSZ – wyjechał w sprawach po części kolonialnych w 1938 roku na Madagaskar.

Fiedlera, najzdolniejszego i najpopularniejszego z przedwojennych polskich pisarzy „podróżniczych”, wyróżniał w tym gronie nie tylko talent, lecz także niewątpliwa empatia wobec ludzi innych kultur i o innym kolorze skóry. O Madagaskarze, lekceważąc lekkomyślnie dogmat o wyższości białych, pisał na przykład tak: „Obecność krwi białej rasy nie tłumi tu wesołości. Na Madagaskarze krew białej rasy podlega tym samym prawom natury co krew innych ras. Na Madagaskarze u ludzi rasy białej nie zanikł zdrowy śmiech”²⁹⁷. Takich spostrzeżeń w literaturze i publicystyce owych lat było jak na lekarstwo. Nawet ci z podróżników, których życie krajowców, ich zwyczaje czy mentalność autentycznie interesowały, rzadko wychodzili poza rolę rzeczowego badacza tajników egzotycznej kultury, mającej służyć jako tworzywo twórczości naukowej czy – jak w przypadku na przykład Kamila Giżyckiego – literackiej. Większość z setek polskich autorów tekstów „kolonialnych”

stosowała się bezwiednie do ironiczných wskazówek Londona, który utrzymywał, że biały „[...] powinien nie tylko gardzić podlejszymi nácjami, a o sobie mieć bardzo wysokie mniemanie, lecz także cierpieć na brak wyobraźni. Nie może zbyt dobrze rozumieć instynktów, obyczajów i procesów myślowych ludzi czarnych, żółtych i brunatnych, bo nie taką metodą biała rasa wydeptała swój królewski gościniec dookoła świata”²⁹⁸.

Uważa się czasem, że działalność LMiK oraz publikacje poświęcone krajom i zagadnieniom kolonialnym przyniosły jedną przynajmniej korzyść: wzrost nikłego wcześniej zainteresowania innymi kontynentami i społeczeństwami oraz ich kulturą. Ale wraz z wiedzą, pochodzącą z tak specyficznych źródeł jak powieści przygodowe czy niekoniecznie wiarygodne relacje podróżników, Polacy przyswajali sobie – w kraju bez kolonii – zaczątki mentalności kolonialnej skażonej często pospolitym rasizmem. I to w wersji nad wyraz prostej i przystępnej. W mocarstwach władających zamorskimi imperiami edukacja kolonialna również zaczynała się od literatury przygodowej, na przykład powieści Karola Maya, jednak z czasem przybierała coraz bardziej zaawansowaną, a nawet wyrafinowaną formę kultury kolonialnej. Kultura ta stała się nieodłącznym rysem *la belle époque*, nadając jej swoisty koloryt oraz – zwłaszcza w twórczości Kiplinga głośzącej chwałę imperium, lecz wnioskującej też głęboko w tradycję innych cywilizacji i ludów – mistyczny posmak. Jednak najwybitniejszym dziełem literackim, jakie powstało w związku z doświadczeniem kolonializmu, jest prawdopodobnie opowiadanie Josepha Conrada *Jądra ciemności*. Fatalna historia agenta handlowego Kurtza, który ustanowił się kacykiem i po trosze bogiem panującym nad tubylcami w niedostępnej głuszy nad rzeką Kongo, są przede wszystkim doświadczeniem obcości. Owa niemożliwa do przezwyciężenia inność dzieląca cywilizację „białych” od świata „dzikich” z tropikalnej dżungli sprowadzać miała na przybyszów z Europy szaleństwo i wyzwalać siły zła ukryte w najgłębszych mrokach duszy. Okrutna rzeczywistość XIX wieku Konga Belgijskiego, wyzysk i bliska ludobójstwu przemoc wobec czarnych jego mieszkańców nie są jedynie dekoracją czy scenerią egzystencjalnej katastrofy bohatera *Jądra ciemności*, lecz dramatyczną próbą dla jego człowieczeństwa. *Jądra ciemności* – choć Conrad niejako przy okazji ujawnia pustkę i fałsz ideologicznych uzasadnień podbojów kolonialnych w rodzaju „brzemienia białego człowieka” – nie sposób jednak zaliczyć do utworów antykolonialnych. W 1902 roku, gdy opowiadanie powstało, i przez następnych parę dziesiątek lat powszechnie sądzono, że dla kolo-

nializmu nie ma alternatywy; nikt prawie nie przeczuwał, że jego kres jest tak bliższy.

W Polsce „smakowanie kolonializmu u schyłku kolonialnej epoki najwyraźniej musiało mieć swój urok”²⁹⁹. Przyczynił się do tego między innymi właśnie Conrad, niezwykle w latach międzywojennych popularny, przykuwający uwagę wielu czytelników nie tyle uniwersalnym przesłaniem etycznym, lecz – co pokazał na przykład sugestywnie Michał Choromański w swej powieści *Słowacki wysp tropikalnych* – romantyczną egzotyką. Szczególnie intrygującym rysem owej egzotyki jest „ciężki, niemy czar dziczy”, budzący zgrozę i wstręt, a zarazem pociągający z niezwykłą siłą zarówno Kurtza, jak i, z pewnością, niektórych czytelników śledzących jego dziwne losy: „[...] to [czar dziczy] go jedynie gnało ku skrajowi lasu, ku puszczy, w stronę blasku ognisk, dudnienia bębnow, niesamowitych zaklęć; tylko to znęciło jego pozbawioną hamulców duszę poza granicę dozwolonych dążeń”³⁰⁰.

Najbardziej wyrazistym znakiem granicznym między „dzcizną” a cywilizacją był w czasach kolonialnych kanibalizm, który, jak mniemano, Afrykanie czy tubylcy z Mikronezji czy Melanezji praktykują zarówno z motywów magicznych, jak i w celu urozmaicenia diety. Prawdziwe czy też, jak często się okazywało, rzekome przypadki ludożerstwa budziły wśród białych chorobliwe jakieś zainteresowanie, być może wynikające z tajemniczych związków między męczeństwem a erotyzmem – i w relacjach podróżników szczegółowo oraz, rzec można, ze smakiem je odnotowywano. Mieli w tej popularyzacji antropofagii swój udział także Polacy. Uczestnik ekspedycji Szolc-Rogozińskiego Leopold Janikowski – nieskłonny raczej do fantazjowania i odnoszący się do Afrykanów jak na owe czasy bez większych uprzedzeń – twierdził w swych wspomnieniach z późniejszej wyprawy do Gabonu, że kanibalizm wśród dobrze mu znanego plemienia Mpangue był ściśle związany z religią. Czasem jednak stawał się aktem zemsty. W przypadku większego zatargu zbrojnego między dwoma szczepami „jeńców, schwytanych podczas walki, zjadają zwycięzcy ze smakiem. [...] Po śmierci okrutnej wyrzucają wnętrzności z trupa i kładą w ich miejsce liście bananowe. Znow odbywają się tańce, poczem następuje ceremonia krajania zmarłego na części; nogi i ręce, jako przysmak królewski, zabiera kacyk, reszta idzie do podziału wśród poddanych. Części te gotuje się z olejem i bananami, spożywa się je, inne części wędzi”³⁰¹. Według naocznych świadków, dodał Janikowski, nad górnymi dopływami rzeki Ogowe „znajdowały się targowiska, gdzie kawałami ćwiartują i sprzedają zabitych jeńców wojennych”³⁰². Mpangue,

wśród których mieszkał, tak nie postępowali, prawdopodobnie dlatego, że „nie uważali tego mięsa za przysmak”.

Z wielką rzeczowością i skrupulatnością opisał od kuchni swe doświadczenia z kanibalami profesor agronomii tropikalnej, późniejszy członek Polskiej Akademii Umiejętności Jean Dybowski, który około 1890 roku „gdzieś w Kongu” zawarł bliższą znajomość z plemieniem ludożerców Bonzo. W ich wiosce ku swemu przerażeniu uczestnicy jego wyprawy dostrzegli kotły, w których pichciły się ludzkie szczątki. Z jednego z garów wystawała noga, udo, ręka ludzka oraz głowa z białymi, otwartymi szeroko szklistymi oczyma i pianą spadająca kłębami po brodzie. Miejscowy kuchmistrz dusił mięso razem z jarzynami, kartoflami i skórkami małej dyni. Nie mogąc od ręki oduczyć kanibali owego procederu, profesor poprzestał na jego zbadaniu. Jak ustalił, Bonzo tuczyli najpierw swoje ofiary i zjadali po starannym przyrządzeniu. Oszczędzali tylko kobiety, co wynikało z wysokiej ceny tego surowca. Czaszkami zjedzonych ozdabiano domostwa, a z zębów ludzkich robiono naszyjniki. Mięso ludzkie zaliczano do smakołyków i potraw podawanych jedynie od święta. Profesor stwierdził także, że biali uchodzą za smacznych, ponieważ „nie mają skóry”. Na koniec jako ekspert od spraw rolnictwa wyraził pogląd, że Bonzo mogliby zrezygnować z ludzkiego mięsa, gdyby nastawili się na hodowlę trzody chlewnej³⁰³. Szczegółową relację o zwyczajach ludożerców polscy miłośnicy Afryki mogli też przeczytać w latach trzydziestych XX wieku w korespondencji polskiego kolonisty z Angoli. Zanotował on opowieść portugalskiego kierownika poczty senhora Almeida, weterana walk z tubylcami podczas ich wielkiego zrywu powstańczego. Jak opowiadał ów Portugalczyk, został wzięty do niewoli i uprowadzony w góry. Tam w trakcie specjalnie zwołanej narady postanowiono jeńca utuczyć i następnie zjeść go podczas wielkiej uroczystości. Na razie zapędzono go do sprzątania chat, obrządział też bydło, niańczył czarne dzieciaki, szył, gotował, prał, doił krowy i kozy. Miał też obowiązek próbowania każdej butelki zdobytego na białych wina, które, jak obawiali się tubylcy, mogło być zatrute. Był zatem stale na swoje szczęście mniej lub więcej pijany. Na noc związanego pilnowało dwóch wojowników z zatrutymi strzałami. Codziennie przychodził do przyszłego pocztowca stary „Murzyn”, fachowiec od przyrządzania potraw mięsnych, i ostrą igłą próbował, czy ów jest już zdatny do jedzenia. Ponieważ jeńiec błyskawicznie przybierał na wadze, wkrótce wyznaczono termin uczyty. Życie uratowała mu w ostatniej chwili pewna nawró-

cona na wiarę chrześcijańską miejscowa niewiasta o dobrym sercu, uwalniając go z więzów i myląc pogonie za ledwie na godzinę przed zaszlachtowaniem³⁰⁴.

W czasach polskiej ekspansji kolonialnej kanibalizm był już, jak się zdaje, w odwrocie. Nasi pionierzy wspominali o nim jako o zwyczaju zanikającym, praktykowanym tylko przez najdziksze plemiona w najbardziej oddalonych partiach dżungli. Kamil Giżycki kiedyś jednego ze swych robotników, którego spiłowane zęby oznaczały, że należy do jednego z plemion posądzanych o ludożerstwo, zapytał prosto z mostu, czy jadł kiedykolwiek ludzkie mięso. „Nie, massa, ja nigdy jeszcze mięsa takiego nie jadłem, ale... jedli je mój ojciec, ojciec mojego ojca” – przyznał potomek kanibali. I dodał: „Ojciec mówił, że starzy, bardzo starzy ludzie powiadali, iż mięso białego człowieka jest zbyt słone, a prócz tego... z mięsem białego wchodzi jego dusza w czarnego i robi z niego »kilkolo« [wariata]”. Giżycki chciał wiedzieć jeszcze, czy w okolicach, skąd jego pracownik pochodzi, nadal je się ludzkie mięso, na przykład podczas uroczystości. „Nie wiem, massa, zapytaj o to naszych czarowników” – odparł rozmówca, ukazując w dobrodusznym uśmiechu swe oszlifowane na ostro siekacze³⁰⁵.

Niektórzy biali podejrzewali, że okoliczni ludożercy zeszli do podziemia. Zastanawiał ich na przykład fakt, że w pobliżu polskich plantacji w Liberii – a władze tego niepodległego kraju posądzano o tolerowanie, jeśli nie sprzyjanie, antropofagii – nie istniały cmentarze, a tylko pojedyncze groby wybitnych przodków. Plantatorzy sądzili w związku z tym, że w odludnych leśnych osiedlach kanibalizm gastronomiczny jest nadal w największej tajemnicy uprawiany, a konkretnie, że sąsiednie wsie odstępują sobie nieboszczyków do zjedzenia³⁰⁶. W tym samym mniej więcej czasie Kazimierz Nowak – niepospolity znawca Afryki i jej kultur, słynny cyklista, który na rowerze przejechał Czarny Łąd wzdłuż i wszerz – wspominał swoją podróż przez krainę szczepu Abasalampasu w Kongu Belgijskim, za ledwie parę lat wcześniej zupełnie niedostępną: „śmiałek, który wkroczył na teren szczepu, szedł do koła lub wystawiano go na sprzedaż w Tulume... w kawałkach”³⁰⁷.

Imponująca liczba doniesień o ludożerstwie w krajach Afryki, Oceanii i na Karaibach wprawiała w konfuzję antropologów, którzy podejrzewali, że kanibalizm jako zwykły sposób zaspokajania głodu – w przeciwieństwie do potwierdzonej w wielu źródłach antropofagii rytualnej – nie istnieje. Wszystkie rewelacje, którymi raczono opinię Zachodu, pochodziły bowiem z drugiej ręki, a do ludożerstwa dochodziło „gdzieś” i „kiedyś”. Ani jedna z relacji o aktach kanibalizmu gastronomiczne-

go nie została w sposób bezsporny potwierdzona przez naukę. Jak sądzą Maciej Żąbek i inni antropologowie, ludożerstwo to po prostu

kwintesencja nie ludzkości. Znak graniczny między człowiekiem a nieczłowiekiem. Logiczne jest więc, że „obcy” jako ludzie-nieludzie są... o nie, nie tyle podejrzewani, co nim naznaczani [...]. Antropofagią trzeba się zajmować jako wyobrażeniami stanowiącymi uniwersalnie funkcjonujący mit. Mit, który jest nie tyle bajką, w której może tkwić ziarno prawdy, ani żadną pozostałością w zbiorowej pamięci ludzkości o pierwotnych ucztach ludożerczych, lecz stereotypem, symbolem, który we właściwy dla siebie sposób ostrzega nas przed „obcymi”. Bo czegoż nas uczą te wszystkie historie o ludożercach? Wydaje się, że tego samego, co w znanej bajce „O Babie-Jadze” – „tam cię mogą zjeść”³⁰⁸.

Współtwórca Koziółka Matołka (obok Kornela Makuszyńskiego), znany rysownik, pisarz i zamiłowany globtroter Marian Walentynowicz wykpiwał w swych zamorskich reportażach popularne wyobrażenia o krajach tropikalnych: „Na piaszczystym pagórku rośnie palma, pod którą siedzi czarny nagus obgryzający pieczoną łydkę białego człowieka. Czają się na niego lew z tygrysem, a nad nimi lata mucha tse-tse ze śpiączką i komar z malarią”³⁰⁹. I stanowczo przestrzegał, że rzeczywistość okazuje się wcale niepodobna do tego „pełnego nastroju obrazka”. Jednak sam swymi rysunkami do utrwalania się takich wyobrażeń o świecie, Afryce, Afrykanach i innych ludach znacząco się przyczynił. Z czasem owe wyobrażenia, obejmując wciąż szersze kręgi Polaków, stawały się coraz bardziej anegdotyczne, zwłaszcza w odniesieniu do kanibalizmu, przedmiotu niezliczonej liczby dowcipów. Niekiedy jednak w relacjach pionierów kolonialnych pojawiała się wizja tropików jako świata w istocie wrogiego białym przybyszom, nieprzeniknionego i nie ludzkiego. Profesor Hirschler miał takie chwile niepewności, gdy jego tragarze wpadali w „impet śpiewaczy”, pot spływał po nich strugami i zalewał usta, a oczy błyskały ogniem i zawziętością. Śpiew ich był jakby melancholijny, ale i pełną grozy skarżą, która, zdawało się, przenika całe przestworza, a ich pokornie pochylone postacie prostowały się, odnajdując pierwotną dzikość. „Jeśli się zważy, że prawie każdy z nich jest uzbrojony w bush-knife, ciężki ostry tasak, którym można by jednym uderzeniem strącić człowiekowi głowę z karku, to mimo woli zaczyna się biały oglądać za mauzerem”³¹⁰ – tłumaczył.

W codziennym życiu kolonii lat międzywojennych owo uczucie „zgrozy” czy „ohydy” wypełniającej według Conradowskiego Kurtza tropiki w zasadzie jednak

się już nie pojawiało. W „Murzynach” widziano społeczności i jednostki wprawdzie czasem kłopotliwe, ale na ogół możliwe do zaakceptowania w rolach dla nich wyznaczonych, przede wszystkim jednak – niedojrzałe. Wielkie dzieci, których według zdania sławnego badacza źródeł Nilu Richarda Burtona „rozwój umysłowy doznał zahamowania i odtąd rozwija się wstecz zamiast naprzód”³¹¹. Uściślił tę diagnozę Janusz Makarczyk, który stwierdził, iż „faktem bezspornym jest, że murzynek do lat 12 jest mądrzejszy od swego białego rówieśnika, [...] z chwilą jednak, gdy nadchodzi okres dojrzewania, murzyn tępieje i głupieje doszczętnie”³¹².

Przekonanie o chronicznym infantyлизmie – a mówiąc bez ogródek, głupocie – czarnych kojąco działało na niepokoje białych i ich samoocenę jako rasy predestynowanej do panowania i przewodzenia. Pozwalało to z góry, lecz w miarę życzliwie patrzeć na Afrykanów, sprytnych i leniwych, ale w przeciwieństwie do innych ras kolorowych pocziwych. Właściciel polskiej wytwórni pustaków w Lobito podkreślał, że jego pracownicy są bardzo subtelni i szybko się orientują, czy patron jest w stosunku do nich człowiekiem sprawiedliwym, uczciwym i dla nich życzliwym. Potrafią też życzliwość docenić i zawsze dają dowody swej wdzięczności i oddania. Wyjeżdżając do Europy, pisał z żalem: „żegnajcie upały wiecznego lata, żegnajcie palmy i kwiaty jaskrawe, żegnajcie murzyni, wielkie, naiwne i dobre czarne dzieci słonecznej krainy!”³¹³. Chwalono też cielesne i estetyczne walory Afrykanów. Podczas polowania na krokodyla polski myśliwy podziwiał swego afrykańskiego przewodnika: „w promieniach słońca stał nagi i piękny. Widać było każdy muskuł wyprężonego ciała, które błyszczało od potu jak lakierowane. W tej chwili przestał być chłopcem do usług, przestał być murzynem, czarnym niewolnikiem... Stał się posągiem! Zadźwięczała struna i z dalekiej wysokiej skały wolno staczać się zaczęło ciało zabitej małpy”³¹⁴. Dysonansem był jedynie, jak zauważył już Sienkiewicz, afrykański pogląd na piękno kobiecego biustu. W relacji z Angoli polski podróżnik wspominał z rozczarowaniem, że afrykańska matka, idąc gdzieś lub pracując w polu, karmi dziecko, nie zdejmując go z pleców; po prostu przerzuca pierś przez swe ramię i nie przerywa sobie pracy³¹⁵.

Autorzy nasi przeciwstawiali się też na ogół panującym w kraju od średniowiecza poglądom, że czarni się nie myją – i dlatego między innymi są czarni. Alfons Hajdukiewicz-Pomian, przedstawiciel firm szwedzkich w Indiach i w Afryce, a także żołnierz Legii Cudzoziemskiej, podkreślał, że mieszkańcy Afryki kąpią się przynajmniej raz na dzień, a kobiety jeszcze częściej, zawsze przy tym używając mydła.

„Toteż z powodzeniem można ich nazwać najczystszy narodem świata”³¹⁶ – utrzymywał. Czytelnicy pisma „Missye Katolickie” zdumiewali się, że zdaniem misjonarzy jednym z głównych przymiotów „Murzynów” są czystość i ochędóstwo. W szczególności, podkreślano, dbają oni bardzo o czystość zębów, nacierając je codziennie kawałkiem pewnego drzewa albo też żując rozmaite rośliny, które zdają się posiadać jakieś antyseptyczne własności. Jak zapewniali starzy koloniści, niektórzy z czarnych cieśli potrafili swymi olśniewającymi białymi i mocnymi zębami wyciągać z drewna gwoździe, których nie można było ruszyć obcęgami.

O czystość cielesną czarni mieszkańcy tropików potrafili zadbać sami, natomiast przed brudem moralnym musieli ich chronić kolonizatorzy – zwłaszcza że sami do demoralizacji ludów zamorskich znacznie się przyczynili. Do czasów rozpowszechnienia się kina ludy afrykańskie czy azjatyckie nie miały na przykład pojęcia, jak żyją w swych krajach biali, i trwali w przekonaniu o ich wyższości moralnej, kulturalnej i intelektualnej. Ale filmy, „ohydnej zwykle treści” okazały się według „The Times” czynnikiem zdradzieckim. „Przed oczyma setek tysięcy naiwnych tubylców przesuwają się karykatury z życia i obyczajów Europy, za kilka miedziaków mogą oni oglądać dzieła przedstawiające białych ludzi pogrążonych w brudzie moralnym i zbrodni oraz, co najgorsze, białe kobiety wyzywające i bezwstydnne. Zwłaszcza te ostatnie obrazy znacznie osłabiły uczucia szacunku i czci, jakimi tubylcy otaczali kobiety rasy rządzącej”. Jak alarmował autor artykułu, nic bardziej nie podkopało prestiżu białych, doprowadzając do buntów kolorowych, jak właśnie filmy. W Azji szkody z tego powodu były już nieodwracalne, lecz trzydzieści pięć milionów mieszkańców kolonii afrykańskich można było jeszcze przed rozkładowym wpływem kinematografii uchronić, dopuszczając na ekrany jedynie filmy angielskie tak dobre, by stały się czynnikiem umoralniającym, uczącym ładu, pracy i uczuć humanitarnych. Szczególnie zalecał „The Times” promowanie produkcji miejscowej, kolonialnej, przedstawiającej obrzędy religijne, taniec, zabawy, przygody myśliwskie wplecione w prostą fabułę, które z pewnością budziłyby spore zainteresowanie³¹⁷.

Z innych poza sztuką filmową dóbr i wartości cywilizacji mogli rodowici mieszkańcy kolonii korzystać na ogół bez przeszkód. W szczególności cenili wytworne europejskie stroje. Swoboda i kreatywność tubylców w tej dziedzinie budziła zdumienie polskich podróżników. Niemal w każdej korespondencji prasowej opisywa-

no

najpotworniejsze kombinacje starych ubiorów. Widać więc Murzyna parującego w staromodnym cylindrze bez ronda, w tuzurku i jasnych spodniach, których jedna nogawka jest oberwana powyżej kolana. [...] Jakiś inny bosonogi czarny obywatel pyszni się jak paw, krocząc dumnie w wystrzępionych portkach frakowych, marynarskiej koszuli i meloniku. Lecz najwięcej jest dumny z wielkiego krawata. Głupstwo, że wisi wprost na nagiej szyi jak pętla na wisielcu. Deseń w żółtoczerwone kratki...³¹⁸.

Inny autor nie mógł oderwać oczu od „czarnego draba noszącego z niezrównanym wdziękiem wąski pasek płótna na szyi i piersiach – resztki dawnej koszuli. Paseczek ten posiadał jednak guziki, starannie zapięte”³¹⁹. Jeden z podróżników widział w okolicach jeziora Czad naczelnika wsi noszącego na szyi niby order koło od roweru oraz lokalnego prominenta, który ozdobił swą nagą pierś zepsutym budzikiem³²⁰. Wśród naszych globtroterów ta maskarada budziła znacznie większe zaciekawienie niż stare miejscowe wierzenia, obyczaje, stroje, oryginalne ozdoby czy tatuaże. Tylko niektórzy troskali się, że upodobanie do tandety ośmiesza i degraduje Afrykanów, potwierdzając ich skłonności do „małpowania” białych. Według naukowców badających kolonializm chęć bezkrytycznej imitacji jest jednym z przejawów etosu sługi, zniewolenia, uległości, kompleksu niższości oraz przekonania o wyższości nie tylko wytworów materialnych Zachodu, lecz także jego idei³²¹.

Korespondent „Morza” za jednym z francuskich podróżników zadał pytanie, skąd pochodzi ów towar, który bezwstydni handlarze europejscy oferowali swym naiwnym klientom: kapelusze kwalifikujące się na śmietnik, stare hełmy kirasjerskie, „para” butów o różnych kolorach i rozmiarach, lusterka, które nic nie odbijają, grzebienie bez zębów, świece bez knotów... Redakcja czasopisma, jak dowiadujemy się z przypisu, znała na nie, niepełną wprawdzie, odpowiedź: sporą część tandety docierającej do kolonii sprzedawały warszawskie firmy skupujące ją od handlarzy starzyzną, „handełesów”³²². Całkiem możliwe, że stanowiła ona w owym czasie największą pozycję w eksporcie z Polski do Afryki. Szczególnym wzięciem wśród Afrykanów cieszyły się stroje, w jakich biali występowali podczas oficjalnych i uroczystych okazji. W Akrze na Żłotym Wybrzeżu (Ghana) większość mężczyzn paradowała na przykład we frakach bez poły i cylindrach bez ronda lub dna. Ostatecznie Anglicy zdecydowali się na zakazanie przywozu do swych kolonii starej odzieży – ale tylko strojów wizytowych i balowych³²³. Wydaje się więc, że nie tyle

chodziło im o godność czarnych, co powagę białych, manifestującą się podczas różnych gali i ceremonii między innymi ubiorem.

W przeciwieństwie do cieszących się wolnością wyboru garderoby tubylców białych krępował w koloniach *dress code*, nieoficjalny wprawdzie, ale przestrzegany zwłaszcza przez początkujących kolonialistów, takich jak Polacy. Zasadą było ubieranie się w białe stroje, na których, jak tłumaczono, nie siadają przezorne muchy tse-tse, oraz nakrywanie głowy, nieodzowny warunek zachowania nie tylko zdrowia, lecz także życia stale zagrożonego palącym afrykańskim słońcem. Nie mogła wchodzić w grę jakaś, powiedzmy, czapka, a jedynie kask tropikalny. O takim kasku, symbolu panowania kolonialnego, marzyły tysiące aktywistów LMiK. Tylko nielicznym było jednak dane nosić tę „koronę ekwipunku tropikalnego”. Profesor Hirschler i jego żona przed wyprawą do Afryki po starannym namyśle – w XX wieku kultowe hełmy korkowe z białym pokrowcem lub lakierowane były już przeżytkiem – zakupili kaski angielsko-sportowe, aluminiowe, pokryte wewnątrz i na zewnątrz korkiem, dla każdego z małżonków białe oraz jeden koloru khaki, nieodcinający się od tła, na polowania. Mieli do wyboru jeszcze co najmniej dwa inne fasony: urzędowy, wysoki, podobny do hełmów policji angielskiej, oraz niemiecki, płasko ścięty u góry, o kształcie pikielhauby.

W czasach wypraw odkrywczych i ustanawiania rządów kolonialnych niezbędnym dla białego podróżnika sprzętem było składane krzesło – nie mógł on bowiem siedzieć niżej od naczelników afrykańskich wsi. W latach międzywojennych znaczenie krzeseł zdecydowanie zmalało, zachowała się natomiast praktyka, przynajmniej na bezdrożach Liberii, że biali podróżują w hamakach niesionych przez tragarzy. Nawet gdy biały z jakiejś potrzeby czy dla fantazji szedł pieszo, hamak – wór rafiowy zwisający swobodnie z prostokątnego rusztowania drewnianego, osłonięty daszkiem – zawsze niesiono w pobliżu. Każde z czterech naroży ramy dźwigał na głowie osłoniętej rodzajem poduszki z uzbieranej naprędce trawy czarny tragarz.

Człowiek spotykający się po raz pierwszy z tym, że go inni ludzie mają nieść, a on sam będzie sobie wygodnie leżał w hamaku, wzdyga się przed taką podróżą, gdyż czuje, że godność ludzka schodzi w tym wypadku do poziomu zwierzęcia pociągowego. Taka podróż przesadnie podkreśla różnicę zachodzącą między białym i czarnym, lecz trudno wyłamać się spod utartego zwyczaju, [...] w tym klimacie gorącym i przesyconym parą wodną męczy się szybko nawet biały przyzwyczajony do marszu w spiekotę tropikalną, a cóż dopiero nieprzyzwyczajony do takich ćwiczeń³²⁴

– tłumaczył się uczonego zoolog.

Dziwne trochę i sprzeczne z uniwersalnymi przewagami białych ich chęć do pracy w klimacie tropikalnym potwierdzały największe autorytety. Według świadectwa doktora Alberta Schweitzera pewien biały

drzemał kiedyś po obiedzie, gdy nagle kilka słonecznych promieni padło na niego przez otwór w dachu nie większy od talara i spoczywały na nim w ciągu paru chwil; wystarczyły one jednak, aby wywiązała się ciężka choroba, podczas której chory bredził i szalał w malignie. [...] Kapitan [...] nachylił głowę zbyt nisko, a słońce, dostawszy się pod hełm, padło na kark; i on również przyplącił swą nieuwagę ciężką chorobą³²⁵.

Było zatem jasne, że biali – jakkolwiek mogło zastanawiać, że cielesna słabość nie przeszkadza im w wyczerpujących nieraz polowaniach – nie mogą w Czarnej Afryce pracować fizycznie pod grozą śmierci. To przekonanie stało się dogmatem, podstawą systemu rządów oraz stosunków gospodarczych w koloniach. Uzasadniało także poniekąd naukowo naturalną relację między rasami, którą przyszłym kolonistom uświadamiali eksperci Ligi: „Praca polskiego osadnika musi różnić się od pracy tubylca i znamionować stosunek pana i przywódcy do podwładnego mu robotnika”³²⁶ – podkreślał endecki publicysta. „W Afryce [...] biały musi utrzymać godność swej rasy wobec murzynów. Biały nie może pracować u murzyna ani też nie może mu okazać, że jest w biedzie. Ci koloniści, którym wszystko się obiecuje, a nic nie daje, tworzą klasę »białych biedaków«”³²⁷ – cytował Franciszek Łyp przestrogi Wysokiego Komisarza Angoli.

Obowiązujący w koloniach model współpracy między rasami miał jednak strukturalną wadę, legendarne lenistwo „Murzynów”, zwłaszcza żonatych mężczyzn: „Nie przystoi mężczyźnie w kwiecie wieku z pracą się porać. To rzecz kobiet i młodzików. Pan i władca – myśli. O czym? Trudno wiedzieć. Zapewne o niczem. Wygrzewa się na słońcu przed chatą, nudzi się, lub może nawet się nie nudzi. Nie robi nic”³²⁸ – ganił inżynier Chmielewski. Polski przedsiębiorca z Angoli zauważał zaś, że czarny jest zazwyczaj słaby, prędko się męczy i woli udawać, że pracuje, niż pracować rzeczywiście, co wymaga stałego nadzoru i popędzania w pracy³²⁹. Fizyczną słabość krajowców dostrzegano w koloniach dość często, przypisując ją niedostatecznemu odżywianiu, chorobom wenerycznym i pasożytniczym, zwłaszcza malarii oraz, na przykład w Angoli, endemicznemu nadużywaniu alkoholu. Przeważał jed-

nak pryncypialny pogląd, że lenistwo jest moralną wadą ras kolorowych z wyjątkiem niektórych ludów azjatyckich. Refleksje, że przyczyną ich godnego potępienia w oczach białych zamiłowania do próżniactwa może być różnica między kulturą europejską, zwłaszcza protestancką, a tradycjami, w których praca nie jest co do zasady zaliczana do szczególnie cenionych wartości, były dopiero w załączku. Pominano przykłady dowodzące, że kolorowi potrafią pracować nadzwyczaj wydajnie i z zapałem. Tak na przykład mieszkańcy Wysp Trobrianda na zachodnim Pacyfiku, ciemnoskórzy i *par excellence* „dzicy” – z pobudek wyłącznie ambicjonalnych, rywalizując o laury przodujących ogrodników – wytwarzali dwa razy więcej żywności, niż potrzebowano na archipelagu³³⁰. Biali odrzucali też z reguły wyjaśnienie sprawy najbardziej oczywiste, choć niewygodne – że lenistwo jest obroną przed wyzyskiem i pracą niekiedy półniewolniczą.

Polscy plantatorzy akurat w kwestii lenistwa „Murzynów” mogliby mieć niemało do powiedzenia. Już w XV wieku anonimowy autor *Satyry na leniwych chłopów* skarżył się wszak na kmieci, którzy: „Gdy dzień panu robić mają / Częstokroć odpoczywają”. Zagraniczni podróżnicy uważali polskich chłopów pańszczyźnianych – a gospodarka pańszczyźniana zakończyła się u nas dopiero parę lat przed startem „wyścigu o Afrykę” – za niewolników. Tak więc nasi koloniści, osiadając w swych afrykańskich folwarkach i dworach „z drewna, lecz podmurowanych”, mieli za sobą wielowiekowe staropolskie doświadczenie w „prowadzeniu” poddanych – częściej znacznie, jak wiadomo, z użyciem kija i „kuny” niż dobrego słowa. Tradycja ta – jako że „Murzynów” od stuleci uważano u nas za potomków Chama, jak chłopów – mogła nadać stosunkom na polskich plantacjach formułę uniwersalną, wykraczającą poza koncepty rasistowskie. Byłby to, gdyby którakolwiek z naszych zamorskich eskapad zakończyła się połowicznym choćby powodzeniem, oryginalny polski wkład w kolonializm. Inna rzecz, że niektórzy z obcokrajowców uważali, iż polska szlachta i chłopci to dwie odrębne rasy. Szlachcic, jak twierdził Hubert Vautrin, był bowiem „biały, rumiany, zwykle wysokiego wzrostu, o gładkiej skórze, fizjonomii łagodnej na przekór wąsom”³³¹. Chłop natomiast miał cerę brązową, prawie czarną od słońca, wzrost na ogół zaledwie średni, raczej niski, chód powolny, twarz wychudłą, oczy wpadnięte, unikające ludzkiego wzroku.

Również poziom cywilizacyjny i sposób życia „Murzynów” nie odbiegały zbytnio od polskiej rzeczywistości nawet już w czasach II RP i nie wymagały rasistowskich objaśnień. Afrykanin bowiem „posiada wszystko to, co nasz chłop na wschodzie,

odpowiednio oczywiście dostosowane do ciepłego klimatu. Poleszuk, gdy jest ciepło, nosi tylko koszulę i spodnie z płótna, a rzeczy chowa w skrzyni, jada łyżką ze wspólnej miski, oświetlał do niedawna chatę łuczywem lub olejem, a dziś marną lampą naftową. To samo czyni i murzyn”³³².

Niemaló cennego kapitału – doskonałej od pokoleń praktyki w rządzeniu ludem, która mogła procentować w ekspansji kolonialnej – przepadło w latach zaborów, gdy najwyższą racją stała się walka o odzyskanie niepodległości. Towarzyszyły jej romantyczne postulaty wolności i braterstwa wszystkich ludów, dążenia demokratyczne oraz mesjanistyczne przeświadczenie o szczególnym posłannictwie Polski jako Chrystusa Narodów, sprzeczne co do zasady z nowoczesnym kolonializmem. Pokutowały one w polskiej duszy jeszcze w drugiej połowie XIX wieku, gdy Europa szykowała się do ostatecznego „wyścigu o Afrykę”, i nadawały odrębny, swoisty rys pierwszym poczynaniom kolonialnym naszych rodaków.

Oto, kiedy Stefan Szolc-Rogozński i jego towarzysze po raz pierwszy ujrzeni z pokładu „Łucji Małgorzaty” brzegi Afryki – „starając się w umyśle przebić zasłonę przyszłości” – próbowali odgadnąć, co ich na nich czeka. Nade wszystko niepokoiło ich pytanie, czy czarni mieszkańcy Czarnego Lądu rozumieją, że trzej Polacy przybywają jako biali ich bracia, ożywieni najlepszymi chęciami. „Czy pojmą, że jesteśmy tu dla poznania krain dotąd niedostępnych dla Europejczyka [...] dla wniesienia w nie chociażby promyka oświaty i złagodzenia dzikich obyczajów?”³³³. Choć nie tracili z oczu głównego zadania ekspedycji, czyli zdobycia dla Polski kolonii na skłonach gór kameruńskich, i byli na pozór bliscy tego celu, w ciągu dwóch lat trwania wyprawy nie mieli z krajowcami żadnego zatargu i ani razu nie musieli sięgać po broń. Ten budujący przykład stwarzał nadzieję, że Polacy – jako „inni biali”, synowie narodu uciskanego i obywatele państwa przez ponad sto lat podzielonego przez zaborców, niesplamionego handlem niewolnikami, wraz ze swą zamorską ekspansją mogą wnieść do stosunków kolonialnych pierwiastek humanistyczny, a zwłaszcza poszanowanie dla wolności i kultury ludów kolorowych.

„Rozbiory sprawiły, iż Polacy ujrzeni analogię pomiędzy sobą a Indianami, między losami ich państw i cywilizacji a zniknięciem szlacheckiej Rzeczypospolitej z politycznej mapy Europy. Wyrażając sympatie dla Inków czy Azteków, bohatersko broniących swej wolności przed Hiszpanami, tym samym formułowano sprawną cenzuralnie aprobatę dla uczestników narodowych powstań”³³⁴ – wyjaśniał Janusz Tazbir. Polityka państw zaborczych na ziemiach polskich, na poły kolonialna, owe

sympatie do ludów podbitych – oraz sprzeciw wobec najbardziej gorszących form rasizmu – umacniała i podtrzymywała. Antoni Rehman, botanik i geograf, zasłużony badacz Afryki Południowej, dokąd podróżował w latach 1875–1880, z wielkim uznaniem opisywał Zulusów, zwanych wówczas Kaframami, walczących o swą wolność z Burami i Anglikami – ich dumę, niezależność, nieugięty charakter, wzorową budowę ciała, staranny i schludny ubiór, przemyślaną gospodarkę, towarzyskie usposobienie, grzeczność w kontaktach z innymi i stosunek rodziców do dzieci, którzy „mógłby służyć za wzór najbardziej cywilizowanym narodom”. Przyznając, że „na najniższym stopniu rozwoju tak pod względem fizycznym, jako i społecznym stoją niezaprzeczenie Buszmani”, lwowski uczyony ganił angielskich misjonarzy, którzy wątpili, czy Buszmen jest rzeczywiście człowiekiem, i przypuszczali, że wypadałoby go raczej uważać za formę przejściową pomiędzy zwierzętami i ludźmi. Ze swej strony chwalił Buszmenów za ich „zamiłowanie do wolności” i „przywiązanie do ziemi ojczystej”³³⁵.

Polscy podróżnicy, z wyjątkiem właśnie Rehmana, rzadko ośmielali się krytykować podziwianych powszechnie Anglików. Potępiali natomiast Niemców za ich bezwzględność i radykalny rasizm, uzasadniany coraz częściej „naukowo” i wykorzystywany również do dyskryminacji polskiej ludności Wielkopolski i Śląska³³⁶. Ostatecznie to jednak sankcjonująca rasizm i kolonializm nauka – biologia, antropologia fizyczna i kulturowa oraz tryumfujący ewolucjonizm – a także pozytywistyczna wiara w postęp cywilizacyjny wzięła w Polsce górę nad staromodnymi tradycjami i sentymentami romantycznymi. Zmiana dokonała się prawdopodobnie w ciągu około dwudziestu lat, między podróżami Rehmana a afrykańską wyprawą Sienkiewicza w 1890 roku. Przed I wojną światową potrzeba i konieczność kolonializmu była już w Polsce oczywista, a ludy kolorowe kojarzono z przesympatycznym, lecz ewidentnie zapóźnionym w rozwoju kulturowym i moralnym Kalim.

W nowej roli obywateli kraju dążącego śladami innych mocarstw do podbojów kolonialnych Polacy odnaleźli się, jak się zdaje, nad podziw dobrze. Znamienne, że choć wielu prominentnych działaczy kolonialnych wywodziło się z Legionów, ostatni, zwycięski etap zbrojnej walki o niepodległość nie ożywił dawnych wizji powszechnego braterstwa uciskanych. Mieczysław Lepecki i Apoloniusz Zarychta niemal od razu po zrzuceniu siwych strzeleckich mundurów wyruszyli w świat na poszukiwanie kolonii.

Pamięć o „innych” białych zachowała się natomiast o dziwo tu i ówdzie na świecie. W Kamerunie i na Haiti wiadomości o nich przekazywano z pokolenia na pokolenie. W czasach rozkwitu LMiK dawno przebrzmiałe hasła powróciły nikłym echem zza mórz nad Wisłę i w następstwie różnych osobliwych okoliczności przyczyniły się do zainicjowania najzuchwalszego z polskich przedsięwzięć kolonialnych, „akcji liberyjskiej”.

Koncepcja polskiego kolonializmu z ludzką twarzą zupełnie się w dwudziestoleciu nie sprawdziła. Szybko się okazało, że Polacy przybywający do krajów kolonialnych utożsamiali się bardziej niż gdziekolwiek indziej – jako że dopiero wśród kolorowych odkrywamy tak naprawdę kolor swojej skóry – z białymi oraz europejską kulturą i rolą Europejczyków w koloniach. Uświadamiali sobie swą „białość”³³⁷ – i wysoko ją oceniali. Złudzeniem było przeświadczenie, że rządy Polaków w koloniach mogłyby być bardziej etyczne. „Biedne kraje nie mogły bowiem pozwolić sobie na względną sprawiedliwość w koloniach jak bogata Wielka Brytania. Przykład Hiszpanii i Portugalii świadczy, że Polska dołączyłaby do grona państw praktykujących tylko rabunkową gospodarkę, bezwzględną i mało efektywną, gdyż na inną nie byłoby jej stać”³³⁸. Próżno też szukać w przedwojennych gazetach i wydawnictwach jakichkolwiek analogii między rozbiorami Polski a panowaniem nad terenami, które nie tak dawno należały do miejscowych plemion, a wcześniej rozległych afrykańskich królestw. Według obowiązujących pojęć ziemie Afryki przed przybyciem białych były niczyje. Profesorostwo Hirschlerowie, którzy, ciekawi tajemników „czarnej duszy”, wdawali się w rozmowy ze swymi służącymi, pewnego razu głęboko się zdumieli, gdy usłyszeli od swego nieletniego boya, że właściwie nie rozumie on, czego biali panowie szukają na Czarnym Lądzie, skoro ich własne kraje są tak bogate. „My wolelibyśmy, żeby wrócili do swoich krajów, a nas zostawili samych w naszym kraju”³³⁹.

Rozdział IX. Generał w białym kasku

Od morza wiał silny porywisty wiatr. Na plażę w Gdyni-Orłowie po południu 16 lipca 1936 roku wybrali się tylko nieliczni, najwytrwalsi letnicy. Parę minut po drugiej przez huk fal przebił się warkot silnika samolotu. Od strony Sopotu nadlatywała na niewielkiej wysokości mała awionetka. Zbliżając się do Orłowa, pilot obniżył lot tak bardzo, jakby chciał wylądować na skrawku wolnej przestrzeni przy plaży. Samolot – sportowy RWD-9, jak spostrzegli liczni w owych czasach miłośnicy lotnictwa – skręcił jednak w stronę morza i lecąc tuż nad wodą, oddalał się od brzegu. Po paru chwilach nagle zawrócił, jakby zachwiał się w powietrzu i runął do morza. Dwaj dyżurujący na plaży ratownicy rzucili się do łodzi i po dziesięciu minutach dotarli do odległej o osiemset metrów awionetki, niemal całkowicie zanurzonej już w wodzie. Na głębokości paru metrów natrafili, nurkując, na wstrząsający widok – w kabinie szamotał się pilot, próbując uwolnić się z pasów bezpieczeństwa. Nie byli mu w stanie pomóc, bo drzwi były od środka zaryglowane. Poza nim nie dostrzegli w ciemnościach wraku nikogo. Wkrótce przybyły holowniki. Roztrzaskany samolot uniesiono nad wodę. I wtedy przez wybitą szybę wypadła do morza generalska czapka ze srebrnym wężym na otoku³⁴⁰. Tak w wodach Bałtyku zginął generał dywizji Gustaw Orlicz-Dreszer, współtwórca i prezes LMiK, główny architekt polskiej polityki kolonialnej.

Trzy kwadransy po katastrofie do portu w Gdyni wpłynął M/S „Piłsudski”, flagowy statek linii żeglugowych Gdynia-Ameryka, którym powróciła do kraju żona generała Olga Elwira. Jak powszechnie sądzono, generał – lecący z Grudziądza do Rumii – widząc transatlantyk zbliżający się do gdyńskiego Dworca Morskiego, chciał ją powitać, przelatując nad statkiem. Przyczyną wypadku, w którym zginęli także jego dwaj towarzysze, słynny sportsmen podpułkownik Stefan Loth i pilot kapitan Aleksander Łagiewski, był, jak ustalono, niespodziewany podmuch wiatru. Część lotników uważała, że pilot po prostu zawadził kołami o grzbiet fali, inni sądzili, że wcześniej doszło do awarii silnika. Orlicz-Dreszer nie odniósł na pozór żadnych widocznych obrażeń. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną jego zgonu był uraz mózgu.

Wraz ze śmiercią pierwszego prezesa LMiK zakończył się pierwszy, romantyczny rozdział polskiego fantomowego kolonializmu, któremu ton i koloryt nadawały dalekosiężne wizje generała: „Szeroka ekspansja gospodarcza: setki statków polskich płynących z polskimi towarami do dalekich portów zamorskich; sieć polskich magazynów, sklepów i faktoryj pokrywających wybrzeża afrykańskie i azjatyckie; polskie plantacje bawełny i innych surowców kolonialnych w Afryce i Ameryce; polskie składy handlowe i wielkie polskie firmy eksportowo-importowe w Stanach Zjednoczonych czy Argentynie...”. Wszystko to w intencjach Orlicz-Dreszera miało

służyć nie tylko do niszczenia przysłowiowej polskiej nędzy, do budowy ogólnego dobrobytu, lecz przede wszystkim do tępienia polskiego mazgajstwa i do przekucia w ogniu walk konkurencyjnych z najtęższymi narodami świata psychiki polskiej. Generał Orlicz-Dreszer marzył o nowym, pionierskim typie Polaka, zwycięzcy mórz i oceanów, moskitów i małaryj, śnił o Polaku budującym mosty, ujarzmiającym wodospady i wszędzie dźwigającym wysoko sztandar imienia polskiego. [...] uśmiech pobłażania, z jakim początkowo „poważna opinia” traktowała słowa „generała kawalerii” o kolonjach, ustępował [...] przeświadczeniu, że Polska kolonie otrzymać musi. Szkoda wielka, że zaszczyt zatknięcia bandery w pierwszej kolonii polskiej nie Orlicz-Dreszerowi przypadnie w udziale!³⁴¹

Do czasu objęcia przez Orlicz-Dreszera prezesury LMiK środowisko zwolenników polskiej polityki zamorskiej, zrzeszone w Związku Pionierów Kolonialnych – liczącym nie więcej niż sto osób – było w gruncie rzeczy czymś w rodzaju kółka miłośników kolonializmu. Działacze Ligi, do której „pionierzy” doszłusowali, nie przecuwaliby pewnie przyszłej jej siły i znaczenia. Co zresztą przyznawali: „idea kolonialna polska tliła się skromnie gdzieś na skraju naszego życia publicznego, wybuchnąwszy zaledwie parę razy – i to na krótko – nieco żywszym płomieniem”³⁴². Ów nieco żywszy płomień to zapewne w dodatku, według autora artykułu, inspirowane i popierane przez ZPK godne ubolewania i co najmniej nieudane akcje osadnicze w Peru i Angoli. Wraz z wyborem generała na prezesa Ligi w październiku 1930 roku zmieniono także nazwę organizacji – dotychczas Ligi Morskiej i Rzecznej. Rzeki, choćby wzorowo uregulowane i zagospodarowane, nie mogły zapewnić Polsce statusu mocarstwowego. Zastąpiono je zatem koloniami.

Opinia publiczna przyjęcie przez Gustawa Orlicz-Dreszera funkcji prezesa organizacji mało znanej i niewiele znaczącej przyjęła z pewnym zdziwieniem. Sławny i zasłużony w bojach o niepodległość kawalerzysta należał do najszykowniejszych

i najpopularniejszych – oprócz Wieniawy-Długoszowskiego i Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza – generałów II RP. Owej popularności nie mogła umniejszyć nawet niechęć, którą – jako grzesznika, rozwodnika i innowiercę – darzyli go duchowni. Pełen energii, twardo broniący swego zdania, prostolinijny, utalentowany mówca i publicysta, do tego wysoki i przystojny – był silną indywidualnością. Co może ważniejsze, należał bez wątpienia do najściślejszej czołówki „obozu pomajowego”. Uważano go za najpoważniejszego konkurenta Rydza-Śmigłego do schedy po Marszałku. Czy wspomniany obóz już w 1930 roku planował zakrojone na wielką skalę przedsięwzięcia kolonialne? Raczej wątpliwe. Marszałek Piłsudski dla materii morskich, a zwłaszcza zamorskich miał bowiem niewiele zrozumienia. Przykład: w początkach dwudziestolecia jako Naczelnik Państwa, zwiedzając przylądek Rozewie, wyraził się o przyszłym porcie w Gdyni, którego plany właśnie powstawały, że byłby on czymś w rodzaju latarni morskiej w Pacanowie. Z czasem do morza w pewnym stopniu dał się przekonać. Egzotyczne projekty kolonialne natomiast lekceważył – wyznawał zachowawczy i zdroworoządkowy pogląd, że naturalnym terenem dla polskiej, skądinąd koniecznej kolonizacji są jego rodzinne, wciąż mało zaludnione Kresy Wschodnie. Pogląd Marszałka podzielał minister Beck, który głosił, że kolonie zaczynają się w Polsce zaraz za Rembertowem.

LMiK z tak prominentnym przedstawicielem władz jak Orlicz-Dreszer na czele była w tych okolicznościach prawdopodobnie optymalnym rozwiązaniem. Rząd oddawał Lidze ryzykowną i drażliwą z natury rzecz politykę zamorską w swego rodzaju ajencję, co chroniło go od wikłania się w incydenty dyplomatyczne, lecz pozwalało kontrolować pionierów kolonialnych, wśród których znaczne, niepokojące wpływy miała też opozycja, przede wszystkim endecka. Z drugiej strony wysoko postawiony przywódca zapewniał organizacji nieocenione wsparcie władz, ale też zachowanie pewnej autonomii. Pomimo temperamentu kawalerzysty Orlicz-Dreszer był także wytrawnym i – gdy trzeba było – opanowanym politykiem. Unikał w przeciwieństwie do publicystów Ligi odmieniania we wszystkich przypadkach określenia „kolonia”. Trzymał się statutowego sformułowania, że LMiK dąży do „pozyskania terenów, celem zapewnienia narodowi polskiemu nieskrępowanej ekspansji ludzkiej i gospodarczej”. Wyśmiewał też tromtadrackie deklaracje o mocarstwowej randze II RP. Uważał, że do mocarstwowości jest jeszcze Polsce daleko. W ciągu lat prezesury generała Liga rozwinęła skrzydła i rosła jak na drożdżach. Jeszcze w 1932 roku miała niespełna trzydzieści tysięcy członków, a na początku

1937 roku – już ponad pół miliona. W niemałym stopniu była to zasługa samego prezesa, który w ciągu pierwszych trzech lat swej przerwanej tragicznie kadencji odwiedził setki miejscowości w kraju i ośrodków polskich za granicą; promował polskie morze, gospodarkę morską oraz ideę kolonialną. Jednak największe osiągnięcia miała tu państwowa administracja wszystkich szczebli. Na przykład wojewoda poznański Roger Raczyński instruował w czerwcu 1931 roku w specjalnym piśmie starostów i prezydentów miast: „zechce Pan Starosta zmontować oddział [LMiK] z zarządem opartym przede wszystkim na jednostkach ideowych społeczeństwa, [...] o ile z jednej strony konieczne jest zrzeszenie w LMiK jak najszerszych warstw społeczeństwa, to z drugiej skład organizacji, a nade wszystko jej kierownictwa musi nosić charakter bezwzględnie państwowo-twórczy”. Zapowiadał też dalsze instrukcje „zmierzające do zaszeregowania w LMiK wszystkich urzędów i instytucji państwowych, samorządowych i prywatnych”³⁴³.

Dzięki tak daleko idącej przychylności władz Liga mogła powiększać swe szeregi, mnożąc członków „zbiorowych” – „szkolnych” oraz zatrudnionych w ówczesnej budżetówce. W 1936 roku ta kategoria członkostwa wyraźnie już przeważała – na pięćset trzydzieści pięć tysięcy zrzeszonych aż sto trzydzieści sześć tysięcy należało do kół szkolnych. Dwa lata później stanowili oni już jedną trzecią z prawie dziewięciuset tysięcy członków. Był to spektakularny rezultat zawartej w 1935 roku umowy LMiK ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, na mocy której wszyscy członkowie ZNP stawali się członkami zespołowymi Ligi. Niemniej imponująco przedstawiał się stan zorganizowania w jednostkach Policji Państwowej – w Urzędzie Śledczym miasta Warszawy do LMiK należeli na przykład wszyscy funkcjonariusze i pracownicy: od nadkomisarza przez tajnych agentów do woźnych, łącznie prawie siedemset osób. Działania na polu morskim i kolonialnym popierali też masowo pocztowcy, strażacy zawodowi, pracownicy urzędów centralnych i wojewódzkich³⁴⁴. Wśród członków zwyczajnych i we władzach przeważały zgodnie z zaleceniami rządzących warstwy państwowotwórcze – urzędnicy, oficerowie wszystkich formacji mundurowych oraz patriotyczna większość nauczycielstwa. Liga chlubiła się, że w jej kołach kierowniczych zasiada aż sześciu generałów: oprócz Orlicz-Dreszera między innymi Mariusz Zaruski i jeden kontradmirał oraz wielu wyższych urzędników państwowych. Na prezesów zarządów okręgowych niemal z rozdzielniaka wybierano miejscowych wicewojewodów. Państwo ponosiło też część kosztów działalności organizacji. W 1930 roku przy dochodach w wysokości dwustu dwu-

dziestu siedmiu tysięcy złotych czterdzieści tysięcy stanowiły subwencje rządowe, dwanaście tysięcy „dotacje różne”, a trzynaście tysięcy zyski z prowadzenia hurtowni tytoniu w Rawiczu, czyli działalności objętej monopolem państwowym. Z czasem ciężar utrzymania organizacji wzięli na siebie jej członkowie. W 1938 roku, gdy wpływy osiągnęły okrągłe pięć milionów złotych (1,8 miliona stanowiły jednak w tej kwocie zapisywane na konto Ligi pieniądze ze zbiórek na Fundusz Obrony Morskiej i Fundusz Kolonialny), przyniosły one 2,9 miliona złotych³⁴⁵.

Połączenie pod jednym szyldem działalności „morskiej” i „kolonialnej” w tamtych czasach uchodziło za zrozumiałe i naturalne. W rzeczywistości w polskich realiach prowadziło nieuchronnie do swoistego rozdzielenia jaźni, na które LMiK cierpiała od chwili powstania. Prawdopodobnie z ówczesnej mocarstwowej perspektywy przypadłość ta nie rzucała się zbyt w oczy. Dziś jednak można ją łatwo dostrzec choćby podczas lektury prasy i wydawnictw ligowych. LMiK wydawała oprócz swego sztandarowego organu „Morze” między innymi miesięcznik „Polska na Morzu” w dwóch wersjach – „A” dla ludności robotniczo-chłopskiej w imponującym nakładzie trzystu tysięcy i „B” dla gimnazjalistów – oraz czasopismo dla studentów „Szkwał”. Artykuły i relacje poświęcone gospodarce morskiej, rozwojowi floty i portów, rybołówstwu czy wyprawom żeglarskim są na ogół rzeczowe i kompetentne, a nieodzowny wydźwięk propagandowy nie niweczy ich wiarygodności i wartości historycznej. Natomiast reportaże zamorskie, przedstawiające świat „dzikich” widziany spod okapu tropikalnego kasku, często zdumiewają anachronicznym ujęciem tematu i specyficzną kolonialną gorliwością. Ale ponieważ innych niemal nie było, czytano je pasjami. Znacznie mniej czytelników miała z pewnością publicystyka Ligi, jedynie słuszna i przewidywalna, a przy tym zwyczajnie nudna.

Uczestnicy wycieczek LMiK z odległych zakątków kraju, którzy po raz pierwszy widzieli morze, przywozili z sobą często do rodzinnych miejscowości jak relikwie butelki z morską wodą. Zimową porą opowieściom o dziwach Bałtyku nie było końca. Te sentymenty przekładały się na wzrost nieistniejącej nigdy wcześniej w Polsce „świadomości morskiej”. Liga, mogąc odwołać się do autentycznych osiągnięć kraju, jak budowa Gdyni czy nowoczesne transatlantyki GAL, stała się instytucją „umiejącą zmusić społeczeństwo polskie do myślenia o morzu w kategoriach polskiej racji stanu”³⁴⁶. Sprawdzał się też jej program „wychowania morskiego”, a w praktyce „wodnego”. Dzięki szkoleniom żeglarskim i kajakarskim, obozom letnim i spływom oraz propagowaniu wszelkich sportów wodnych i różnych form tu-

rystyki Lidze udało się zjednać młodzież. W kraju zaroilo się od wodniaków. Niektórzy wyruszyli na rzeki i morza Europy, a nawet na oceany. Osiągnięcia te okazały się trwałe i przyczyniły się do popularności żeglarstwa i kajakarstwa także po II wojnie światowej.

Odwrotną stroną owego medalu były starania kolonialne LMiK, o których niemal całkowicie zapomniano. Trud włożony przez działaczy i nauczycieli w organizację setek odczytów, konkursów i wystaw szkolnych poszedł na marne. Choć przecież według specjalnego poradnika dla szkół to właśnie dział kolonialny był „najbardziej ponętny dziś dla młodego pokolenia, niespokojnego o brak kolonij polskich”, a reprezentować go miały „oryginalne eksponaty polskich podróżników: broń, narzędzia pracy, instrumenty muzyczne, ozdoby, wyroby i przedmioty przemysłu ludów kolonialnych, skóry zwierząt i żmij, owady i motyle, rośliny kolonialne, owoce itp.”³⁴⁷. Najprawdopodobniej autor przecenił atrakcyjność żmijowych skór w oczach młodzieży, a przede wszystkim jej niepokój o nieistniejące kolonie. Nie sposób dziś ustalić, jak wielu z członków Ligi święcie pragnęło zdobyć kolonialnych. Oficjalny zapał manifestowany na przykład na gromadzących tysiące uczestników wiecach i pochodach podczas organizowanych od 1936 roku Dni Kolonialnych nie jest tu wiarygodną wskazówką. Wiara, że dzięki koloniom kraj wydobędzie się z nędzy, z pewnością nie była powszechna. Idea kolonialna mogła podobać się zapewne ubogim mieszkańcom wsi widzącym swą jedyną życiową szansę w emigracji, ale Liga, gdy idzie o konkrety, nic w gruncie rzeczy nie była w stanie im zaoferować. O koloniach – zwłaszcza o pracy w administracji kolonialnej – marzyła część uczącej się młodzieży, która nie bez podstaw obawiała się, że w kraju zabraknie dla niej posad. Walka o kolonie warta była zachodu także w oczach sporej liczby ziemian. Masowa emigracja biedoty wiejskiej mogła bowiem oddalić widmo radykalnej reformy rolnej. Niektóre najbardziej dynamiczne jednostki nosiły się z kolei z zamiarem osiedlenia się w tropikach, gdzie można by – uprawiając na folwarcznych gruntach kawę czy bawełnę i polując na lwy oraz nosorożce – wśród „czarnej czeladzi” wieść wzorem przodków staropolskie życie. Pionierem był tu Michał Zamoyski, który w liście do ojca podkreślał, że Angola to „doskonały teren dla naszej wiary polskiej”, i planował „ściągać swoich na sąsiadów i stworzyć małą, ale mocną kolonię polską z swoich ludzi, zrzeszoną w Związek samopomocy i rolnej”. Kolonia dzieliłaby się maszynami rolniczymi i stałaby się „przyszłym ośrodkiem »czarnej« reakcji narodu Polskiego” – pisał dalej hrabia, nieco ironizując –

który ratowałby szlachetniejszych Polaków „od tej zgnilizny moralnej, dając im tutaj pole do pracy na łonie natury”³⁴⁸.

Żadnych zamiarów kolonialnych nie mieli natomiast przedsiębiorcy. Ani wielkie spółki akcyjne, ani małe firmy rodzinne konsekwentnie nie dostrzegały bajecznych korzyści, jakie teoretycznie mogły dać im zamorskie inwestycje w handel czy przemysł. Ta uderzająca rezerwa ze strony krajowych podmiotów gospodarczych, którym Liga pragnęła przecież zapewnić tanie surowce z przyszłych kolonii, nie niepokoiła, zdaje się, działaczy ligowych, choć musieli wiedzieć, że bez udziału rodzimego kapitału polityka zamorska utknie na mieliźnie. Pionierzy kolonialni obracali się najwyraźniej w kręgu własnych tylko konceptów i wyobrażeń, w swoim towarzystwie. Było ono już w pierwszych latach istnienia Ligi głęboko podzielone. Większość działaczy pierwsze doświadczenia na egzotycznym gruncie zdobywała wśród polskich emigrantów w Brazylii. Pewna ich część była właściwie organizatorami życia emigracyjnego, którzy za główne zadanie uważali opiekę nad wychodźcami i umacnianie ich w polskość i wierze. Wpływowy publicysta doktor Załęcki tę „defetystyczną, chroniącą się za płaszczyk międzynarodowego humanitaryzmu” postawę stanowczo potępiał, opowiadając się za orientacją jednoczącą „tych, co szli z wiarą w Naród, żądając [...] ekspansji sił narodowych dla wywalczenia mocarstwowego stanowiska Polsce i należytego miejsca rasie polskiej”³⁴⁹. Miejsca tego poszukiwano przede wszystkim w Afryce, gdzie stanowisko mocarstwowe mogło się zrealizować jego zdaniem modelowo w postaci kolonii, protektoratu lub mandatu. Wkrótce jednak przekonano się, że osadzenie na Czarnym Lądzie ubogich mas chłopskich lub bezrobotnej ludności miejskiej z uwagi na klimat i koszty nie wchodzi w rachubę. Dla ekspansji osadniczej pozostawała zatem, jak w czasach gorączki brazylijskiej, Ameryka Południowa.

Pierwszą większą inicjatywę kolonizacyjną w Brazylii w okresie dwudziestolecia podjął kapitał prywatny – Towarzystwo Kolonizacyjne finansowane przez ziemian wschodniogalicyskich, podobnie jak Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny, wstawiony nad Ukajali. Inspirowali ją jednak i popierali pionierzy kolonialni, którzy mieli już wówczas za sobą autorytet rosnącej w siłę LMiK. Kolonia Águia Branca – Orzeł Biały w położonym na północ od Rio gorącym stanie Espírito Santo – w lasach dziewiczych oznaczonych na mapach jako *terras desconhecidas* [ziemie nieznanne] – powstała na terenach liczącej pięćdziesiąt tysięcy hektarów koncesji, którą władze stanowe przyznały Towarzystwu. Według warunków koncesji na jej

terenach miało osiedlić w sumie 1,8 tysięcy rodzin chłopskich. Kiedy jesienią 1930 roku do kolonii zajechał na mule wszędobyłski Mieczysław Lepecki, mieszkało w niej już prawie pięćset osób, w tym wielu Kurpiów, którzy „chwycili głodnymi ziemi rękami siekiery i rozpoczęli bój o swoją przyszłość. [...] Chłopy cięły las, aż drzazgi leciały, a pot oczy zalewał. I jeszcze na jednym krańcu działki stukały siekiery, gdy z drugiego wznosiły się słupy dymów, zwiastuny ognia pożerającego hardą selwę, zwaloną teraz i bezsilną”³⁵⁰. Opuszczając osadę, kapitan obejrzał się za siebie: „Słońce i zieleń stroiły to osiedle w jakieś czarodziejskie ułudne barwy. W jego promieniach rozległa poręba z czerniejącymi, osmalonymi przez ogień kłodami drzew wydała mi się »polem zapasów rycerskich«, »udeptaną ziemią«, na której twarde plemię ludzkie wyzwalało dżunglę”³⁵¹. W owym czasie, jak przyznawał, wydawało mu się, że wszyscy rodacy w tej głuszy przybyli tu z własnej chęci. Dopiero po paru dziesiątkach lat, już jako uznany w Polsce Ludowej literat, dostrzegł, że bardzo się mylił. W rzeczywistości do zmagania się z selwą pod palącym równikowym słońcem zmusiła ich – jak sobie uświadomił – „sabotowana reforma rolna, która nie potrafiła odjąć nadmiaru ziemi obszarnikom”³⁵². Odkrył także, że założyciele kolonii chcieli na wypadek zmian w kraju albo odpadnięcia ziem ukraińskich zabezpieczyć sobie spokojne siedziby w Brazylii, a konkretnie planowali wykroić sobie z otrzymanych na potrzeby chłopskich osadników pięćdziesięciu tysięcy hektarów „kilkanaście przyzwoitych folwarków”³⁵³. Rewelacje te podsumował autor pryncypialnie i nazwał kolonizację Águia Branca „działalnością szczurów przeczuwających w Polsce nowy ustrój”³⁵⁴.

Tajne te projekty nie wpływały jakoś na pomyślny rozwój kolonii. Zarząd założył szkołę, sklep udzielający kredytu, laboratorium chemiczne oraz sprowadził lekarza i księdza. Potem nadeszła klęska – dwa lata suszy i katastrofalne nieurodzaje. Z braku zapasów, zbóż, bydła i pieniędzy kolonistom zajrzała w oczy nędza gorsza jeszcze niż podczas najcięższych przednówek na Kurpiach.

W 1932 roku lub zimą 1933 roku do pałacu Brühla zaczęły docierać depeche z konsulatu w Rio de Janeiro ostrzegające, że osadnikom w Águia Branca zagraża głód. Brzmiały z każdym tygodniem coraz bardziej dramatycznie. „Tu chodziło o ratowanie setek istnień ludzkich”³⁵⁵ – podkreślał we wspomnieniach dyrektor Departamentu Konsularnego MSZ Wiktor Tomir Drymmer. Zarówno Towarzystwo Kolonizacyjne, jak i LMiK mimo wezwań i monitów żadnych prób ratowania osadników nie podjęły. Wobec czego dyrektor Drymmer sięgnął po niezawodne i szeroko sto-

sowane w tamtych latach rozwiązanie: wysłał do Brazylii zawodowego oficera i zamieszkanego rolnika, znajomego kapitana korpusu geografów Feliksa Kopczyńskiego. Delegatowi MSZ udało się opanować sytuację i przeprowadzić sanację kolonii. Po paru latach osadnicy stanęli na nogi dzięki uprawie kawy i bawełny. Água Branca przetrwała, choć część osadników przeniosła się wcześniej do Parany, oszczędzając mocarstwowej i kolonialnej Polsce kolejnej kompromitacji.

Do następnej, trzeciej po Peru i Espirito Santo, tym razem w pełni już firmowanej przez Ligę kampanii osadniczej w Ameryce Południowej przywiązywano w naszych kołach kolonialnych wielką wagę. Jej powodzenie miał zapewnić emerytowany generał Stefan Strzemiński, którego mianowano delegatem LMiK w Brazylii. Zgodnie z przyjętą w programie ligowym zasadą „koncentracji żywołu narodowego” nowa fala osadników miała zasilić szeregi polskiej emigracji w Paranie. Wcześniej niepowodzenia wynikały bowiem z tego – tłumaczył Michał Pankiewicz – że rzucano emigranta w kraje nowe, nieznane, gdzie przybysz z Polski „nie mógł znaleźć oparcia [...] i gdzie łatwo wskutek zmniejszonej odporności psychicznej, cechującej społeczeństwa europejskie po wojnie światowej, ulegał załamaniu się”³⁵⁶.

Generał Strzemiński przybył do Kurytyby w kwietniu 1933 roku i nie tracił czasu. Podczas jednego z pierwszych wyjazdów rekonesansowych pokazano mu porzuconą w dżungli budowę linii kolejowej z Guarapuavy do Riozinho. Generał w lot zrozumiał, że trafia się okazja połączenia nowych kolonii polskich, jakie miały powstać w Środkowej Paranie, z okolicami Kurytyby. W zamian za ukończenie budowy linii rząd stanowy zgodził się przyznać Lidze w pobliżu nowej kolei aż dwa miliony hektarów ziemi pod osadnictwo oraz prawo do eksploatacji inwestycji przez sześćdziesiąt lat. MSZ zaakceptowało ten śmiały plan, dzięki któremu – jak obliczali ligowi eksperci – do Parany mogło wyemigrować w przyszłości nawet około dwustu tysięcy małorolnych. Wrzawa wokół „wielkiego projektu” ucichła równie szybko, jak wybuchła. Nie było najmniejszych widoków na zgromadzenie w kraju jedenastu milionów złotych potrzebnych na tę inwestycję. Generałowi pozostał więc w zanadrzu plan „mały”, a biorąc pod uwagę kolosalne ambicje Ligi, bardzo mały.

Uwagę zwrócono na tereny dawnego opustoszałego rezerwatu indiańskiego nad rzeką Ivahy, między Apucaraną a Cândido de Abreu, w części zasiedlone już wcześniej przez polskich osadników. LMiK kupiła tam dziewięć tysięcy hektarów selwy i erygowała wzorcową w zamysłach, a nawet eksperymentalną kolonię, której nadano nazwę „Morska Wola”. Do końca 1936 roku wytyczono dwieście osiem-

dziesiąt sześć działek rolnych o powierzchni dziesięciu akrów (dwadzieścia pięć hektarów) każda i sześćdziesięciu dwóch parceli „miejskich” po sześć tysięcy metrów kwadratowych. Na przybywających kolonistów czekały już domy oraz na każdej działce hektar oczyszczonego i wypalonego gruntu, gdzie od razu mogli przystąpić do uprawy kukurydzy i fasoli. Wytyczono drogi, wybudowano biuro dla administracji, szkołę oraz założono farmę doświadczalną, gdzie koloniści mogli dostać nasiona selekcyjne, drób zarodowy czy świnie rasowe. Pomimo wszystkich tych atutów i wydatków w wysokości prawie pół miliona złotych – do „Morskiej Woli” sprowadzono nawet potężnego rasowego buhaja³⁵⁷ – sztandarowa kolonia Ligi cieszyła się bardzo umiarkowanym zainteresowaniem emigrantów. Na początku 1938 roku, gdy jej kolonizacja miała być już zakończona, jeszcze połowa działek stała odłogiem³⁵⁸. Emigranci omijali kolonię LMiK między innymi dlatego, że mieli w Paranie sporo innych, często ciekawszych możliwości. Osiedlali się bowiem w brazylijskich koloniach rządowych, w osadzie Nowa Wola założonej przez parańskich Polaków lub na terenach potężnej angielskiej spółki „Parana Plantations”, gdzie obok czeskiej kolonii „Nowa Vlast” powstawała polska osada.

Za mistrzów kolonizacji uchodzili w Brazylii Japończycy. Liczna ich grupa osiedliła się na przykład pod São Paulo na gruntach dawnych plantacji kawy, kompletnie wyjałowionych i – jak uważano – bezwartościowych. Przybysze potrafili jednak oszacować koszty i korzyści, które wynikały z sąsiedztwa z wielkim miastem. Zabraли się do uprawy kartofli, sypiąc na pola ogromne ilości nawozów sztucznych. Założyli również kooperatywę – pobudowali własne magazyny, do których swoimi autami dowozili ziemniaki, które później bezpośrednio sprzedawali chętnym. W ten sposób licząca trzysta rodzin kolonia Cotia – choć Japończycy nie reklamowali jej jako wzorcowej – stała się wielką fabryką kartofli, nieprodukującą poza nimi niczego więcej i zapewniającą bardzo dostatni byt osadnikom japońskim. „Każdy z nich ma własne auto, a częstokroć i dwa (osobowe i ciężarowe), a w mieszkaniu przynajmniej jedną szafę z książkami” – zdumiewał się sprawozdawca „Morza”³⁵⁹. Po piętnastu latach od chwili, gdy Japończycy pojawili się w Brazylii, dorównywali już liczbowo Polonii.

„Morska Wola”, położona w głębi tropikalnego boru, z dala od miast, dróg i kolei, nie bardzo nadawała się nie tylko na pokazową, lecz nawet przeciętnie prosperującą kolonię rolną. W dodatku sporo osadników po prostu ją porzuciło, aby szukać szczęścia gdzie indziej. Dalekie od wzorcowych były także stosunki międzyludz-

kie, zwłaszcza między osadnikami a różnej konduity administratorami delegowanymi przez Ligę. Jeden z nich był tak skłócony z kolonistami, że nie ruszał się z domu bez dwóch rewolwerów, a w zagrodzie trzymał pół tuzina złych psów³⁶⁰.

Generała Strzemińskiego, jak przystało na wojskowego, cywile z zasady nudzili. Rady, ostrzeżenia i narzekania nie tylko działaczy parańskich, lecz także pracowników konsulatu w Kurytybie, zbywał milczeniem. Działał wyłącznie wedle swojej woli, rozumu i rozeznania, które często go jednak zawodziły. Przede wszystkim, zdaje się, nie dostrzegał, jak głęboki jest cień, który na Brazylię i dzieło kolonizacji rzucała postać generała Getúlio Vargasa. Vargas, urodzony autokrata, objął władzę poprzez zamach stanu w 1930 roku. Potem od 1934 roku stał na czele państwa jako legalnie wybrany prezydent, lecz wkrótce, zniechęcony do krępującej władzę demokracji, dokonał w 1937 roku kolejnego zamachu i objął rządy dyktatorskie. Przyświecała mu idea, by z ogromnej, niesłuchanej zróżnicowanej swej ojczyzny, pełnej różnych elementów – jego zdaniem – niepewnych, rozłamowych, anarchicznych, liberalnych lub rewolucyjnych, z kraju niedostatecznego patriotyzmu uczynić nowoczesne, możliwie centralizowane państwo narodowe. Jednym z pierwszych jego kroków było spacyfikowanie społeczności imigranckich, które nie chciały się asymilować. W przestrzeni publicznej, od salonów Rio po chaty kabokli w Amazonii, zatryumfowało uniwersalne hasło w miejscowej odmianie „Brazylia dla Brazylian”.

Nie da się ukryć, że były ku temu oprócz nacjonalistycznego wzmożenia także pewne zrozumiałe powody. W szczególności postawa Niemców brazylijskich daleka była od obywatelskich standardów – po dojściu Hitlera do władzy urządzali, zwłaszcza w stanie St. Catarina, gdzie od dawna dominowali, pochody w hitlerowskich mundurach i coraz głośniej domagali się uznania za mniejszość narodową z prawami do co najmniej autonomii. Również Włosi zgłaszali coraz bardziej wojownicze roszczenia. W porównaniu z Niemcami i Włochami Polacy nie okazywali w zasadzie politycznych ambicji, zadowolając się na ogół rozwijaniem szkolnictwa polskiego i kultury oraz pielęgnując tradycję, wiarę i sentymentalne związki z matczyną. Jednak los zorganizowanej Polonii był już przesądzony – Getúlio Vargas chciał Brazylię tylko dla Brazylijczyków. Na odcinku polskim sprawę ułatwiła mu LMiK. W przeciwieństwie bowiem do miejscowych Polaków ściągani do Parany emisariusze Ligi, instruktorzy i działacze okazywali Brazylijczykom poczucie wyższości kulturalnej i na każdym kroku demonstrowali swoje mocarstwowe i kolonial-

ne ambicje. W dodatku wielu z nich było zawodowymi wojskowymi, urlopowanymi lub delegowanymi za granicę. Generalska ranga Strzemińskiego i oficerska kadra jego placówki w połączeniu z samą nazwą Ligi, organizacji „kolonialnej”, nie mogła nie drażnić Brazylijczyków, nawet tych, którym z Vargasem było zdecydowanie nie po drodze. Nie zbiło to jednak z tropu delegata Ligi. Sugestie MSZ, by odwołać go do Warszawy, LMiK długo lekceważyła. Zdecydowano się na to dopiero, gdy w kraju zaczęto rozpowiadać, że generał, nie szczędząc kosztów, organizuje sobie i swej świcie kolonialne eskapady, wyprawiając się w brazylijski interior całymi karawanami samochodów, z bronią, namiotami i służbą. Późniejszy raport wywiadu potwierdził, że „trwoni on pieniądze publiczne w sposób co najmniej lekkomyślny”. Jednocześnie postanowiono o zaniechaniu bezpośredniej i szeroko reklamowanej akcji kolonizacyjnej LMiK³⁶¹. Do tego czasu przy nikłych postępach owej akcji przedstawicielom Ligi udało się dzięki propagandowemu tupetowi i gadulstwu napsuć wiele krwi brazylijskim gospodarzom.

Ale też krajowym działaczom kolonialnym. Już w marcu 1934 roku kurytybski dziennik „Correio do Paran” ostrzegał bowiem, że Strzemiński powzi „makabryczny i zuchway” plan podziau Brazylii i utworzenia nowego pastwa polskiego z „dostpem do morza”³⁶². A plan taki, cho nie zakadano w nim zawadnienia wybrzeem Atlantyku, rzeczywicie dojrzewa. Jedn z pasji dziaaczy kolonialnych byo ukadanie planw koncentracji skupisk polskich w krajach zamorskich, w praktyce w Ameryce aciskiej, tak by mogy w chwili sposobnej „wybi się na autonomi”. Czec owych dziaaczy twierdzia, że wzmacniac naley kolonie w Paranie. Wikszoci jednak bardziej przypad do gustu nowatorski projekt, by pionierw kierowac na pogranicze brazylijsko-argentynsko-paragwajskie³⁶³. Chodzio o poudniowo-zachodnie kresy Parany oraz sasiadujce z nimi od poudnia z granic na Iguazu argentynskie terytorium Misiones, pooone na lewym brzegu Parany i wciskajce sie midzy Paragwaj na prawym jej brzegu oraz Brazyli, a take pograniczne tereny samego Paragwaju. Ju w 1926, a potem znw w 1935 roku dotar do Misiones Lepecki. Skarzc sie na czerwon tutejsz glin, ktora w postaci tumanw drobniotkiego miau „przenika do samego wntra czowieka”, podkresa, że ruda, yzna gleba stepowa w szczegolnoci nadaje sie na plantacje yerba mate. Dzieki nim kilkuset Polakw i Rusinw z Galicji Wschodniej, mieszkajcych w osadzie Apostoles, szybko sie dorabiao. Pewna liczba polskich emigrantw osiada te w pooonym nad Paran paragwajskim miasteczku Encarnacin.

Koncepcję ściągnięcia polskich imigrantów z kraju, a także z zagranicy w pobliże wodospadów Iguazú poparło MSZ. W 1935 roku dyrektor Drymmer osobiście zaproponował stworzenie „gigantycznego i zjednoczonego kompleksu polskich osad”, który będzie się znajdował w pobliżu „wielkiego centrum elektrowni wodnych” i nadgranicznego miasta Foz do Iguaçu, kluczowego w tym regionie ośrodka handlowego. Plan przewidywał, że Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze (MTO), czyli powołana właśnie do życia (w 1936 roku) kontrolowana przez państwo spółka akcyjna, osadzi tam w pierwszej połowie 1937 roku na czterech tysiącach kilometrów kwadratowych dwanaście tysięcy rodzin, czyli czterdzieści tysięcy kolonistów z Polski. Na koszty ich transportu oraz między innymi utworzenie laboratoriów rolniczych przeznaczono w budżecie MSZ na okres dziesięciu lat niebagatelną sumę sześciu i pół miliona dolarów³⁶⁴.

MTO zabrało się do rzeczy znacznie przezorniej niż generał Strzemiński. Ziemię dla polskich osadników kupowały w imieniu Towarzystwa zarejestrowane w Ameryce Południowej spółki zależne. W Paranie Companhia Colonizadora e Mercantil Paranaense nabyła bez rozgłosu w pobliżu trójstyku granic sześćset czterdzieści kilometrów kwadratowych. Na gruntach tych założono kolonie Jagoda i Nowa Wola. Tę ostatnią po paru latach sprzedano. Natomiast w Jagodzie (od imienia młodszej córki marszałka Piłsudskiego) osadnikom wiodło się znośnie. W kolonii powstał tartak, uruchomiono zasilaną energią elektryczną przetwórnice ryżu, chowano sto świń, uprawiano kukurydzę. Osadnicy mieli drogi, sklep i aptekę. Jednak jak na zaczątek przyszłego „gigantycznego polskiego kompleksu” Jagoda przedstawiała się bardzo skromnie – zaledwie dwadzieścia pięć rodzin i niewiele ponad stu mieszkańców w 1939 roku³⁶⁵. Tylko trochę bardziej obiecująco rokowała polska ekspansja w Misiones, gdzie Compañía Colonizadora del Norte kupiła dla MTO pięćset czterdzieści kilometrów kwadratowych nad Górną Paraną. Powstały tam kolonia Wanda oraz osada Gobernador Lanusse. Wandzie, nazwanej tak na cześć starszej córki Marszałka, wiodło się, podobnie jak w Jagodzie, lepiej niż sąsiedniej kolonii, co zapewne należy przypisać szczególniejszej z powodu nazwy uwadze rządu. Koloniści z powodzeniem uprawiali tytoń oraz nowatorską odmianę orzechów, wykorzystywaną jako surowiec do produkcji olejów przemysłowych. I tu jednak, w obu koloniach, nie było w sumie więcej niż pół tysiąca ludzi³⁶⁶.

W Paragwaju MTO wybrało na swego przedstawiciela miejscową firmę – La Colonizadora Fram – która na ośmiuset kilometrach kwadratowych, przy linii kolej-

wej łączącej miasta Encarnación i Asunción, założyła kolonię Fram. W ulotce skierowanej do potencjalnych kolonistów w Polsce reklamowano jej dogodne położenie i wspaniały klimat – z temperaturami latem nieprzekraczającymi trzydziestu pięciu stopni Celsjusza, a zimą niespadającymi poniżej zera – oraz doskonałe warunki dla rolnictwa i zachęcające perspektywy rozwoju przemysłu, zwłaszcza produkcji tekstyliów i przecieru pomidorowego³⁶⁷. Najciekawsze jednak było to, że ulotkę kolportowano nie tylko z myślą o „etnicznych” Polakach, lecz także innych obywatelach II RP. Wynikało to z jednej strony z względnie pragmatycznego w porównaniu z Ligą nastawienia pałacu Brühla i MTO do celów kolonizacji; w przypadku „trójstyku” liczone na korzyści gospodarcze bardziej nawet niż na umacnianie polskości. Z drugiej zaś, na pozór całkiem odmiennej strony, przedsięwzięcia w regionie Iguazú miały wyjść naprzeciw zgłaszanym coraz bardziej stanowczo postulatami, aby mniejszości narodowe – w szczególności Żydzi – wyjechały z Polski. Rachuby te – ekonomiczne i „narodowe” – wzmacniało to, że w tym atrakcyjnym regionie mieszkali wywodzący się z terenów polskich ludzie z obcymi paszportami, którzy mimo niekoniecznie słowiańskiego pochodzenia mogli być – jak pisali nasi dyplomaci – „potencjalnie przyswajalni do polskiej kultury”. Ujmując rzecz wprost, tereny Paragwaju u zbiegu Iguazú i Parany mogły być w zamysłach pałacu Brühla miejscem emigracji Żydów i Ukraińców³⁶⁸. Ostatecznie w ciągu czterech lat poprzedzających wybuch II wojny światowej na 2,7 tysiąca kilometrów należących do MTO ulokowano niespełna półtora tysiąca osadników.

Plany osadzenia „żywołu polskiego” u zbiegu Parany i Iguazú pod hasłem „kolonii dla Polski”, choć wdrażane na symboliczną raczej skalę, nie uszły, rzecz jasna, uwadze Brazylijczyków. Podejrzenie, że Polacy, podobnie jak Niemcy i Włosi, chcą sobie wykroić z terytoriów brazylijskich kolonię, mocno zaważyło na relacjach polsko-brazylijskich. Ale i bez tego epizodu tamtejsza Polonia stałaby się z pewnością ofiarą autorytarnej i nacjonalistycznej polityki ówczesnych władz w Rio de Janeiro. Dekretem z 18 kwietnia 1938 roku zabroniono w Brazylii wydawania prasy w obcych językach oraz nakazano zamknięcie obcojęzycznych szkół i stowarzyszeń utrzymywanych przez cudzoziemców. Tak zakończyła się pięcioletnia misja LMiK w Paranie. Tym razem, w cieniu dyktatorskich poczynań Getúlio Vargasa, porażka naszych kolonialistów przeszła niemal niezauważona.

W grudniu 1938 roku ostatni przedstawiciel i likwidator interesów Ligi w Kurytybie Stanisław Lenartowicz alarmował jej zarząd, że jest nieustannie śledzony przez

„tutejszą defensywę”, czyli prawdopodobnie kontrwywiad wojskowy. Licząc się z aresztowaniem i natychmiastową deportacją albo więzieniem, zawiadamił rząd, że kasę, inwentarz i archiwum przeniósł do konsulatu, zatrzymując tylko klucze. Informował, że jego ewentualny następca będzie mógł przejąć dokumenty, rachunki i pieniądze po wyłamaniu zamków w walizce i kasetce. Ostrzegał też, że szpiedzy brazylijscy w Warszawie mają dostęp do informacji z obrad i zebrań Ligi oraz jej archiwum³⁶⁹.

Rozdział X. Wilki w owczej skórze

W obszernej jak na Monrowię sali tłoczy się tłum podenerwowanych gości otaczających wolny krąg pośrodku. Tonące w półmroku wnętrze przepełniają ciężkie orientalne aromaty i zapach ludzkiego potu. Muzykanci wybijają rytm, uderzając palcami w kawałki drewna, bębny i blaszanki po benzynie. Nagle na środek kręgu wbiega mężczyzna z pustym workiem z rafii w rękę – to czarownik. Narzuca worek na siebie i po chwili ukazuje się w diabelskiej masce, trzymając w rękę żywą kurę, która najwyraźniej pojawiła się z zaświatów.

Księżę Masaqoy, władca kilkuset wiosek na północy Liberii, utrzymujący kilkudziesięciu szamanów, którzy pomagają mu rządzić poddanymi, zaprosił na pokaz ich magicznej mocy korpus dyplomatyczny *in corpore*, ministrów i wszystkich chyba znaczniejszych mieszkańców stolicy. Wśród gości jest też Janusz Makarczyk, podróżnik i pisarz, współpracownik MSZ, szef polskiej delegacji, który właśnie podpisał z rządem liberyjskim przełomową dla obu stron umowę o współpracy.

Rytm bębnow nagle przyspiesza. Czarownik zaczyna wzywać diabła. I oto diabeł jest! Widzą go w każdym razie czarnoskórzy widzowie. Szaman jednym cięciem obcina kurze głowę, a po chwili, sięgnąwszy do worka, znów trzyma w rękę żywego, gdaczącego ptaka. „Mało brakowało, a i ja bym zobaczył diabła!” – przyznaje delegat LMiK. Dopiero po chwili uwalnia się od afrykańskich uroków, stwierdzając z uznaniem, że gdy idzie o sztukę iluzji, liberyjscy czarodzieje reprezentują wysoki poziom. Jednak misja, jaką powierzył Makarczykowi zarząd LMiK w imieniu całego społeczeństwa – zdobycie pierwszej posiadłości zamorskiej dla Polski – przedstawia się jako zadanie nie mniej trudne, a może i trudniejsze niż wyciągnięcie z pustego worka żywej kury.

Jeszcze przed zakończeniem magicznego spektaklu księżę Masaqoy – przywódca plemion z głębi lądu, najpoważniejszy przeciwnik polityczny rządu w stolicy Liberii, uważany za pretendenta do tronu – zaprosił polskiego gościa na spacer. Nad Monrowią wisiał jak co dnia straszliwy wilgotny upał. Milcząc, doszli na brzeg oceanu. „Pan wie, że umowa, jaką Liberia zawarła z Polską, jest pierwszą umową zawartą na zasadzie równości stron?” – upewnił się księżę i uśmiechając się, dodał: „Ambasadorzy mocarstw kolonialnych tak długo będą intrygować w Warszawie, aż

ta umowa będzie przez was zerwana. Tu już intrygują. Liberia, choć mała i słaba, przez sam fakt swojego istnienia przeszkadza kolonizatorom, bo udowadnia, że Murzyni mogą rządzić się sami. Źle się rządzą, ale w koloniach te rządy nie są lepsze”. „A gdyby księżę rządził?” – zapytał Makarczyk. „Starałbym się o większą samodzielność, ale też byłoby... to samo. Zmiana rządu, prawdziwa zmiana, może nastąpić tylko ze zmianą ustroju. Słowem, tylko rewolucja społeczna mogłaby coś zmienić”. Delegat Ligi nie potrafił ukryć zaskoczenia, słysząc tak wywrotową deklarację w ustach wielkiego afrykańskiego feudała. „Ależ księżę, rewolucja nie byłaby chyba w interesie księcia!” – zawołał prawie. Masaqoy, bywały w Europie, w latach 1922–1930 konsul liberyjski w Niemczech, przymrużył swawolnie oko i wyjaśnił: „Dlatego utrzymuję czarowników”. Szef polskiej delegacji uśmiechnął się. Zawsze lubił jasne stawianie sprawy. „Mając do wyboru perfidię lub cynizm, z dwojga złego wolę już cynizm” – przyznał w duchu³⁷⁰.

Ta pouczająca wymiana zdań na pustej nadatlantyckiej plaży mogła w zamiarach księcia Masaqoy służyć jedynie przybliżeniu gościowi z dalekiego kraju specyficznych problemów Liberii. Lecz nie trzeba wielkiej przenikliwości, by dostrzec w niej również bardzo konkretne treści: pierwsze zarysy przyszłego wspólnego projektu. Oto delegat Ligi, nie owijając zbytnio w bawelnę, pyta afrykańskiego dostojnika, jak wyobraża sobie swoje rządy w Liberii. To, rzecz jasna, oferta, choć na razie w niezobowiązującym, przypuszczającym trybie. I uzyskuje odpowiedź wskazującą, że księżę jako władca kraju objętego specjalnym patronatem Rzeczypospolitej Polskiej byłby właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Wkrótce po powrocie wysłanników Ligi do kraju minister Beck uczestniczył w Genewie w posiedzeniu Ligi Narodów, na którym odczytywano dla notyfikacji zawarte ostatnio umowy międzynarodowe. I usłyszał tam, nie dowierzając własnym uszom, że umowę taką zawarły właśnie „la Sérénissime Republika Liberyjska” i „la Sérénissime Liga Morska i Kolonialna”. „Czego tam nie było, wzajemna wymiana konsulatów, dóbr kulturalnych, lekarzy, osuszanie błot” – opowiadał, śmiejąc się, ale nie ukrywając też irytacji, szefowi Biura Personalnego i dyrektorowi Departamentu Konsularnego Wiktorowi Tomirowi Drymmerowi³⁷¹. Najwyraźniej, komentował po wojnie Drymmer, w Liberii sądzono, że LMiK to jakieś państwo europejskie.

Prawdę mówiąc, cała ta historia wygląda na zmyśloną, być może z powodu jakichś bliżej nieznanym historycznych rozliczeń w kręgu dawnego MSZ czy LMiK.

Jest niemal nieprawdopodobne, aby Beck i jeden z jego najbliższych współpracowników nie byli informowani na bieżąco – choć istotnie negocjacje w Monrowii miały charakter poufny – o tak doniosłych poczynaniach pionierów kolonialnych. Zwłaszcza że o umowie handlowej z Liberią, zwanej czasem dla większego splendoru paktem Simpson-Makarczyk (Clarenzo Simpson był liberyjskim sekretarzem stanu), ćwierkały już wróble na dachu pałacu Brühla, a wkrótce miała o niej plotkować cała Warszawa i Polska. Chyba bardziej prawdopodobne, że minister i jego podwładny udawali nawzajem przed sobą – i niewykluczone, że przed jakimiś osobami postronnymi – że nic im o nowych inicjatywach Ligi w Afryce nie wiadomo. Nie mogło bowiem powstać najmniejsze podejrzenie, że istnieje jakikolwiek związek kolejnej eskapady Ligi – i jak się po paru latach okazało, kolejnej porażki – z rządem Rzeczypospolitej. W rzeczywistości MSZ, jak dowodzą dokumenty³⁷², nie tylko wiedziało, lecz także akceptowało plany Ligi i czynnie je wspierało.

W grze o Liberię strony grały od początku znaczącymi kartami. W pierwszym rozdaniu Polska otrzymała od Liberyjczyków mocne atuty. Polakom obiecano przede wszystkim wydzierżawienie gruntu pod pięćdziesiąt plantacji, przy czym plantatorom przyznano prawo wymieniać polskich towarów przemysłowych na surowce pozyskiwane w danej okolicy. Ponadto zezwalało polskim przedsiębiorstwom na utworzenie w porcie strefy wolnocłowej, zorganizowanie żeglugi kabotażowej wraz z kluczowym wobec braku dróg prawem wpływania w rzeki oraz przyznawano prawo do poszukiwań geologicznych, w tym złota i diamentów. Klucz do Liberii stanowiło jednak nie złoto, lecz owe plantacje, które, jak spodziewano się w Monrowii i w polskich kołach gospodarczych, miały pełnić przede wszystkim funkcję sklepów wymiennych i hurtowni. Pomysł, by założyć je pod szyldem plantacji, dawał umawiającym się stronom szansę na rozwinięcie i zmonopolizowanie handlu wewnątrz kraju pomimo obowiązującego w interiorze bezwzględного zakazu handlowania przez obcokrajowców. Inaczej kupcy angielscy i francuscy, mogący działać tylko na wybrzeżu atlantyckim, domagaliby się podobnych praw na mocy klauzuli najwyższego uprzywilejowania³⁷³. Dzięki umowie handel wymienny miał być rozliczany według cen hurtowych w kraju eksportera – polscy importerzy mieli płacić za kawę czterdzieści procent mniej niż w Brazylii, kakao wypadało tańiej o czterdzieści siedem procent, a kauczuk o dwadzieścia trzy procent.

Pomimo tych zachęcających perspektyw rezultaty misji LMiK w Monrowii entuzjaści polskiej kolonialnej przyjęli kwaśno i wypominali delegatom Ligi, że zawiera-

jąc z „krajem murzyńskim” zwykłą, a raczej w stosunkach afrykańskich niezwykłą, bo na równych prawach stron opartą umowę handlową, Rzeczpospolita naraziła swój prestiż na szwank. W sferach urzędowych uważano, że z krajami takimi jak Liberia państwo o randze mocarstwowej może rozmawiać z pozycji co najmniej *in spe* protektora. Szczególne rozgoryczenie wykazywali domniemani kandydaci na przyszłego gubernatora, których w samej Warszawie ujawniło się już kilku, oraz ich krewni i znajomi, szykujący się do szerzenia cywilizacji na Czarnym Lądzie i rządu „dzikimi”. „Miano do mnie również pretensje, że nie uzyskałem baz dla naszych łodzi podwodnych”³⁷⁴ – wspominał z rozżaleniem Makarczyk, współpracownik MSZ, podróżnik i pisarz.

Pogłoski, że pierwszą naszą kolonią może być właśnie Liberia, wywołała w kraju konsternację. „O tej niepodległej republice murzyńskiej wiemy, jak mówią Murzyni, »bardzo za bardzo nic«” – jak to celnie ujął Janusz Makarczyk w swej książce napisanej po powrocie z liberyjskiej misji³⁷⁵. Był to kraj leżący na uboczu świata i Afryki, na marginesie cywilizacji, a nawet kolonialnej polityki mocarstw.

Stolica kraju, Monrowia, powstała w połowie XIX wieku według amerykańskich projektów, a jej skromne co prawda gmachy publiczne i jedyny hotel – przy szerokich ulicach z ubitej czerwonej ziemi lub zarastających trawą, przecinających się pod kątem prostym – wzniesli budowniczowie z Ameryki. W latach, gdy przybyli do Liberii polscy koloniści, zdawała się tkwić w odwiecznej jakiejś abnegacji i tropikalnej martwocie. Wiele z murowanych budynków z czasów założenia miasta obróciło się w ruinę, na przedmieściach wyrosły kolonie ohydnych baraków z falistej blachy. Miejskowa elektrownia działała przez trzy godziny na dobę, zasilając nieliczne w mieście lampy elektryczne światłem słabym i niepewnym. Policjant na głównym skrzyżowaniu czekał godzinę czy dwie w słonecznym skwarze na samochód, którego ruchem mógłby pokierować. Nie była natomiast Monrowia miastem sennym. W dzień i noc słychać było fokstroty i tanga z amerykańskich płyt odtwarzanych na niezliczonych gramofonach, wystawianych przez właścicieli przed progi domów. Z tym muzycznym jazgotem łączyło się przypominające o chrześcijańskich obowiązkach bicie dzwonów z paru dziesiątków świątyń dwudziestu dwóch różnych wyznań, kościołów i sekt, głównie protestanckich³⁷⁶. To szczególne nasilenie kultów religijnych w miasteczku liczącym około dwunastu tysięcy mieszkańców stanowiło spuściznę z czasów, gdy Liberia pojawiła się na mapach Afryki. Otóż powodowani uczuciami chrześcijańskimi amerykańscy abolicjoniści uznali, że uwalnia-

nym niewolnikom należy ułatwić powrót do ziemi przodków i pomóc im urządzić tam nowe, godne życie. W latach dwudziestych XIX wieku staraniem Amerykańskiego Towarzystwa Kolonizacyjnego zakupiono na wybrzeżu Afryki Zachodniej opodal ujścia rzeki Świętego Pawła czternaście tysięcy kilometrów kwadratowych gruntów pod przyszłą Liberię.

Niepodległość nowego państwa, które początkowo znajdowało się pod patronatem amerykańskim, ogłoszono w 1847 roku, Stany Zjednoczone uznały jego suwerenność podczas wojny secesyjnej. W Republice Liberyjskiej przyjęto konstytucję wzorowaną na amerykańskiej. A także amerykańską flagę, choć miała ona w swej wersji afrykańskiej tylko jedną gwiazdkę. Demokracja liberyjska znacznie wyprzedzała ówczesną Europę. W Monrowii „pierwszy lepszy Murzyn” mógł poklepać swego prezydenta po ramieniu lub nawet „położyć brudne, bose nogi na jego biurku”³⁷⁷, zaś biurokracja w europejskim stylu była tam nieznaną. Ale dzień ogłoszenia niepodległości witało w Monrowii niewiele ponad dwa tysiące czarnych przybyszów z Ameryki. Z czasem liczba potomków niewolników amerykańskich wzrosła do piętnastu–dwudziestu tysięcy, nigdy jednak nie przekroczyła trzech–pięciu procent ogółu ludności kraju. Afroamerykanie – mówiący o sobie z dumą *freeborn of colored gentlemen* i należący do jedynej legalnej Partii Prawdziwych Wigów – rządili Liberią i setkami tysięcy swoich miejscowych pobratymców twardą ręką. Niemal od początku istnienia państwa dochodziło regularnie do buntów miejscowych plemion przeciwko rządowi w Monrowii, które, w razie konieczności z pomocą floty amerykańskiej, tłumiono z całą surowością.

Pomimo swych licznych ułomności ustrojowych i anachronizmów politycznych, biedy, cywilizacyjnego zacofania oraz systemowej dyskryminacji większości ludności Liberia zachowała swój najcenniejszy atrybut: formalną suwerenność. Republika była obok Etiopii i Związku Południowej Afryki jednym z trzech państw afrykańskich należących do Ligi Narodów. Wcześniej, podczas I wojny światowej, należała też do ententy – podpis jej prezydenta widnieje pod traktatem wersalskim. Na jej terytorium doszło nawet do działań zbrojnych, oczywiście na niewielką skalę. Oto pewnego dnia w 1915 roku w pobliżu Monrowii pojawił się niemiecki okręt podwodny, który, aby poskromić „murzyńską butę”, ostrzelał z armaty nadbrzeżną stację łączności kablowej należącą do Francuzów. W wyniku kanonady zginął jeden z żołnierzy liberyjskich. Po wojnie przymierzano się w Liberii do ufundowania, jak w każdym kraju, mauzoleum nieznanego żołnierza. Niestety, okazało się to

z powodów zasadniczych niemożliwe. Wszyscy w Monrowii wiedzieli bowiem, jak nazywała się jedyna ofiara wojny, a wiele osób znało poległego osobiście.

Oprócz grobu nieznanego żołnierza w Liberii brakowało też wielu innych instytucji i urzędzeń publicznych uważanych na ogół za pożyteczne: kolei, lotnisk, portów oraz, z wyjątkiem stolicy, poczty, telefonów, telegrafu i elektryczności. Jedyna bita droga prowadząca w głąb kraju miała nieco ponad sto kilometrów długości. Do II wojny światowej nie istniała nawet w miarę dokładna mapa republiki. Miała natomiast Liberia według szacunków około stu tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni, niespełna milion mieszkańców oraz „jeden z najgorszych klimatów na świecie” – ściśle tropikalny, wilgotny, ze średnimi opadami rocznymi pięciokrotnie wyższymi (trzy tysiące sześćset milimetrów) niż w Warszawie. Wśród afrykańskich obieżyświatów zwano ją w związku z tym z respektem „grobem białego człowieka”.

Miała też Liberia rekordowo wysokie długi. Zaczęto je zaciągać jeszcze w XIX wieku w bankach amerykańskich. W rezultacie w latach dwudziestych XX wieku kraj znalazł się na krawędzi bankructwa. Kredyt w wysokości pięciu milionów udzielony w tym krytycznym okresie przez National City Bank of New York za wstawiennictwem koncernu oponiarskiego Firestone, który w zamian uzyskał koncesję na założenie wielkiej plantacji kauczukowców, umożliwił kolejną restrukturyzację zadłużenia i nieco poprawił stan budżetu. W rezultacie jednak ostatecznie uzależnił wolną „republikę murzyńską” od kapitału amerykańskiego i Stanów Zjednoczonych. W dodatku od 1932 roku zaczęły się mnożyć oskarżenia, że najwyższe władze kraju wykorzystują pracę przymusową „dzikich” współobywateli, a nawet trudnią się handlem ludźmi, sprzedając robotników portugalskim plantatorom z Fernando Po. Jednocześnie w kasie państwowej po dwóch latach po otrzymaniu kredytu znów ukazało się dno. W rezultacie na forum Ligi Narodów pojawiła się „sprawa liberyjska”. Na jej sprawozdawcę wyznaczono Polskę jako kraj, którego mocarstwa nie podejrzewały o ambicje kolonialne i zamiary wykorzystania okazji do realizowania własnych interesów. To błędne przekonanie miało pociągnąć za sobą nieoczekiwane konsekwencje.

Jak słusznie sądziła od dawna większość Liberyjczyków, ich kraj był dla państw kolonialnych solą w oku, a także kością niezgody. Wcielenie go do imperium angielskiego czy francuskiego naruszyłoby równowagę między mocarstwami w Afryce. Poza tym spowodowałoby nieprzyjazną i gwałtowną, być może, reakcję Stanów Zjednoczonych. Liga Narodów po długich deliberacjach i naradach uznała zatem,

że Liberię jako kraj finansowo i moralnie upadły należy przekształcić w rodzaj wspólnego ligowego protektoratu. Planowano między innymi podzielić państwo na trzy prowincje i kilkanaście okręgów zarządzanych wspólnie przez krajowców i zagranicznych ekspertów, poddać Skarb Państwa nadzorowi mocarstw, a nawet złożyć państwową władzę wykonawczą w ręce delegata Ligi. Projekty te, jako jawnie godzące w jej niepodległość, Liberia odrzuciła.

Wkrótce jednak pojawiła się koncepcja kompromisowa i bezsprzecznie oryginalna: sojuszu Liberii z Polską. Aliansu ekonomicznego, po części także politycznego oraz, co wyszło na jaw dopiero z czasem, wojskowego. Jej autorem był Leon Sajous, Haitańczyk, dentysta z praktyką w Paryżu, redaktor czasopisma „La Révue du Monde Noir”, organu ruchu „Négritude” afirmującego kulturę czarnych, wytrawny negocjator i polityk. Był też zwolennikiem współdziałania państw rządzonych przez czarnoskórych. Jako obywatelowi Haiti, znanego w polskiej historii jako San Domingo, którego ciemnoskóra ludność w początkach XIX wieku wybiła się na niepodległość, miał o Polsce jakieś takie pojęcie; większe niż ogół polityków nie tylko afrykańskich, lecz także europejskich. A nawet, jak zapewniała polska prasa³⁷⁸, pewien sentyment wobec kraju, skąd pochodzili przodkowie – żołnierze Legii, którzy pożenili się z mieszkankami wyspy – niemałej liczby Haitańczyków.

Jesienią 1933 roku doktor Sajous wyruszył do Polski. Oglądając z okna pociągu zbliżającego się do Warszawy chaty kryte słomą, nędzne miasteczka, błotniste drogi, szachownicę pustych pól, nad którymi snuły się niskie chmury – widoki tak różne od znanej mu Francji – umacniał się w przekonaniu, że jego dalekowzroczny plan jest słuszny, a może okazać się zbawienny. Na pierwszy rzut oka było jasne, że ten szary, mglisty kraj na krańcach Europy rozpaczliwie potrzebuje tanich surowców. Jednocześnie nie odznaczał się on żadnymi dostrzegalnymi znamionami mocarstwa kolonialnego. Ponadto liberyjski emisariusz chciał, jak się zdaje, wierzyć, że Polska, która odzyskała niedawno niepodległość, potrafi uszanować i docenić dążenia Liberii do zachowania wolności oraz uchronić ją od „ośmiornicowego uścisku”, jaki czekałby „czarną republikę” w razie realizacji planów Ligi Narodów³⁷⁹. Co więcej, pomny, że część legionistów przeszła na Haiti na stronę powstańców, miał nadzieję, że Polacy, wciąż wierni swym demokratycznym i buntowniczym ideałom, a w szczególności wezwaniu „za wolność naszą i waszą”, pomogą Liberii oprzeć się imperializmowi, głównie amerykańskiemu.

Nie był w tym odosobniony. Echa XIX-wiecznych polskich powstań wciąż, jak się okazało, budziły w epoce kolonialnej pewien oddźwięk wśród elit narodów podbitych lub uzależnionych. Parę miesięcy po zawarciu umowy między rządem liberyjskim a LMiK „The Daily Guardian”, gazeta z Freetown w Sierra Leone, opublikowała artykuł, w którym wspomniano z satysfakcją, że choć Liberia jest potępiana w Lidze Narodów, to jednak co najmniej jedno ze światowych mocarstw „wychodzi jej naprzeciw i obiecuje jej moralne wsparcie w Genewie i pomoc finansową w zamian za pewne koncesje”³⁸⁰. W kraju o szczególnych oczekiwaniach Liberii wobec Polski pisano rzadko i bez entuzjazmu. W marcu 1937 roku „Ilustrowany Kurier Codzienny” zamieścił jednak artykuł, w którym przytoczono zadziwiającą opinię pewnego senatora z francuskiej Guadalupe. Otóż Achille René-Boisneuf twierdził, że „zmartwychwstanie” Polski po rozbiorach napawa Afrykanów nadzieją na wyzwolenie ich kontynentu. „Czarni spodziewają się znaleźć w Polsce dalekiego, ale potężnego opiekuna z głosem w Lidze Narodów i zawsze gotowego do obrony uciśnionych” – miał dowodzić senator. Edward Ligocki, autor artykułu, przekonywał ze swej strony, że Polska była gotowa zaproponować nadrzędne, moralne rozwiązania „problemu kolonialnego”, a mianowicie stworzenie „przyjaznych protektoratów kolonialnych”³⁸¹.

W Warszawie w pełni doceniono szanse, jakie stwarzały oferty liberyjskie dla naszej polityki kolonialnej, ale sugestie, że Polska mogłaby wcielić się przy tej okazji w chlubną rolę „Chrystusa Narodów”, wzbudzać musiały ambiwalentne uczucia. W radykalnym scenariuszu oznaczało to, że Polacy powinni stanąć na czele rewolucji antykolonialnej nie tylko w Liberii, lecz także w innych krajach Afryki, a może i na całym świecie. Nie była to perspektywa zbyt pociągająca. Zarówno działacze kolonialni, jak i władza państwowa, i wielu zwykłych obywateli pragnęli, by II RP stała się pełnoprawnym mocarstwem kolonialnym opartym na przekonaniu o supremacji białej rasy i solidnym ogniwem realnego ładu światowego, a nie jego burzycielem. Niemniej jednak w pałacu Brühla sądzono, że deklaracje o poszanowaniu aspiracji wolnościowych, a także interesów gospodarczych ludów kolorowych mogą stać się kartą przetargową w staraniach o kolonie. Nie chodziło, rzecz jasna, o sponsorowanie jakichś dążeń wywrotowych, lecz o udzielenie przyjaznej protekcji krajom formalnie niepodległym, lecz zagrożonym przez mocarstwa, takim jak Liberia, Haiti czy Abisynia. Dla tej koncepcji Piotr Puchalski, jeden z dzisiejszych badaczy, ukuł nazwę „kolonializm prometejski”³⁸² – przez analogię do „ruchu pro-

metejskiego”, politycznie i materialnie wspierającego narody ujarzmione przez Rosję bolszewicką.

Dzięki wizycie doktora Sajousa rok 1934 przyniósł, jakkolwiek głównie na papierze, szalony rozwój stosunków polsko-liberyjskich. Po podpisaniu wiosną umowy handlowej w Monrowii w lecie major Mieczysław Fularski uzgodnił z doktorem Sajousem w Paryżu zasady poszukiwania i eksploatacji liberyjskiego złota i innych cennych kruszców. Miały one aż w sześćdziesięciu procentach przypadać Polakom. We wrześniu zaś przybył do Warszawy sekretarz Simpson, by podpisać dodatkowy tajny protokół do umowy z Monrowii, nazywanej już zresztą „traktatem przyjaźni”. Aneks uprawniał LMiK między innymi do przejęcia kontroli nad stosunkami Liberii z firmą Firestone i uregulowania z nią kwestii liberyjskiej pożyczki, a także między innymi do eksploatawania terenów pod lotniska. O postanowieniach aneksu krążyły różne fantastyczne pogłoski, z których niektóre okazały się prawdziwe. Tak więc Polsce powierzono zorganizowanie wojskowej ochrony granic Liberii, które dotąd w praktyce w ogóle nie były kontrolowane, co pozbawiało kraj znacznej części dochodów z ceł. Szczególnie dotkliwy dla chudego budżetu państwa był przemyt nielegalnie wydobywanego złota, w czym specjalizowali się Holendrzy. Ponadto uzgodniono, że zostanie sformowany batalion liberyjskiego wojska, którego kadre będą szkolić polscy oficerowie. Inne tajne postanowienie dawało Polsce w razie wybuchu wojny w Europie prawo do zwerbowania stu tysięcy Liberyjczyków i wcielenia ich w szeregi wojska polskiego. W Monrowii powstać zaś miał Bank Emisyjny z kapitałem założycielskim stu tysięcy złotych³⁸³. Wizytę sekretarza Simpsona uświetnił raut z udziałem samego marszałka Piłsudskiego. Gość z Afryki nie domyślał się z pewnością, że na biurko jego gospodarza, ministra Becka, trafił właśnie w połowie września dokument, w którym przewidywano – jako cel wspólnego tajnego przedsięwzięcia MSZ, Ligi i wywiadu wojskowego – „opanowanie całkowitej władzy w Liberii z zachowaniem formalnej suwerenności tego kraju”³⁸⁴.

Na razie, jak można było mniemać, został przygotowany grunt pod owocną współpracę. Na barkach kilkunastu Polaków, którzy z ramienia LMiK krócej lub dłużej mieszkali w Liberii w latach 1934–1938 – w większości, nie ma co ukrywać, agentów wywiadu – spoczęło brzemie odpowiedzialności za lepszą przyszłość Rzeczypospolitej. Po współpracy politycznej i gospodarczej z Polakami sporo obiecywali sobie także Liberyjczycy. Ich nadzieja, że dzięki krajowi, który nie splamił się podbojami kolonialnymi, mogą choć w części uwolnić się od fatalnego uzależnienia

od Stanów Zjednoczonych, stanowiła poważny kapitał. „W pierwszym okresie [...] patrzono na nas w Liberii jako na jakichś innych »białych«, którzy z Murzynami chcą postępować na stopie równości. Dawało to nam kolosalny kredyt i zaufanie”³⁸⁵ – twierdził Makarczyk. Należało teraz umowy oraz aneksy jawne i tajne wypełnić żywą treścią. Dalekosiężne plany – obejmujące między innymi budowę kolei, dróg, portu w Monrowii, kopalń rud metali ze szczególnym naciskiem na złoto, otwarcie stałej linii żeglugowej Gdynia–Monrowia oraz połączenia lotniczego z Warszawy przez Dakar – miały zostać urzeczywistnione, jak fantazjowali działacze Ligi, dzięki polskiemu kapitałowi i przedsiębiorczym polskim jednostkom. Na początek trzeba było zająć się jednak codziennym życiem kolonialnym. Prozaicznym zakładaniem faktorii handlowych i plantacji, budową łuszczarni i palarni kawy oraz przede wszystkim – handlem. Przykład miała dać tu sama LMiK.

Amerykańscy fundatorzy pierwszej republiki afrykańskiej w XIX wieku kupili od miejscowych władców szmat ziemi pod Monrowię za sześć muszkietów, beczkę prochu, drugą paciorków, sześć prętów żelaznych, dwie paczki tytoniu, dwanaście łyżek, widelców i noży, paczkę gwoździ oraz pewną ilość galanterii i tkanin. W latach, gdy w Liberii pojawili się Polacy, o tak korzystnych transakcjach mowy już być nie mogło. W głębi afrykańskiej głuszy szklane paciorki i mosiężny drut nadal osiągały jeszcze w miarę dobre ceny, ale na wybrzeżu między europejskimi przedsiębiorstwami kupieckimi trwała zacięta walka konkurencyjna. W Water Side, handlowej dzielnicy Monrowii, obok mnogości sklepików „murzyńskich” i hinduskich wznosiły się sąsiadujące ze sobą murowane lub betonowe gmachy domów towarowych i składów wielkich firm handlowych z Ameryki i Europy. Oprócz krajów kolonialnych założyli tu swe filie kupcy ze Szwajcarii i Czech. Wszystkie te placówki starały się mieć w sprzedaży towar możliwie najlepszy i najtańszy. Niemcy z firmy Woermanna, którzy w swoim czasie rzucali w Kamerunie kłody pod nogi Szolc-Rogosińskiego, sprzedawali swe produkty najwyższej na ogół jakości, o dziesięć–dwadzieścia procent taniej niż w Niemczech. Zresztą „wszyscy prześcigali się, by swej czarnej klienteli najlepiej dogodzić”³⁸⁶, a konkurentów przechytrzyć i utracić. O powstrzymanie Polaków, którzy pojawili się na rynku liberyjskim w 1935 roku na pokładzie statku s/s „Poznań” z ładowniami pełnymi towarów z polskich fabryk, zagraniczni konkurenci nie musieli się jednak zbyt martwić. Jak twierdził po latach Kamil Giżycki, jedna z najważniejszych postaci kolonialnej akcji liberyjskiej, organizatorzy i udziałowcy owego rejsu „utrącili się” sami³⁸⁷.

Jedyna w latach trzydziestych bita, „rządowa” droga w głębi kraju prowadziła ze stolicy w kierunku granicy z Gwineą Francuską. Profesorostwo Hirschlerowie podróżujący kupioną za pieniądze Ligi nową ciężarówką Syndykatu Polskiego podziwiali z kabiny ciągnące się po obu stronach traktu przepiękne lasy palmowe o gęstym poszyciu i pniach połączonych lianami, okrytych ogromnymi kwitnącymi storczykami i zielonymi parasolami nadrzewnych paproci. Po trzech godzinach jazdy po obu stronach drogi dostrzegli niewielkie drewniane tablice z napisem „Interior”. Ciężarówka mijała właśnie granicę między liczącym kilkadziesiąt kilometrów szerokości pasem nadbrzeżnym a wnętrzem kraju, do którego – jak podkreślał nie bez zadowolenia lwowski zoolog – „obywatele Rzeczypospolitej Polskiej, jako bezpieczni pod względem kolonialno-surowcowym, mają wstęp bez wszelkich trudności. Natomiast obywatele potężnych imperiów kolonialnych muszą się starać o specjalne zezwolenia na wjazd do tego tropikalnego sezamu”³⁸⁸. Interior liberyjski, ów „świat, przed oczyma wielu Europejczyków zakryty”, był nie tylko dla nich „zakryty”, ale co szczególnie bolesne, niedostępny dla jakiegokolwiek ich działalności handlowej. Ten wyjątkowy, nadzwyczajny przywilej przyznano Polakom.

Pierwszy polski sklep w liberyjskim interiorze – i jedyny w ogóle w głębi kraju – urządzono w „Nini-Bolomo”, wielkiej, krytej palmowymi liśćmi tubylczej chacie na plantacji Edwarda Januszewicza. W jej wnętrzu ustawiono ladę, wagi i półki prawie wyłącznie polskimi towarami „dość obficie założone”, obok z godną miną urzędował kasjer zapisujący wpływy kasowe kopiowym ołówkiem, dalej, oddzielony przepierzeniem, mieścił się magazyn. Furorę wśród miejscowych elegantek robiły w Nini-Bolomo tekstylia łódzkie – pod względem deseni i koloru utrzymane w guście „murzyńskim”, ładne, choć krzykliwe – oraz również z Łodzi pochodzące ozdoby, jak na przykład gustowne bransolety na nogę. Kontrowersje wzbudziły natomiast niebieskie emaliowane naczynia blaszane z jednym uchem, które w liczbie aż pięciuset przywiózł do Afryki statek „Poznań”. Używane w interiorze jako garnki do gotowania, w Monrowii reklamowano zgodnie z istotnym ich przeznaczeniem jako nocniki. W obu przypadkach w oczach wielu potencjalnych klientów dyskwalifikował je brak pokrywki. Obiecano dostać je później.

Wysłanie na rekonesans do portów Afryki Zachodniej statku z krajowymi towarami jeszcze w owym 1934 roku, który na fali paktu z Liberią miał się stać przełomową datą w polskiej ekspansji kolonialnej, było osobistą ambicją generała Dreszera. Statek o pojemności dwóch tysięcy ton wycarterowała Liga od Żegluga Pol-

skiej. Należało jeszcze zapłacić go towarami. Jednakże „świat przemysłowy nie ujawnił zrozumienia dla zagadnienia ekspansji gospodarczej w Afryce, stawiając niejednokrotnie sprawę na płaszczyźnie normalnej transakcji handlowej, przy której chciał widzieć w Lidze stronę kupującą”³⁸⁹. Koła gospodarcze – jak przypuszczano, zdemoralizowane udzielanymi wówczas eksporterom subsydiami wywozowymi – zlekceważyły niepowtarzalną szansę promocji Polski oraz swych produktów w Afryce i z cen towarów dostarczanych na statek schodzić nie zamierzały. Ostatecznie ładownie „Poznania” udało się zapłacić dopiero pod koniec roku. W ostatnich dniach grudnia 1934 roku statek wypłynął z Gdyni w swój pionierski rejs. W połowie stycznia na trawersie Dakaru dostrzegły go okręty francuskie. Mocarstwa kolonialne reagowały alergicznie, gdy szło o interesy handlowe, nawet na takie na wpół amatorskie przedsięwzięcia jak rejs niewielkiego polskiego statku. Francuski gubernator generalny wysłał do wszystkich portów zachodnioafrykańskich alarmujący kablogram: „Polski pirat znajduje się na wodach afrykańskich! Nie wpuszczać go do portów, nie zawierać żadnych transakcji”³⁹⁰. Konkurenci rzeczywiście dali się we znaki kupcom z „Poznania”. Jak się wkrótce okazało, obawy i przestrogi francuskiego gubernatora były jednak zdecydowanie na wyrost. Polski duch pionierski szybko bowiem przygasł. Żaden inny statek handlowy pod białoczerwoną banderą przed II wojną światową w ten rejon świata już się nie zapuścił, jakkolwiek trzeba wspomnieć, że w drugiej połowie lat trzydziestych zawiązano w kraju spółkę „Zamorski Export–Import” do handlu z Afryką Zachodnią, która wysyłała tam akwizytorów. Jej udziałowcami były między innymi „Pluton”, „E. Wedel”, BGK, firma „Grzesiewicz” oraz zakłady włókiennicze Szajbler&Grohman³⁹¹.

„Poznań” zakotwiczył w Monrowii 19 stycznia 1934 roku, przywożąc wielki wybór najrozmaitszych dóbr z polskich fabryk: mydło, cement, tkaniny bawełniane, kołdry, chustki na głowę, bieliznę męską, żelazo handlowe, gwoździe, naczynia emaliowane, sól, cukier, cement, galanterię, konserwy. W Liberii towary te trafiły głównie do magazynów i sklepów Syndykatu Polskiego w Monrowii i Nini-Bolomo. Wielu czarnych klientów miało okazję po raz pierwszy nabyć polskie produkty, co wśród naszych kolonizatorów przyjęto nie tylko z kupiecką satysfakcją, lecz także z pewnym rozrzewnieniem. „Napelnia nas radością widok beretu polskiego na głowie czarnego lub garnek, w którym sobie strawę mieszkaniac buszu gotuje, [...] dzisiejsza praca Syndykatu jest tylko pewną próbą, która jednak wykazała, że tak samo dobrze, jeśli nie lepiej, może murzyn spać pod polskim kocem, chodzić w ko-

szuli polskiej, używać soli polskiej”³⁹². Jak twierdzono w relacjach z rejsu, fracht pozostawiony w Liberii rozprzedano w ciągu dwóch miesięcy, a pozostały ładunek, z wyjątkiem soli, ulokowano na rynkach Ghany, Sierra Leone, Togo i Nigerii. Wiosną „Poznań” powrócił do Gdyni z tysiącem sześciuset tonami orzeszków palmowych i ziarna kakaowego. Z czasem pojawiły się jednak pogłoski, że jego misja nie była tak wielkim sukcesem, jak ją na początku przedstawiano.

Dotyczy to na przykład cementu, który w Afryce sprzedawano wówczas w pięćdziesięciofuntowych – czyli o standardowej wadze przypadającej na jednego tragarza – workach papierowych z warstwą folii aluminiowej chroniącą przed zawilgoceniem. „Poznań” przywiózł go w dwustuczterdziestokilogramowych beczkach, których w kraju pozbawionym dróg nie dało się transportować. Przy próbie zaś ich otwarcia i przepakowania w afrykańskim klimacie cement, rzecz jasna, kamieniał. Spore było zainteresowanie polską solą do chwili, gdy dowiedziano się, że chodzi o sól w kawałkach, a w zachodniej Afryce używa się wyłącznie mielonej. Przywieziony zapas wylądował w drogo opłacanym magazynie, gdzie szczęśliwie już po dwóch latach większość soli rozpuściła się od wilgoci. Wspomniane niebieskie naczynia emaliowane wybrane – zgodnie z radami specjalistów z Instytutu Eksportowego, przekonanych, że w Afryce najlepiej schodzi tandeta – spośród braków produkcyjnych, z odpryskami emalii i plamami – sprzedano wprawdzie „w buszu”, lecz z poważną stratą. „Afryka to nie Kercelak, gdzie wszystko sprzedać można”³⁹³, – napominał z sarkazmem Giżycki.

Inna rzecz, że nasi pionierzy liberyjscy również na Kercelaku najprawdopodobniej wiele by nie zwojowali. Brakowało wśród nich kupców czy przedsiębiorców z prawdziwego zdarzenia, z doświadczeniem i talentem do interesów. Z drugiej strony Syndykat Polski, skąpo finansowany z kredytów bankowych zaciągniętych przez LMiK, nigdy nie miał wystarczających środków na inwestycje i rozwój. Już trzy lata po podpisaniu umowy z Simpsonem Janusz Makarczyk – który wkrótce po jej zawarciu rozstał się burzliwie z MSZ po kłótni z Drymmerem – wyjaśniał z rozczarowaniem, że „w inny sposób wyobrażał sobie kontynuację naszej pracy”. Jego zdaniem plantator powinien być przede wszystkim agentem organizacji handlowej, czyli monrowijskiego Syndykatu. Taki był zresztą główny cel umowy z Liberią. Pierwszy sklep i faktoria handlowa w „Nini-Bolomo”, do której ścigali ścieżkami przez dżunglę klienci z odległych nawet wiosek, pozostały jednak jedynymi takimi polskimi placówkami w głębi kraju. Pomimo że wyniki pierwszych transakcji

zapowiadały niesłychanie zyski – tak na przykład dwadzieścia tysięcy tanich bere-
tów z antenką, kupionych w kraju po czterdzieści groszy za sztukę, sprzedano
mieszkańcom tropików po cztery dolary³⁹⁴ – nie było najmniejszych widoków na
powstanie, jak przewidywała umowa, pięćdziesięciu faktorii przy plantacjach w in-
teriorze. A zorganizowanie w buszu tak potężnej organizacji handlowej – liczba
białych kupców w całej Liberii nie przekraczała zapewne dwustu osób – stanowiło-
by zasadniczy krok w gospodarczym opanowaniu kraju. Brakło ku temu nie tylko
środków, lecz także państwowotwórczej woli. W 1937 roku sprzedano w Liberii
polskie towary, głównie tekstylia i meble, za zaledwie dwadzieścia cztery tysiące
złotych. W roku następnym klienci liberyjscy mieli szansę nabyć po cenach promo-
cyjnych pierwszą i niestety ostatnią niewielką partię znakomitego piwa „Gro-
dzisk”. Sklep w Nini-Bolomo przetrwał zaledwie kilka miesięcy, podobnie jak repre-
zentacyjny butik z polskimi sukienkami w Monrowii. Nigdy też polskiego rynku nie
zasiliły zapowiadane wielkie dostawy taniej kawy, kakao i kauczuku z polskich
plantacji i faktorii. Jedyłą większą zrealizowaną i z różnych powodów godną
uwagi transakcją były zakupy przez Liberię polskiej broni – za 458 075 złotych, co
stanowiło około jedną piątą budżetu państwa.

Do gospodarzenia wzorem przodków na roli mieli Polacy, trzeba przyznać, wię-
cej serca niż do sprzedawania tubylcom emaliowanych nocników. Władze liberyj-
skie odmierzyły naszym kolonistom tysiąc siedemset hektarów dżungli w okolicach
wzgórz Wreppu, w pobliżu rządowego osiedla Wrepputown. Bezzwłocznie zabrano
się do pracy: „Robota kipi. Tu się tnie busz, tam się go pali, [...] zapracowane, lecz
radośnie uśmiechnięte, ogorzałe twarze naszych rodaków uwijających się między
rzeszami czarnych robotników stwarzają niezapomniany widok [...]. Entuzjazm
i energia nasza przelała się i na czarną brać, [...] początkowa nieufność, z jaką
zwykle czarni odnoszą się do białych, zupełnie zanikła, ustępując miejsca przekon-
naniu, że jednak ci biali niosą im dobro”³⁹⁵. Ów zapał osłabł znacznie, gdy planta-
torzy zasiedli do rachunków. Wynikało z nich, że na założenie dwudziestu hekta-
rów plantacji kakao potrzeba co najmniej czterdziestu tysięcy złotych, a LMiK obie-
cywała dofinansowanie w wysokości tylko dwudziestu tysięcy złotych. W związku
z tym plantatorzy postanowili na jakiś czas ograniczyć ambicje i postawić na ła-
twiejszy w uprawie i szybciej przynoszący zyski rącznik zwyczajny, czyli popularny
rycynus. W owym czasie znany był on nie tylko jako niezawodny środek przeczysz-
czający, lecz także składnik olejów stosowanych w silnikach samolotów. Krzepiono

się zatem myślą, że korzystać z niego będą sławni wówczas polscy lotnicy. Ale rycynus nawiedzały szarańcza i różne tajemnicze plagi. W pierwszym roku w Batoli, gdy rośliny pokryły się nadspodziewanie pięknym kwieciem, rzuciła się na nie pleśń, która pozostawiła z kwiatostanów jedynie oparszywiałe kikuty – z dwunastu hektarów zebrano zaledwie dwieście kilogramów ziarna³⁹⁶. Do 1936 roku koloniści wykarczowali na swych plantacjach z pomocą dwustu osiemdziesięciu miejscowych robotników dwieście pięćdziesiąt hektarów lasów tropikalnych, założono plantacje rycynusa na sto czterdzieści hektarów, kakao i koli na dwadzieścia pięć hektarów. Na dwóch hektarach rosły banany, a na jednym hektarze nawet ananasy. Plonom i samym pionierom wciąż jednak zagrażały klęski naturalne i choroby, a w dodatku, co najgorsze, specyficzna afrykańska plaga – złowroga magia.

Wzgórze Batoli, czyli „Wężowa Góra”, nie cieszyło się w okolicy najlepszą opinią. Roilo się tam od wszelkiej gadziny, jak kobry plujące czy żmije rogotnose. Było także według miejscowych ludzi Pesse siedzibą największych gadów tutejszych, pytonów. I żeby to były tylko zwykłe pytony... Kiedy po wykarczowaniu dżungli na wierzchołku wzgórza stanął bungalow polskich plantatorów, jeden z czarnych robotników objaśnił szeptem Giżyckiemu: „Massa, to niedobra góra! Czarownicy bardzo się gniewają, że na niej stoi dom! Ta góra, massa, należy do ludzi-wężów!”³⁹⁷.

Niedługo później pewnego ranka robotnicy odkryli w zboczu góry otwór, w którym ukrył się, jak twierdzili, wielki pyton. Giżycki z latarką i ciężkim bush-knifem wpełznął do niewielkiej jamy. Jej ścianę przecinała szczelina. We wnętrzu owej dziury zobaczył gruby jak pień drzewa, pięknie ubarwiony wzorzystą łuską fragment cielska ogromnego węża. Zanim zdążył go dotknąć, gad zniknął we wnętrzu groty, pozostawiając swój skarb: czterdzieści siedem jaj okrytych prześwitującą błoną, pod którą widać już było zarysy małych węży. Umieszczono je w drucianej klatce w pobliżu domu, a obok wejścia do jaskini Giżycki kazał wykopać pułapkę. Po paru dniach znaleziono w niej liczącego sześć i pół metra pytona, samicę. Zamiast radości wśród pracowników z plemienia Pesse zapanowały przygnębienie i wrogi wobec polskich plantatorów nastrój, zwłaszcza gdy okazało się, że w tym samym dniu zmarła matka jednego z wodzów okolicznych, uważana za „najgłówniejszego z ludzi wężów”³⁹⁸. Jednocześnie małe pytony, które zdążyły się już wykluć, uciekły na wolność przez uszkodzone przez termyty dno klatki – czterdzieści siedem rosną-

cych błyskawicznie początkujących dusicieli rozpełzło się po domu, zagrodzie i całym wzgórzu.

Wrogie, w tym przypadku, rzecz można, antypolskie czary rychło dały o sobie znać. Najpierw zdechło w Batoli ponad sto kur, potem osiem pięknych kóz oraz dwa hipopotamy, z których jeden miał być sprzedany za kilkaset funtów do niemieckiego ogrodu zoologicznego. Zygmunt Brudziński, kolejny współgospodarz – Szablowski już wcześniej zapadł na zdrowiu i musiał wrócić do kraju – zachorował tak ciężko, że natychmiast musiał wsiąść na statek do Europy, by ratować młode życie. Sam Giżycki ledwo przeżył atak malarii z temperaturą ponad czterdziestu stopni oraz zachorował na dziwną chorobę skóry. Tubylcy byli przekonani, że *masa Oldman* nie pociągnie dłużej niż parę następnych tygodni. Próbowano mu w tym zresztą dopomóc już bez pomocy magii – ktoś podrzucił mu do łóżka, pod poduszkę, małą, ale mocno jadowitą żmijkę bananową. Następnie czarom poddane zostały uprawy rycynusa, który miał być źródłem dochodów plantacji, zanim zaczną owocować drzewka kawy i kakao. Jedno z pól zaatakowała pleśń, pozostawiając z kwiatostanów jedynie nędzne ogryzki, drugie – nie pozostawiając nawet strzępka liścia – zżarła szarańcza. Jednocześnie na terenach plantacji pojawił się wielki pyton, niemal codziennie strasząc robotników i spędzając ich z pól. Kiedy zatem do Batoli przybył wielki czarownik z narodu Bassa, z którego pochodziła część pracowników, polski plantator przyjął jego pomoc. Słynny szaman – jego postać emanowała siłą i lamparcią zręcznością, a spod czapki z małego futra błyszcząły inteligencją wyraziste oczy – wysłuchał wzorem Sherlocka Holmesa opowieści o zaszłych wypadkach, a następnie przez kilka dni kręcił się tam i sam po okolicy. Pewnego ranka przysłał do Batoli paczkę owiniętą w liście papai. W środku Giżycki znalazł wspaniałą skórę olbrzymiego węża długości ośmiu metrów, z zadaniem oszczepem podłużnym rozcięciem na grzbiecie. W południe dotarła zaś na plantację wiadomość, że w pobliskiej wsi od ciosu włócznią zginął pewien wielki i zły czarownik, zamieszany prawdopodobnie w podrzucenie żmijki bananowej. Od tego dnia tajemnicze wydarzenia i nieszczęścia w Batoli skończyły się jak nożem uciął³⁹⁹.

Mała polska reduta obroniła się przed ludźmi-wężami, ale wyzwolenie Liberii ze splotów amerykańskiego kapitału – reprezentowanego przez koncern Firestone, który zainwestował w tym kraju miliony dolarów w plantację drzew kauczukowych – albo choćby ich rozluźnienie, okazało się zadaniem znacznie trudniejszym. W swych podróżach do stolicy nasi plantatorzy mieli niemało okazji, by przyjrzeć

się owej plantacji, położonej przy drodze do Monrowii i zajmującej około czterech tysięcy kilometrów kwadratowych. Amerykański koncern oponiarski, chcąc uniezależnić się od dostaw kauczuku z holenderskich i angielskich kolonii w południowo-wschodniej Azji oraz Brazylii, rozpoczął eksperymenty z selekcjonowaniem kuczukowców w Liberii już przed I wojną światową. W 1926 roku, pomagając uzyskać Liberyjczykom pożyczkę, która uratowała kraj przed bankructwem, uzyskał koncesję na założenie plantacji, która w ciągu niewielu lat stała się amerykańskim państwem w „republice murzyńskiej”. Do połowy lat trzydziestych obsadzono drzewkami kuczukowymi sześćdziesiąt tysięcy hektarów, dalszych czterdzieści tysięcy hektarów dżungli właśnie wypalano i karczowano. Plantacją podzieloną na „dywizje” liczące po kilka tysięcy hektarów i zatrudniająca dwanaście tysięcy czarnoskórych pracowników zarządzało niespełna stu białych menedżerów, techników i księgowych. Firestone – wydając miliony dolarów – wybudował na tym terenie dwie elektrownie, stację radiową, lotnisko, warsztaty mechaniczne, garaże na kilkaset samochodów, drogi, port rzeczny z nowoczesnymi dźwigami obsługiwany przez kilkanaście holowników, trzy szpitale, domy dla białych, osiedla dla czarnych, kluby i biblioteki. Każde z drzewek kuczukowych miało swój numer, a nad jego kondycją czuwał wydział doświadczalny z laboratorium i ogrodem, w którym rosły odmiany kuczukowców z całego świata⁴⁰⁰. Z takimi to rywalami przyszło mierzyć się Lidze Morskiej i Kolonialnej w walce o dominację w Liberii.

Amerykanie nie przejmowali się specjalnie sklepikami i faktoriarni, które chcieli zakładać Polacy w dżungli i buszu. Wkrótce jednak zorientowali się, że niespodziewany konkurent ma ambicje sięgające o wiele dalej. Pogłoski o polskich zamiarach uczynienia z Liberii zamorskiej posiadłości zaczęły niepokoić także samych Liberyjczyków. Z jednej strony, byli oni już niezmiernie rozczarowani opieszałością i nieudolnością Ligi we wprowadzaniu w życie paktu Simpson–Makarczyk. Zaczęto wręcz podejrzewać, że Polacy nie są zdolni do ekspansji gospodarczej w tropikach albo po prostu jej nie potrzebują. Do ministerstw w Warszawie kołatał w tej sprawie między innymi doktor Sajous. Z drugiej strony mnożyły się oznaki, że Polacy spiskują, i to nie tylko przeciw Firestone’owi, lecz także samej wolnej republice. Sympatyczny wcześniej klimat w relacjach polsko-liberyjskich załamał się w sierpniu 1936 roku, gdy w monrowijskim półoficjalnym tygodniku „The Weekly Mirror” ukazał się przedrukowany z wychodzącej w Akrze gazety „African Morning Post” artykuł pióra Nnamdi Azikiwe, przyszłego prezydenta Nigerii. Ten przenikliwy au-

tor, nazwawszy polskich doradców rządu liberyjskiego „wilkami w owczej skórze”⁴⁰¹, oczernił nasz kraj bez umiaru: „I teraz ta Polska, która do 1914 r. była kolonialnym terytorium trzech różnych krajów, której zostało zezwolone wykonanie prawa Wilsona o samostanowieniu, potrzebuje kolonii, nie w Europie, lecz w Afryce. [...] Poprzedni sługa cesarzowej Austrii Marii Teresy, cesarzowej Rosji Katarzyny II i Fryderyka Wielkiego w Prusach [tak w oryginale] teraz chce być panem w afrykańskim kraju”⁴⁰². Co więcej, jak twierdził Azikiwe, polską akcję kolonialną wspierały Niemcy, które w tajnej umowie w zamian za oddanie im „korytarza” pomorskiego dały Polsce *carte blanche* w Liberii. Artykuł wywarł wielkie wrażenie w Monrowii, zwłaszcza że już parę tygodni później „The Weekly Mirror” opublikował dalsze rewelacje o polsko-niemieckim spisku, twierdząc, że w zamian za utratę Gdyni Polacy mieli od Niemiec otrzymać litewską Kłajpedę⁴⁰³. Rok później opinię amerykańską poruszył artykuł w „Pittsburg Courier”. Jego autor donosił, że Polska, starając się o wolny dostęp do liberyjskich bogactw naturalnych, chce, by Liberię przekształcono w terytorium mandatowe Ligi Narodów⁴⁰⁴. Redakcja tego afroamerykańskiego tygodnika znajdowała się niewiele mil od głównej siedziby Firestone’a, w Akron w stanie Pensylwania. Możliwe oczywiście, że był to tylko przypadkowy zbieg okoliczności.

W rozgrywce z amerykańskim biznesem Liga nie miała zbyt mocnych atutów. Szef delegacji LMiK, zanim zasiadł wiosną 1934 roku do negocjacji w Monrowii, otrzymywał budujące informacje, że z kilku stolic europejskich nadchodziły do Warszawy „delikatne sugestie” dające Polsce wolną rękę w Liberii pod warunkiem uszanowania plantacji i interesów Firestone’a⁴⁰⁵. Było jednak jasne, że w przypadku jakichkolwiek kłopotliwych incydentów czy komplikacji działania Ligi zostaną w świecie potępione, a jako pierwsze odetnie się od nich polskie MSZ.

Sedno sprawy leżało według zarządu Ligi nie w liczbie plantacji czy faktorii, lecz w przejęciu przez Polskę zobowiązań Liberii wobec Amerykanów. Szczególne zadanie złożono na wątle barki – Liberyjczycy dziwili się nikłej w porównaniu z Amerykanami posturze Polaków – inżyniera Tadeusza Brudzińskiego, powołanego zgodnie z umową Simpson–Makarczyk na doradcę ekonomicznego rządu liberyjskiego. Dwaj eksperci – zadaniem drugiego z fachowców, lekarza wojskowego doktora Jerzego Babeckiego, cenionego za osiągnięcia w walce z chorobami wenerycznymi, którego zastąpił potem znany specjalista chorób zakaźnych i tropikalnych doktor Ludwik Anigstein, było podniesienie fatalnego stanu sanitarnego kraju – przyплы-

nęli do Monrowii już parę miesięcy po podpisaniu „traktatu przyjaźni”. Brudziński, absolwent SGGW i Uniwersytetu Warszawskiego, specjalista ekonomiki rolnej z doświadczeniem w kilku krajach europejskich i Stanach Zjednoczonych, w ciągu niewielu lat pracy w Liberii mógł się pochwalić sporymi osiągnięciami. Za jego radą wprowadzono między innymi nową taryfę celną, zreformowano system podatkowy oraz rozpoczęto bicie własnego bilonu, dzięki czemu dochody budżetu wzrosły z czterystu pięćdziesięciu tysięcy do sześciuset tysięcy dolarów. Pojawienie się na liberyjskim horyzoncie Brudzińskiego, a w szczególności fakt, że jako jedyny Europejczyk miał dostęp do szczegółów umowy Liberii z Firestone’em, spowodowało wśród dyplomatów i kupców w Monrowii niebywałą irytację. Podsycali ją uporczywe pogłoski, kolportowane między innymi przez nieprzewidywalnego doktora Sajousa, który bez żenady twierdził, że „Polacy w Ameryce wspólnie z tamtejszymi Murzynami tworzą koncern finansowy w celu wykupienia pretensji Firestone’a w zamian za oddanie Liberii pod protektorat Polski”⁴⁰⁶. Lecz w tej akurat fundamentalnej kwestii doradca ekonomiczny delegowany przez LMiK poniósł spektakularną, choć w gruncie rzeczy nieuniknioną porażkę. W marcu 1935 roku Liberia zawarła bowiem umowę z Firestone’em, uzyskując obniżenie oprocentowania kredytu z ośmiu do pięciu procent w zamian za zobowiązanie, że wszelkie nadwyżki budżetowe będą przeznaczane na spłatę pożyczki. „Układ ten zmienił zasadniczo całą sytuację i moje plany” – przyznawał Brudziński w 1936 roku w wywiadzie dla „Morza”⁴⁰⁷. W europejskich kręgach mocarstwowych twierdzono, że najpóźniej od 1937 roku pierwsza republika afrykańska stała się w praktyce kolonią amerykańską i że o sprawach państwowych, zwłaszcza finansach, decydowali nie liberyjscy ministrowie, ale członkowie zarządu Firestone’a. W połowie tego roku dobiegł końca i pod naciskiem USA nie został przedłużony kontrakt Brudzińskiego. Za zasługi dla Liberii wyróżniono go jednak wysokimi honorami państwowymi – tytułami Rycerza i Komendanta Liberyjskiego Humanitarnego Zakonu Odkupienia Afryki.

Liberyjska akcja LMiK dobiegała końca. Jakkolwiek plantatorzy zaczęli właśnie pod względem rolniczym i finansowym stawać na nogi, ich obecność w Liberii właściwie niczym – z punktu widzenia kolonialnych zadań Ligi – się nie tłumaczyła. Z licznych punktów umowy i aneksów z 1934 roku te, które przynajmniej próbowano realizować – zarówno jawne, jak i tajne – można policzyć na palcach jednej ręki. Na trzech plantacjach osiadło mniej więcej na stałe tylko kilku kolonistów – Giżycki, Brudziński, który jednak szybko wrócił do kraju, i Szablowski w Batoli, Ja-

nuszewicz i Konrad Tomaszewski w Nino-Bolomo oraz Kazimierz Armin w Dingita. Jak się zdaje, żaden z nich nie planował spędzić reszty życia w tropikach, dogłdając z przerwami na ataki malarii drzewek kakaowych i kawowych. Niemniej jednak zmniejszająca się z biegiem lat garstka Polaków w Monrowii i okolicach Wreputown trwała na posterunku.

Przywileje gospodarcze, jakie Polacy uzyskali dzięki umowie z Liberią, choć nigdy jej w Polsce nie opublikowano, były dość szeroko znane. Natomiast jej postanowienia wojskowe przez dziesiątki lat stanowiły tajemnicę dostępną tylko w formie nieoficjalnych informacji i plotek. Znamienne, że choć niektórzy uczestnicy wyprawy liberyjskiej oraz wiele osób, które o tajnych klauzulach musiały lub mogły wiedzieć, żyło jeszcze wiele lat po jej zakończeniu, to nikt ich poza Makarczykiem nie potwierdził ani im nie zaprzeczył. Nieliczni historycy badający dzieje Ligi sądzili natomiast, że aneks wojskowy najprawdopodobniej wcale nie istniał: „[...] w znanych mi źródłach nie ma na ten temat żadnej nawet wzmianki”⁴⁰⁸ – podkreślał Tadeusz Białas. Możliwości, że za owymi wojskowymi tajemnicami kryją się sekrety bardziej jeszcze sensacyjne, nie brano pod uwagę. Nie dociekano na przykład, co oznaczały „cele specjalne”, które stawiano przy wyborze miejsca na plantacje wyżej niż atuty rolnicze. Czy rzeczywiście cele te, które zlecił plantatorom osobiście sam prezes Ligi, generał Gustaw Orlicz-Dreszer, oznaczały tylko „rekonesans polityczny i gospodarczy”⁴⁰⁹? W praktyce działaczy ligowych operujących za granicą była to z pewnością działalność rutynowa, a wcale nie specjalna.

Nasi pionierzy kolonialni w większości opuścili Liberię, a raczej zostali z niej ewakuowani, zanim w Monrowii rozpoczął się w lutym 1939 roku proces grupy byłych pracowników plantacyjnych, którym polscy pracodawcy rozdali nielegalnie kilkanaście sztuk broni palnej, głównie myśliwskiej. Sąd orzekł jedynie konfiskatę tej broni. Wcześniej obiegały Monrowię sensacyjne pogłoski – o czym donosiła zagraniczna prasa – mające dowodzić, że sprawa jest znacznie poważniejsza; mówiono o granatach i granatnikach oraz karabinach maszynowych przemyconych w skrzyniach z importowanym z Polski żelastwem. Władze jednak jakby przeszły nad nią do porządku dziennego. Zapowiedziały jedynie wznowienie zawieszonoego postępowania przeciw Polakom, z chwilą gdy ponownie znajdą się oni na terytorium liberyjskim. Sądenie się oraz śledzenie spraw karnych i cywilnych, oraz kibicowanie stronom procesu należało w tamtych latach do ulubionych rozrywek mieszkańców Monrowii. Jednak sprawa polskich plantatorów i ich podejrzanych

poczyznań – być może zagrażających państwu liberyjskiemu i godnych podobno nawet ludzi-węży – przeminęła bez większego echa. Rzecz jakoby w tym, że sprawy naprawdę dużej wagi do sądów nigdy nie docierały. Podobno między innymi z braku prawdziwego więzienia. „Tłumaczono mi, że tego rodzaju [poważnych] przestępców nie ma gdzie trzymać i nie wiadomo, co z nimi robić”⁴¹⁰ – wspominał Janusz Makarczyk.

Jak dziś wiadomo, na wypadek gdyby plan przejęcia Liberii za długi spalił na panewce, Polska miała jeszcze jedną kartę. Nie w rękę wprowadzić, lecz raczej w rękawie. A mianowicie: operację zbrojną. Realia liberyjskie, zbliżone do opisywanych przez Fredericka Forsytha, takim zamiarom rzeczywiście sprzyjały. Republika miała armię liczącą dwieście-trzysta żołnierzy występujących, jak to w Afryce, bosso, lecz w czerwonych fezach zakupionych w Częstochowie. Jedyne okręt wojenny, dowodzony przez mianowanego z okazji jego zakupu admirała, zatonął już wcześniej ze starości. Poważniejszą siłę przedstawiała bateria w miarę nowoczesnej artylerii, natomiast do dość licznych armat ładowanych od przodu od dawna brakowało prochu. Czwartą część budżetu wojskowego pochłaniała pensja ministra wojny.

Plany zbrojnego zdobycia protektoratu w Afryce przez Polskę były do niedawna nieznane. I prawdopodobnie nikt nie spodziewał się, by mogły w ogóle istnieć. Na ślad polskiego spisku zbrojnego w Liberii natrafił doktor Puchalski, który w aktach MSZ zachowanych w Londynie odnalazł pochodzącą z połowy września 1934 roku notatkę o bezpretensjonalnym tytule „Plan akcji liberyjskiej”. Oprócz zadań i postanowień, które znalazły się w tajnym aneksie podpisanym przez Simpsona w Warszawie, wynikało z niej, że generał Orlicz-Dreszer zaprzysiągł sposobiących się do wyjazdu do Liberii naszych kolonistów jako członków tajnej organizacji wojskowej o nazwie „Kadra”. Jej dowództwo powierzył Kamilowi Giżyckiemu. Ów porucznik WP oraz kapitan „armii chińskiej” miał za sobą kilka niezwykle burzliwych lat spędzonych w rosyjskiej Azji i Mongolii na walkach z bolszewikami, w wojskach admirała Kołczaka oraz w oddziałach generała Ungerna, „szalonego Barona”, gdzie kierował wytwórnią materiałów wybuchowych. Plan przewidywał, że uzbrojeni Polacy przy pomocy księcia Masaqoy obalą prezydenta Barclaya i oddadzą rządy księciu.

Nie wiadomo, jak na razie przynajmniej, czy oprócz tej brawurowej, z rozmachem wprowadzić, lecz tylko ogólnie zarysowanej koncepcji przygotowano także

szczegółowe plany jej wdrożenia. Na wiele pytań brak odpowiedzi. Członkowie „Kadry” mieli stanąć na czele powstania ludu Kru oraz rozżalonych dyskryminowaniem ich przez Afroamerykanów i pomówieniami o kanibalizm „dzikich” plemion interioru. Czy planowano rewolucyjny marsz na Monrowię? Czy też chodziło raczej o klasyczny zamach stanu, o którym prasa paryska pisałaby ze smakiem jako o *coup d’État*? Jakich sił i środków i w jaki sposób zamierzano użyć? Czy „Kadra” miała w elitach władzy swych popleczników, gotowych za na przykład partię łódzkich bransoletek na nogę sprzedać prezydenta Barclaya? Być może nigdy się tego nie dowiemy. Członkowie „Kadry” byli związani ścisłą tajemnicą, a za zdradę groziła śmierć. I najwyraźniej przysięgi dotrzymano. Giżycki, który został po II wojnie światowej autorem poczytnych książek przygodowych i podróżniczych, co uhonorowano nazwaniem jednej z ulic we Wrocławiu jego nazwiskiem, znał podobno jeszcze inny doniosły sekret, którego nigdy nie wyjawiał – miejsce ukrycia w Mongolii słynnego skarbu barona Ungerna.

„Kadra” była organizacją wojskową, jednostką wywiadu, ale, powołana do życia przez LMiK, właściwie prywatną. Nie wiadomo, czy należała do nawet szeroko pojętych struktur WP, czy tajnych służb państwowych. Rozkaz sięgnięcia po broń mógł z pewnością wydać liberyjskim kolonistom generał Dreszer. I być może tylko on – jako prezes Ligi, a także z mocy swego osobistego autorytetu jednego z przywódców podobnego, udanego, i to na znacznie większą skalę pomyślanego przedsięwzięcia, a mianowicie zamachu majowego. Do chwili jego śmierci w sierpniu 1936 roku rozkazu takiego „Kadra” nie dostała, choć czerwona linia – utrata szans na „odkupienie” liberyjskiego długu i przejęcie w ten sposób kontroli nad Liberią – została przekroczona. Później nikt już nie był w stanie czy też nie chciał wystąpić w roli zleceniodawcy zbrojnego przewrotu daleko od polskich granic. Zakończony głośnym procesem „rozdawanie” polskiej broni nie miało najprawdopodobniej nic wspólnego z planami akcji zbrojnej. Karabiny i strzelby nie tylko bowiem rozdawano, lecz także sprzedawano, również białym. Chodziło pewnie o wycofanie choć części środków wydanych na eskapadę liberyjską. Łącznie pochłonęła ona dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, czyli ponad pół miliona złotych⁴¹¹.

Wraz z krachem planów liberyjskich zakończył się krótki żywot „kolonializmu prometejskiego”, idei mglistej i nierealistycznej, a przy tym dość obłudnej. Tak na przykład Brudzińskiemu i Babeckiemu zarzucano w raportach do MSZ, że „tak bardzo oddali się swojej misji w Liberii, że broniąc interesów Liberii, jakby zapomnieli

o sprawie polskiej”⁴¹². Sam Brudziński przyznawał, co zresztą niekoniecznie dowodziło wiary w kolonializm prometejski, lecz mogło wynikać z rzetelności zawodowej i lojalności fachowca wobec zleceniodawcy, że nie jest w stanie zająć „postawy innej niż zgodna ze sprawiedliwością oraz z prawami i interesami Liberii i jej rządu”. Pałac Brühla tę kontrowersyjną i szkodliwą postawę starał się przeorientować. W lecie 1936 roku Brudzińskiemu wydano na przykład formalne polecenie poprawienia stosunków z innymi białymi, aby nie być „oskarżanym o politykę, która mogłaby być uznana za niebezpieczną z perspektywy czołowych państw kolonialnych”⁴¹³. O niedostateczną dbałość o polskie interesy obwiniano także Janusza Makarczyka. Makarczyk, który walnie przyczynił się do naszej przygody liberyjskiej, wyznał, wprawdzie grubo po tamtym okresie, bo już w czasach PRL, że uważał posiadanie kolonii za niemoralne. Poza tym, jak zapewniał, czuł się spadkobiercą Szolc-Rogozińskiego i zwolennikiem polityki polegającej na dającym wzajemne korzyści współdziałaniu „ludzi z ludźmi”⁴¹⁴. Ale „IKC” przedstawiał go przed wojną zgoła inaczej. Autor artykułu *Legenda o polskim Lawrence*⁴¹⁵, widział w nim rodzime wcielenie słynnego brytyjskiego agenta, pułkownika Lawrence’a, którego zadaniem było przekształcenie prowincji bliskowschodnich Imperium Osmańskiego w mandaty zachodnie. Makarczyk, oczekiwano, korzystając z naszych doświadczeń powstańczych, będzie wzniecać wolnościowe, antykolonialne ruchawki, dzięki czemu kosztem ludów podbitych Polska wejdzie w posiadanie terytoriów mandatowych, protektoratów lub kolonii. Byłaby to, trzeba przyznać, radykalnie cyniczna wersja prometeizmu.

Na polskich poczynaniach kolonialnych od początku ciążył przyjęty z wielką gotowością przez Polaków dogmat o wyższości białej rasy. „Sposoby radzenia sobie z Murzynami” praktykowane przez wysłanników LMiK uchodziły nawet w oczach niektórych polskich emisariuszy, na przykład doktora Anigsteina, za wyjątkowo nieprzyjemne⁴¹⁶. Ponadto akcję liberyjską już na początku zakłócił poważny incydent podważający szczerą intencję polskich sojuszników „Czarnej Republiki”. W grudniu 1934 roku młody stażysta Ligi Lesław Kopytyński odmówił podobno załączenia z „kolorową kobietą” na pokładzie holenderskiego parowca kursującego u wybrzeży Afryki. „Jeszcze jedna tego rodzaju plotka całkowicie pogrzebie nasze dobre stosunki” – ostrzegał Tadeusz Brudziński⁴¹⁷.

Przed wrześniem 1939 roku Arkady Fiedler spotykał od czasu do czasu w Warszawie weteranów kampanii liberyjskiej. Nie szczędził im cierpkich słów: „Jętkami

jednodniowymi okazali się nasi pionierzy-plantatorzy w Liberii, dokąd wysłała ich, kilku uprzywilejowanych wybrańców, nasza Liga Morska i Kolonialna. Po prze-trwonieniu kilku tysięcy funtów szterlingów kosztem społeczeństwa, nie zdziaław-szy niczego, wrócili do Warszawy, psioczyli na sknerstwo Ligi i obnosili po kawiarni-ach swe bohaterstwo kolonialnych pionierów. [...] Gdy ich spotykałem, nigdy nie byłem pewny, co robić: najlepiej uciekać od nich i śmiać się⁴¹⁸. Nie mógł nawet przypuszczać, że ma przed sobą niedoszłe, niespełnione polskie „psy wojny”, rzecz niekoniecznie i nie tylko do śmiechu.

Rozdział XI. Wyspa dnia jutrzejszego

Jak zauważali z satysfakcją publicyści ligowi, u schyłku dwudziestolecia wreszcie zapanował w Polsce „klimat kolonialny”. Zainteresowaniu ekspansją zamorską sprzyjała moda na tropikalną egzotykę w kulturze tego okresu, zarówno wysokiej, jak i tej niższej nieco – od Conrada, poprzez między innymi Witkacego, autora sztuki teatralnej *Mister Price*, czyli *Bzik tropikalny*, aż do Ossendowskiego i tekstów szlagerowych piosenek. Działacze kolonialni modę tę wytrwale napędzali, starając się kształtować polską „mentalność kolonialną”. Wciąż jednak była to mentalność naiwna. Jasno widziała to autorka artykułu w „Morzu”⁴¹⁹, która alarmowała, że młodzież „karmi się zazwyczaj banalnym egzotykiem, niewiele mającym wspólnego z prawdziwym obrazem bytowania kolonialno-emigracyjnego. I tak na przykład w kinie na młodzież czeka kilkanaście trawestowanych aż do znudzenia wersyj z przygód Tarzana; jeśli zaś krótkometrażowy reportaż z życia „kolonialistów – no to znów: hełm tropikalny, białe ubranie i na ozdobę – małpka »Cziki« na ramieniu”. Podpowiadała: „trzeba obedrzeć wychowawczą myśl kolonialną z banalnego egzotyku filmowego, z łezki kolonialnej, mogącej przynieść więcej szkody niż pożytku. Tworzyć egzotykiem nie sielankowy, ale zdrowy, pobudzający chęć zmierzenia sił z trudnościami w krajach zamorskich i zacięcie kolonizatorskie”.

Realia bytowania w koloniach opisywał Polakom bez ogródek Janusz Makarczyk, lecz dopiero w czasach, gdy system kolonialny już się rozpadał.

Potrzeba ludzi w koloniach. Warunki są ciężkie. Tłumaczy się im, że to „zajęcia romantyczne”. I na tę romantyczność łapie się naiwnych, którzy potem siedzą w domach krytych falistą blachą, słuchają walenia deszczu w porze deszczowej i sprzedają Murzynom perkal, [...] są takie faktorie, gdzie jest dwóch białych; o ile się nie kłócą, to piją razem, kupują od Murzynów produkty, a w zamian sprzedają wszelką lichotę. Są faktorie, gdzie jest jeden biały – pije sam, a kłócić się nie ma z kim. Chyba w myślach sam z sobą, że przyjechał⁴²⁰.

Wśród działaczy LMiK słusznie uważano, że powodzenie ekspansji zamorskiej zależy będzie od poziomu moralnego i fachowego przyszłych kadr kolonialnych. Liga przyczyniła się do powstania Trzyletniego Studium Emigracyjno-Kolonialnego przy Wolnej Wszechnicy w Warszawie oraz utworzenia w roku następnym Instytutu Hi-

gieny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni. Z inicjatywy MSZ zorganizowano z kolei tuż przed wojną Międzywydziałowe Studium Kolonialne na Uniwersytecie Jagiellońskim, które miało kształcić rolników, hodowców, geologów, biologów oraz misjonarzy tropikalnych. Były to, biorąc pod uwagę ogrom polskich planów i ambicji, zaledwie załączki systemu kształcenia kolonialnego, w praktyce inicjatywy ponad potrzebę. O ile bowiem Liga na różnych polach, zwłaszcza na morzu i na odcinku propagandy, mogła pochwalić się znaczącymi dokonaniem, jej konkretne akcje kolonialne stanowiły pasmo niepowodzeń i przypominały jakiś manifestacyjny pochód od jednej żalostnej porażki do następnej, równie wstydlivej.

Pewne podejrzenia co do jakości życia kolonialnego mogły rodzić się raczej przypadkiem, na przykład wśród widzów rewii w teatrze „Morskie Oko”, gdzie popularny aktor Tadeusz Faliszewski śpiewał posępne tango do słów Andrzeja Własta:

*Inny widziałem w mych marzeniach
Kraj egzotycznych snów i żądz
Gdzie człek na próżno szuka cienia
Przed własnym cieniem swym drżą Angola
Samotność i niewola
W półkolach
Negrów tańczących tan⁴²¹.*

Poczynania Ligi od początku drażniły naszą służbę zagraniczną, zakłócając rutynę pracy ambasad, poselstw i konsulatów oraz prowokując skandale szeroko opisywane przez nieprzyjazną obcą prasę. Dyrektor Drymmer przyznawał, że i on zaczął patrzeć nie tylko krytycznie, lecz także podejrzliwie na poczynania społeczne „usiłujące dublować funkcję państwa”, zwłaszcza na delikatnych polach polityki międzynarodowej⁴²². „Trudno było walczyć z tą rozbuchaną, ale źle zorganizowaną organizacją”⁴²³ – usprawiedliwiał się we wspomnieniach. Wyczyny Ligi, której beztrocki zapał wykraczał daleko poza ramy dla niej przewidziane, sprawiły, że obóz rządzący postanowił przekazać zadanie prowadzenia polityki kolonialnej MSZ. Także polityczne wstrząsy w Europie i na świecie, zapowiadające rychły krach ładu wersalskiego, nakazywały złożyć całość zagadnień zagranicznych w doświadczone i silne ręce szefa MSZ, ministra Becka. Tłumy gromadzące się podczas Dni Kolonialnych na wiecach LMiK, by słuchać nawołujących do czynu jej działaczy, nie zdawały sobie sprawy, że misja zdobycia siłami Ligi zamorskich posiadłości dla kraju zo-

stała odwołana. Otóż w grudniu 1937 roku z inicjatywy honorowego patrona Ligi generała Sosnkowskiego zwołano na poufne obrady prezydium jej Rady i Zarządu oraz prezesów okręgowych. Podjęto na owym zjeździe – nie bez pokątnego szemrania i rozżalenia, lecz i bez jawnego sprzeciwiania się woli władz państwowych – uchwały, które gdy idzie o działalność kolonialną, zobowiązywały Ligę do ograniczenia się do propagandy, studiów teoretycznych oraz szkolenia kadr. Postanowienia te wprost zakazywały jej prowadzenia „akcji bezpośredniej, powodującej ryzyko handlowo-finansowe”. Uchwał tych nie opublikowano, przez co szeregowi i zbiorowi członkowie LMiK, których wciąż przybywało, nie dowiedzieli się o kolejnej porażce. Kolonialną „akcją bezpośrednią” na dalekich lądach miało się odtąd zajmować Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze⁴²⁴.

Pomyślnie „przeorientowanie” zamorskiej aktywności Ligi sprawiło jej przeciwnikom niemałą satysfakcję. Swoje prywatne zwycięstwo odniósł też dyrektor Drymmer, któremu udało się poskromić najgorliwszych pionierów kolonialnych, znanych jako „Trzej Muszkieterowie” – Mieczysława [Bohdana] Lepeckiego, Apoloniusza Zarychtę i Mieczysława Fularskiego⁴²⁵. Dawni legionści, płodni publicyści i pisarze, oficerowie zawodowi – przy czym Zarychta i Lepecki byli adiutantami marszałka Piłsudskiego – mogli, obawiał się dyrektor, skrycie sabotować posunięcia resortu spraw zagranicznych. Wykazali się jednak chwalebny poczuciem odpowiedzialności i rzeczywistości. Trzymający się nieco w cieniu major Fularski i doktor kapitan Zarychta – znaczący wszak urzędnik właśnie MSZ, naczelnik wydziału polityki emigracyjnej, naukowiec i teoretyk – bez większych problemów przekonali się do nowej linii w polityce zamorskiej. Jednak szczególnie ucieszyło Drymmera szybkie „przeorientowanie” się Lepeckiego. Drymmer, choć tylko w randze majora, uchodził za osobę równie wpływową jak trzęsący krajem „pułkownicy”. Ten zasłużony funkcjonariusz defensywy i ofensywy, szef kontrwywiadu Frontu Południowo-Wschodniego, który w 1920 roku zdobył Kijów, kierownik placówki wywiadowczej „na Rosję bolszewicką” w Tallinie, rządził kadrami dyplomacji z żołnierską obcesowością, nie dbając o wyrafinowane obyczaje panującymi w służbie zagranicznej, gdzie brylowała arystokracja. Ale z Lepeckim i on musiał się liczyć.

Jak twierdzono, major zawdzięczał swą pozycję biegłej znajomości języka portugalskiego. Otóż w grudniu 1930 roku, gdy Piłsudski wybierał się dla podreperowania zdrowia na Azory, wezwano z Brazylii Lepeckiego, by zameldował się na Maderze Marszałkowi z pomocą. „Piłsudski powitał majora [w 1930 roku kapitana] jak

zbawczego anioła, polubił jego ścichapęk dyskrecję i przez kilka lat, aż do swej śmierci, miał go przy sobie jako osobistego adiutanta i najbliższego powiernika⁴²⁶ – objaśniał Arkady Fiedler. Po śmierci Marszałka znaczenie Lepeckiego wśród piłsudczyków dzięki jego przebiegłej pomysłowości jeszcze wzrosło. Zaczął pisać o Piłsudskim wspomnienia; zamieszczał w nich najrozmaitsze wypowiedzi Marszałka o ludziach – a były to sądy nieraz grubiańskie i miażdżące dla ówczesnych prominentów. „Okazało się, że nikt z dostojników sanacji nie był bezpieczny w przyszłości od marszałkowskiej obelgi; a klucz do tej puszeki Pandory miał w ręku Lepecki. Nabawiał strachu. Dyrektor Drymmer z MSZ-etu chętnie go wysyłał w dalekie podróże⁴²⁷. W obronie LMiK nie zamierzał jednak wojować. „Trzej Muszkieterowie” zarzucili „na razie” swe śmiałe plany kolonialne i lojalnie zabrali się do pomagania w sprawach osadniczych. Lepeckiego za sprawą Drymmera mianowano dyrektorem Międzynarodowego Towarzystwa Osadniczego.

Wkrótce rzutki major, wystąpiwszy z wojska, wypłynął na szersze wody polityczne – jako współtwórca i orędownik postulatów kolonialnych w programie Obozu Zjednoczenia Narodowego, zaplecza politycznego obozu rządzącego. Dążenia kolonialne uznano w nich za jeden z „najważniejszych czynników polskiej racji stanu”. Za wzniosłymi słowami kryły się jednak postulaty nader ostrożne, a w każdym razie dalekie od ofensywnej linii propagandowej i oczekiwań ideowych kolonizatorów. „Ozon” domagał się „dostępu do obszarów kolonialnych na równi z innymi wielkimi państwami Europy” i „udziału w eksploatacji” tych obszarów. Stwierdzał jednocześnie, że jakkolwiek tylko suwerenne panowanie nad koloniami może zaspokoić w pełni polskie potrzeby, to na początek należy wykorzystać też inne formy dostępu do terenów zamorskich⁴²⁸. Tezy Ozonu – zbieżne ze stanowiskiem przedstawicieli MSZ podczas jesiennej sesji Ligi Narodów w 1936 roku, na której polska dyplomacja ujawniła po raz pierwszy przed zdumionym światem nasze roszczenia kolonialne – dowodziły, że polską politykę zamorską ustala i kontroluje pałac Brühla pod czujnym okiem ministra Becka. Minister zaś zabronił dyplomatom nawet wspominać o koloniach, mogli oni mówić co najwyżej o kondominiach czy koncesjach. O Lidze zaś wyrażał się nieprzychylnie – w każdym razie po latach – jako o organizacji, która będąc tylko „morską”, miała rozsądne cele, a po dodaniu słowa „kolonialna” dawała „zbyt wielką folgę imaginacji”, czyniąc przy tym wiele krzyku i hałasu. „Ponieważ jednak o tych tak zwanych kolonialnych zagadnieniach dyskutowano wiele na forum międzynarodowym, starałem się ująć polskie postula-

ty w jakieś rozsądne ramy”⁴²⁹. Ów ministerialny rozsądek, czy nawet, co tu kryć, oportunizm, zdaniem wielu pionierów kolonialnych zupełnie nie pasował do nowych czasów, gdy umacniające się rządy dyktatorskie w krajach europejskich dążyły do zbrojnej ekspansji zarówno w samej Europie, jak i za morzami.

Oto na początku października 1935 roku wojska włoskie na froncie o szerokości siedemdziesięciu kilometrów wtargnęły z Erytrei w granice Etiopii. Jednocześnie z Somalii zaatakowały cesarstwo dywizje generała Grazianiego. Wojska etiopskie przez sześć miesięcy stawiały napastnikom opór nadspodziewanie twarde, broniąc się w górach i prowadząc wojnę partyzancką. Polska opinia kolonialna podziwiała jednak nie obrońców, lecz determinację Włochów. I szczerze im zazdrościła, że z dzięki nieugiętej woli Mussoliniego potrafili podbić największy niepodległy kraj afrykański i uczynić go swoją kolonią. Codziennie przy dźwiękach *Giovinetty*, hymnu partii faszystowskiej, wśród okrzyków zebranych tłumów wychodziły z Neapolu do Massaui na Morzu Czerwonym statki z wojskiem.

Pomimo wysłania do Afryki około trzystu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy oraz druzgocącej przewagi w uzbrojeniu i wyposażeniu Włosi zaczęli odnosić zwycięstwa, dopiero gdy użyli zakazanych od 1922 roku przez konwencję waszyngtońską gazów bojowych⁴³⁰. Z pięćdziesięciu tysięcy poległych żołnierzy abisyńskich aż piętnaście tysięcy zginęło od iperytu. Wojska włoskie wkroczyły do Addis Abeby 5 maja 1936 roku. Polskie „Morze” uczciło to wydarzenie peanem na cześć Il Duce i faszystowskich Włoch, które po czternastu latach przygotowań zdobyły imperium kolonialne. „Jest bez wątpienia największą, nieśmiertelną zasługą Mussoliniego, że w tak krótkim przeciągu czasu zdołał przeobrazić duszę narodu włoskiego, [...] że uczynił z Włochów naród karny, odważny i pełen poświęcenia, naród młody o wielkiej ambicji, prężności i niezłomnej woli”. Przykład włoski, podkreślano, „jest dla nas świadectwem oraz dowodem, że tylko przez wielką ofiarność i współdziałanie wszystkich osiągnąć można wielki cel, a wielkim celem i dążeniem jest zdobycie dla Polski kolonij”⁴³¹. Pionierzy kolonialni od dawna kibicowali Włochom w ich imperialnych projektach. Z uznaniem odnotowywano włoskie osiągnięcia w zagospodarowaniu półpustynnej Libii, gdzie osadnictwo europejskie wymagało ogromnych nakładów między innymi na nawodnienie. Z respektem komentowano dalekosiężne plany rozszerzenia posiadłości Italii, która zamierzała, opanowując Saharę i okolice jeziora Czad, usadowić się na afrykańskim wybrzeżu atlantyckim. Przy każdej okazji powoływano się też na wspólnotę interesów kolonialnych Polski

i Włoch, krajów przeludnionych i pokrzywdzonych w dostępie do surowców. Ta skwapliwość niekiedy złościła Włochów, którzy przystąpili do ententy i wydatnie przyczynili się do jej zwycięstwa, licząc na zdobycze terytorialne, także w koloniach. W 1931 roku autor artykułu w „Popolo d’Italia”, irytował się, że Polska domaga się jakiegoś kawałka kolonii, choć nie zapłaciła tak jak Włochy za posiadłości kolonialne sześciuset tysiącami poległych w I wojnie światowej⁴³². Pomimo drobnych nieporozumień Italia była w sprawach posiadłości zamorskich najważniejszym i prawdę mówiąc, jedynym w Europie sojusznikiem Rzeczypospolitej. W artykule z okazji Dni Kolonialnych „La Stampa” przewidywała, że „w razie poruszenia sprawy polskich pretensyj kolonialnych na forum międzynarodowym Italia faszystowska poprze je całym swym autorytetem”⁴³³.

Śmielsze jeszcze niż Włochy plany kolonialne miały Niemcy, domagające się według doniesień z 1937 roku nie tyle zwrotu dawnych kolonii, co terytoriów korzystniej położonych i bogatszych. W zamian za brytyjską Tanganikę i Namibię żądały Konga Belgijskiego i Angoli, które wraz z Togo i Kamerunem miały tworzyć w południowo-zachodniej Afryce hitlerowskie imperium kolonialne o powierzchni pięciu milionów kilometrów kwadratowych⁴³⁴. Zamorskim poczynaniom niemieckim nasi pionierzy kolonialni przyglądali się z nieufnością i niepokojem, a jednocześnie zazdrością, którą budziły prężność i wojownicza dynamika Reichskolonialbundu, przygotowującego organizacyjny grunt i kadry dla rychłego powrotu Niemców do Afryki, a może i na wyspy Oceanii. Działalność niebezpiecznego zachodniego sąsiada na terenie kolonialnym skłaniała kierownictwo Ligi do przyspieszenia wysiłków w tej materii. Przemawiało za tym parę różnych i paradoksalnie rozbieżnych argumentów. Po pierwsze, od narodzin LMiK zakładano, że polskie roszczenia kolonialne będą hamulcem dla niemieckiego rewizjonizmu. Po drugie, pionierzy kolonialni byli przekonani, że w przypadku korekty systemu mandatowego pod naciskiem Niemiec, Włoch i Japonii również Polsce musi przypaść jakaś zamorska zdobycz. Po trzecie, współdziałanie II RP z Włochami i Niemcami w kwestiach kolonialnych mogło skłonić europejskie potęgi kolonialne do przydzielenia jakiejś kolonii, raczej mniejszej niż większej, państwu, które nie dążyło do unicestwienia porządku wersalskiego, lecz jak Polska chciało go tylko nieco jej zdaniem udoskonalić. Jakaś forma elementarnej współpracy z Niemcami wydawała się realna, ponieważ w czasach III Rzeszy pojawiały się niekiedy w niemieckiej prasie, z zasady wrogiej wcześniej jakimkolwiek polskim nabytkom terytorialnym, zachęcające sygnały.

W 1931 roku, a więc jeszcze przed dojściem NSDAP i Hitlera do władzy, na wiecach podczas zgromadzeń na przykład Stahlhelmu mówcy prześcigali się w piętnowaniu polskich roszczeń: „Polska mania wielkości dąży teraz do uzyskania kolonii. Zamiast polonizować Murzynów, mogłaby Polska cywilizować siebie!”⁴³⁵. Kilka lat później „Prager Tageblatt”, pisząc o staraniach Warszawy o kolonie, stwierdzał już, że „argumenty, które wypłynęły z polskich stosunków społecznych i demopolitycznych, są istotnie podstawą dla otrzymania obszarów kolonialnych, niezbędnych dla życia narodu”⁴³⁶. Z kolei „Börsen Zeitung”, omawiając motywy roszczeń kolonialnych Polski, przyznawał, że są one zbliżone do argumentów niemieckich⁴³⁷.

Na polską politykę kolonialną, którą w prasie francuskiej nazwano „rebusem”, oprócz dwuznacznej postawy MSZ składały się też coraz głośniejsze pohukiwania działaczy i publicystów ligowych. Jeden z prominentów Ligi, wicemarszałek sejmu Jan Dębski, ostrzegał: „My nikomu nie grozimy! Ale niechże z tego naszego stanowiska nie wypływa przeświadczenie, że potrzeby państwa 34-milionowego można traktować jako postulaty teoretyczne, [...] które kiedyś tam mogą być wzięte pod rozwagę”⁴³⁸. Tak więc Polska wkroczyła na ścieżkę pokretną, ryzykowną i – jak się ostatecznie okazało – prowadzącą donikąd. Próby szantażowania mocarstw zachodnich perspektywą zbliżenia się Polski do państw przyszłej osi (Niemcy, Włochy, Japonia) na polu kolonialnym Anglia i Francja zlekceważyły. O zamorskich aspiracjach II RP ich opinia publiczna, a nawet rządzące elity jeszcze do połowy lat trzydziestych niemal nic zresztą nie wiedziały. Dopiero w brytyjskim memorandum na temat surowców kolonialnych z 1936 roku uznano Polskę za państwo „myślące kolonialnie” [*colonial-minded*], z czego jednak nasi kolonizatorzy nie odnieśli żadnych korzyści, może oprócz instrukcji jednego z urzędników Foreign Office, by nie naśmiewać się z polskiej propagandy kolonialnej⁴³⁹. Zalecenia takiego nie wydało prawdopodobnie Quai d’Orsay, bo w paryskim dzienniku „Le Temps” ukazał się w 1936 roku artykuł pod ironicznym tytułem „Rozbiory – arcypolskie”. Tekst był pisany w formie dialogu; rozpoczynał się od prostodusznego pytania: – Czyżby się miały znowu rozpocząć rozbiory Polski? – Ależ nie chodzi wcale o rozbiory Polski – odpowiadał wtajemniczony rozmówca. – Wprost przeciwnie, i to jest właśnie zdumiewające, że imię Polski jest wmieszane do projektów innych podziałów. Jakich podziałów? – pytał interlokutor. – Ależ podziału kolonii należących do małych państw, nad protestami których przejdzie się do porządku dziennego, Portugalii,

Holandii, a nawet Belgii. Nazywałoby się to – wyjaśniał autor dalej – „nowym podziałem kolonii”⁴⁴⁰.

Myśl, z którą próbowali się przebić nasi pionierzy kolonialni i niektórzy dyplomaci – że można by polskiego sojusznika obdarować jakąś zamorską posiadłością – pojawiła się wśród zachodnich polityków dopiero tuż przed wrześniem 1939 roku, gdy zaczęto dzielić już nie kolonie, a samą Europę. Senator René Coty, po wojnie prezydent Francji, stwierdził z trybuny parlamentarnej: „jeśli już rozpatrywany ma być problemat kolonii, to lepiej zgodzić się [na ustępstwa] na rzecz państw zaprzyjaźnionych, jak np. Polska, niż na rzecz mocarstw wrogich”⁴⁴¹.

Komentujący wspomniane enuncjacje „Le Temps” redaktor „Morza” zapewniał z godnością, że Polska nigdy nie zamierzała zdobywać kolonii kosztem małych państw. Jednak w rzeczywistości koncepcja ta niezmiennie pociągała zarówno działaczy Ligi, jak i później urzędników MSZ. Jeszcze w marcu 1939 roku młody dyplomata Jan Koziński – późniejszy sławny kurier Jan Karski – analizując kierunki polskiej ekspansji, stwierdzał, że w Afryce ma ona największe szanse powodzenia w koloniach portugalskich, zwłaszcza w Mozambiku. Jak podkreślał, Portugalia jest krajem zbyt słabym, aby w obronie kolonii odważyła się na wojnę z Polską⁴⁴². Działalność kolonialna, która w końcu lat trzydziestych była zadaniem MSZ, skupiała się w kierowanym przez kapitana Zarychtę Wydziale Polityki Emigracyjnej Departamentu Konsularnego oraz w MTO, gdzie rządził major Lepecki; często zresztą korzystała z dorobku Ligi i przetartych przez nią szlaków. Działalność bieżąca ograniczała się w zasadzie do zakupu terenów pod osadnictwo. MTO w Paranie i w Misiones kupiło ponad sto tysięcy hektarów⁴⁴³. Przymierzano się do zakupu dwudziestu tysięcy hektarów w Mozambiku oraz prywatnych gruntów w Angoli. Były też plany powrotu do Peru, gdzie wzorcowe polskie osady miały powstać na pogórzach andyjskim, co – jak się spodziewano – zatrze pamięć o klęsce nad Ukajali⁴⁴⁴.

Rzecz jasna, pojawiły się też nowe koncepcje. Pół roku przed wybuchem wojny doktor Zarychta, który jako geograf i państwowiec nie tracił z oczu żadnej części świata, gdzie można by zdobyć posiadłości dla kraju, poprosił na przykład polską ambasadę w Waszyngtonie o informacje i mapy pokazujące podział polityczny Antarktydy ze szczególnym uwzględnieniem terenów jeszcze niezajętych⁴⁴⁵. Okazja podbicia wiecznych lodów szóstego kontynentu, na najdalszych antypodach, nie

mogła, ma się rozumieć, porwać tłumów. Wkrótce jednak pojawił się cel bez porównania ciekawszy: gorący Madagaskar opromieniony legendą Beniowskiego.

Najważniejszą z pewnością innowacją w polskich planach zamorskich było wprowadzenie w 1936 roku do tez kolonialnych – przygotowanych w MSZ i przedstawionych Lidze Narodów – pozyskania terenów dla „nieodzownej” emigracji ludności żydowskiej. Jej „wadliwa struktura społeczno-zawodowa” stanowiła, jak tłumaczono w Genewie, jedną z przyczyn zacofania i ubóstwa Polski. Dzięki włączeniu do tez kolonialnych „kwestii żydowskiej” niezbyt mile widziane lub nieznane w krajach Zachodu polskie zabiegi o posiadłości zamorskie związane z jednym z krytycznych problemów globalnych lat trzydziestych XX wieku. W tamtym czasie na całym świecie ludzie dobrej oraz złej woli poszukiwali bowiem miejsc, gdzie mogliby się osiedlić Żydzi, którym zagrażał hitleryzm. Paradoksalnie sprzyjało to zamysłowi wyprawienia z Polski przynajmniej części jej żydowskich obywateli. LMiK przypadło tu niewdzięczne zadanie przekonania zainteresowanych o nadzwyczajnych korzyściach, jakie przyniesie im emigracja. Do połowy lat trzydziestych tego tematu w publicystyce „kolonialnej” niemal nie poruszano, ale propagandyści i eksperci Ligi stanęli na wysokości zadania. „Kwestia żydowska” najwyraźniej mocno leżała im na sercu, czy raczej na wątrobie. W programowej broszurze Stanisława Pawłowskiego *Domagajmy się kolonij zamorskich dla Polski* słowo „Żyd” nie pojawiło się ni razu. Jak się okazało, profesor miał jednak na ten temat szeroką wiedzę i ugruntowane opinie. Podczas odczytu wygłoszonego jesienią 1936 roku dowodził, że zawikłana kwestia żydowska jest w istocie jedynie stosunkowo prostym „zagadnieniem migracyjnym”, ponieważ stałe wędrówki po świecie w poszukiwaniu najkorzystniejszych warunków bytu są – jak twierdził – nieodłącznym komponentem żydowskiego sposobu życia. Sprzyja owym peregrynacjom solidarność wzajemna, łatwość aklimatyzacji do różnych klimatów, zwłaszcza gorących, zdolności językowe Żydów oraz uniwersalność ich zajęć w handlu, finansach i pośrednictwie. Zastanawiało jednak uczonego prelegenta, że pomimo tych atutów, a z drugiej strony pogłębiającej się pauperyzacji Żydzi do emigracji się nie garną. „Odnosi się wrażenie, jakby Żydzi nie chcieli z Polski emigrować, jakby ich coś w Polsce zatrzymywało. [...] Dziwne, jak społeczeństwo żydowskie zraza się łatwo i widzi wszędzie prawdziwe czy urojone trudności. Obawia się każdego odgłosu w prasie, bierze w rachubę wszelkie ujemne opinie. [...] Nawet Palestyna nie potrafiła w takiej mierze rozpałić umysłów, jakby się tego należało spodziewać” – za-

uważał. I napominał: „Nie należałoby tylko zawsze wszystkiego się obawiać – to ucieczki Żydów do miast z roli, to Arabów, to braku zbytu i braku narzędzi, to nieumiejętnego obchodzenia się z motyką czy pługiem ze strony kolonisty żydowskiego itp. Zapał, w swoim czasie należycie wyzyskany, byłby stworzył cuda”⁴⁴⁶. Zdaniem profesora przy pozytywnej postawie przyszłych osadników mogłoby emigrować z Polski siedemdziesiąt–osiemdziesiąt tysięcy Żydów rocznie. Szacował, że cała polska ludność żydowska pomieściłaby się w Palestynie oraz w Syrii i na Cyprze. Licząc na zapał kandydatów na emigrantów, prelegent nie tracił jednak poczucia rzeczywistości – przyznawał, że Żydzi nie emigrują, jeśli nie są do tego zmuszeni, i zauważał, iż „antysemityzm może stworzyć pewien nastrój emigracyjny u Żydów”⁴⁴⁷.

W ostatnich latach przed 1939 rokiem dokładano wszelkich starań, by ów „nastrój emigracyjny” wśród polskich Żydów wytworzyć. Wkrótce zapanowała w kraju atmosfera pogromowa. W Przytyku, liczącym trzy tysiące mieszkańców (w tym ponad osiemdziesiąt procent Żydów), miasteczku w pobliżu Radomia, doszło 6 marca 1936 roku podczas dorocznego jarmarku „kazimierzowskiego” do wypadków, które odbiły się głośnym echem nie tylko w całym kraju, lecz także na całym świecie. Zaczęło się od kłótni i rękoczynów między miejscowym piekarzem i młodym narodowcem, który stanąwszy przed kramem z pieczywem, wzywał klientów do jego bojkotu. Zaraz potem grupy napastników zaczęły przewracać należące do Żydów stragany, doszło do bijatyki, podczas której jeden z przyjezdnych został śmiertelnie postrzelony przez członka żydowskiej samoobrony. Rozwścieczony tłum chłopów zaczął demolować sklepy i bić ich żydowskich właścicieli. Jednego z przytyckich szewców i jego żonę zabito pałkami i orczykami. Do podobnych antyżydowskich zamieszek doszło w mniej więcej stu pięćdziesięciu miejscowościach w kraju⁴⁴⁸ – między innymi w Mińsku Mazowieckim, Brześciu, Myślenicach, Przysusze czy Opocznie. Niektóre z nich wybuchły spontaniczne, ale wiele było inspirowanych i kierowanych przez młodych i „zbuntowanych” rzekomo przeciw partyjnej starszyźnie działaczy Stronnictwa Narodowego. Przygotowania do wystąpienia przeciw Żydom z Odrzywołu w województwie kieleckim trwały kilka miesięcy i skończyły się w listopadzie 1935 roku krwawą bitwą z policją, w której zginęło dwunastu chłopów, głównie członków i sympatyków SN⁴⁴⁹.

„Pozbycie się nadmiaru ludności żydowskiej” mogło w przekonaniu wielu polityków i publicystów po części zastąpić emigrację chłopów z przeludnionych wsi.

Chłopi zajęliby wtedy zwolnione przez Żydów miejsce w gospodarce małych miasteczek i miast. Istotnie „wieś, nie mogąc znaleźć zatrudnienia na roli, zaczęła początkowo ostrożnie, potem żywo i gwałtownie przerzucać się na drobny handel i rzemiosło”⁴⁵⁰. Ten proces, pożądaný zarówno przez endecję, jak i niemłą część innych sił politycznych, miał w przyszłości, spodziewano się, doprowadzić do powstania etnicznie polskiej klasy średniej. Postępował jednak ku rozczarowaniu nie tylko endeków bardzo powoli, ponieważ „proletariat żydowski był gotów walczyć do upadłego o swój stan posiadania”⁴⁵¹. Radykalni narodowcy postanowili go wydatnie przyspieszyć poprzez pikietowanie żydowskich sklepów i warsztatów, nawoływanie do ich bojkotu oraz jawną przemoc uzbrojonych bojówek. Skazani za te wyczyny „bojownicy” w oczach swych zwolenników wychodzili z więzień jako bohaterowie, z dumą nosząc w klapie odznakę: kratę więzienną. Tak oto kolonialne przygody II RP dobiegały końca w cieniu i ścisłym związku ze sławetną kampanią „odżydzenia” Polski.

Nadanie międzynarodowego rozgłosu polskim staraniom o „nowe tereny osadnicze” okazało się skuteczne. Na początku 1937 roku francuski minister kolonii Marius Moutet oznajmił w wywiadzie prasowym, że Francja dopuszcza możliwość „ograniczonej” emigracji żydowskiej na Madagaskar⁴⁵². Wobec czego, kując żelazo póki gorące, wysłano bezzwłocznie na wyspę komisję studiów, w której skład weszli niezastąpiony major Lepecki, Leon Alter, dyrektor Żydowskiego Towarzystwa Emigracyjnego oraz inżynier agronom Salomon Dyk z Tel Awiwu.

Zanim ekspedycja wyjechała z Warszawy, jeden z czołowych „pułkowników”, Bogusław Miedziński, redaktor naczelny prorządowej „Gazety Polskiej” zaprosił na poufną rozmowę Arkadego Fiedlera i zaproponował mu wyjazd na Madagaskar z zadaniem sporządzenia drugiego, niezależnego raportu o możliwościach osadnictwa na wyspie – „widzianych przez inną parę oczu”. „Nie tracąc zaufania do Lepeckiego, [...] nie chcemy już popełniać dawnych błędów i wysyłać ludzi na stracone pozycje” – wyjaśnił. Fiedlerowi żywiej zabiło serce. Na Madagaskarze wszystko pulsowało innym życiem, ocierało się o groteskę i zawiłą zagadkę; zdumiewająca ziemia, ekscentrycznie piękne motyle, przedpotopowe, dziwaczne zwierzęta, ludzie o intrygującym pochodzeniu z dalekich Wysp Sundajskich... Nie wahał się ani chwili, zwłaszcza że MSZ miało pokryć koszty podróży⁴⁵³.

Na początek zamiast urokami i blaskami wyspy musiał jako ekspert emigracyjny zapoznać się z jej cieniami, zwłaszcza zdradliwymi dla rolnika glebami. Pisał rze-

czowo i ze swadą:

Inżynier Dyk w stepach na zachód od Tananariwy podniósł grudę laterytu i chciał ją rozkruszyć. Nie udało mu się. Na wyżynach Madagaskaru była właśnie pora sucha i lateryt był twardy jak kamień. Taka skorupa musiała zadusić wszystkie wrażliwsze rośliny. Następnie inżynier oblał lateryt jakimś kwasem i potem sam się skwasił: w laterycie nie było nic wapna. W laterycie, niestety, nie ma także ani fosfatów, ani potasu. A one właśnie obok wapna stanowią o żyzności gleby. Lateryt to ziemia podła, [...] zwietrzała masa, różowa od oksydów żelaza i glinu, w stanie suchym twarda jak kamień, w stanie mokrym śliska papka, [...] różowe przekleństwo krajów tropikalnych⁴⁵⁴.

Jak stwierdziła z dezaprobatą komisja, jałowe gleby laterytowe, czyli produkt wietrzenia chemicznego skał osadowych w tropikach, zajmowały dziewięć dziesiątych powierzchni wyspy. Zasoby urodzajnej ziemi namułowej w dolinach rzek, kotlinach jezior i na mokradłach wynosiły sześć milionów hektarów, z czego uprawiano przed osiemdziesięcioma laty tylko półtora miliona hektarów, czyli zaledwie dwa i pół procent ziemi kraju. Na pozostałych czterech i pół miliona hektara bujnie rosły chwasty. Zdecydowana większość z tych gruntów była położona na zachodnim wybrzeżu, gdzie tropikalny klimat nie rokował przyszłości europejskim gospodarstwom rodzinnym. Eksperci z Polski w ciągu około pięciu miesięcy – w krępującym nieco towarzystwie Fiedlera, o którego specjalnych zadaniach, rzecz jasna, wiedziało – przejechali samochodami po wyspie jedenaście tysięcy kilometrów. Wyniki ich badań przedstawił Lepecki w sążnistym sprawozdaniu⁴⁵⁵, w którym znalazło się m.in. miejsce na poczet królów i gubernatorów Madagaskaru, szczegółowe obserwacje etnograficzne, obszerne wspomnienie o Beniowskim oraz dociekania, czy to właśnie dzięki niemu ulubionym nakryciem głowy jednego z plemion są rogatywki. Co do meritum, zgodzono się, że jedynym właściwie terenem dla żydowskiej czy polskiej kolonizacji – sprawy tej wciąż nie rozstrzygnięto – dogodnym z uwagi na klimat, gleby i w miarę zgodne sąsiedztwo plemienia Tsimihety, byłaby rozległa równina Ankeziny w północnej części Płaskowyżu Centralnego. W konkluzji autor raportu dowodził, że do zagospodarowania jest tam sto tysięcy hektarów, na których można osadzić dziesięć–piętnaście tysięcy rodzin, czyli pięćdziesiąt–siedemdziesiąt tysięcy kolonistów, z czego połowę na roli, a resztę w usługach i drobnym przemyśle – młynach maniokowych, łuszczarniach ryżu, krochmalniach, fabrykach konserw mięsnych, solarniach skór. Na tym gruncie podwładni Becka – pomijając opinie znacznie bardziej sceptycznych Altera i Dyka – opracowali pospiesznie pro-

jekt polsko-francuskiego traktatu imigracyjnego. Przewidywał on, że Polska otrzyma w „wieczną koncesję” już nie tysiąc kilometrów kwadratowych, jak chciał Lepecki, lecz co najmniej cztery i pół tysiąca kilometrów kwadratowych. Wśród kolonistów piętnaście procent stanowić mieli Żydzi, ujęci w owym dokumencie jako „wolne zawody”. Planowano powołanie na Madagaskarze polskiej policji, budowę radiostacji oraz utworzenie przy administracji francuskiej specjalnych sekcji, które zajmowałyby się m.in. szkolnictwem polskim. Na początek „zespół szturmowców z dyscypliną wojskową” zbadać miał teren i zbudować młyn oraz budynek administracyjny. Szef MSZ wystąpił do ministra finansów Eugeniusza Kwiatkowskiego o milion złotych potrzebnych na zakup od pewnego Hindusa pierwszych czterystu czterdziestu kilometrów kwadratowych. Szacowano, że kolonizacja na Madagaskarze kosztowałaby w ciągu kilku lat prawie pięć milionów dolarów, czyli przeszło dwadzieścia pięć milionów złotych. Ten błyskotliwy projekt trafił jednak ostatecznie do archiwum MSZ⁴⁵⁶.

W przeciwieństwie do Lepeckiego Fiedler długo bił się z myślami: „Madagaskar – tak czy nie? Pytanie niełatwe, [...] od kilku tygodni zadaję je sobie i zadaję je dolinom Ankeziny, glebie, powietrzu, chmurom”. Wreszcie z tych rozterek wyrosła niezłomna pewność, że w dolinach zarośniętych perzem i papirusem, poddanym kaprysom wody powstaną rozległe plantacje kawy najlepszych gatunków i wiara, że „przed wszystkimi innymi osadnikami świata będzie tu najodpowiedniejszy chłop polski, brat pioniera parańskiego”⁴⁵⁷. Deklarował więc: „wierzę w polskiego osadnika w Ankezinie. Wierzę, że Madagaskar to »tak«”. Jednak były i poważne cienie. Przede wszystkim woda. Rzeki i rzeczki, strumienie i strugi spływające białymi niemi z gór gromadziły się w dolinie, tworząc ogromne rozlewiska i odbierając tej ziemi – do czasu jej osuszenia – wszelką wartość rolniczą⁴⁵⁸. Żyjące w tych wodach krokodyle z pewnością przetrwałyby meliorację Ankeziny, gdzie część terenów przyszłej kolonizacji zajmowały błota, niemożliwe do osuszenia, co roku zalewane wodą. Te straszliwe gady, znacznie groźniejsze niż jadowite węże w Brazylii, były plagą Madagaskaru. Wypadki porywania ludzi rzadko trafiały do gazet, ale i to, co można było przeczytać, napawało grozą. Każdy zbiornik wody na wyspie, „nawet kilkumetrowa kałuża czy maleńka rzeczka kryła w sobie złowrogą tajemnicę, wieszcząc gwałtowną śmierć. Wszędzie czekał wróg zaciekły, głodny, potwornie liczny”⁴⁵⁹.

Wyznanie nadzwyczajnego wysłannika MSZ było świadectwem wiary w Madagaskar, ale raczej słabszej niż mocnej. Umniejszały ją też dane, jakie uzyskał od miejscowych francuskich ekspertów. Ziemi, jak dawno już obliczyli, którą można kolonizować, było w Ankezinie czterdzieści cztery tysiące hektarów, przy czym twierdzili, że „jest to liczba fundamentalna, ostateczna i w niej streszczają się wszystkie dzisiejsze możliwości osadniczej kolonizacji Madagaskaru. Kto ponad tę liczbę czyni jakiegokolwiek kalkulacje kolonizacyjne, ten buja w powietrzu i oddaje się mrzonkom”⁴⁶⁰. Francuzi planowali w swoim czasie podzielić owe czterdzieści cztery tysiące hektarów między około dwustu plantatorów. Podobnie widzieli zagospodarowanie Ankeziny żydowscy eksperci Komisji Studiów. Według Fiedlera były to kalkulacje nierealne z braku siły roboczej, ponieważ tubylcy z plemienia Tsimihety uchodzili za „prawdopodobnie najleniwszych ludzi na świecie”, a pracę uważali za upodlenie. Z jego rachunków wynikało, że przydzielając około trzydziestu hektarów ziemi na każde gospodarstwo, można sprowadzić na Madagaskar tysiąc pięćset rodzin, czyli pięć–siedem tysięcy polskich osadników. Niedługo jednak po powrocie Komisji Studiów do Europy do Tananariwy zaczęły via Paryż docierać niepokojące pogłoski, że na wyspę wybierają się dziesiątki tysięcy kolonistów z Polski. „Journal de Madagascar” panikował: „Madagaskar – czy polską kolonią? Nigdy”. Albo: „Nie chcemy polskich Żydów!”.

Ale nie wszyscy na wyspie obawiali się tych planów. Do LMiK nadszedł na przykład list od niejakiego pana Marcela Caro, członka Francuskiej Ligi Morskiej. Pisał: „Jestem entuzjastycznym wielbicieleм waszej dzielnej Ojczyzny i z największym zainteresowaniem i przychylnością widziałbym [...] imigrację waszych współobywateli, którzy by nam dopomogli do zaludnienia i podniesienia wartości tej pięknej kolonii, która swoim olbrzymim obszarem i bogactwami mogłaby wyżywić pięćdziesiąt milionów mieszkańców dla większej chwały obu naszych krajów”⁴⁶¹. Był to jednak głos odosobniony. Alarm w prasie, protesty ludności przeciw polskiemu czy też żydowskiemu zagrożeniu – rodowici Malgaszcy nie za bardzo odróżniali polskich chłopów od Żydów – oraz skrycie niechętna postawa miejscowych władz zrobiły swoje. Projekt został utracony jeszcze przed zwerbowaniem pierwszego osadnika.

Zanim jeszcze to ostatecznie nastąpiło, Arkady Fiedler zwiedzał wyspę, podziwiał jej krajobrazy, od tropikalnej dżungli po widmowe lasy kserofitowe prawie bez liści, poznawał malgaskie plemiona, zawierał przyjaźnie z lemurami czułymi i potulnymi oraz z miejscowymi kobietami słynącymi z urody, wdzięku i temperamentu.

Do kraju wrócił dopiero po kilkunastu miesiącach. Jeden z wysokich urzędników kolonii – może nawet sam gubernator? – anonimowo, uśmiechając się łagodnie, na odjeźdźnym udzielił mu rady: „Czy wy tam, w Polsce, macie jakie obozy koncentracyjne, do których chowacie ludzi niekoniecznie zbrodniczych, lecz mimo to niebezpiecznych dla ogółu? [...] to stary znawca kolonii i szczerzy zwolennik imigracji osadniczej na Madagaskar zanoszą życzliwą prośbę, aby na pewien czas zamknięto tam owych fantastów, tych, co zamierzają nam nasłać trzydzieści tysięcy Żydów”⁴⁶².

W tym czasie jednak, jesienią 1938 roku, do obozu w Berezie prędeż już wysłano więcej przeciwników emigracji Żydów na Madagaskar niż jej zwolenników. Projekt madagaskarski dał początek niesławnej antysemickiej kampanii, która zmierzała do masowego przesiedlenia obywateli polskich „wyznania mojżeszowego” na Madagaskar lub gdziekolwiek indziej. Mnożyły się pomysły, jak i gdzie powinni się urządzić wyjeżdżający z Polski Żydzi.

„Lemanus”, jeden z autorów „Morza”, pisał wprost: „dziś, w okresie nacjonalistycznym polityki europejskiej, chodzi „o likwidację pozycji żydowskich w szeregu państw europejskich”⁴⁶³. Twierdził, że już przed wojną między Bałtykiem a Morzem Czarnym „było ciasno”, a dziś z tego „zagrożonego” obszaru należałoby przesiedlić na pierwszym etapie, w ciągu dziesięciu–piętnastu lat, pięć–sześć milionów Żydów, z czego co najmniej półtora miliona z Polski. Obliczał, że przy gęstości zaludnienia jak w Anglii w Palestynie połączonej z Transjordanią mogłoby zamieszkać dwadzieścia milionów ludzi, czyli „całe żydostwo światowe”. Ponieważ z uwagi na ludność arabską aż tak liczne osadnictwo byłoby problematyczne, domagał się od Wielkiej Brytanii oddania pod kolonizację żydowską słabo zaludnionych obszarów Kanady i Australii oraz Rodezji, Kenii i Angoli. Jawnie antysemickie debaty toczono też coraz częściej w sejmie. W końcu grudnia 1938 roku ponad stu posłów „Ozonu” z jednym z jego wpływowych przywódców, generałem Skwarczyńskim, na czele zwróciło się z interpelacją do premiera „w sprawie środków zmierzających do podjęcia i przeprowadzenia masowej emigracji żydowskiej w celu radykalnego zmniejszenia ilości żydów w Polsce”. Mniejszość żydowską uznano za „element wysoce niepożądany”, który spowalniał „normalny rozwój polskich sił narodowych i państwowych”⁴⁶⁴. Wicemarszałek sejmu Lucjan Surzyński ostrzegał z kolei, że „społeczeństwo żydowskie musi zrozumieć, że poza jego własnymi dążeniami i celami istnieją również interesy polskie. Naród polski nie cofnie się przed przeprowa-

dzeniem swoich interesów życiowych mimo wszelkie trudności”⁴⁶⁵. Posłowie odrzucali na ogół stosowanie wobec narodu żydowskiego „gwałtów i ekscesów, niezgodnych z honorem i godnością Narodu Polskiego”. Proponowano środek umiarkowany, lecz, jak zakładano, efektywny – emigrację. Przymusową – co do tego panował konsensus⁴⁶⁶.

Prasa endecka wprost nie mogła doczekać się jej rozpoczęcia. Ponaglano rządzących do podjęcia kroków izolujących Żydów od pozostałych obywateli, jako że „nie wypada wprost z ław sejmowych pakować posłów żydów na okręty odjeżdżające na emigracyjny Madagaskar. [...] Czy Ozon znajduje istotne przeszkody w pozabawieniu żydów już teraz praw politycznych i czy uważa, że nawet w czasie emigracji przymusowej aż do załadowania na okręt żydzi będą mieli zachowane możliwości wtrącania się do naszych spraw wewnętrznych?”⁴⁶⁷. Narodowców niepokoiło też uzgodnienie między Beckiem a francuskim ministrem spraw zagranicznych Yvonem Delbosem, że osadnictwo na Madagaskarze nie może być traktowane na platformie czysto etnicznej. Stąd podejrzenie, że to „polscy chłopci, pchający się dziś do Odrzywołów i Przytyków, mają jechać na Madagaskar! Żydzi mają pozostać w Polsce!” – alarmował „Warszawski Dziennik Narodowy” i podkreślał: „Madagaskar jest dla nas tylko miejscem zesłania czy odosobnienia dla naszej mniejszości żydowskiej”⁴⁶⁸. To bezkompromisowe stanowisko zachwiało się, gdy w prasie zaczęły się ukazywać ekspresyjne reportaże Fiedlera, przedstawiające wyspę jako rodzaj rajskiego ogrodu. Niektóre koła nacjonalistyczne wystąpiły wówczas z nowym hasłem „Madagaskar tylko dla Polaków – Żydzi do Palestyny”⁴⁶⁹. Plany i spory madagaskarskie, początkowo dość niewinne, nabrały szybko złowieszczonego sensu. Miały jednak także znamiona upiornej groteski. Śpiewano zatem w lokalach rozrywkowych i nadawano na okrągło w radiu modny szlagier, parodię piosenki „egzotycznej”:

*Ja się czuję na wpół dziki,
ludożerca sam,
bo ja jadę do Afryki,
tam kolonię mam,*

*Ajaj, Madagaskar
kraina czarna, parna
Afryka na wpół dzika
Ajaj, Madagaskar*

*orzechy kokosowe
i drzewa bambusowe,*

*Tam są dzikie szczepy,
to mi może będzie lepiej,
bo tam, gdzie kultura,
tam jest kłótnia, awantura!⁴⁷⁰*

Niektórzy z idealistycznie nastawionych pionierów kolonialnych czuli się początkowo spadkobiercami Szolc-Rogozińskiego i chcieli relacje z krajowcami w koloniach widzieć jako wzajemnie korzystną współpracę przy obopólnym zrozumieniu i szacunku. Rojenia o „innych białych” i ich szczególnej misji nie trwały długo. Nieliczni Polacy – w cudzych na razie posiadłościach – starali się gorliwie sprostać w roli sahibów nacjom bardziej doświadczonym w kolonizatorskim rzemiośle. Mało tego, krótka historia polskiego kolonializmu kończyła się haniebną antysemicką awanturą i słynnym wezwaniem z transparentów „Żydzi na Madagaskar”. Okazało się ono znacznie żywoźniejsze niż hasło „Żądamy kolonii dla Polski”.

Część prasy zresztą sabotowała państwowotwórcze wysiłki Ligi i studziła nastroje. W czasach, gdy pionierzy kolonialni starali się o tereny w Angoli, felietonista „Robotnika” troskał się obłudnie:

Żałuję, niezmiernie żałuję, że wiadomość o nabyciu Angoli przez rząd okazała się niestety tylko kaczka dziennikarską, [...] niedobrze się stało. Na taki cel powinny były znaleźć się pieniądze i na pewno by się znalazły. Należało tylko społeczeństwu polskiemu szczerze i otwarcie powiedzieć, na co ma być użyta Angola, a posypałyby się miliony pomimo ciężkich czasów i ogólnej stagnacji. Ludzie ostatnią pyjamę by oddali, spodnie pozastawialiby po lombardach, a Angolę by kupili⁴⁷¹.

O ile wyzłośliwianie się organu socjalistów mogli entuzjaści kolonii lekceważyć, powinna skłonić ich do refleksji konsekwentnie niechętna akcja kolonialnej postawa liberalnego, powiązanego z wielkim przemysłem i finansjerą „Kurieria Polskiego”. W marcu 1938 roku w związku z kolejnymi rafami na drodze do kolonizacji Madagaskaru dziennik stwierdzał cierpko: „Tak więc stajemy przed rozwianiem się nowego kosztownego złudzenia! [...] przecież nie możemy stać na tak paradoksalnym stanowisku: jak to byłoby dobrze, gdyby ziemianie wyemigrowali do Angoli, chłopci do Peru, Żydzi na Madagaskar, a w Polsce zostaliby sami urzędnicy, od czasu

do czasu urządzający ekspedycje badawcze dla wykrycia nowych terenów emigracyjnych”⁴⁷².

Jasny pogląd na polską politykę kolonialną miał człowiek, którego zadaniem było jej kształtowanie i realizowanie – minister Józef Beck. „W dziedzinie spraw tzw. kolonialnych przeszła przez Polskę fala dziecinnej wprost ekscytacji”⁴⁷³ – wspominał w *Ostatnim raporcie*. Jak wskazywał, ekspansja kolonialna światowych mocarstw wynikała z potrzeby wykorzystania nagromadzonych zasobów materialnych i ludzkich, a nie z chęci ich zdobycia. Polska nie miała zaś rezerw nawet na nadrobienie elementarnych zaległości cywilizacyjnych w kraju, takich jak na przykład regulacja Wisły. W tych okolicznościach „pomysły kolonizacyjne wydawały się dość fantastyczne”. Podobnie myśleli z pewnością politycy zajmujący się gospodarką. Jeśliby polski ubogi podatnik zdobył się na sfinansowanie budowy portów, kolei, dróg, kopalni oraz zorganizowanie administracji szkolnictwa, służby zdrowia w upragnionej kolonii, to jednak taka inwestycja mogłaby przekreślić ambitne plany rozwoju Polski firmowane przez Eugeniusza Kwiatkowskiego, których pierwszą jaskółką była budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego. O opłacalności kolonii dyskutowano bez ostatecznych konkluzji od czasów Monteskiusza. Pewne było jednak to, że biedny kraj nie stanie się dzięki nim bogaty. Wiedzieli o tym bez wątplenia przywódcy II Rzeczypospolitej. Czy którykolwiek spośród nich wierzył szczerze w dobrodziejstwa kolonii? Jakie były zatem cele propagandy, która twierdziła, że kolonie są Polsce niezbędne, kosztownej i wieloletniej manipulacji ukazującej społeczeństwu perspektywy zwodnicze, utopijne, anachroniczne i co do zasady niemoralne, zwłaszcza dla narodu, który miał za sobą rozbiory i niewolę? Rzecz wydaje się na pozór jasna – idea kolonialna stanowiła część mitu Polski mocarstwowej, fundamentu ówczesnej władzy, który tę władzę umacniał i legitymizował. Jednak istnieje też nieco szlachetniejsze uzasadnienie tego osobliwego szalbierstwa. Otóż pułkownik i historyk Wacław Jędrzejewicz, były minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, wyjaśniał już po II wojnie światowej, że – wobec fatalnej politycznej i gospodarczej sytuacji kraju – fikcja kolonialna miała skierować uwagę Polaków na perspektywy przyszłej potęgi i dobrobytu, zapobiegając załamaniu się nastrojów społecznych⁴⁷⁴. Wyimaginowane kolonie służyłyby zatem w zamiarach rządzących pocieszeniu strapionych, zaradzeniu kompleksom oraz pokrzepieniu serc i ogólnym wzmocnieniu morale narodu. Polski wątek w historii kolonializmu, owego „patchworku zbrodni i dobrych intencji”⁴⁷⁵, to tylko ledwo widoczna nitka,

cienka i krótka. Zajmuje natomiast bez wątpienia poczesne miejsce w dziejach propagandy jako wybitny przykład zorganizowania zbiorowej iluzji wokół kwestii, która w rzeczywistości nie istniała i w ówczesnych okolicznościach istnieć nie mogła.

Nawet gdyby Polska mocniej jeszcze zacisnęła pasa i sfinansowała inwestycje oraz utrzymanie kolonii, nie byłaby w stanie wystawić floty wojennej i armii dla jej obrony – przekonywali krytycy polskiego kolonializmu. Ale pionierzy kolonialni dowodzili, że nie jest to wcale konieczne. Major Bulowski wyjaśniał: „Nie będziemy utrzymywali armji kolonjalnej (marzenie oficerów!), lecz tylko policję, względnie milicję. Mała reprezentacyjna jednostka wojskowa składałaby się raczej z ochotników, przyszłych plantatorów i orkiestry”. Co do wojny na morzu, przyznawał: „Trzeba się będzie ograniczyć do obrony brzegów i wód przybrzeżnych działaniami floty hydroplanowej, ewentualnie i podwodnej. To wszystko”⁴⁷⁶. W tej ostatniej kwestii, to jest przygotowań do wojny podwodnej u brzegów kolonialnych, Liga mogła się pochwalić konkretnymi zasługami.

Na początku lat trzydziestych eksperci „Morza” pisali z podziwem o nowym, największym na świecie francuskim okręcie podwodnym „Surcouf”, o wyporności dwóch tysięcy ośmiuset osiemdziesięciu ton, czternastu wyrzutniach torpedowych i dwóch działach dwieście trzy milimetry, prawdziwym „krążowniku podwodnym”, który mógłby śmiało stawić czoła krążownikom nawodnym. Francuzi zbudowali go z myślą o obronie swych kolonii⁴⁷⁷. W tymże czasie Liga rozpoczęła zbiórkę pieniędzy na nowo utworzony Fundusz Obrony Morskiej, z którego zamierzano sfinansować zakup nowego okrętu podwodnego dla polskiej floty. Zbudowany w Holandii za 8,2 miliona złotych ORP „Orzeł”, jedna z najnowocześniejszych takich jednostek w Europie, nie był aż tak wielki jak „Surcouf” (jego wyporność wynosiła tysiąc czterysta siedemdziesiąt ton), ale jak na potrzeby obrony polskiego wybrzeża i płytkie wody Bałtyku – duży. Zdaniem krytyków – za duży. Zamiast niego i bliźniaczego „Sępa” można było zbudować kilka mniejszych jednostek, około dziewięćsettonowych. Podobno o wyborze większych okrętów przesądziła konieczność – musiały osiągać znaczną prędkość, potrzebną, aby atakować sowieckie pancerniki. Możliwe i więcej prawdopodobne jest i inne wyjaśnienie tej kontrowersyjnej decyzji. W „planie akcji liberyjskiej” za jeden z najważniejszych celów uznano „uzyskanie bazy dla ewentualnej akcji korsarskiej na wypadek wojny celem odcięcia nieprzyjaciela od surowców afrykańskich w Liberii”⁴⁷⁸. Należało zatem marynarce na-

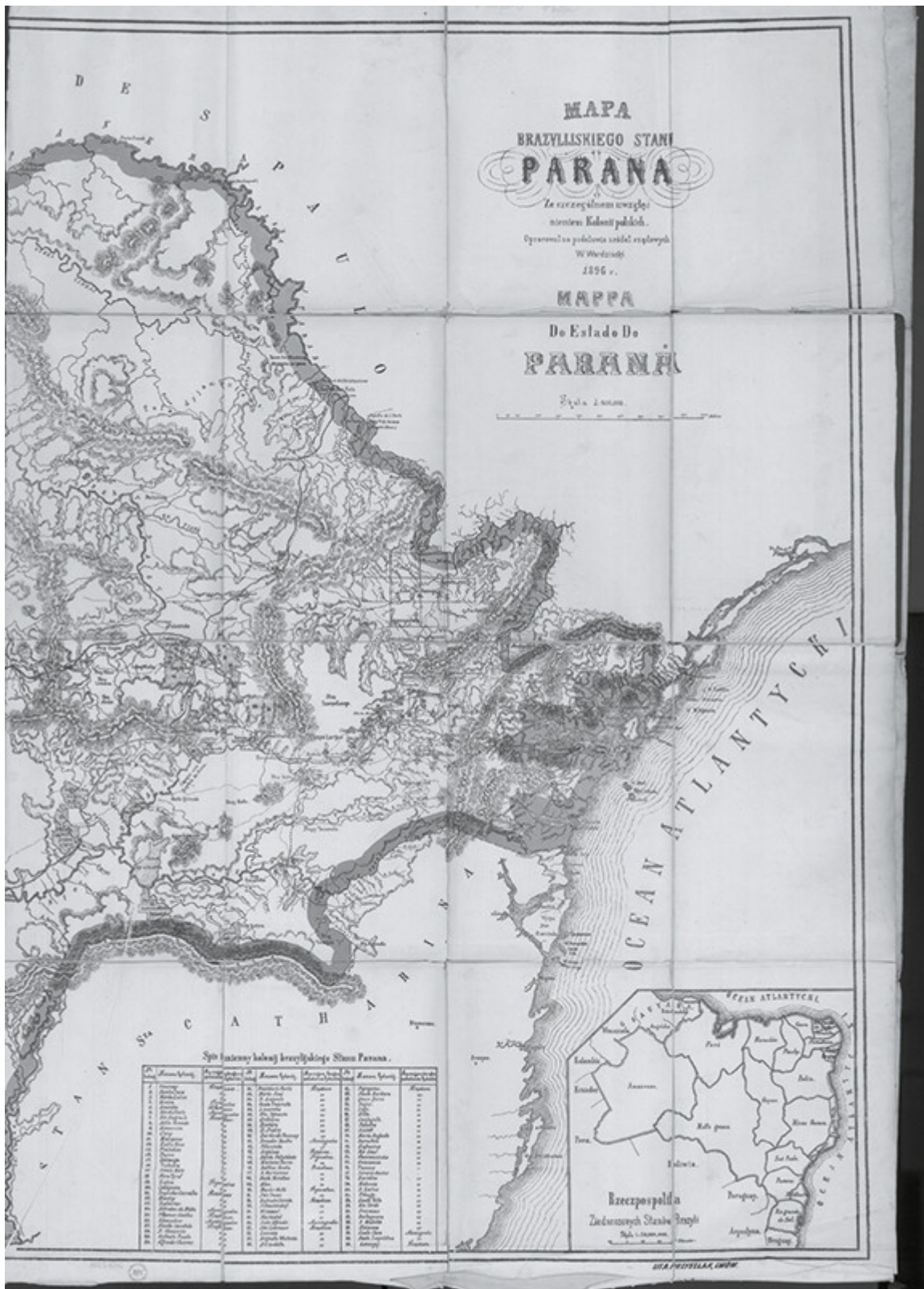
szej zapewnić okręty, które akcją taką mogłyby z szansami powodzenia przeprowadzić.

„Orzeł” i „Sęp”, które niewiele zdziałały na Bałtyku, zapewniłyby w razie wojny niezawodną komunikację nawet z odległą od polskiej „metropolii” kolonią, a ich dwanaście wyrzutni torpedowych umożliwiło obronę jej wybrzeża przed mniejszymi siłami morskimi wroga. Natomiast stu pięćdziesięciu ludzi załogi owych „podwodnych kanonierek kolonialnych” mogły stanowić rozstrzygający atut w przypadku na przykład puczu przeciw popieranej przez Polskę miejscowej władzy.

Wrzesień 1939 roku położył kres polskim rojeniom o zdobyciu kolonii. Holocaust, żelazna kurtyna, reforma rolna i „likwidacja ziemiaństwa jako klasy”, forsowna industrializacja w sowieckim stylu przekreśliły wszystkie potrzeby i przesłanki, którymi je uzasadniano. Za symboliczny finał daremnych trudów kolonialnych można uznać utratę „Orła”, który zaginął w końcu maja 1940 roku podczas patrolu na Morzu Północnym. Nigdy nie dotarł na morza południowe i oceany, gdzie mógłby w obronie polskich kolonii dokonać czynów korsarskich równie sławnych, jak jego brawurowa ucieczka z Tallina do Anglii. A nawet jeszcze głośniejszych i barwniejszych z uwagi na egzotyczne okoliczności i osobliwości.



Maurycy August Beniowski, reprodukcja z książki. Zbiory NAC.



Mapa brazylijskiego stanu Parana ze szczególnym uwzględnieniem kolonii polskich, Lwów, nakładem „Przeglądu Wszechpolskiego”, 1896. Zbiory BN.



Stefan Szolc-Rogoziński – podróżnik, badacz Afryki i Kamerunu. Fotografia pozowana w atelier w stroju podróżniczym. Autor zdjęcia nieznany, zbiory NAC.



Karol Antoni i Józefa Piątkowscy z dziećmi. Rodzina wyemigrowała z Krakowa do Brazylii w 1890 r. Czarno-biała fotografia naklejona na kartonik zakładu fotograficznego Aristotypia de H.A. Volk, Kurytyba (Brazylia). Zbiory Muzeum Emigracji w Gdyni.



Uczestnicy polskiej ekspedycji naukowej do Brazylii obdzierają ze skóry upolowanego jelenia. Pośrodku stoi Arkady Fiedler, 1929. Autor zdjęcia nieznan, zbiory NAC.



Mieczysław Lepecki w towarzystwie rdzennej mieszkanki Paragwaju, 1926. Autor zdjęcia nieznan, zbiory NAC.

LIGA MORSKA I KOLONIALNA

Wzór odczytu dla ludności wiejskiej

DLACZEGO POLSKA MUSI MIEĆ KOLONIE ZAMORSKIE?

Jak się mówi u nas o koloniach zamorskich, to się ludziom zdaje, że to chodzi o takie kraje, gdzie jest dużo wolnej ziemi i lasów, które nadają się na osadzenie rolnikiem.

To też odrazu na wstępie powinniśmy sobie wyjaśnić, że kiedy się mówi i pisze o koloniach zamorskich dla Polaków, to ma się na myśli nie wysyłanie za morza drobnych rolników czy też bezrolnych, a tylko takie ziemie za morzami, które nie nadają się na osadnictwo białego człowieka jako że Polak naprzykład nie mógłby znieść gorącego klimatu, jaki jest w Afryce — gdzie pracować na roli, czy w kopalniach tamtejszych może czarny tylko człowiek, przywykły od tysięcy lat do tamtejszych warunków.

Domagając się więc kolonii zamorskich dla Polski na własność, nie o osadzanie tam naszego rolnika walczymy, a tylko o dostęp do surowców, jak: bawełny dla wyrabiania u nas w kraju materiałów na odzież i bieliznę, kauczuku — dla wyrobu przez nasze fabryki z niego opon do samochodów i rowerów, oraz

Dlaczego Polska musi mieć kolonie zamorskie, wzór odczytu dla ludności wiejskiej, Warszawa, lata trzydzieste. Zbiory BN.

BOGACTWA I ZNACZENIE KOLONIJ



WARSZAWA 1938

WYDAWNICTWO LIGI MORSKIEJ I KOLONIALNEJ

Broszura LMiK, Warszawa 1938. Zbiory BN.



Akademia z okazji 50-lecia wyprawy polskiej do Kamerunu przygotowana przez Zarząd Główny Ligi Morskiej i Kolonialnej, prezes Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonialnej gen. Gustaw Orlicz-Dreszer (w środku), prezydent Warszawy Zygmunt Słomiński (pierwszy z prawej) i dyrektor Muzeum Przemysłu i Rolnictwa Leopold Janikowski (pierwszy z lewej), 1932. Autor zdjęcia nieznany, zbiory NAC.



Działacze LMiK podczas kwesty w Katowicach, data nieznana. Fot. Czesław Datka, zbiory NAC.



Przedstawiciele ligi niosący transparent z napisem: „Żądamy kolonii zamorskich dla Polski” podczas pochodu, Katowice, data nieznana. Fot. Czesław Datka, zbiory NAC.



Uroczystości Ligi Morskiej i Kolonialnej na rynku w Tarnowskich Górach, 1934. Fot. Zakład Fotograficzny „Studio”, zbiory NAC.



Uczestnicy wyprawy na statku s/s „Poznań” przed wyruszeniem w drogę do Afryki Zachodniej, Gdynia, 1935. Fot. Ernest Raulin, zbiory NAC.



Tablica propagandowa Ligi Morskiej i Kolonialnej, Marcinkowice, 1936. Autor zdjęcia nieznany, zbiory NAC



Budowa Kopca imienia marszałka Józefa Piłsudskiego na Sowińcu w Krakowie, Delegacja Ligi Morskiej i Kolonialnej z urną ziemi z Parany, widoczny m.in. wicewojewoda krakowski Piotr Małaczyński, Kraków 1936. Autor zdjęcia nieznan, zbiory NAC.



Janusz Makarczyk w Liberii, data nieznana. Autor zdjęcia nieznany, zbiory NAC



Szanghaj — łodzie chińskie,
załadowane towarami

SPRAWY KOLONIALNE

Prasa zagraniczna śledziła z wielkim zainteresowaniem manifestacje „Dni Kolonialnych”, które w listopadzie 1936 r. odbyły się w całej Polsce. Pisma francuskie, niemieckie, angielskie, włoskie — zamieściły szereg obszernych artykułów oraz notatek i wzmianek o przebiegu „Dni Kolonialnych” i o stale wzmagającym się w Polsce nateżeniu ruchu kolonialnego, jak również o kwestiach demograficznych i gospodarczych, z tym ruchem związanych. Nie będziemy tutaj wymieniać ogromnej listy tych pism, po przejrzeniu których można jednak stwierdzić na ogół obiektywny ton prasy niemieckiej, w przeciwieństwie do prasy angielskiej czy francuskiej, która zachowuje pewną rezerwę.

Spośród pism niemieckich wymienimy „Börsen Zeitung” z dn. 28.XI 36, które, po obszernym omówieniu polskich stosunków gospodarczych i ludnościowych, zmuszających Polskę do wysunięcia żądań kolonialnych, stwierdza w zakończeniu: „Polskie żądanie otrzymania własnych kolonii brzmi bardzo kategorycznie.

Również ze strony niemieckiej będzie zawsze na nowo podkreślane, że kwestia surowców należy do najpilniejszych kwestyj światowej polityki i że nowy podział obszarów kolonialnych nie jest tylko kwestią sprawiedliwości, lecz również koniecznością życiową dla państw przeludnionych i uprzemysłowionych”. „Motywy, których waga została ze strony polskiej tak mocno podkreślona, omówiliśmy tutaj tak obszernie, gdyż w swoich zasadniczych tezach udowadniają one również potrzeby kolonialne Niemiec”.

„Irish Independent” z dn. 25.XI 36 r., w związku z „Dniami Kolonialnymi”, pisze o wysuwanych przez Polskę żądaniach kolonialnych i podkreśla, że: „Jakkolwiek Polska nigdy nie miała kolonii, występuje ona o nie obecnie w ten sam sposób, jak i inne kraje”, a przecież, pisze ten sam dziennik, nie ma już kolonii do otrzymania — „Anglia i Francja podzieliły między siebie prawie wszystko, co było do wzięcia i nie okazują najmniejszej ochoty, aże-

by cośkolwiek z tego ostąpić innym narodom”.

Jeśli chodzi o prasę francuską, to omawiała ona z wielkim zainteresowaniem kwestię kolonialną Polski. Sprawa ta nie schodziła ze szpalt pism francuskich, to też dla omówienia tych wszystkich odgłosów możnaby poświęcić specjalny artykuł. Na tym miejscu ograniczymy się jednak do wymienienia chociażby tytułów tych wszystkich pism i podkreślenia różnorodnych opinii, wypowiedzianych przy tej okazji.

Tak więc b. min. Lemery na łamach „Indépendent” dość krytycznie odnosi się do żądań kolonialnych Polski i obawia się, że wystąpienia te były przeprowadzone na rachunek Niemiec. Obawia się również, że obecny rząd francuski skłonny byłby może zbyt łatwo oddać swoje kolonie. Rzeczowy i przychylny ton cechuje artykuł w „Tribune des Nations”, w którym obszernie omówione są istotne potrzeby ludnościowe i gospodarcze, zmuszające Polskę do wysunięcia postulatu kolonialnego.



Wnętrze szałas Indian Kampa w Kordylierach. Fotografia zamieszczona w artykule Czesława Kulikowskiego *Kauczuk, Anglicy – Ford i Polacy* opublikowanym w czasopiśmie „Morze” (zeszyt 5, maj 1937 r.).



Peru – rynek w angielskiej kolonii Perene. Fotografia zamieszczona w artykule Czesława Kulikowskiego *Kauczuk, Anglicy – Ford i Polacy* opublikowanym w czasopiśmie „Morze” (zeszyt 5, maj 1937 r.).

Liga Morska i Kolonialna
WRAZ Z KOŁEM
Przyjaciół Kultury Literatury i Sztuki
w R a d o m i u

organizuje w dniu 20 stycznia 1938 roku o godz. 18-ej
W REPREZENTACYJNEJ SALI WYDZIAŁU POWIATOWEGO
(SIENKIEWICZA 5)

ODCZYT

p. t.

**„RZECZPOSPOLITA CZARNYCH-LIBERIA
i STOSUNKI POLSKO-LIBERYJSKIE”**

który wygłosi

płk. Dr. J. BABECKI

wybitny znawca spraw kolonialnych.

Wstęp dla członków L.M.K. i Koła Przyjaciół Kultury Literatury
i Sztuki gr. 30, dla młodzieży Szkolnej gr. 20 i dla nieczłonków gr. 50.

Bilety wcześniej do nabycia w biurze okręgu L.M.K. (Sienkiewicza 5, II. p. pokój Nr. 34).

Z A R Z A D.

Afisz reklamujący odczyt organizowany przez Ligę Morską i Kolonialną, Radom, 1938. Zbiory BN.



Manifestacja członków Ligi Morskiej i Kolonialnej na rzecz uzyskania przez Polskę kolonii, Poznań, 1938. Autor zdjęcia nieznany, zbiory NAC.



Pokaz kolonialny z okazji Dni Ligi Morskiej i Kolonialnej, 1938. Autor zdjęcia nieznany, zbiory NAC.



Wystawa z okazji VIII ogólnopolskiego zjazdu delegatów Ligi Morskiej i Kolonialnej, Toruń, 1939. Fot. Kazimierz Osmański, zbiory NAC.



Udający czarnoskórego żołnierz w pochodzie uzbrojony w karabin 7,9 mm Mauser wz. 1898 i pas z ładownicami, Toruń, 1939. Autor zdjęcia nieznan, zbiory NAC.



Pieszy, paramilitarny oddział Ligi Morskiej i Kolonialnej mający pełnić służbę na przyszlých koloniach Polski, Toruń, 1939. Autor zdjęcia nieznaný, zbiory NAC.



Paramilitarny oddział konny Ligi Morskiej i Kolonialnej mający pełnić służbę na przyszłych koloniach Polski, Toruń, 1939. Autor zdjęcia nieznany, zbiory NAC.

Bibliografia

- Bartnicki Andrzej, *Konflikty kolonialne 1869–1939*, Warszawa: Wiedza Powszechna, 1971.
- Beck Józef, *Ostatni raport*, Warszawa: PiW, 1987.
- Białas Tadeusz, *Liga Morska i Kolonialna 1930–1939*, Gdańsk: Wydawnictwo Morskie, 1983.
- Bulowski Leon, *Kolonie dla Polski*, Warszawa 1932.
- Chmielewski Jerzy, *Angola. Notatki z podróży po Afryce*, Warszawa: Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, 1929.
- Curtin Philip i in., *Historia Afryki*, przeł. Marek Jannasz, Gdańsk: Marabut, 2003.
- Dmowski Roman, „Przegląd Wszechpolski”, 1900, w: *Ameryka Łacińska w relacjach Polaków*, Warszawa: Interpress, 1982.
- Drymmer Wiktor Tomir, *W służbie Polsce*, Kraków: Wingert, 2014.
- Dygasiński Adolf, *Listy z Brazylii*, Warszawa: nakładem „Kuriera Warszawskiego”, 1891.
- Ferro Marc, *Historia kolonizacji*, przeł. Michał Czajka, Warszawa: Volumen Bellona, 1997.
- Fiedler Arkady, *Jutro na Madagaskar!*, Warszawa: Wydawnictwo Rój, 1940.
- Fiedler Arkady, *Ryby śpiewają w Ukajali*, Kraków: Czytelnik, 1946.
- Fiedler Arkady, *Wiek męski – zwycięski*, Warszawa: Iskry, 1976.
- Fiedler Edward, *Kolonie niemieckie a Polska*, Łowicz: Księgarnia Łowicka, 1939.
- Giżycki Kamil, *Wężowa Góra*, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1975.
- Hirschler Jan, *Ze Lwowa do Liberii*, Lwów–Warszawa: Książnica-Atlas, 1938.
- Kieniewicz Jan, *Od ekspansji do dominacji. Próba teorii kolonializmu*, Warszawa: Czytelnik, 1986.
- Konopczyński Władysław, *Kwestia bałtycka do XX w.*, Warszawa: Instytut Bałtycki, 1947.
- Kowalenko Władysław, *Jak urządzać wystawy szkolne w dziedzinie spraw morskich i kolonialnych*, Warszawa: Wydawnictwo LMiK, 1937.
- Kowalski Marek Arpad, *Kolonie Rzeczypospolitej*, Warszawa: Bellona, 2005.

- Lenny A. Ureña Valerio, *Colonial Fantasies, Imperial Realities: Race Science and the Making of Polishness on the Fringes of the German Empire, 1840–1920*, Athens: Ohio University Press, 2019.
- Lepecki Mieczysław Bohdan, *Opis polskich terenów kolonizacyjnych w Peru*, Warszawa: Naukowy Instytut Emigracyjny, 1930.
- Lepecki Mieczysław Bohdan, *Oceanem, rzeką, lądem*, Warszawa: Rój, 1929.
- Lepecki Mieczysław Bohdan, *Od Amazonki do Ziemi Ognistej*, Warszawa: LSW, 1958.
- Lepecki Mieczysław Bohdan, *Madagaskar kraj – ludzie – kolonizacja*, Warszawa: Rój, 1938.
- Lepecki Mieczysław Bohdan, *Maurycy August Beniowski*, Warszawa: LSW, 1961.
- Lepecki Mieczysław Bohdan, *Parana i Polacy*, Warszawa: Wiedza Powszechna, 1962.
- Lepecki Mieczysław Bohdan, *Polskie żądania kolonialne*, Warszawa: OZON, 1939.
- Makarczyk Janusz, *Widziałem i słyszałem*, Warszawa: Czytelnik, 1957.
- Makarczyk Janusz, *Liberia, Liberyjczyk, Liberyjka*, Warszawa: Główna Księgarnia Wojskowa, 1936.
- Nadolska-Styczyńska Anna, *Ludy zamorskich lądów*, Wrocław: Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, 2005.
- Ossendowski Ferdynand, *Czarny Czarownik*, Warszawa: Rój, 1926.
- Pamiętniki emigrantów. Ameryka Południowa*, Warszawa: Instytut Gospodarstwa Społecznego, 1939.
- Paszkowicz Adam, *Wśród murzynów Angoli*, Lwów–Warszawa: Książnica-Atlas, 1932.
- Pawłowski Stanisław, *Domagajmy się kolonij zamorskich dla Polski*, Warszawa: Wydawnictwo LMiK, 1936.
- Puchalski Piotr, *Poland in Colonial World Order. Adjustments and Aspirations 1918–1939*, New York: Routledge, 2022.
- Schweitzer Albert, *Wśród czarnych na równiku*, przeł. Zofia Petersowa, Warszawa: Wydawnictwo Nowoczesne, 1930.
- Siemiradzki Józef, *Za morze. Szkice z wycieczki do Brazylii*, Lwów: Związkowa Drukarnia we Lwowie, 1894.
- Siemiradzki Józef, *Szlakiem wychodźców*, Warszawa: Drukarnia A.T. Jezierskiego, 1900.
- Sienkiewicz Henryk, *Listy z Afryki*, Warszawa: Słowo, 1893.

- Sienkiewicz Henryk, *W pustyni i w puszczy*, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/w-pustyni-i-w-puszczy> [dostęp: 14.04.2023].
- Sykulski Leszek, *Wokół projektu politycznego Piotra Aleksandra Wereszczyńskiego* [w:] *Dylematy polityczne Polaków w XIX i XX wieku*, Warszawa: Śląskie Towarzystwo Naukowe im. Michała Grażyńskiego, 2007.
- Szolc-Rogoziński Stefan, *Pod równikiem. Odczyty S.S. Rogozińskiego*, Kraków: Czas, 1886.
- Uniłowski Zbigniew, *Żyto w dżungli*, Warszawa: J. Przeworski, 1936.
- Warchałowski Kazimierz, *Na wodach Amazonki*, Warszawa: Wydawnictwo LMiK, 1938.
- Williams Charles, *Charles de Gaulle*, przeł. Andrzej Chajewski, Warszawa: Amber, 1997.
- Włodek Ludwik, *Polacy w Paranie*, Warszawa: Wydawnictwo im. Staszica, 1910.
- Załęcki Gustaw, *Szkice do gospodarczej teorii europejskiego osadnictwa rolnego w krajach gospodarczo młodych*, Warszawa: Biblioteka Polska, 1927.
- Ząbek Maciej, *Biali i Czarni. Postawy Polaków wobec Afryki i Afrykanów*, Warszawa: Studia Ethnologica, 2007.

Artykuły

- Borkowska Grażyna, *Polskie doświadczenie kolonialne*, „Teksty Drugie” 2007, nr 4, s. 23.
- Głuchowski Kazimierz, *Idźmy za morza!*, „Morze” 1928, nr 3.
- Fiktus Paweł, *Liga Morska i Kolonialna wobec kwestii żydowskiej w latach 1938–1939*, <https://histmag.org/Liga-Morska-i-Kolonialna-wobec-kwestii-zydowskiej-w-latach-1938-1939-5309> [dostęp 12.04.2023].
- Hunczak Taras, *Polish Colonial Ambitions in the Inter-War Period*, „Slavic Review”, Cambridge University Press, Vol. 26 (Dec., 1967).
- Jeziorański Kazimierz, *Kolonie mandatowe a Polska*, „Sprawy Morskie i Kolonialne” 1935, z. 2.
- Jarnecki Michał, *Peruwiańska porażka i próba jej naprawy. Wokół polskich międzynarodowych koncepcji emigracyjnych i kolonialnych*, „Sprawy Narodowościowe” 2014, nr 44, seria nowa.

- Kijek Kamil, *Pogrom, którego nie było, tragedia, która przyszła w zamian. Zajścia w Odrzywole, 20–29 listopada 1935*, https://rcin.org.pl/Content/133866/WA-303_165812_II14367-2_Kijek.pdf [dostęp 30.03.2023].
- Krzyżanowski Julian, *O Adolfie Nowaczyńskim*, „Pamiętnik Literacki” 1946 nr (36)3–4.
- Knopek Jacek, *Przeszłość i teraźniejszość stosunków Polski z Republiką Liberii*, „Polityka” 2004, nr 2, s. 161–180.
- Oseka Piotr, *Z żyletkami na sztorc*, „Polityka” 2011, nr 13.
- Pankiewicz Michał, *Problem emigracji w Polsce*, „Sprawy Morskie i Kolonialne” 1935, z. 1.
- Pankiewicz Michał, *Niezłomny pionier Polski kolonialnej*, „Morze” 1936, nr 9.
- Pawłowski Stanisław, *O emigracji Żydów z Polski i o ich kolonizacji*, „Sprawy Morskie i Kolonialne”, 1937, z. 1–2.
- Puchalski Piotr, *Polityka kolonialna międzywojennej Polski w świetle źródeł krajowych i zagranicznych...: nowe spojrzenie (1918–1945)*, „Res Gestae”, 2018, nr 7.
- Sokół Franciszek, *Prawda o Peru*, „Gazeta Świąteczna”, 21.10.1931.
- Zajas Paweł, *Polskie postcolonial studies? Przypadek południowoafrykański*, „Napis. Pismo poświęcone literaturze okolicznościowej i użytkowej” 2005, seria 11, s. 203–220.
- Zieliński Stanisław, *Stefan Rogoziński*, „Morze” 1932, nr 10.

-
- ¹ J. Hirschler, *Ze Lwowa do Liberii*, Lwów – Warszawa 1938, s. 181.
- ² Tamże, s. 183.
- ³ Tamże.
- ⁴ „Ilustrowany Kurier Codzienny”, 28.02.1935.
- ⁵ „Morze” 1938, nr 5.
- ⁶ Tamże.
- ⁷ Tamże.
- ⁸ Tamże.
- ⁹ A. Paszkowicz, *Wśród murzynów Angoli*, Lwów – Warszawa, 1932, s. 4.
- ¹⁰ Tamże, s. 5.
- ¹¹ M.B. Lepecki, *Oceanem, rzeką, lądem*, Warszawa 1929, s. 9.
- ¹² *Święto morza*, „Morze” 1936, nr 8, s. 9.
- ¹³ A. Łucki, *Wstęp* [w:] Wincenty Pol, *Mohort*, Kraków 1925, s. XXI – XXII.
- ¹⁴ J. Krzyżanowski, *O Adolfie Nowaczyńskim*, „Pamiętnik Literacki” 1946, nr 3 – 4(36), s. 283.
- ¹⁵ H. Sienkiewicz, *Listy z Afryki*, Warszawa 1893, s. 277 – 278.
- ¹⁶ Tamże, s. 313.
- ¹⁷ H. Sienkiewicz, *W pustyni i w puszczy*, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/w-pustyni-i-w-puszczy.pdf>, s. 147 [dostęp 12.04.2023].
- ¹⁸ K. Głuchowski, *Idźmy za morza!*, „Morze” 1928, nr 3, s. 31.
- ¹⁹ Tamże.
- ²⁰ K. Jeziorański, *Kolonie mandatowe a Polska*, „Sprawy Morskie i Kolonialne” 1935, z. 2, s. 36 – 38.
- ²¹ Tamże.
- ²² W 1802 r. Napoleon wysłał na wyspę San Domingo (Haiti) prawie 5,5 tys. żołnierzy Legionów Polskich z zadaniem stłumienia powstania czarnych niewolników przeciw francuskim rządóm kolonialnym. Legioniści – wcześniej walczący we Włoszech u boku wojsk francuskich z nadzieją, że dzięki sojuszowi z Francją Polska odzyska niepodległość – mieli zatem wystąpić przeciw wyzwoleńczej rewolucji innego narodu. Około dwustu przeszło na stronę powstańców, do Europy wróciło ich około pięciuset. Pozostali polegli w tej niezwykle okrutnej wojnie lub zmarli na choroby tropikalne.
- ²³ K. Głuchowski, dz. cyt., s. 3.
- ²⁴ Tamże.
- ²⁵ S. Żeromski, *Elegie i inne pisma literackie i społeczne, Odezwy publiczne. Port w Gdyni*, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/elegie-i-inne-pisma-literackie-i-spoeczne.html>, s. 403 [dostęp 10.04.2023].
- ²⁶ M. Pankiewicz, *Problem emigracji w Polsce*, „Sprawy Morskie i Kolonialne” 1935, z. 1, s. 73.
- ²⁷ Tamże.

²⁸ K. Jeziorański, dz. cyt., s. 31.; wskaźnik przyrostu naturalnego: stosunek różnicy między liczbą urodzeń żywych i liczbą zgonów do liczby ludności.

²⁹ *Naczelny problem*, „Morze” 1936, nr 1, s. 1.

³⁰ P. Puchalski, *Poland in Colonial World Order. Adjustments and Aspirations 1918 – 1939*, Routledge, New York 2022, s. 189.

³¹ „Morze” 1938, nr 5.

³² C. Williams, *Charles de Gaulle*, Warszawa 1997, s. 26.

³³ A. Bartnicki, *Konflikty kolonialne 1869– 1939*, Warszawa 1971, s. 105.

³⁴ Tamże.

³⁵ C. Williams, dz. cyt., s. 27.

³⁶ Tamże.

³⁷ Tamże.

³⁸ Tamże, s. 28.

³⁹ A. Bartnicki, dz. cyt., s. 108 – 111.

⁴⁰ C. Williams, dz. cyt., s. 27.

⁴¹ M. Ferro, *Historia kolonizacji*, Warszawa 1997, s. 37.

⁴² Tamże, s. 198.

⁴³ Tamże, s. 47, s. 199.

⁴⁴ J. Kieniewicz, *Od ekspansji do dominacji. Próba teorii kolonializmu*, Warszawa 1986, s. 80 – 82.

⁴⁵ Tamże, s. 109.

⁴⁶ M. Ferro, dz. cyt., s. 37

⁴⁷ P. Curtin i in., *Historia Afryki*, przeł. M. Jannasz, Gdańsk 2003, s. 220.

⁴⁸ J. Kieniewicz, dz. cyt., s. 225.

⁴⁹ Tamże, s. 75.

⁵⁰ M. Ferro, dz. cyt., s. 55.

⁵¹ J. Kieniewicz, dz. cyt., s. 77.

⁵² M. Ferro, dz. cyt., s. 75.

⁵³ Tamże, s. 183 – 184.

⁵⁴ H. Sienkiewicz, *Listy z Afryki*, dz. cyt., s. 157.

⁵⁵ Tamże, s. 325.

⁵⁶ P. Curtin, dz. cyt., s. 235.

⁵⁷ Tamże, s. 218.

⁵⁸ Tamże, s. 536 – 537.

⁵⁹ M. Ferro, dz. cyt., s. 141.

⁶⁰ A. Bartnicki, dz. cyt., s. 135.

⁶¹ M. Ferro, dz. cyt., s. 98.

⁶² M. Ząbek, *Biali i czarni. Postawy Polaków wobec Afryki i Afrykanów*, Warszawa 2007, s. 544.

- ⁶³ Tamże.
- ⁶⁴ M.A. Kowalski, *Kolonie Rzeczypospolitej*, Warszawa 2005, s. 69.
- ⁶⁵ J. Pertek, *Polacy na morzach i oceanach*, tom I (do roku 1795), Poznań 1981, s. 624.
- ⁶⁶ M.A. Kowalski, dz. cyt., s. 44.
- ⁶⁷ P. Zajas, *Polskie postcolonial studies? Przypadek południowoafrykański*, „Napis. Pismo poświęcone literaturze okolicznościowej i użytkowej” 2005, seria 11, s. 203 – 220.
- ⁶⁸ W. Konopczyński, *Kwestia Bałtycka*, Warszawa 1947, s. 121.
- ⁶⁹ Tamże.
- ⁷⁰ M.A. Kowalski, dz. cyt., s. 110 – 121.
- ⁷¹ M.A. Beniowski, *Dziennik podróży i zdarzeń hrabiego M.A. Beniowskiego na Syberyi, w Azji i Afryce*, cz. IV, Kraków 1898, s. 68.
- ⁷² Tamże, s. 49.
- ⁷³ Tamże, s. 60.
- ⁷⁴ M. Lepecki, *Maurycy August Beniowski*, Warszawa 1961, s. 93.
- ⁷⁵ Tamże, s. 206.
- ⁷⁶ M.A. Kowalski, dz. cyt., s. 195.
- ⁷⁷ M.B. Lepecki, dz. cyt., s. 205.
- ⁷⁸ L. Sykulski, *Wokół projektu politycznego Piotra Aleksandra Wereszczyńskiego. Przyczynek do historii eskapizmu polskiego w XIX w.* [w:] *Dylematy polityczne Polaków w XIX i XX w.*, Warszawa 2007, s. 67.
- ⁷⁹ M.A. Kowalski, dz. cyt., s. 238.
- ⁸⁰ L. Sykulski, dz. cyt., s. 67.
- ⁸¹ Tamże, s. 63.
- ⁸² M.A. Kowalski, dz. cyt., s. 240.
- ⁸³ L. Sykulski, dz. cyt., s. 71.
- ⁸⁴ Tamże, s. 69 – 70.
- ⁸⁵ Tamże, s. 70.
- ⁸⁶ S. Zieliński, *Stefan Rogoziński*, „Morze” 1932, nr 10.
- ⁸⁷ Tamże.
- ⁸⁸ M.A. Kowalski, dz. cyt., s. 261.
- ⁸⁹ S. Zieliński, dz. cyt.
- ⁹⁰ S. Szolc-Rogoziński, *Pod równikiem. Odczyty S.S. Rogozińskiego*, Kraków 1886.
- ⁹¹ L. Janikowski, *W dżunglach Afryki*, Warszawa 1936, s. 114.
- ⁹² Tamże, s. 149.
- ⁹³ S. Szolc-Rogoziński, dz. cyt., s. 95.
- ⁹⁴ M.A. Kowalski, dz. cyt., s. 272.
- ⁹⁵ L. Janikowski, dz. cyt., s. 83.

⁹⁶ Inaczej „gorączka dum-dum”, właśc. leiszmanioza trzewna, tropikalna choroba pasożytnicza, często nadal śmiertelna.

⁹⁷ S. Szolc-Rogoziński, dz. cyt., s. 126.

⁹⁸ L. Janikowski, dz. cyt., s. 139.

⁹⁹ Tamże, s. 137.

¹⁰⁰ Tamże, s. 135 – 141.

¹⁰¹ Tamże, s. 145.

¹⁰² S. Szolc-Rogoziński, dz. cyt., s.130.

¹⁰³ L. Janikowski, dz. cyt., s. 199.

¹⁰⁴ Tamże, s. 61.

¹⁰⁵ Z. Uniłowski, *Żyto w dżungli*, Warszawa 1936, s. 21.

¹⁰⁶ J. Siemiradzki, *Za morze. Szkice z wycieczki do Brazylii*, Lwów 1894, s. 48 – 49.

¹⁰⁷ Z. Uniłowski, dz. cyt., s. 255.

¹⁰⁸ Tamże, s. 44.

¹⁰⁹ A. Nadolska-Styczyńska, *Ludy zamorskich lądów*, Wrocław 2005, s. 195.

¹¹⁰ *Pamiętniki emigrantów. Ameryka Południowa*, Warszawa 1939, s. 140.

¹¹¹ Tamże, s. 74.

¹¹² A. Dygasiński, *Listy z Brazylii*, Warszawa 1891, s. 194.

¹¹³ Tamże, s. 78.

¹¹⁴ Tamże, s. 318.

¹¹⁵ J. Siemiradzki, dz. cyt., s. 2.

¹¹⁶ Tamże, s. 30.

¹¹⁷ L. Włodek, *Polacy w Paranie*, Warszawa 1910, s. 22.

¹¹⁸ J. Siemiradzki, dz. cyt., s. 31.

¹¹⁹ *Pamiętniki emigrantów...*, dz. cyt., s. 375.

¹²⁰ A. Dygasiński, dz. cyt., s. 14.

¹²¹ Tamże, s. 33.

¹²² L. Włodek, dz. cyt., s. 19 – 20.

¹²³ *Pamiętniki emigrantów...*, dz. cyt., s. 322.

¹²⁴ R. Dmowski, „Przegląd Wszechpolski”, 1900 [w:] *Ameryka Łacińska w relacjach Polaków*, Warszawa 1982, s. 209.

¹²⁵ J. Siemiradzki, dz. cyt., s. 33.

¹²⁶ Tamże, s. 177.

¹²⁷ M.B. Lepecki, *Parana i Polacy*, Warszawa 1962, s. 83.

¹²⁸ Kaboklami nazywano co do zasady Metysów, ale wśród „leśnych ludzi” zdarzały się także inne kombinacje etniczne.

¹²⁹ R. Dmowski, dz. cyt., s. 209.

- ¹³⁰ J. Siemiradzki, dz. cyt., s. 99.
- ¹³¹ R. Dmowski, dz. cyt., s. 209.
- ¹³² M.B. Lepecki, dz. cyt., s. 85, 190.
- ¹³³ J. Siemiradzki, dz. cyt., s. 55.
- ¹³⁴ M. Lepecki, dz. cyt., s. 143 – 144.
- ¹³⁵ *Pamiętniki emigrantów...*, dz. cyt., s. 122.
- ¹³⁶ Z. Uniłowski, dz. cyt., s. 243.
- ¹³⁷ Tamże, s. 224.
- ¹³⁸ *Pamiętniki emigrantów...*, dz. cyt., s. 82.
- ¹³⁹ Tamże, s. 66.
- ¹⁴⁰ Tamże, s. 142.
- ¹⁴¹ J. Siemiradzki, *Szlakiem wygnańców*, t. II, Warszawa 1900, s. 52 – 56.
- ¹⁴² Tamże, s. 98.
- ¹⁴³ R. Dmowski, dz. cyt., s. 208.
- ¹⁴⁴ *Pamiętniki emigrantów...*, dz. cyt., s. 291.
- ¹⁴⁵ L. Bulowski, *Kolonie dla Polski*, Warszawa 1932, s. 131 – 132.
- ¹⁴⁶ Tamże, s. 135.
- ¹⁴⁷ Tamże, s. 222.
- ¹⁴⁸ K. Warchałowski, *Przyczynek do historii polskiej akcji kolonialnej*, „Morze” 1932, nr 9.
- ¹⁴⁹ „Morze”, 1930, nr 9.
- ¹⁵⁰ A. Bartnicki, dz. cyt., s. 192 – 196.
- ¹⁵¹ L. Bulowski, dz. cyt., s. 26.
- ¹⁵² Tamże, s. 149.
- ¹⁵³ Tamże, s. 142 – 145.
- ¹⁵⁴ T. Białas, *Liga Morska i Kolonialna 1930 – 1939*, Gdańsk 1983, s. 168.
- ¹⁵⁵ Tamże, s. 20.
- ¹⁵⁶ M. Ferro, dz. cyt., s. 35.
- ¹⁵⁷ Tamże, s. 123.
- ¹⁵⁸ Tamże, s. 177.
- ¹⁵⁹ J. Kieniewicz, dz. cyt., s. 16.
- ¹⁶⁰ M. Ferro, dz. cyt., s. 177.
- ¹⁶¹ „Morze”, 1934, nr 2.
- ¹⁶² M. Ferro, dz. cyt., s. 145 – 150.
- ¹⁶³ J. Kieniewicz, dz. cyt., s. 17.
- ¹⁶⁴ W. Szukiewicz, *Murzyńskie sny o potędze*, „Morze” 1934, nr 1.
- ¹⁶⁵ A.L. Lasiński, *Przed wszechświatową wystawą Morską i Kolonialną w Antwerpii*, „Morze” 1929, nr 9, 10.

- ¹⁶⁶ M. Ferro, dz. cyt., s. 96.
- ¹⁶⁷ G. Załęcki *Szkice do gospodarczej teorii europejskiego osadnictwa rolnego w krajach gospodarczo młodych*, Warszawa 1927, s. 186.
- ¹⁶⁸ S. Pawłowski, *Domagajmy się kolonij zamorskich dla Polski*, Warszawa 1936, s. 8.
- ¹⁶⁹ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 191.
- ¹⁷⁰ K. Jeziorański, „Morze” 1939 nr 4.
- ¹⁷¹ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 189.
- ¹⁷² „Morze” 1934, nr 2.
- ¹⁷³ W.T. Drymmer, *W służbie Polsce*, Kraków 2014, s. 203.
- ¹⁷⁴ S. Pawłowski, *O emigracji Żydów z Polski i o ich kolonizacji*, „Sprawy Morskie i Kolonialne” 1937, z. 1 – 2.
- ¹⁷⁵ S. Pawłowski, *Domagajmy się...*, dz. cyt., s. 8.
- ¹⁷⁶ L. Bulowski, dz. cyt., s. 29.
- ¹⁷⁷ K. Głuchowski, *Idźmy za morza!*, „Morze” 1928, nr 3.
- ¹⁷⁸ *Traktat pokoju między mocarstwami sprzymierzonymi i skojarzonymi i Niemcami, podpisany w Wersalu dnia 28 czerwca 1919 roku*, <http://isap.sejm.gov.pl> [dostęp: 30.03.2023].
- ¹⁷⁹ Berliner Tageblatt z dnia 22. IX 1936, „Morze” 1936, nr 11.
- ¹⁸⁰ T. Białas, dz. cyt., s. 28, 175.
- ¹⁸¹ M. Ferro, dz. cyt., s. 21.
- ¹⁸² G. Załęcki, dz. cyt., s. 88.
- ¹⁸³ W. Rosiński, *W sprawie byłego dominium kolonialnego Niemiec*, „Morze” 1930, nr 9.
- ¹⁸⁴ G. Załęcki, dz. cyt., s. 102.
- ¹⁸⁵ M. Pankiewicz, *O Polskę kolonialną*, „Morze” 1934, nr 8, 9.
- ¹⁸⁶ S. Pawłowski, dz. cyt., s. 20.
- ¹⁸⁷ „Morze”, 1930, nr 11.
- ¹⁸⁸ „Kurier Mazowiecki”, 02.02.1931.
- ¹⁸⁹ K. Warchałowski, *Na wodach Amazonki*, Warszawa 1938, s. 172 – 173.
- ¹⁹⁰ M.B. Lepecki, *Opis polskich terenów kolonizacyjnych w Peru*, Warszawa 1930, s. 33.
- ¹⁹¹ M.B. Lepecki, *Od Amazonki do Ziemi Ognistej*, Warszawa 1958, s. 9.
- ¹⁹² K. Warchałowski, dz. cyt., s. 62.
- ¹⁹³ M.B. Lepecki, *Opis...*, dz. cyt., s. 69 – 70.
- ¹⁹⁴ A. Fiedler, *Ryby śpiewają w Ukajali*, Kraków 1946, s. 168.
- ¹⁹⁵ M.B. Lepecki, dz. cyt., s. 82.
- ¹⁹⁶ A. Fiedler, dz. cyt., s. 99 – 100.
- ¹⁹⁷ M.B. Lepecki, dz. cyt., s. 25.
- ¹⁹⁸ A. Fiedler, dz. cyt., s. 202.
- ¹⁹⁹ M.B. Lepecki, dz. cyt., s. 85.

- ²⁰⁰ Tamże, s. 137.
- ²⁰¹ Tamże, s. 141
- ²⁰² Tamże, s. 111 – 113.
- ²⁰³ K. Warchałowski, dz. cyt., s. 150.
- ²⁰⁴ M.B. Lepecki, dz. cyt., s. 101.
- ²⁰⁵ A. Fiedler, dz. cyt., s. 139 – 141.
- ²⁰⁶ Tamże, s. 170.
- ²⁰⁷ Tamże, s. 171.
- ²⁰⁸ M.B. Lepecki, dz. cyt., s. 25.
- ²⁰⁹ Tamże, s. 28.
- ²¹⁰ M.B. Lepecki, *Od Amazonki...*, dz. cyt., s. 185.
- ²¹¹ M.B. Lepecki, *Opis...*, dz. cyt., s. 77.
- ²¹² *Pamiętniki emigrantów...*, dz. cyt., s. 218.
- ²¹³ „Kurier Warszawski”, 18.09.1929.
- ²¹⁴ „Gazeta Świąteczna”, 10.11.1930.
- ²¹⁵ „Wola Ludu”, 06.04.1930.
- ²¹⁶ Tamże.
- ²¹⁷ A. Fiedler, dz. cyt., s. 178.
- ²¹⁸ Tamże, s. 24.
- ²¹⁹ Tamże, s. 135.
- ²²⁰ M.B. Lepecki, *Od Amazonki...*, dz. cyt., s. 41.
- ²²¹ M. Jarnecki, *Peruwiańska porażka i próba jej naprawy. Wokół polskich międzywojennych koncepcji emigracyjnych i kolonialnych*, „Sprawy Narodowościowe”, seria nowa, 2014, nr 44, s. 109.
- ²²² F. Sokół, *Prawda o Peru*, „Gazeta Świąteczna”, 21.10.1931.
- ²²³ Tamże.
- ²²⁴ S. Gołęwski, *Peru a problem kolonizacyjny Polski*, „Sprawy Morskie i Kolonialne” 1934, z. 1, s. 129.
- ²²⁵ Tamże.
- ²²⁶ Tamże.
- ²²⁷ M. Jarnecki, dz. cyt., s. 110.
- ²²⁸ M.B. Lepecki, dz. cyt., s. 188.
- ²²⁹ M. Jarnecki, dz. cyt., s. 110.
- ²³⁰ Tamże, s. 112.
- ²³¹ Tamże, s. 119.
- ²³² K. Warchałowski, dz. cyt., s. 173.
- ²³³ M.B. Lepecki, dz. cyt., s. 187.
- ²³⁴ M. Jarnecki, dz. cyt., s. 124 – 127.

- ²³⁵ Tamże, s. 128.
- ²³⁶ Tamże, s. 129.
- ²³⁷ J. Chmielewski, *Angola. Notatki z podróży po Afryce*, Warszawa 1929, t. 1, s. 10.
- ²³⁸ „Kurier Warszawski”, 7.04.1931.
- ²³⁹ Tamże, 05.11.1930.
- ²⁴⁰ Tamże.
- ²⁴¹ „Kurier Czerwony”, 07.10.1926.
- ²⁴² J. Chmielewski, dz. cyt., s. 42.
- ²⁴³ Tamże, s. 18.
- ²⁴⁴ F. Łyp, „Morze” 1929, nr 12.
- ²⁴⁵ Tamże, 1929, nr 6.
- ²⁴⁶ J. Chmielewski, dz. cyt., t. 2, s. 22.
- ²⁴⁷ Tamże, s. 23.
- ²⁴⁸ F. Łyp, dz. cyt.
- ²⁴⁹ „Kurier Poranny”, 21.01.1931.
- ²⁵⁰ J. Chmielewski, dz. cyt., t. 2, s. 19.
- ²⁵¹ Tamże, s. 54.
- ²⁵² A. Paszkowicz, dz. cyt., s. 97.
- ²⁵³ Tamże, s. 40 – 41.
- ²⁵⁴ Tamże, s. 15 – 16.
- ²⁵⁵ „Express Mazowiecki”, 16.07.1934.
- ²⁵⁶ „Kurier Warszawski”, 08.03.1931.
- ²⁵⁷ Tamże, 30.03.1931.
- ²⁵⁸ Tamże, 08.12.1931.
- ²⁵⁹ Tamże, 19.07.1931.
- ²⁶⁰ „Kurier Wieczorny”, 21.09.1933.
- ²⁶¹ „Kurier Poranny”, 16.04.1931.
- ²⁶² K. Nowak, *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*, Poznań 2011, s. 263.
- ²⁶³ „Kurier Warszawski”, 05.07.1935.
- ²⁶⁴ A. Paszkowicz, dz. cyt., s. 33 – 135.
- ²⁶⁵ Tamże, s. 106 – 107.
- ²⁶⁶ F. Łyp, „Morze” 1931, nr 12.
- ²⁶⁷ „Kurier Warszawski”, 18.06.1931.
- ²⁶⁸ „Express Mazowiecki”, 16.07.1934.
- ²⁶⁹ „Kurier Warszawski”, 27.03.1929.
- ²⁷⁰ „Kurier Warszawski”, 22.09.1931.
- ²⁷¹ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 74.

- ²⁷² Tamże, s. 126.
- ²⁷³ Tamże, s. 136.
- ²⁷⁴ Tamże, s. 99.
- ²⁷⁵ Tamże, s. 102.
- ²⁷⁶ „Kurier Warszawski”, 10.03.1933.
- ²⁷⁷ „Morze” 1931, nr 2.
- ²⁷⁸ „Robotnik”, 03.10.1934.
- ²⁷⁹ „Morze” 1932, nr 9.
- ²⁸⁰ M. Ząbek, dz. cyt., s. 519.
- ²⁸¹ Tamże, s. 552.
- ²⁸² Tamże, s. 546.
- ²⁸³ Tamże, s. 565.
- ²⁸⁴ J. Kieniewicz, dz. cyt., s. 20.
- ²⁸⁵ A. Paszkowicz, dz. cyt., s. 128.
- ²⁸⁶ J. Hirschler, dz. cyt., s. 170.
- ²⁸⁷ K. Varga, *Największa zaleta W pustyni i w puszczy?*, wyborcza.pl. 22.06.2020 [dostęp 12.04.2023].
- ²⁸⁸ Tamże.
- ²⁸⁹ H. Sienkiewicz, *Listy...*, dz. cyt., s. 192.
- ²⁹⁰ Tamże, s. 16.
- ²⁹¹ Tamże, s. 280.
- ²⁹² Tamże, s. 205.
- ²⁹³ F. Ossendowski, *Czarny Czarodziej*, Warszawa 1926, s. 92.
- ²⁹⁴ J. Hirschler, dz. cyt., s. 189.
- ²⁹⁵ A. Fiedler, *Wiek męski – zwycięski*, Warszawa 1976, s. 144.
- ²⁹⁶ Tamże, s. 145.
- ²⁹⁷ A. Fiedler, *Jutro na Madagaskar!*, Warszawa 1940, s. 277.
- ²⁹⁸ J. Kieniewicz, dz. cyt., s. 20.
- ²⁹⁹ G. Borkowska, *Polskie doświadczenie kolonialne*, „Teksty Drugie” 2007, nr 4, s. 23.
- ³⁰⁰ J. Conrad, *Jądro ciemności*, przeł. Aniela Zagórska, Wrocław 2020, s. 92.
- ³⁰¹ L. Janikowski, dz. cyt., s. 172.
- ³⁰² Tamże, s. 173.
- ³⁰³ M. Ząbek, dz. cyt., s. 627.
- ³⁰⁴ A. Paszkowicz, dz. cyt., s. 74.
- ³⁰⁵ K. Giżycki, dz. cyt., s. 63.
- ³⁰⁶ J. Hirschler, dz. cyt., s. 200.
- ³⁰⁷ K. Nowak, dz. cyt., s. 296.

- ³⁰⁸ M. Ząbek, dz. cyt., s. 636.
- ³⁰⁹ M. Walentynowicz, „Morze” 1938, nr 4.
- ³¹⁰ J. Hirschler, dz. cyt., s. 114.
- ³¹¹ M. Ząbek, dz. cyt., s. 672.
- ³¹² J. Makarczyk, *Liberia, Liberyjczyk, Liberyjka*, Warszawa 1936, s. 49.
- ³¹³ A. Paszkowicz, dz. cyt., s. 142.
- ³¹⁴ Tamże, s. 133.
- ³¹⁵ J. Chmielewski, dz. cyt., s. 36.
- ³¹⁶ M. Ząbek, dz. cyt., s. 705.
- ³¹⁷ „Kurier Warszawski”, 17.09.1930.
- ³¹⁸ „Kurier Poranny”, 13.06.1937.
- ³¹⁹ A. Paszkowicz, dz. cyt., s. 98.
- ³²⁰ J. Makarczyk, *Widziałem i słyszałem*, Warszawa 1957, s. 57.
- ³²¹ J. Kieniewicz, dz. cyt., s.195.
- ³²² W. Rogowicz, „Morze” 1932, nr 11.
- ³²³ J. Makarczyk, *Liberia...*, dz. cyt., s. 30.
- ³²⁴ J. Hirschler, dz. cyt., s. 101.
- ³²⁵ A. Schweitzer., *Wśród czarnych na równiku*, Warszawa 1930, s. 85 – 86.
- ³²⁶ A. Fiedler, dz. cyt., s. 117.
- ³²⁷ F. Łyp, „Morze” 1929, nr 2 – 3.
- ³²⁸ J. Chmielewski, dz. cyt., s. 29.
- ³²⁹ A. Paszkowicz, dz. cyt., s. 96.
- ³³⁰ B. Malinowski, *Argonauci Zachodniego Pacyfiku*, Warszawa 1987, s. 97, 100.
- ³³¹ K. Janicki, *Pańszczyzna*, Poznań 2021, s. 263.
- ³³² L. Bulowski, dz. cyt., s. 36.
- ³³³ L. Janikowski, dz. cyt., s. 19.
- ³³⁴ J. Tazbir. *Sarmaci i świat*, Kraków 2001, s. 75.
- ³³⁵ P. Zajas, dz. cyt., s. 215 – 217.
- ³³⁶ Lenny A. Valerio, *Colonial Fantasies, Imperial Realities: Race Science and the Making of Polishness on the Fringes of the German Empire, 1840–1920*, Athens: Ohio University Press, 2019.
- ³³⁷ M. Ząbek, dz. cyt., s. 519, 570.
- ³³⁸ Tamże, s. 583.
- ³³⁹ J. Hirschler, dz. cyt., s. 177.
- ³⁴⁰ „Kurier Poranny”, 17.07.1936.
- ³⁴¹ M. Pankiewicz, *Niezłomny pionier Polski kolonialnej*, „Morze” 1936, nr 9.
- ³⁴² Tamże.
- ³⁴³ T. Białas, dz. cyt., s. 43.

- ³⁴⁴ Tamże, s. 39, 44 – 45.
- ³⁴⁵ Tamże, s. 48 – 49.
- ³⁴⁶ Tamże, s. 51.
- ³⁴⁷ W. Kowalenko, *Jak urządzać wystawy szkolne w dziedzinie spraw morskich i kolonialnych*, Warszawa 1937, s. 10.
- ³⁴⁸ P. Puchalski, *Polityka kolonialna międzywojennej Polski w świetle źródeł krajowych i zagranicznych...: nowe spojrzenie (1918–1945)*, „Res Gestae” 2018, nr 7, s. 81.
- ³⁴⁹ Tamże, s. 74.
- ³⁵⁰ M.B. Lepecki, *Od Amazonki do Ziemi Ognistej*, dz. cyt., s. 203.
- ³⁵¹ Tamże, s. 207.
- ³⁵² Tamże, s. 206.
- ³⁵³ Tamże.
- ³⁵⁴ Tamże.
- ³⁵⁵ W.T. Drymmer, dz. cyt., s. 184.
- ³⁵⁶ M. Pankiewicz, „Morze” 1935, nr 7.
- ³⁵⁷ „Morze”, 1935, nr 2.
- ³⁵⁸ T. Białas, dz. cyt., s. 206.
- ³⁵⁹ „Morze”, 1934, nr 3.
- ³⁶⁰ T. Białas, dz. cyt., s. 208.
- ³⁶¹ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 230.
- ³⁶² T. Białas, dz. cyt., s. 203.
- ³⁶³ P. Puchalski, *Polityka...*, dz. cyt., s. 71.
- ³⁶⁴ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 227 – 228.
- ³⁶⁵ Tamże, s. 229.
- ³⁶⁶ Tamże.
- ³⁶⁷ Tamże, s. 232.
- ³⁶⁸ Tamże.
- ³⁶⁹ T. Białas, dz. cyt., s. 205.
- ³⁷⁰ Tamże, s. 88 – 89.
- ³⁷¹ W.T. Drymmer, dz. cyt., s. 183.
- ³⁷² P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 116.
- ³⁷³ T. Białas, *Liga Morska i Kolonialna 1930 – 1939*, Gdańsk 1983, s. 209.
- ³⁷⁴ J. Makarczyk, *Widziałem i słyszałem*, dz. cyt., s. 74.
- ³⁷⁵ J. Makarczyk, *Liberia, Liberyjczyk, Liberyjka*, dz. cyt., s. 6.
- ³⁷⁶ J. Makarczyk, *Widziałem i słyszałem*, dz. cyt., s. 76.
- ³⁷⁷ K. Giżycki, dz. cyt., s. 245.
- ³⁷⁸ „Wieczór Warszawski”, 27.11.1934.

- ³⁷⁹ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 127.
- ³⁸⁰ Tamże, s. 113.
- ³⁸¹ E. Ligocki, *Czarne lądy a Polska (I)*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, 05.03.1937.
- ³⁸² P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 109.
- ³⁸³ P. Puchalski, *Polityka...*, dz. cyt., s. 87.
- ³⁸⁴ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 116.
- ³⁸⁵ J. Makarczyk, *Widziałem i słyszałem*, dz. cyt., s. 73.
- ³⁸⁶ K. Giżycki, dz. cyt., s. 298.
- ³⁸⁷ Tamże, s. 299.
- ³⁸⁸ J. Hirschler, dz. cyt., s. 99.
- ³⁸⁹ M. Pankiewicz, „Morze” 1935, nr 4.
- ³⁹⁰ K. Giżycki, dz. cyt., s. 300.
- ³⁹¹ J. Knopek, *Przeszłość i teraźniejszość stosunków Polski z Republiką Liberii*, „Politea”, 2004, nr 2, s. 174.
- ³⁹² J. Makarczyk, *Liberia, Liberyjczyk...*, dz. cyt., s. 87.
- ³⁹³ K. Giżycki, dz. cyt., s. 300.
- ³⁹⁴ J. Knopek, dz. cyt., s. 161 – 180.
- ³⁹⁵ J. Makarczyk, dz. cyt., s. 87.
- ³⁹⁶ K. Giżycki, dz. cyt., s. 21.
- ³⁹⁷ Tamże, s. 7.
- ³⁹⁸ Tamże, s. 9, 12 – 13.
- ³⁹⁹ Tamże, s. 16 – 49.
- ⁴⁰⁰ Tamże, s. 288.
- ⁴⁰¹ P. Puchalski, *Polityka...*, dz. cyt., s. 90.
- ⁴⁰² T. Białas, dz. cyt., s. 221.
- ⁴⁰³ P. Puchalski, *Poland ...*, dz. cyt., s. 127.
- ⁴⁰⁴ T. Białas, dz. cyt., s. 223.
- ⁴⁰⁵ J. Makarczyk, *Widziałem i słyszałem*, dz. cyt., s. 69.
- ⁴⁰⁶ T. Białas, dz. cyt., s. 219.
- ⁴⁰⁷ „Morze” 1936, nr 4.
- ⁴⁰⁸ T. Białas, dz. cyt., s. 213.
- ⁴⁰⁹ Tamże, s. 215.
- ⁴¹⁰ J. Makarczyk, dz. cyt., s. 77.
- ⁴¹¹ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 132.
- ⁴¹² Tamże, s. 120.
- ⁴¹³ Tamże.
- ⁴¹⁴ J. Makarczyk, *Widziałem i słyszałem*, dz. cyt., s. 68.

- ⁴¹⁵ „Ilustrowany Kurier Codzienny”, 04.01.1937.
- ⁴¹⁶ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 131.
- ⁴¹⁷ Tamże.
- ⁴¹⁸ A. Fiedler, *Wiek męski – zwycięski*, s. 159.
- ⁴¹⁹ W. Karczewska, *W cieniu palmowego mirażu*, „Morze” 1938, nr 5.
- ⁴²⁰ J. Makarczyk, *Widziałem i słyszałem*, dz. cyt., s. 89–91.
- ⁴²¹ <https://staremelodie.pl/piosenka/3114/Angola> [dostęp: 10.04.2023].
- ⁴²² W.T. Drymmer, dz. cyt., s. 189.
- ⁴²³ Tamże, s. 183.
- ⁴²⁴ T. Białas, dz. cyt., s. 182, 185.
- ⁴²⁵ W.T. Drymmer, dz. cyt., s. 188.
- ⁴²⁶ A. Fiedler, *Wiek męski – zwycięski*, dz. cyt., s. 169.
- ⁴²⁷ Tamże.
- ⁴²⁸ M.B. Lepecki, *Polskie żądania kolonialne*, OZN, Warszawa 1939, s. 7–8.
- ⁴²⁹ J. Beck, *Ostatni raport*, Warszawa 1987, s. 130.
- ⁴³⁰ A. Bartnicki, dz. cyt., s. 261.
- ⁴³¹ „Morze” 1936, nr 6.
- ⁴³² „Morze” 1931, nr 5.
- ⁴³³ „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”, 14.04.1938
- ⁴³⁴ „Kurier Warszawski”, 02.12.1937.
- ⁴³⁵ „Kurier Warszawski”, 14.03.1931.
- ⁴³⁶ „Morze” 1936, nr 7.
- ⁴³⁷ „Morze” 1937, nr 1.
- ⁴³⁸ „Morze” 1938, nr 4.
- ⁴³⁹ P. Puchalski, *Polityka...*, dz. cyt., s. 99.
- ⁴⁴⁰ „Morze” 1936, nr 9.
- ⁴⁴¹ Tamże.
- ⁴⁴² T. Białas, dz. cyt., s. 192.
- ⁴⁴³ Tamże, s. 183.
- ⁴⁴⁴ Tamże, s. 199.
- ⁴⁴⁵ Tamże, s. 187.
- ⁴⁴⁶ S. Pawłowski, *O emigracji Żydów z Polski i o ich kolonizacji*, „Sprawy Morskie i Kolonialne” 1937, z. 1–2, s. 62.
- ⁴⁴⁷ Tamże, s. 10.
- ⁴⁴⁸ P. Osęka, *Z żyletkami na sztorc*, „Polityka” 2011, nr 13.
- ⁴⁴⁹ K. Kijek, *Pogrom, którego nie było, tragedia, która przyszła w zamian. Zajścia w Odrzywole, 20–29 listopada 1935*, https://rcin.org.pl/Content/133866/WA303_165812_II14367-2_Kijek.pdf [dostęp:

30.03.2023].

⁴⁵⁰ W.T. Drymmer, dz. cyt., s. 193.

⁴⁵¹ Tamże.

⁴⁵² P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 105.

⁴⁵³ A. Fiedler, *Wiek męski – zwycięski*, dz. cyt., s. 167.

⁴⁵⁴ A. Fiedler, *Jutro na Madagaskar!*, Warszawa 1940, s. 85.

⁴⁵⁵ M.B. Lepecki, *Madagaskar kraj – ludzie – kolonizacja*, Warszawa 1938.

⁴⁵⁶ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 206.

⁴⁵⁷ A. Fiedler, dz. cyt., s. 243.

⁴⁵⁸ Tamże, s. 221.

⁴⁵⁹ Tamże, s. 229.

⁴⁶⁰ Tamże, s. 265.

⁴⁶¹ „Morze” 1938, nr 6.

⁴⁶² A. Fiedler, dz. cyt., s. 270.

⁴⁶³ „Morze” 1939, nr 1.

⁴⁶⁴ P. Fiktus, *Liga Morska i Kolonialna wobec kwestii żydowskiej w latach 1938–1939*, <https://hist-mag.org/Liga-Morska-i-Kolonialna-wobec-kwestii-zydowskiej-w-latach-1938-1939> – 5309 [dostęp:

12.04.2023].

⁴⁶⁵ „Morze” 1939, nr 2.

⁴⁶⁶ P. Fiktus, dz. cyt.

⁴⁶⁷ „ABC”, 04.06.1938.

⁴⁶⁸ „Warszawski Dziennik Narodowy”, 12.12.1937 r.

⁴⁶⁹ W.T. Drymmer, dz. cyt., s. 206.

⁴⁷⁰ M. Miksne, *Madagaskar*, <https://staremelodie.pl/piosenka/2528/Madagaskar>.

⁴⁷¹ „Robotnik”, 04.01.1931.

⁴⁷² „Kurier Polski”, 13.03.1938

⁴⁷³ J. Beck, dz. cyt., s. 129.

⁴⁷⁴ T. Hunczak, *Polish Colonial Ambitions in the Inter-War Period*, „Slavic Review”, Cambridge University Press, Vol. 26 (Dec., 1967), s. 656.

⁴⁷⁵ M. Ferro, dz. cyt., s. 196.

⁴⁷⁶ L. Bulowski, dz. cyt., s. 219.

⁴⁷⁷ „Morze” 1933, nr 2.

⁴⁷⁸ P. Puchalski, *Poland...*, dz. cyt., s. 88.

Redaktorka inicjująca: Elżbieta Kalinowska
Redaktorka prowadząca: Dorota Zwierzchowska
Konsultacja: Maciej Górny
Redakcja: Waldemar Kumór
Korekta: Katarzyna Bury, Anna Dworak

Projekt okładki: Aleksandra Nałęcz-Jawecka, to/studio

Zdjęcia wykorzystane na okładce i wyklejce: © Narodowe Archiwum Cyfrowe; © zbiory Biblioteki Narodowej, Polona; © Europeana; © George Edwards/Wikimedia Commons; © Rawpixel

Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8318-876-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek